



China Miéville

AMBASADORIA

Przełożyła Krystyna Chodorowska

Dla Jessego

Jestem bardzo wdzięczny Markowi Bouldowi, Mikowi Cheethamowi, Julie Crisp, Andrei Gibbons, Chloe Healy, Deannie Hoak, Simonowi Kavanaghowi, Peterowi Laveryemu, Amy Lines, Farah Mendlesohn, Davisowi Moenchowi, Tomowi Pennowi, Maksowi Schaeferowi, Chrisowi Schluepowi, Jesseemu Soodalterowi, Karen Traviss, Jeremyemu Trevathanowi oraz pracownikom wydawnictwa Macmillan i Del Rey

Słowo powinno komunikować coś (poza samym sobą)

Walter Benjamin

O języku w ogóle i o języku człowieka

[„Literatura na Świecie” 2011, nr 5-6 (ss. 478-479), tłum. Adam Lipszyc.]

Wszystkie dzieci z Ambasady obserwowały lądującą łódź. Nauczyciele i rodzice zmianowi kazali im malować tę scenę już od wielu dni — ich wizje zajmowały teraz całą ścianę. Już od wielu wieków żaden próżniokręt nie buchał ogniem z dysz, jak to sobie wyobrażali nasi mali artyści, ale tradycja nakazywała przedstawiać statki z takimi smugami. Gdy byłam w ich wieku, rysowałam je identycznie.

Spojrzałam na obrazki; stojący obok mężczyzna także się pochylił.

— Proszę zobaczyć — wskazałam. — To właśnie pan. — W oknie statku widniała jakaś sylwetka. Mężczyzna uśmiechnął się i rozłożył ręce, jakby trzymał niewidzialny ster. — Proszę nam wybaczyć — dodałam, wskazując głową na te dekoracje. — Jesteśmy trochę prowincjonalni.

— Nie, nic podobnego — zaprotestował pilot. Byłam od niego starsza, elegancko ubrana i opowiadałam anegdoty, sypiąc żargonem. Z przyjemnością pozwalał mi się wprawiać w zakłopotanie. — A w każdym razie nie o to mi... To niezwykle uczucie. Przybyć tutaj, aż na

krawędź świata. Bóg jeden wie, co może tam dalej być. — Spojrzał w stronę sali balowej.

* * *

Urządzaliśmy także inne przyjęcia: bale sezonowe, bale dorosłości, absolwenckie i noworoczne, a także trzy przyjęcia gwiazdkowe w grudniu, ale to Bale Powitalne zawsze były najważniejsze. Ich termin zależał od zmiennych wiatrów nurtowych, odbywały się więc rzadko i nieregularnie. Nie urządzaliśmy ich już od wielu lat.

W Sali Dyplomatycznej panował tłok. Prócz pracowników Ambasady kręcili się tu ochroniarze, nauczyciele, lekarze i miejscowi artyści. Przybyły także delegacje z odległych, odizolowanych społeczności, z samotnych farm. Zauważyłam bardzo niewielu przybyszów z zewnątrz, których styl ubierania już niedługo mieli podchwycić miejscowi. Odlot statku zaplanowano nazajutrz albo za dwa dni; Bale Powitalne zawsze odbywały się pod koniec wizyty, tak jakby jednocześnie świętowano zarówno przybycie, jak i odejście.

Przygrywał septet smyczkowy. Jedna z artystek, moja koleżanka Gharda, napotkała moje spojrzenie i lekko zmarszczyła brwi, jakby próbując przeprosić za nieco prostacką gigę, którą akurat wygrywała. Wokół wirowali młodzi ludzie, dając oficjalne powody do zakłopotania swoim szefom i przełożonym, którzy, ku uciesze młodzieży, od czasu do czasu także wykrecali jakiś teatralny piruet.

Nieopodal tymczasowej wystawy rysunków znajdowała się stała kolekcja malowideł zdobiących Salę Dyplomatyczną. Płótna olejne, rysunki gwaszem, płaskie i trójwymiarowe zdjęcia przedstawiające pracowników, Ambasadorów i attaché, a nawet Gospodarzy. Pnącza sięgały dekoracyjnego gzymsu, tworząc gęste sklepienie roślinne (drewno specjalnie dobrano tak, by zdołały utrzymać jego wagę). Pomiędzy liśćmi uwijały się osawidy, drobne urządzenia wielkości kciuka, szukając obrazów do przesłania.

Ochroniarz, z którym przyjaźniłam się przed laty, zamachał mi na powitanie proteżą. Jego sylwetka rysowała się na tle wysokiego okna wychodzącego na miasto i Lilypad Hill, gdzie stała łódź załadowana już do pełna. Dalej ciągnęły się kilometry dachów, a daleko na horyzoncie, za wirującymi latarniami kościołów, wznosiły się stacje zasilania. Lądowanie musiało je wystraszyć, bo od tego czasu poruszały się niespokojnie, nawet teraz. Widziałam, jak tupią.

— To wszystko przez was — stwierdziłam, wskazując je sternikowi. — To pańska wina. — Mężczyzna zaśmiał się, ale słuchał tylko jednym uchem, wszystko go dekoncentrowało. To było jego pierwsze zejście.

Przez chwilę wydawało mi się, że poznaję jednego z oficerów z poprzedniego balu. Gdy przybył tu kilka lat temu, w Ambasadzie mieliśmy akurat łagodną jesień. Przeszedł wraz ze mną po liściach zaścielających podłogi w ogrodzie na wyższych piętrach i spojrzał na miasto, gdzie nie panowała jesień ani żadna inna pora, jaką mógłby znać.

* * *

Przeszłam przez dym bijący znad tac zawierających żywice stymulacyjne i pożegnałam się ze wszystkimi. Kilku zewnątrzowców, którzy właśnie zakończyli kontrakty, a wraz z nimi garstka miejscowych, którym zezwolono na wyjście.

— Kochanie, ty płaczesz? — zapytała Kayliegh. Nie płakałam. — Zobaczymy się jutro, a może nawet pojutrze. Będiesz mogła... — Ale sama wiedziała, że po opuszczeniu Ambasadarii komunikacja stanie się tak trudna, że prawdopodobnie zaniknie. Uściskałyśmy się, aż w końcu łzy napłynęły jej do oczu i ze śmiechem wykrzyknęła: — Ty chyba powinnaś najlepiej wiedzieć, czemu stąd wyjeżdżam!

A ja odparłam:

— Wiem, ty ma!po! Tak ci zazdroszczę!

Milczała, ale wiedziałam, co pomyślała w odpowiedzi: „Sama wybrałaś” — i miała rację. Zamierzałem stąd wyjechać, aż nagle półtora roku temu zszedł ostatni wiab, niosąc szokujące wiadomości — o tym, kto i co miało nadejść później. Nawet wtedy obiecałem sobie, że będę się trzymać ustalonego planu i odejdę, gdy dotrze do nas następny transport. Ale gdy ostatni jol przemknął z wyciem po niebie, zdałem sobie sprawę, że jednak zostanę. Scile, mój mąż, prawdopodobnie domyślił się tego już wcześniej.

— Kiedy tu dotrą? — zapytał pilot. Miał na myśli Gospodarzy.

— Już niedługo — odparłam, choć w sumie nie miałam pojęcia. Nie przyszedłam tu dla nich.

Potem zjawili się Ambasadorzy. Ludzie podchodzili do nich blisko, ale nikt ich nie potracał. Wyglądali, jakby otaczała ich niewidzialna bariera, fosa ludzkiego szacunku. Na zewnątrz deszcz zabębnił w szyby. Dotąd nie zdołałam ustalić, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami, nie miałam żadnych informacji: ani od moich przyjaciół, ani z jakichkolwiek innych źródeł. Tylko najwyżsi urzędnicy mieli szansę zobaczyć naszych najważniejszych, kontrowersyjnych gości, a ja nie należałam do tego kręgu.

Ludzie zerkali w stronę wejścia, więc uśmiechnęłam się do pilota. Weszli kolejni Ambasadorzy. Do nich też się uśmiechałam, póki nie odpowiedzieli.

Już niedługo mieli się zjawić Gospodarze z miasta i ostatni przybysze: kapitan, reszta załogi, attaché, konsulowie, naukowcy, może kilku spóźnionych imigrantów i, oczywiście, gwóźdz programu — nasz nowy, nieprawdopodobny Ambasador.

Prolog

ZANURZACZKA

0,1

Gdy byłam mała, graliśmy w pewną grę, do której potrzeba było kilku monet i drobnych, półkolistych ścinków z warsztatu. Zawsze robiliśmy to w tym samym miejscu, obok jednego konkretnego domu, za rialto, w uliczce na zboczu, pomiędzy kamienicami, gdzie tablice reklamowe migotały różnymi kolorami pod osłoną bluszczu. Bawiliśmy się w przyćmionym świetle tych starych tablic, przy murze, który nazwaliśmy „monetowym”, od żetonów używanych w grze. Pamiętam, jak wprawiałam ciężką monetę — dwa sou — w ruch wirowy, recytując przy tym śpiewnie „ukłon, kółeczko, świński ryj, słoneczko”, aż w końcu pieniądz zaczynał się chwiać i upadał. Widoczny na nim rysunek i słowo, do którego dotarłam, gdy krążek przestał się kręcić, decydowały o rodzaju nagrody albo fantu.

Do dziś widzę się w myślach, jak stoję w wilgotnym wiosennym powietrzu, z dwójką w ręce, zaciekle dyskutując z kolegami na temat interpretacji. Nigdy nie graliśmy w tę grę nigdzie indziej, choć na temat pobliskiego domu krążyły różne opowieści i czuliśmy się trochę nieswojo.

Jak wszystkie dzieci, kreśliliśmy sobie szczegółowe mapy miasta. Na targu bardziej od stoisk interesowała nas skrytka w murze, w miejscu gdzie odpadły cegły, i oczywiście nikt z nas tam nie sięgał. Pamiętam, że nie lubiłam wielkiego głazu, który ustawiono na skraju miasta — był pęknięty i spojony zaprawą (wtedy jeszcze nie wiedziałam dlaczego); biblioteka, jej blanki i uzbrojenia zdawały mi się niebezpieczne. Wszyscy lubiliśmy uniwersytet za jego gładki plastynowy dziedziniec, po którym tak doskonale jeździły nasze zabawki.

Byliśmy niespokojnym małym plemieniem i konstable często próbowali nas zatrzymać, ale odkryliśmy, że wystarczy powiedzieć: „Wszystko w porządku, proszę pani, proszę pana, muszę tylko...”, i można było iść dalej. Zbiegaliśmy szybko po zboczu, mknąc poprzez splątana sieć zaułków, mijając bezdomne automy, nie przejmując się zwierzętami biegnącymi obok po bruku albo po niższych dachach. Czasem przystawaliśmy, by wspiąć się na drzewo lub pnącze, ale zawsze docieraliśmy do międzystrefy.

Na skraju miasta kończyły się ostre, prostopadłe kąty i placyki, powoli przechodząc w geometrycznie niepokojące budynki Gospodarzy, aż w końcu nie pozostawało już ani śladu naszych. Oczywiście próbowaliśmy wejść do tamtej części, gdzie ulice tak bardzo zmieniały wygląd, a mury budynków — ceglane, betonowe i plazmowe — ustępowały innym, bardziej ożywionym materiałom. Za każdym razem dawałam z siebie wszystko, ale w duchu pocieszałam się świadomością, że i tak nie dam rady.

Rywalizowaliśmy ze sobą, podpuszczając się nawzajem, by wejść jak najdalej, wciąż przesuując granicę. Mówiliśmy na przykład: „Gonią nas wilki i musimy uciekać”. Albo: „Kto dojdzie najdalej, zostanie wezyrem”. Byłam trzecim najlepszym długodystansowcem w naszej paczce. Od naszego miejsca spotkań ciągnęły się gniazda Gospodarzy mieniące się dziwnymi, obcymi kolorami, przywiązane skrzypiącymi linami do palisady, którą budowniczy, w jakimś porywie sympatii, skonstruowali na wzór naszych wiklinowych płotów. Podkrażałam się do niej, podczas gdy koledzy dopingowali mnie ze skrzyżowania.

Patrzę na te obrazy i nic mnie nie dziwi: moja twarz wygląda identycznie jak teraz, tyle że jest delikatniejsza, jakby nie do końca uformowana. Ten sam podejrzliwy uśmiezek, zaciśnięcie ust, to samo mrużenie powiek w skupieniu. Byłam niespokojna i miałam duszę włóczęgi, zupełnie jak teraz. Brałam głęboki wdech i rzucałam się naprzód, poprzez wąski pas, gdzie powietrza mieszały się ze sobą; mijałam granicę, która nie była fizycznie wytyczona, ale i tak

odczuwałam ją bardzo wyraźnie. Mieszanka gazów zmieniała się gwałtownie — omiatał mnie powiew bryzy wyrzeźbionej za pomocą drobnych nanomaszyn — a ja podchodziłam do płotu, by napisać „Avice” na białym drewnie. Kiedyś raz, w przyływie brawury, poklepałam cielesną więź gniazda przeplecioną między żerdziami. Była jędrna i napięta jak tykwa. Pobiełam z powrotem i zatrzymałam się dopiero przy reszcie, z wysiłkiem łapiąc oddech.

— Dotknęłaś go — szepnęli z uznaniem. Spojrzałam w osłupieniu na swoją rękę. Ruszyliśmy potem na północ, gdzie wiały wiatry aeoli, by porównać swoje osiągnięcia.

* * *

W budynku, koło którego graliśmy w monety, mieszkał elegancki, małomówny mężczyzna. Stanowił źródło miejscowych plotek. Czasem wychodził z domu, spoglądał na nas, zaciskał usta, jakby chciał się przywitać albo wyrazić dezaprobatę. Potem odchodził.

Byliśmy przekonani, że wiemy, co go spotkało. Oczywiście nie mieliśmy racji, ale kierowaliśmy się głównie strzępkami zasłyszanych rozmów. Uważaliśmy go za kalekę, i sama jego obecność zdawała nam się nieprzyzwoita.

— Hej! — wykrzykiwałam do kolegów za każdym razem, gdy się pojawił, i wskazywałam za nim. — Hej!

Jeśli czuliśmy się dość odważni, szliśmy jego śladem, gdy zmierzał wzdłuż żywopłotu w stronę rzeki albo też do ruin archiwum czy do Ambasady. Dwa razy któreś z nas nerwowo wykrzyknęło jakieś szyderstwo. Przechodnie uciszali nas natychmiast.

— Okażcie trochę szacunku! — powiedział stanowczo sprzedawca altostryg. Odstawił kosz skorupiaków i trzepnął Yohna w potylicę. Potem odwrócił się i spojrzał za odchodzącym.

Pamiętam, że wtedy nagle zdałam sobie sprawę — choć nie potrafiłam tego wyrazić słowami — że jego gniew nie jest wymierzony tylko przeciw nam. Że mitygujący nas dorośli okazują dezaprobatę także temu dziwnemu człowiekowi.

— Nie podoba im się, że tam mieszka — wyjaśnił mi tego wieczoru mój ojciec zmianowy, Tata Berdan, gdy opowiedziałam mu o całym zajściu. Oczywiście natychmiast chciałam wiedzieć, co właściwie przeszkadza sąsiadom, ale wtedy tata tylko uśmiechnął się z zakłopotaniem i pocałował mnie na dobranoc. Wpatrywałam się w okno, nie mogąc spać. Patrzyłam na gwiazdy i księżyc, na lśniący Wrak.

* * *

Zapamiętałam datę tych wydarzeń bardzo dokładnie, ponieważ miały miejsce dzień po moich urodzinach. Spędziłam go pogrążona w melancholii, która teraz wydaje mi się zabawna. Było późne popołudnie, szesnasty dzień trzeciego miesiączka wrzeźnia, domińdzień. Siedziałam samotnie, medytując nad swoim podeszłym wiekiem — absurdalny, mały Budda — i kręcąc kółka monetami, które dostałam w prezencie. Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi, ale nie podniosłam wzroku, więc dopiero za chwilę, gdy właściciel domu stanął przede mną, zrozumiałam, że coś się dzieje.

— Chodź tu, dziewczyno — oznajmił, przyzywając mnie gestem. — Chodź ze mną.

Nie pamiętam, żebym rozważała ucieczkę. Wydawało mi się, że nie mam wyboru.

Jego dom okazał się niesamowity. Obszerny, podłużny pokój był urządzony w ciemnych barwach, pełen mebli i zastawiony przepierzeniami i figurynkami. Wokół uwijały się automaty, wykonując swoje zadania. Na ścianach naszego przedszkola też znajdowały się pnącza, ale zupełnie nie przypominały tych lśniących, czarnolistnych pędów, zwijających się w tak piękne spirale, że wyglądały niemal jak nadruki. Ściany obwieszane były malowidłami i plazmatami, których powierzchnia poruszyła się, gdy tylko weszliśmy. Dane wyświetlone na ekranach

oprawionych w staroświeckie ramki zmieniły się gwałtownie. Drobne duchy wielkości dłoni poruszały się między roślinami doniczkowymi na tridzie przedstawiającym perłowobiałą planszę do gry.

— To twój kolega. — Mężczyzna wskazał na kanapę i zobaczyłam, że leży tam Yohn. Stopy miał oparte na poręczy, oczy zamknięte. Był czerwony, oddychał z trudem.

Zawołałam go po imieniu i z przerażeniem spojrzałam na mężczyznę, zastanawiając się, co zrobił Yohnowi i czy to samo zrobi teraz ze mną. Nie spojrzał mi w oczy, mocował się z butelką.

— Przynieśli go do mnie — wyjaśnił. Rozejrzał się wokół, jakby szukając wskazówek, co ma powiedzieć. — Wezwałam konstabli.

Posadził mnie na stołku obok Yohna, który ledwie oddychał, i podał mi szklankę jakiegoś napoju. Wpatrywałam się w nią podejrzliwie, aż w końcu sam upił z niej łyk, przełknął i pokazał otwarte usta. Potem znowu wręczył mi naczynie. Spojrzałam na jego szyję, ale nie widziałam złącza.

Powoli sączyłam napój.

— Niedługo powinni przyjść konstable — dodał mężczyzna. — Pomyślałem, że chłopiec poczuje się lepiej, jeśli przy nim będziesz. Możesz potrzymać go za rękę. — Odstawiłam szklankę i zrobiłam, o co prosił. — Powiedz mu, że tu jesteś. Powiedz, że wszystko będzie dobrze.

— Yohn, to ja, Avice — szepnęłam. Po chwili ciszy poklepałam go po ramieniu. — Jestem tutaj. Wszystko będzie dobrze.

Naprawdę się o niego martwiłam, ale nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Uniosłam wzrok w poszukiwaniu dalszych wskazówek. Mężczyzna potrząsnął głową.

— Po prostu trzymaj go za rękę.

— Co się stało, proszę pana?

— Znaleźli go na ziemi. Poszedł za daleko.

Biedny Yohn, wyglądał naprawdę źle. Od razu domyśliłam się, co zrobił.

Był drugim najlepszym długodystansowcem w naszej paczce. Oczywiście nie mógł się równać z Simmonem, który z łatwością pokonywał nas wszystkich, ale i tak był w stanie napisać swoje imię o kilka desek dalej niż ja. Przez ostatnich parę tygodni uparcie ćwiczyłam wstrzymywanie oddechu i moje znaki powoli zaczęły się zbliżać do jego. Prawdopodobnie on także ćwiczył w tajemnicy i za daleko odszedł od strefy aeoli. Wyobraziłam sobie, jak chwytając powietrze, otwiera usta, wciągając do płuc kwaśną mieszaninę w międzystrefie. Próbuje wrócić do miasta, ale zatacza się, zamroczony.

— Przynieśli go do mnie — wyjaśnił mężczyzna, a ja za-tchnęłam się z wrażenia, bo dopiero wtedy dostrzegłam coś wielkiego za fikusem. Nie wiem, jakim cudem nie zauważyłam go wcześniej.

To był Gospodarz. Wyszedł na środek pokoju, a ja natychmiast zerwałam się z miejsca, zarówno z szacunku wpajanego mi od dzieciństwa, jak i ze zwykłego strachu. Gospodarz zbliżył się do mnie, kołysząc się z wdziękiem. Wydawało mi się, że mierzy mnie spojrzeniem: skórzaste szypułki służące mu za oczy przyglądały mi się uważnie. Istota wyciągnęła i zacisnęła kończynę. Miałam wrażenie, że sięga po mnie.

— Zaczeka tutaj, aż konstable zabiorą chłopca — wyjaśnił mężczyzna. — Jeśli twój kolega wyzdrowieje, to tylko dzięki niemu. Powinnaś podziękować.

Podziękowałam, a mężczyzna uśmiechnął się z uznaniem. Przykucnął koło mnie i położył mi dłoń na ramieniu. Razem spojrzeliśmy na dziwną, górującą nad nami istotę.

— Moja mała... — powiedział życzliwie mężczyzna. — Wiesz, że on cię nie słyszy,

prawda? To znaczy... słyszy, ale tylko jako hałas. Ale jesteś grzeczną dziewczynką, to dobrze.

Poczęstował mnie jakimś niedostatecznie słodkim cukierkiem, dobrym dla dorosłych. Pochyliłam się nad Yohnem, paplając coś uspokajająco, i to nie tylko dlatego, że mężczyzna mi kazał. Cera mojego przyjaciela nabrała dziwnej tekstury, a jego ruchy były niepokojące. Gospodarz kołysał się na krępych nogach. Wokół nich uwijała się jakaś psia istota, jego towarzysz. Mężczyzna spojrział w miejsce, które u Gospodarzy uchodziło za twarz. Wyglądał, jakby czegoś żałował, ale może dopowiedziałam to sobie później, gdy już dowiedziałam się wszystkiego.

Potem Gospodarz przemówił.

Oczywiście widywałam ich już wielokrotnie. Niektórzy mieszkali w szczelinie, gdzie przychodziliśmy się bawić. Czasem natykaliśmy się na nich, jak sunęli naprzód z krabią precyzją albo nawet biegli, a wtedy zdawało się, że zaraz upadną, ale oczywiście nic takiego się nie działo. Widzieliśmy, jak doglądają cielesnych ścian swoich gniazd albo istot, które uważaliśmy za ich zwierzęta domowe — tych małych, szepczących towarzyszy. Ilekroć zjawili się w pobliżu, zawsze milkiśmy i odsuwaliśmy się na bok, naśladowując zachowawczą grzeczność naszych rodziców zmianowych. Wyuczone zakłopotanie, przejęte od dorosłych, przeważało w nas nad wszelką ciekawością.

Słyszeliśmy, jak rozmawiają ze sobą w swym precyzyjnym języku, niemal przypominającym nasze głosy. W późniejszych latach niektórzy z nas nauczyli się go rozumieć. Niestety, nie mogłam tego powiedzieć o sobie.

Jeszcze nigdy nie znalazłam się tak blisko jednego z Gospodarzy. Strach o Yohna przyćmiewał nawet zaskoczenie, ale przez cały czas zerkałam na wielkiego stwora kątem oka, żeby nie mógł mnie niespodziewanie podejść. Gdy kołysząc się, podszedł bliżej, cofnęłam się gwałtownie i przestałam szeptać.

Nie byli to pierwsi obcy, jakich widziałam w życiu. W Ambasadorii żyło kilkoro Kedisów, grupka Shur'asi i paru innych, ale w ich przypadku nie czuło się tej całkowitej abstrakcji i obcości, jaka zawsze towarzyszyła Gospodarzom. Jeden ze sprzedawców Shur'asi lubił nawet z nami pożartować. Mówił z dziwnym akcentem, ale rozumieliśmy jego dowcipy.

Dopiero później zdałam sobie sprawę, że wszyscy ci imigranci należeli do gatunków, z którymi łączyły nas wspólne modele koncepcyjne. Gospodarze, rdzenni mieszkańcy tej planety, którzy zezwolili nam na wybudowanie w swoim mieście Ambasadorii, stanowili chłodne, niezrozumiałe byty. Emanowali mocą, niczym pomniejsi bogowie, przyglądając się nam, jakbyśmy byli wyjątkowo interesującymi drobkami pyłu, i zsyłając nam cenne budyfikaty; bogowie, z którymi rozmawiać mogli tylko Ambasadorzy. Często przypominano nam, że winniśmy okazywać im szacunek. Mijając ich na ulicy, wykonywaliśmy wymagane gesty, a potem uciekaliśmy ze śmiechem. Pozbawiona wsparcia kolegów, nie mogłam nawet ukryć strachu wyglupami.

— Pyta, czy z chłopcem wszystko w porządku. — Mężczyzna potarł usta. — Dosłownie, coś w stylu: „Czy będzie biegał, czy też ostygnie?”. Chce pomóc. Zrobił już wiele. Prawdopodobnie uważa, że jestem niegrzeczny... — westchnął — ...albo chory psychicznie, bo mu nie odpowiadam. Widzi, że jestem okaleczony. Jeśli twój przyjaciel przeżyje, to tylko dlatego, że on go tu przyniósł. Gospodarze go znaleźli. — Widziałam, że mężczyzna bardzo stara się mówić łagodnie.

— Sami mogą tu przychodzić, ale wiedzą, że my nie możemy wejść do nich. Wiedzą, czego nam potrzeba. — Wskazał na zwierzątko. — Jego silniki podały mu tlen. Yohn prawdopodobnie wyzdrowieje. Nazywasz się Avice, prawda? Gdzie mieszkasz, Avice?

Odpowiedziałam.

— Wiesz, jak się nazywam?

Oczywiście — słyszałam jego imię, ale nie miałam pojęcia, jak się do niego zwracać.

— Bren — powiedziałam w końcu.

— Bren... tak, ale nie do końca. Wiesz o tym, prawda? Nie zdołasz wymówić mojego imienia. Możesz je napisać, ale nie powiedzieć. Ale... widzisz, ja też nie mogę. „Bren” musi wystarczyć. On... — spojrzał na Gospodarza, który poważnie skinął głową — on potrafi. Ale to nic nie da. On i ja nie możemy już porozmawiać.

— Dlaczego przynieśli Yohna tutaj, proszę pana? — zaryzykowałam pytanie. Dom Brena znajdował się nieopodal międzystrefy, ale jednak nie najbliżej.

— Znają mnie. Wiedzą, że jestem okaleczony, ale wciąż mnie poznają. Mówią do mnie i mają nadzieję, że w końcu odpowiem. Chyba... chyba wprawiam ich w zakłopotanie. — Uśmiechnął się smutno. — Ale to głupstwa. Uwierz mi, że to bezcelowe. Wiesz, kim jestem, Avice?

Skinęłam głową. Oczywiście teraz już wiem, że nie miałam najmniejszego pojęcia.

W końcu zjawili się konstable z ekipą ratunkową i salon Brena zmienił się w zaimprovizowaną salę operacyjną. Przeprowadzili intubację, podali Yohnowi odpowiednie środki, podłączyli sprzęt monitorujący. Bren delikatnie odciągnął mnie na bok, żebym nie przeszkadzała ratownikom. Staliśmy obok siebie, ja, Bren i Gospodarz, a jego zwierzątko lizało mi stopy językiem delikatnym jak piórko. Jeden z konstabli uklonił się Gospodarzowi, a on poruszył twarzą w odpowiedzi.

— Dziękuję za pomoc, Avice. Twój kolega na pewno wyzdrowieje. Jestem pewien, że już niedługo was tu zobaczę. Ukłon, kółeczko, świński ryj, słoneczko? — Bren uśmiechnął się, jakby chciał mi dodać otuchy.

Gdy konstabl wyprowadził mnie w końcu z salonu, Bren stał obok Gospodarza, który przyjaźnie otoczył go ramieniem. Mężczyzna nie próbował odejść. Stali w grzecznym milczeniu, nie spuszczając ze mnie wzroku.

* * *

W przedszkolu strasznie się nade mną trzęśli. Konstabl zapewnił wszystkich opiekunów, że nie zrobiłam nic złego, ale rodzice zmianowi wciąż zerkali na mnie podejrzliwie, jakby zastanawiali się, w co tym razem się wpakowałam. Ale zachowywali się przyzwoicie, bo przecież nas kochali. Widzieli, że jestem w szoku. Jak mogłabym zapomnieć drżące ciało Yohna? Co więcej — jak mogłabym zapomnieć bliskość Gospodarza, dźwięk jego głosu? Wszystkie te wydarzenia nie dawały mi spokoju.

— Co tam? Zbratałaś się z Personelem Ambasady? — zażartował ojciec zmianowy, kładąc mnie do łóżka. To był Tata Shemmi, mój ulubiony.

Później, gdy znalazłam się na zewnątrz, przelotnie zainteresowałam się różnymi modelami rodziny. Nie pamiętam, żeby dzieci z Ambasadorii kiedykolwiek zazdrościły swym braciom zmianowym, których czasem odwiedzali biologiczni rodzice. Zresztą nie było takiego zwyczaju. W dzieciństwie nie zaprzętałam sobie tym głowy, ale później zastanawiałam się czasem, czy nasz zmianowy system opieki nie stanowi przypadkiem reliktu praktyk społecznych pozostałych po założycielach Ambasadorii (Bremen od dłuższego czasu zezwalało na stosowanie w swojej domenie różnych systemów moralnych), czy też dorobiliśmy się go później. Może wykształcił się drogą ewolucji jako wyraz solidarności wobec instytucjonalnego wychowania naszych Ambasadorów.

Nieważne. Od czasu do czasu opowiadano jakieś straszne plotki o przedszkolach, ale słyszeliśmy też równie makabryczne historie o ludziach wychowanych przez biologicznych

rodziców. Oczywiście wszyscy w przedszkolu mieli swoich ulubionych opiekunów i takich, których się bali. Byli wśród nich ci, których dyżury witaliśmy z radością, ci, do których szliśmy po radę, ci, których okradaliśmy, i tak dalej, ale z grubsza rzecz biorąc, nasi rodzice zmianowi byli przyzwoitymi ludźmi. Najbardziej kochałam Shemmiego.

— Dlaczego ludzie tak nie lubią pana Brena? — spytałam go.

— Nie „pana Brena”, kochanie, po prostu Brena. Niektórzy uważają, że nie powinien tak zwyczajnie mieszkać tu w mieście.

— A ty jak uważasz?

Shemmi zamilkł na chwilę.

— Myślę, że mają rację. To... nie wypada. Są odpowiednie miejsca dla rozszczępionych.

— Słyszałam już kiedyś to słowo od Taty Berdana. — Specjalne domy, tylko dla nich.

To przykry widok, Avvy. Bren jest zabawny. Stary, mrukliwy dziwak. W sumie nieszczęśliwy człowiek. Ale nie należy się obnosić z takimi ranami.

„To obrzydliwe — mówili potem moi koledzy; najwyraźniej przejęli tę pogardę od mniej liberalnych rodziców zmianowych. — Wstrętny, kaleki staruch. Powinni go zamknąć w sanatorium”.

— Dajcie mu spokój! — przerywałam wtedy. — Uratował Yohnowi życie.

Yohn, oczywiście, wyzdrowiał — jego wypadek nie przerwał naszej rywalizacji. W ciągu kolejnych tygodni podchodziłam coraz to dalej, ale nigdy nie dotarłam do znaków Yoh-na. Owoc jego ryzykownej wyprawy, ostatni znak na płocie, znajdował się o kilka metrów przed innymi — pierwsza litera jego imienia wypisana krzywym, drżącym pismem.

— Tam straciłem przytomność — powiedział. — Omal nie umarłem.

Po tym wypadku nie był w stanie już zejść tak daleko. Dzięki temu wyczynowi zachował honorowy tytuł drugiego najlepszego, ale teraz nawet ja byłam w stanie go pokonać.

— Jak się pisze imię Brena? — spytałam kiedyś Taty Shem-miego, a on mi pokazał.

— Bren — powiedział, przesuwając palcem wzdłuż słowa. Siedem liter; cztery umiał wymówić, a trzech nie.

Miałam siedem lat, gdy opuściłam Ambasadorię. Ucałowałam na pożegnanie swoich rodziców i rodzeństwo zmianowe. Powróciłam, mając jedenaście lat. Nie byłam bogata, ale miałam trochę oszczędności, wiedziałam, jak walczyć, jak wykonywać rozkazy, jak i kiedy je ignorować i jak zanurzać.

Przeszłam odpowiednie szkolenie i byłam niezła, może nawet dobra w kilku rzeczach, choć tylko w jednej okazałam się wybitna. Nie w walce. Oczywiście była to normalna część życia portowego i podczas swoich podróży zaliczyłam tylko minimalnie więcej porażek niż zwycięstw. Wyglądałam na silniejszą, niż jestem, zawsze byłam szybka i, podobnie jak wielu średniaków, nauczyłam się udawać lepszą zawodniczkę niż w rzeczywistości. Potrafiłam uniknąć konfrontacji, nie popadając w tchórzostwo.

Kiepsko obchodziłam się z pieniędzmi, ale zdołałam zgromadzić trochę oszczędności. Nie mogłam też powiedzieć, że małżeństwo okazało się moim prawdziwym powołaniem, ale radziłam sobie z nim lepiej niż większość ludzi. Miałam dwóch mężów i żonę. Rozeszliśmy się z powodu różnicy charakterów, ale bez złości — jak mówię, nie byłam w tym najgorsza. Scile był moim czwartym partnerem.

Jako zanurzaczka w końcu awansowałam na stanowisko, do którego aspirowałam — zapewniało odpowiedni status i przyzwoity dochód, nie pociągając za sobą zbyt dużej odpowiedzialności. W tym właśnie byłam najlepsza: w tej ważnej życiowej umiejętności polegającej na łączeniu swoich talentów, szczęścia, lenistwa i bezczelności, którą nazywamy flo-kowaniem.

Wydaje mi się, że właśnie zanurzacze stworzyli to określenie. Każdy ma w sobie trochę flokera. To ten diabeł, którego nosisz na ramieniu. Nie wszyscy członkowie załogi próbowali opanować tę technikę — niektórzy woleli dowodzić lub badać — ale dla większości z nas flokowanie było nieodzowne. Niektórzy uważali, że niczym się nie różni od zwykłej opieszałości, ale tak naprawdę to znacznie bardziej aktywna i zniuansowana czynność. Flokerzy nie boją się wysiłku — wielu z nich pracuje bardzo ciężko, by zdobyć sobie miejsce na statku. W każdym razie ja tak robiłam.

* * *

Ilekoć przeliczam swój wiek, zawsze odmierzam go w latach, nawet po odbyciu tylu podróży.

— Co znów za „lata”? — wykrzyknął raz jeden z moich oficerów. — Gównu mnie obchodzi, jaką macie rachubę czasu w tej waszej zapyziałej dziurze. Chcę wiedzieć, w jakim jesteś wieku!

Rachuj w godzinach. W subiektywnych godzinach — nikogo nie obchodzi, czy trochę nie zwolniłaś w porównaniu z biegiem czasu w twojej zapyziałej dziurze. Nikogo nie obchodzi, jak tam odliczają rok. Miałam 170 kilogodzin, gdy opuściłam Ambasadorię. Gdy wróciłam, miałam 266 kilogodzin, byłam mężatką, miałam trochę oszczędności i sporo różnej wiedzy.

Gdy skończyłam 158 kilogodzin, dowiedziałam się, że potrafię zanurzać. Wtedy wiedziałam już, co chcę w życiu robić.

Podaję wiek w subiektywnych godzinach, ale wciąż pamiętam o obiektywnych.

Odmierzam czas w latach, które zapamiętałam z domu — w jednostkach pochodzących z innego, odległego miejsca. Nie ma to nic wspólnego z Ziemią. Spotkałam kiedyś młodego zanurzacza z jakiegoś zakompleksionego zadupia — idiota odmierzał czas w „ziemskich latach”. Spytałam go, czy kiedykolwiek w życiu odwiedził miejsce, z którego rachuby korzystał. Podobnie jak ja, nie miał nawet pojęcia, gdzie go szukać.

* * *

Im byłam starsza, tym wyraźniej zdawałam sobie sprawę, jaka jestem przeciętna. Mój los trochę się różnił od życia większości Ambassadorian, ale sama historia była do bólu klasyczna. Urodziłam się w miejscu, które przez tysiące godzin uważałam za cały świat. Potem zdałam sobie sprawę, że to nieprawda, ale i tak nie zdołam go opuścić, a później odkryłam, że jednak mogę. Co chwila słyszy się takie historie, nie tylko wśród ludzi.

Jedno z moich wspomnień wygląda tak: w dzieciństwie czasem bawiliśmy się w zanurzanie. Podbiegaliśmy do siebie z tyłu, zgarbieni wół, co oznaczało „niewidzialność”, a potem chwytałyśmy ofiarę, krzycząc „wynurzenie!” Nie wiedzieliśmy zbyt wiele o zanurzaniu, a nasze zabawy, jak się później dowiedziałam, wcale nie różniły się zbyt od opisów pracy z nurtem, które usłyszeliśmy jako dorośli.

Przez całe moje dzieciństwo docierały do nas wiaby przesyłane pomiędzy kursującymi statkami. Małe, automatycznie sterowane skrzynki pełne drobiazgów. Wiele z nich ginęło po drodze — odtąd już na zawsze miały stanowić przeszkody unoszone nurtem. Ale większość docierała do celu. Im byłam starsza, tym bardziej radość z przybycia wiabów była zabarwiona zazdrością, aż w końcu zrozumiałam, że ja też mogę się stąd wydostać. Wtedy wiaby zmieniły swoją rolę — stały się obietnicami.

Gdy miałam cztery i pół roku, zobaczyłam, jak pociąg ciągnie świeżo przybyły wiab przez miasto. Jak wszystkie dzieci i większość dorosłych, zawsze lubiałam oglądać ich przybycie. Z naszego przedszkola przybyła cała grupka pod nadzorem Mamy Quiller; wszyscy staraliśmy się mieć na oku młodszych kolegów zmianowych. Przez większość czasu opieraliśmy się o barierki, zabijając czas rozmową, aż do przybycia wiabu.

Jak zawsze spoczywał na wielkim łożu, a biodyfikowany Io-komotor ciągnący go po szynach przemysłowych sapał ciężko, wysuwając umięśnione nogi, by wspomóc silnik. Wiab, którego niósł na grzbiecie, był większy niż sala w naszym przedszkolu. Wielki pojemnik w kształcie naboju przesuwający się poprzez zasłonę mżawki. Jego powierzchnia lśniła od płynu wyciekającego z krystalicznych tarcz. Teraz wiem, że władze miasta postąpiły nierozwrotnie, nie czekając, aż pokryta nurtem powierzchnia się ustabilizuje. Nie był to pierwszy wiab, który przybył do nas cały mokry.

Patrzyłam na wleczony budynek — właśnie tak to wyglądało. Wielki pociąg rzeźił z wysiłku, jego silniki z trudem wyciągały wiab ze szczeliny. Olbrzymia kapsuła została zaciągnięta na górę, w stronę pałacu Ambassadorów; Ambasadorianie wiwatowali i pomachiwali wstęgami. Eskortowała go grupa centaurów — mężczyzn i kobiet przycupniętych na grzbietach czworonożnych biodyfikowanych wehikułów. Towarzyszyło nam kilkoro pozaziemców stojących obok swych ziemskich przyjaciół. Kedisowie unosili frędzle i mienili się kolorami, Shur’asi i Pannegetchowie wydawali swoje dźwięki. W tłumie znajdowały się także automy — niektóre ciągnęły skrzynki, inne zaś, wyposażone w odpowiednio zaawansowane turingprogi, aktywnie uczestniczyły w uroczystości.

Wewnątrz kapsuły znajdował się ładunek z Dagostinu, może nawet z bardziej odległego miejsca. Cenne, importowane dobra: książkoprogi i książki, niusoprogi, rzadkie produkty żywnościowe, sprzęt, listy. Sama obudowa także miała zostać zużyta. Co roku sama wysyłałam

różne rzeczy, gdy wypuszczaliśmy nasze własne, znacznie mniejsze wiaby. Zawierały sprzęt, oficjalne dokumenty (wszystkie starannie kopiowano przed wysyłką — nigdy nie zakładano, że wiab dotrze do miejsca przeznaczenia), ale zawsze zostawiano trochę miejsca na listy od dzieci, by mogły korespondować z kolegami z zewnątrz.

— Wiab, wiab, wiadomość w butelce! — zaintonowała śpiewnie Mama Berwick, zbierając nasze listy. *Szkola Średnia Bowchurch, Charo, Bremen, Dagostin* — tak zaadresowałam swój. „Szkoda, że nie mogę przyjechać razem z tym listem, żeby cię odwiedzić” — napisałam wcześniej.

Wiab przebył jeden z kanałów, nazywanych tu rzekami, jadąc pod mostem Mułowym. Pamiętam, że stali tam Gospodarze wraz z delegacją z Ambasady, spoglądając w dół poprzez portale z kolorowego szkła, obstawione przez ochroniarzy na modyfikowanych wierzchołkach.

Pojazd zniknął mi już z oczu, gdy w końcu wychynał z niego pasażer na gapę, ale widziałam nagrania. Po bokach torów na wschodnim brzegu ciągnęły się kamienice, a na zachodnim — ogrody zwierzęce; wtedy po raz pierwszy rozległy się trzaski. Gdyby stało się to kilometr dalej, wśród kolonii, pod mostami w pobliżu Ambasady, byłoby znacznie gorzej.

Na archiwalnych nagraniach widać, że przynajmniej niektórzy z tłumu wiedzieli, co się dzieje. Rozległy się podniesione głosy, zgiełk narastał, ludzie wykrzykiwali ostrzeżenia. Niektórzy po prostu uciekli, ale my, dzieci, staliśmy jak przyrośnięci, choć Mama Quiller robiła, co mogła, by nas stamtąd wydostać. Ceramiczna obudowa wiabu zaczęła się rozciągać w dziwny sposób, nieznanym mechanizmem klasycznej. Ludzie tłoczyli się przy barierkach, by zobaczyć, co się dzieje, ale większość uciekała w panice.

Wiab rozpadł się na części, wokół poleciały ostre kawałki. Coś wysunęło się z nurtu.

Systematyka tej istoty nie była do końca jasna. Większość ekspertów zgodziła się, że to, co wynurzyło się tego dnia ze szczeliny, było jedną z niewielkich manifestacji, które później na własny użytek nazwałam szwaczkami. Z początku jej kształt tylko sugerował jakąś istotę, złożoną z kątów i cieni. Powoli wyrastała z tła, pojawiając się w przestrzeni przejściowej. Cegły, plastyna i beton z budynków, energia klatek i ciała uwięzionych w środku zwierząt poleciały w kierunku tego rozchwianego stwora, wbrew prawom fizyki. Oddały mu swoją substancję. Dachy domów stopniały i spływały w dół, wlewając się w tę istotę, która wciąż rosła, nabierała fizycznych kształtów, coraz lepiej dostosowując się do tej rzeczywistości.

* * *

Szybko zlikwidowano ją za pomocą broni czasowej, brutalnie przywracając jej czasemprzestrzeń — naszą codzienną rzeczywistość — odpierając wieczność nurtu. Istota została zabita lub wygnana już po kilku minutach przeraźliwego wrzasku.

Na szczęście podczas wypadku nie ucierpieli żadni Gospodarze, ale i tak było kilkadziesiąt ofiar. Niektórzy zginęli na skutek wybuchu, inni znów stracili część ciała. Od tego czasu Personel Ambasady zawsze drobiazgowo przestrzegał procedur, które wcześniej ignorowano. Tridy wyświetlały niekończące się debaty, pełne gniewu i złości. Kogoś z pracowników brutalnie zdymisjonowano, by zyskać kozła ofiarnego. Młody, kompletnie niezdiscyplinowany Ambasador DalTon złożył w tej sprawie specjalne oświadczenie — pamiętam, jak rozmawiali o tym rodzice. Tata Noor powiedział mi nawet, że katastrofa ukróci te ceremonialne powitania. Oczywiście nie miał racji. Zawsze był pesymistą.

Wszystkie dzieciaki z przedszkola przez wiele dni mówiły tylko o tej tragedii. Niedługo później zrobiliśmy z tego zabawę — wydawaliśmy dźwięki, które miały naśladować bulgotanie nurtu i trzaski kadłuba, i strzelaliśmy z palców lub z patyków do kolegów, którzy chwilowo odgrywali rolę potworów. Zaczęłam postrzegać szwaczki jako groźne baśniowe smoki.

* * *

Mówi się, że zanurzacze nigdy nie pamiętają swojego dzieciństwa. To oczywiście nieprawda. Ludzie powtarzają tę plotkę, by zaakcentować obcość nurtu — u podstaw tej pogłoski leży przekonanie, że w altrzczywistości tkwi coś destrukcyjnego, co na zawsze zmienia ludzkie umysły. (Zmienia, ale na pewno nie w taki sposób).

To nieprawda, a jednak odkryłam, że zarówno ja sama, jak i większość moich kolegów miała jedynie pobieżne, niejasne lub zagmatwane wspomnienia z czasów, gdy byli bardzo mali. Nie podejrzewam, by tkwiła w tym jakaś zagadka, sądzę, że to raczej produkt naszej umysłowości, sposobu myślenia cechującego ten typ ludzi — pragnących wyruszyć na zewnątrz.

Dobrze pamiętam poszczególne wydarzenia, ale nie mogę nakreślić osi czasu. Mam w głowie bardzo ogólną chronologię najważniejszych rzeczy, ale reszta ginie w chaosie i, szczerze mówiąc, wcale mi to nie przeszkadza. Jedno z tych wydarzeń wygląda tak: pewnego poranka trzeciego miesiączka czerwca zostałam wezwana na spotkanie Gospodarzy.

Przysłali po mnie Tatę Shemmiego. Uścisnął moje ramię, a potem wskazał na jeden z kantorków zawalonych dokumentami i nośnikami datasferowymi. Pokój należał do Mamy Solfer, nie byłam tam przedtem nigdy. Większość sprzętu stanowił ziemtech, choć w kącie stał Modyfikowany kubel, cicho pożerający śmieci. Solfer była starsza od pozostałych, roztargniona i zawsze mówiła do mnie po imieniu, choć nie znała wszystkich z mojego rodzeństwa. Przyzywała mnie gestem, wyglądała na podenerwowaną. Wstała, rozejrzała się wokół, jakby szukając kanapy, której w pokoju nie było, a potem znów usiadła. Obok niej przy biurku siedział Tata Renshaw — nasz nowy rodzic zmianowy, zamyślony i bardzo przypominający nauczyciela, a trzecią osobą — ku mojemu zaskoczeniu — okazał się Bren.

Od wypadku Yohna minął już prawie rok — około dwudziestu pięciu kilogodzin — i od tamtego dnia nikt z nas nie próbował zbliżyć się do domu Brena. Oczywiście urosłam przez ten czas, podobnie jak moje rodzeństwo, ale Bren natychmiast rozpromienił się na mój widok. On sam zupełnie się nie zmienił. Może nawet nosił te same ubrania.

Mama poruszyła się niespokojnie. Siedziała wraz z pozostałymi po drugiej stronie biurka, a tata podprowadził mnie do dorosłego krzesła stojącego naprzeciwko. Mama Solfer poruszyła brwiami i nagle poczułam, że — cokolwiek się stało — obie siedzimy w tym po uszy.

Powiedziano mi, że zostanę za to wynagrodzona (jak się okazało, był to całkiem niezły przelew). Cała operacja miała być zupełnie bezpieczna i co więcej — stanowiła wielki zaszczyt. Nie zrozumiałam prawie nic z tej przemowy, aż w końcu Tata Renshaw przerwał ją łagodnie. Odwrócił się do Brena i dał mu znak, by mówił.

— Jesteś potrzebna — powiedział Bren. — To w zasadzie wszystko. — Otworzył dłonie zwrócone grzbietami w dół, tak jakby ta pustka miała o czymś świadczyć. — Gospodarze potrzebują twoich usług i zwrócili się z tym do mnie. Przygotowują pewną debatę. Kilku z nich uznało, że aby wyrazić się jaśniej, potrzebne im będzie... porównanie. — Przerwał, by zobaczyć, czy rozumiem. — Można powiedzieć, że... wymyślili pewną sytuację, ale opisane w niej wydarzenia jeszcze nie zaszły. Rozumiesz, co to oznacza? Chcą sprawić, że stanie się wymawialne, a zatem muszą je zorganizować. Potrzebują do tego ludzkiej dziewczynki. Teraz już wiesz, dlaczego zwróciłem się z tym do ciebie?

Pomyślałam, że prawdopodobnie nie znał żadnych innych dzieci.

— Czy to oznacza... — Bren się uśmiechnął, patrząc na moje usta — ...czy Gospodarze chcą, bym wykonała... porównanie?

— To zaszczyt! — wykrzyknął Tata Renshaw.

— To prawda — potwierdził Bren. — Widzę, że trochę na ten temat wiesz. Ale

„wykonała”? — Pokiwał głową na boki, jakby chciał powiedzieć „i tak, i nie”. — Nie zamierzam cię okłamywać. To może boleć i na pewno nie będzie przyjemne. Ale obiecuję, że nic ci się nie stanie. — Pochylił się konfidencjonalnie. — Zarobisz na tym dużo pieniędzy, a prócz tego zaskarbisz sobie wdzięczność Personelu i Ambasadorów.

Byłam już na tyle duża, że zdawałam sobie sprawę, ile warta może być taka wdzięczność. Wiedziałam już wtedy, co chcę robić, gdy dorosnę, dlatego bardzo zależało mi na życzliwości Personelu.

* * *

Zgodziłam się również z innego powodu — miałam nadzieję, że zabiorą mnie do miasta Gospodarzy. Jednak łudziłam się na próżno. Gospodarze przybyli do nas, do dzielnicy, którą widywałam wcześniej tylko kilka razy. Przewieziono mnie tam w corvusie — był to mój pierwszy lot, ale czułam zbyt wielką treść, by się nim nacieszyć — w towarzystwie sekretarzy Ambasady. Ich ciała pokrywały lekkie wybrzuszenia, zdradzające obecność techów i cyzeli.

Ze znajomych towarzyszył mi tylko Bren, choć nie pełnił żadnej oficjalnej funkcji w Ambasadorii (wówczas o tym nie wiedziałam). Jednak wtedy jeszcze nie zerwał całkowicie z takimi nieformalnymi zleceniami. Bardzo starał się być miły. Pamiętam, że lecieliśmy po obrzeżach Ambasadorii, a wtedy po raz pierwszy zobaczyłam wielkie zięjące gardła, którymi dostarczano do nas biodyfikaty oraz inne materiały zaopatrzeniowe. Ciepłe i mokre syfony ciągnęły się kilometrami, aż za granice miasta. Zobaczyłam nad miastem inne pojazdy: niektóre były biodyfikowane, inne — ziemtechowe, zdarzały się też hybrydy.

Wylądowaliśmy w starej, zapuszczonej dzielnicy, której przez niedbalstwo nikt nie wymazał z siatki. Była prawie pusta, ale ulice oświetlały neony i widma tridowe tańczące w powietrzu, reklamujące dawno już zamknięte lokale. W ruinach jednego z takich miejsc czekali na mnie Gospodarze. Uprzedzono nas, że aby porównanie się udało, musimy zostać z nimi sama. Bren przekazał mnie pod opiekę tych istot.

Potrząsnął przy tym głową, jakbyśmy oboje zgadzali się, że to jakiś absurd. Szepnął jeszcze, że to nie potrwa długo i że będzie na mnie czekał.

* * *

To, co zaszło w tej opuszczonej sali jadalnej, nie było ani najgorszą, ani najboleśniejszą, ani najobrzydliwszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała. Jednak bez wątpienia mogę ją określić jako najbardziej niezrozumiałą. Nie mogłam uwierzyć, jak bardzo wytrąciła mnie z równowagi.

Przez dłuższy czas Gospodarze nie zwracali na mnie uwagi, lecz wykonywali jakąś pantomimę. Unosili darskrzydła, cofali się i podchodzili do przodu. Czułam ich słodki zapach i trochę się bałam. Zostałam przygotowana — dla dobra porównania musiałam odegrać swoją rolę idealnie. Potem przemówili. Rozumiałam z tego bardzo niewiele, czasem tylko trafiałam na jakieś znajome słowo. Nasłuchiwałam syczącego szeptu w tle, który podobno oznaczał „ona”, a gdy go usłyszałam, wystąpiłam naprzód i zrobiłam to, czego żądali.

Teraz już wiem, że nazywają to dysasocjacją. Patrzyłam z boku na wszystko, łącznie z sobą. Niecierpliwie wyczekiwałam końca, bo nie czułam nic specjalnego, nie pojawiła się żadna wyjątkowa więź. Tylko patrzyłam. Wykonywałam po kolei wszystkie czynności, które umożliwiły im wymówienie swojej analogii. Pomyślałam o Brenie, który nie mógł już rozmawiać z Gospodarzami. Całe to wydarzenie zostało zorganizowane przez Ambasadę, a dawni koledzy Brena — Ambasadorzy — pewnie byli zadowoleni, że pomógł im dopiąć szczegóły. Ciekawe, czy robili to specjalnie, by dać mu jakieś zajęcie.

Gdy już skończyłam, moi koledzy w centrum młodzieżowym od razu zażądali wszystkich

szczegółów. Byliśmy rozrabiakami, jak większość dzieciaków w Ambasadorii.

— Byłaś u Gospodarzy, Avvy? Naprawdę? Przysięgnij. Mówisz jak Gospodarz?

— Jak Gospodarz — odparłam uroczyście.

— Niemożliwe! Co ci zrobili?

Pokazałam im siniaki. Jednocześnie miałam i nie miałam ochoty o tym rozmawiać. W końcu opowiedziałam całą historię, ubarwiając ją odpowiednio. Zapewniło mi to szacunek na wiele kolejnych dni.

Ale inne konsekwencje okazały się ważniejsze. Dwa dni później Tata Renshaw zaprowadził mnie do domu Brena — nie byłam tam od czasu wypadku Yohna. Bren powitał mnie z uśmiechem, a potem po raz pierwszy w życiu przedstawiono mnie Ambasadorom.

Byli ubrani w najpiękniejsze szaty, jakie w życiu widziałam. Ich złącza lśniły, światełka migwały zgodnie z częstotliwością generowanych pól. Czułam się zupełnie onieśmielona. Była ich trójka, a pokój zdawał się zatłoczony, tym bardziej że w tle, kołysząc się na boki i szepcząc to do Brena, to do Ambasadorów, stał autom, komputer w wygenerowanym ludzkim ciele. Jego ludzka, kobieca twarz poruszała się, w miarę jak mówił. Widziałam, że Ambasadorzy próbują być mili i opiekuńczy, choć nie mieli żadnego doświadczenia z dziećmi.

— Avice Benner Cho, prawda? — powiedziała starsza kobieta obdarzona silnym, niezwykłym głosem. — Usiądź. Powinnaś chyba usłyszeć, jak cię kanonizowano.

Ambasadorzy przemówili do mnie w języku Gospodarzy. Powiedzieli mi. Ostrzegano mnie wcześniej, że przekład tego porównania na nasz język będzie mylący i nieadekwatny: „Była tu pewna ludzka dziewczynka, która z bólem zjadła to, co jej dano, w starym budynku, gdzie od pewnego czasu niczego nie jedzono”.

— Trochę się skróci w miarę używania — dodał Bren. — Niedługo będą mówić po prostu: „dziewczynka, która zjadła to, co jej dano”.

— Co to znaczy, proszę państwa?

Wszyscy potrząsnęli głowami z zakłopotanym grymasem.

— To nieistotne, Avice — powiedziała jedna z obecnych. Szepnęła coś do komputera, a on wygenerował skinięcie głowy. — Poza tym wszelkie opisy byłyby nietrafne.

Poprosiłam jeszcze raz, inaczej formułując zdania, ale wciąż nie chcieli mi powiedzieć. Bez przerwy gratulowali mi tylko, że teraz jestem częścią Języka.

Podczas dorastania tylko dwa razy słyszałam, jak używają mojego porównania — raz był to Ambasador, a raz Gospodarz. Wiele lat, tysiące godzin później, w końcu wytłumaczono mi, co ono oznacza. Było to oczywiście zgrubne przybliżenie, ale zrozumiałam ideę — miała to być fraza wyrażająca zaskoczenie, a może ironię sytuacji, coś w rodzaju ponurego fatalizmu.

Przez resztę swojej młodości nie rozmawiałam z Brenem, ale odkryłam, że przynajmniej raz odwiedzał moich rodziców zmianowych. Podejrzewam, że to właśnie jego tajemniczy patronat pomógł mi zdać końcowe egzaminy. Uczyłam się pilnie, ale nigdy nie byłam intelektualistką. Miałam predyspozycje do zanurzania, ale nie lepsze niż kilkoro innych, którzy przeszli, i gorsze niż kilkoro z tych, którzy odpadli. Bardzo niewiele kart wydawano cywilom albo tym spośród nas, którzy potrafili przemieszczać się w nurcie bez wprowadzenia w sopor. Nie istniały żadne oczywiste powody, dla których po ukończeniu testów miałabym otrzymać prawo do desantu na zewnątrz.

Każdego roku w drugim miesiączku grudnia przypadała ewaluacja naszych postępów. Większość egzaminatorów sprawdzała tylko, co wynieśliśmy z lekcji, ale kilku badało konkretne umiejętności. Niewielu z nas osiągało wysokie oceny z tych przedmiotów — w umiejętnościach potrzebnych gdzie indziej, w życiu, na zewnątrz. Mówiono nam, że my, Ambasadorianie, mamy niewłaściwe pochodzenie: złe mutageny, zły sprzęt, brak ambicji. Wielu uczniów nawet nie dopuszczono do bardziej zaawansowanych egzaminów, ale mnie nieustannie zachęcano do wysiłków. Co musiało oznaczać, że nauczyciele i rodzice zmianowi dostrzegli we mnie jakiś potencjał.

Byłam całkiem niezła z większości przedmiotów... a przynajmniej z retoryki, z performatywnych elementów literatury, z czego byłam szczególnie dumna, i z czytania poezji. Ale, wbrew własnym intencjom, najbardziej zabłysnęłam w kilku ćwiczeniach, których przeznaczenia nie potrafiłam nawet odgadnąć. Gapiłam się na ekrany przedstawiające dziwne pla-zmaty. Musiałam reagować na to, co widzę. Trwało to mniej więcej godzinę i przypominało grę komputerową, więc się nie nudziłam. Potem dopuszczono mnie do innych zadań, z których żadne nie testowało wiedzy, lecz reakcje, intuicję, kontrolę ucha środkowego i opanowanie. Właśnie w ten sposób oceniano potencjalne zdolności zanurzackie.

Instruktorka prowadząca te zajęcia — młoda, ubrana w eleganckie ciuchy pożyczone, odkupione lub wyproszone od jakiegoś delegata z Bremen, uszyte według zewnętrznej mody — pokazała mi wyniki i wyjaśniła, co oznaczają. Widziałam, że zrobiłam na niej pewne wrażenie. Z naciskiem — nie ze złośliwości, lecz po to, by uniknąć ewentualnych rozczarowań — dodała, że to jeszcze nic nie znaczy, to po prostu jeden z wielu etapów. Ale już w tamtej chwili wiedziałam, że zostanę zanurzaczką, i rzeczywiście tak się stało. Właśnie zaczynałam odczuwać ciasnotę Ambasadorii i narzekać na klaustrofobię, ale po tych testach nadeszło prawdziwe zniecierpliwienie.

Gdy osiągnęłam odpowiedni wiek, w końcu dopięłam swego, zaczęłam chodzić na Bale Powitalne i zadawać się z ludźmi z zewnątrz. Zazdrościłam im łatwości, z jaką wymieniali nazwy różnych krajów na innych planetach.

Dopiero wiele kilogodzin, wiele lat później zrozumiałam, jak nieoczywista była ta perspektywa kariery. Wielu studentów lepszych ode mnie zostało w tyle — możliwe, że po prostu nie pozwolono mi odpaść. Moja historia była banalna, ale ich była prawdziwsza. Sama ta świadomość przyprawiła mnie o mdłości, czułam się, jakbym w każdej chwili mogła wypaść z programu, mimo że już raz wyjechałam na zewnątrz.

Ludzie, którzy nigdy nie zanurzali, są przekonani, że mniej więcej zdają sobie sprawę, czym jest nurt. To nieprawda. Kiedyś pokłóciłam się o to ze Scile'em. Była to nasza druga rozmowa w życiu (pierwsza dotyczyła języka). Zaczął snuć jakieś teorie, a ja mu przerwałam, mówiąc, że nie interesuje mnie, co szczury lądowe wyobrażają sobie na temat nurtu. Leżeliśmy w łóżku, a Scile droczył się dalej, podczas gdy ja punktowałam jego ignorancję.

— O czym ty w ogóle mówisz? — oburzał się. — Sama w to nie wierzysz, jesteś na to za mądra. Po prostu powtarzasz ten bełkot zanurzaczy. „Nikt nie rozumie nurtu tak jak my — ani naukowcy, ani politycy, ani nawet cała ta pieprzona opinia publiczna!“. Taka jest wasza wersja. Dzięki temu nikt nie miesza się do waszych spraw.

W końcu zaczęłam się śmiać, ale nadal próbowałam mu wytłumaczyć: nurt jest nie do opisanego. Ale Scile nie zgodził się także z tym.

— Nikogo nie oszukasz tą gadką. Myślisz, że nie słuchałem cię wcześniej? Wiem, wiem, co teraz powiesz. „Nie jestem zbyt elokwentna, jestem tylko flokerką, ple, ple, ple”. A przecież czytujesz poezję, nie uważasz języka za coś oczywistego. — Potrząsnął głową. — Z taką gadką szybko pozbawisz mnie pracy. „Nurtu nie da się opisać słowami”. Bzdura. To niemożliwe.

Zatkałam mu usta ręką.

— Nie ma się co sprzeczać, po prostu tak jest — powiedziałam stanowczo.

— Dobrze, zgadzam się — mówił dalej, choć głos miał lekko stłumiony przez moje palce. — Słowa nie mogą być referentami, na tym polega tragedia języka, ale nasze asymptotyczne wysiłki, by jak najlepiej ich używać, także są coś warte.

— Cicho — powiedziałam wtedy. — To wszystko prawda. Mówię to jak Gospodarz.

— No cóż — odparł Scile. — W takim razie ustępuję w obliczu prawdy.

Studiowałam nurt przez dłuższy czas, ale mój pierwszy moment zanurzenia naprawdę był niemożliwy do opisanego — dokładnie tak, jak powiedziałam Scile'owi. Przybyłam na statek keczem wraz z grupką nowych członków załogi i pracowników Ambasady z Bremen, którym skończyły się kontrakty. Statek nazywał się „Osa z Kalkuty” — był to na wpół autonomiczny miastatek nurtujący pod własną banderą, ale na ten rejs został wynajęty przez Dagostin. Wraz z innymi żółtodziobami stałam na bocianim gnieździe, a Arieka wznosiła się niczym mur na tle nieba, po którym żeglowaliśmy w stronę punktu zanurzenia. Gdzieś w dole pod nieruchomymi chmurami znajdowała się Ambasadoria.

Sternik podprowadził nas blisko Wraku. Nie było go zbyt dobrze widać — z początku wyglądał jak linia nakreślona na tle kosmosu, potem powoli obrósł w niechlujną bryłę. Dryfował w tę i z powrotem, to nabierając, to tracąc cielesność. Był szeroki na wiele setek metrów. Obracał się wokół własnej osi, wszystkie jego końcówki poruszały się we własnym rytmie, koagulowany filigranowy kształt złożony z kropel i belek wirował w skomplikowanym tańcu.

Z budowy trochę przypominał „Osę”, ale był starszy i zwielokrotniony w naszym wymiarze. Miałam wrażenie, że to oryginał, podczas gdy my byliśmy tylko modelem wykonanym w mniejszej skali, aż w końcu jego płaszczyzny zmieniły się i zmalowały gwałtownie. Czasem nie było go całkiem, a czasem tylko troszeczkę.

Oficerowie, których cyzele lśniły pod skórą, przypomnieli nowicjuszom, co za chwilę zrobimy i czym to grozi. Obecność tego Wraku wyjaśniała, dlaczego Arieka stanowiła przyczółek cywilizacji — planeta położona była w trudno dostępnym miejscu, niezbyt zaawansowana i po tej pierwszej katastrofie dodatkowo pozbawiona satelity.

Gdyby dopuszczono mnie do pracy, postąpiłabym bardzo profesjonalnie. Oczywiście było to moje pierwsze zanurzenie, ale wykonałabym wszystkie rozkazy i myślę, że zrobiłabym to dobrze. Ale oficerowie najwyraźniej dobrze pamiętali, jak to jest być nowicjuszem, i umieścili wszystkich nowych na galerii obserwacyjnej. Tam mogliśmy zareagować w dowolny sposób (nigdy nie ma gwarancji, że nie pochorujesz się przy pierwszym razie), oswoić się z własnym podziwem i doświadczyć swoich indywidualnych przeżyć. W nurcie są prądy i wiry burzowe; są przesmyki, do przebycia których potrzeba wiele czasu i wysiłku. W tym właśnie pomagały umiejętności opanowane na studiach, a także techniki kontroli somatycznej, mantryczne transy i rzeczowe, instrumentalne podejście do życia, które uczyniło ze mnie zanurzaczkę. Wszystko to pomagało zachować przytomność podczas zanurzania.

Patrząc na mapę, wydaje się, że bardzo niewielka odległość dzieli nas od Dagostinu oraz innych węzłów. Ale z euklidesowych map gwiazdnych korzystają jedynie kosmolodzy, niektórzy pozaziemowcy, których fizyki kompletnie nie rozumiemy, i religijni nomadowie

dryfujący z niedopuszczalnie wolną prędkością. Pamiętam, że gdy je po raz pierwszy ujrzałam, byłam zbulwersowana — w Ambasadorii nie pochwalano użycia map — zresztą takie przedstawienia są zanurzaczom całkowicie zbędne.

Spójrzmy teraz na mapę nurtu. Co za wielka, kapryśna istota! Unieś ją, obróć, sprawdź sposób odwzorowania. Obejrzyj to widmo świetlne ze wszystkich stron. Nawet jeśli posługujesz się płaską mapą albo tridem odwzorowującym topos zaprzeczający zdrowemu rozsądkowi, sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

Zakres nurtu zupełnie nie odpowiada wymiarom czasem-przestrzeni — rzeczywistości, w której żyjemy. Trudno mi to opisać, mogę tylko powiedzieć, że nurt nieustannie ją pod-maka, omywa, opływa i nasącza; jest jak *langue*, przy którym nasza rzeczywistość to jedynie *parole*. Tutaj, gdzie odległość mierzy się w dekadach świetlnych i petametrach, Dagostin jest znacznie bardziej odległy od Tarsku i Hodgsona niż od Arieki. Ale w nurcie z Dagostinu do Tarsku jest jedynie kilkaset godzin przy sprzyjającym wietrze, Hodgson znajduje się w samym środku spokojnych i bardzo uczęszczanych głębin. Arieka zaś leży bardzo daleko od wszystkiego.

Znajduje się za burzliwym obszarem, gdzie zbiegają się gwałtowne prądy nurtu, wśród płycizn, niebezpiecznych ostróg i łań codziennej przestrzeni osadzonej w nurcie. Sterczy samotnie na skraju zbadanego nurtu — o ile nurt w ogóle można zbadać. Gdyby nie wiedza, zdolności i odwaga zanu-rzaczy, nikt nigdy nie dotarłby do mojego świata.

Odsiew odbywający się na końcowych egzaminach nagle zaczyna mieć sens, gdy spojrzysz na mapy nurtu. Do tego nie wystarczy sama wiedza. Oczywiście stosowano też politykę wykluczenia: Bremeni starali się ściśle kontrolować Ambadorian, ale tylko najlepsze załogi były w stanie dotrzeć do Arieki albo z niej odpłynąć. Niektórzy z nas robili sobie wszczepy, by móc na bieżąco monitorować trasy statków, a cy-zele i sprzęt do zanurzania bardzo w tym pomagały, ale żadna z tych rzeczy sama z siebie nie czyniła zanurzacza.

Według oficerów szczyt „Pioniera” (musiałam przestać nazywać go „Wrakiem”, skoro nie był już dla mnie gwiazdą, lecz grobem kolegów) miały stanowić przestrożę przed lekkomyślnością. Ten symbolizm był trochę niesprawiedliwy. „Pionier” nie rozbił się pomiędzy stanami dlatego, że jego załoga nie doceniła nurtu, lecz właśnie z winy zbyt ostrożności. Podobnie jak inne statki w różnych *tracta cognita* we wczesnym okresie kolonizacji został zwabiony w pułapkę. Uznał ją za rodzaj zaproszenia.

Gdy nurtauci po raz pierwszy zbadali łąkotki przestrzeni codziennej, najbardziej zadziwił ich fakt, że nawet ich prymitywne urządzenia odbierały sygnały docierające z oryg-prze-strzeni. Regularne, donośne — ewidentnie wysyłane przez rozumne istoty. Próbowali ustalić ich źródło. Przez dłuższy czas myśleli, że to ich brak umiejętności, ich nurtowy dyle-tantyzm powoduje, iż poszukiwania kończą się katastrofą. Raz za razem rozbijali statki, połowicznie wypadając z nurtu w fizyczną czasemprzestrzeń.

„Pionier” był ofiarą swoich czasów — zginął, zanim podróżnicy zrozumieli, że sygnały świetlne pochodziły z latarni. Nie były zaproszeniami. Statki uparcie próbowały zbliżyć się do miejsc, które należało omijać.

* * *

Latarnie są rozrzucone po całym nurcie. Nie każde niebezpieczne miejsce jest nimi oznaczone, ale spotyka się ich wiele. Wygląda na to, że są równie stare jak nasz wszechświat, bynajmniej nie najstarszy ze wszystkich. Modlitwa odmawiana przed zanurzeniem jest skierowana do istot, które je tu postawiły. Łaskawy Pharotektonie, miej nas w opiece.

Wtedy, za pierwszym razem nie widziałam pharosa Arieki, zobaczyłam go dopiero wiele tysięcy godzin później. Ściśle rzecz biorąc, nie widziałam go nigdy — do tego potrzebne byłoby

światło, jego odbicia i inne zjawiska fizyczne, które nie mają tu racji bytu. Ale widziałam jego obraz w oknach statku.

Oprogramowanie tych iluminatorów przedstawia nurt i wszystko, co się w nim znajduje, w sposób zrozumiały dla załogi. Widziałam pharosy w postaci skomplikowanych skrzepów: naszkicowanych, obramowanych i przerobionych na zrozumiałe dane. Gdy powróciłam do Ambasadorii, kapitan — chyba w prezencie dla mnie — włączył w ekranach moduł rozpoznawania wzorców. Gdy zbliżyliśmy się do wirów nurtu, nieopodał groźnych ławic otaczających Ariekę zobaczyłam promień wędrujący we fraktalnej czerni; długą wiązkę światła, jakby przed nami obracała się jakaś lampa. A potem, gdy w końcu ukazał się nam pharos, unoszący się pośrodku tego niemiejca, miał postać ceglanej latarni zwieńczonej szkłem i brązem.

* * *

Gdy spotkałam Scile'a, który później został moim mężem, opowiedziałam mu o tym wszystkim, a on poprosił, bym opisała mu swoje pierwsze zanurzenie. Oczywiście sam też podróżował nurtem — nie urodził się na tej planecie, gdzie po raz pierwszy poszliśmy do łóżka — ale jako pasażer o skromnych dochodach, bez żadnych szczególnych przywilejów, musiał podróżować w soporze. Wspomniał jednak, że raz kazał się obudzić trochę wcześniej, by móc doświadczyć wynurzania. (Słyszałam o takich przypadkach. Było to wbrew regulaminowi, a załoga odważyłaby się to zrobić tylko na naprawdę płytkich płycznach). Natychmiast dostał choroby nurtowej.

Co właściwie mogłam mu powiedzieć? Gdy „Osa” po raz pierwszy pograżyła się w nurcie, stałam bezpiecznie za polem codzienności — nie dotykałam nurtu gołymi rękami ani nic takiego. Prawdę mówiąc, bardziej odczuwałam jego obecność jako kursantka w Ambasadorii, gdy podłączałam się do peryskopu pracującego w nurcie niczym dno szklanki wpychanej do wody. Wtedy mogłam spojrzeć prosto w niego, zobaczyć go z bliska, i to przeżycie zmieniło mnie na zawsze.

— Nie prosz, żebym ci to opisywała — powiedziała stanowczo.

„Osa” zanurkowała gwałtownie. Byłam wprawdzie niedoświadczona, ale łatwo zwalczyłam mdłości, które poczułam mimo wcześniejszych przygotowań. Nawet otulona polem czasemprzestrzennym czułam szarpnięcia, wektory dziwnych prędkości, w miarę jak poruszaliśmy się w różne strony, które nie były tak naprawdę kierunkami, a nasza dezorientująca bańka grawitacji robiła, co mogła. Ale byłam zbyt stremowana, by odczuwać podziw. On nadszedł dopiero później, gdy przydzielono nas do odpowiednich zadań i w końcu osiągnęliśmy głębokość operacyjną.

Obowiązkiem zanurzaczy jest nie tylko zachować zdrowie i świadomość w nurcie, myśleć, chodzić, jeść, wydalać, wykonywać rozkazy, wydawać rozkazy, podejmować decyzje, oceniać materię nurtu — paradane umożliwiające ocenę odległości i warunki pogodowe — nie wpadając w chorobę nurtową, choć to i tak spory wyczyn. Nie chodzi wyłącznie o to, że jesteśmy obdarzeni (lub, jak twierdzą niektórzy, upośledzeni) pewną płaskością wyobraźni, która nie pozwala nurtowi pozbawić nas użyteczności. Znamy jego kaprysy, umiemy w nim nawigować, ale wiedzę zawsze można przyswoić.

Statki znajdujące się w czasemprzestrzeni — a przynajmniej ziemskie statki; nigdy nie byłam na statku pozaziemów niekorzystających z nurtu — to ciężkie skrzynie pełne ludzi i sprzętu. Po zanurzeniu w nurcie, gdzie ich niezgrabne sylwetki zaczynają nabierać sensu, stają się gestaltami, których częścią jesteśmy sami; każdy z nas jest funkcją. Tak, działamy wspólnie, jak każda załoga, ale jesteśmy czymś więcej niż tylko sumą części. To silniki wynoszą nas z

przestrzeni tymczasowej, ale my także decydujemy o ruchach statku — popychamy go tak samo, jak on nas pociąga. Nawigujemy w oryg-przestrzeni, kierując się przesunięciami wewnątrz niej — nazywamy je pływami. Cywile, nawet ci nieliczni, którzy zachowują przytomność i akurat nie płaczą ani nie rzygają, nie są w stanie tego dokonać. W gruncie rzeczy większość tych bzdetów, które opowiadamy na temat nurtu, jest całkiem prawdziwa. Ale mimo to wciąż pozwalamy sobie na drobne gierki — opowiadana historia sama się dramatyzuje, nawet bez pomocy kłamstwa.

— To trzecia iteracja wszechświata — oznajmiłam Scile'owi. — Przedtem były jeszcze dwie inne. Rozumiesz? — Nie miałam pojęcia, ile na ten temat wiedzą cywile; dla mnie ta wiedza stanowiła już część zdrowego rozsądku. — Każdy z nich ukształtował się trochę inaczej, miał własne, specyficzne prawa. Naukowcy uważają na przykład, że w tym pierwszym światło podróżowało dwa razy szybciej. Każdy z nich powstał, dojrzał, zestarzał się i kolapsował. Trzy różne tymczasasy. Ale pod tym wszystkim, a może z boku albo jeszcze gdzieś indziej, płynie nurt. Jedyny i wieczny.

Okazało się, że Scile wiedział to wszystko już wcześniej. Ale usłyszeć te podstawowe fakty z ust zanurzacza, to było całkiem nowe doświadczenie, więc słuchał mnie jak dziecko.

* * *

Zatrzymaliśmy się w kiepskim hotelu na obrzeżach Pellucii, małego miasta chętnie uczęszczanego przez turystów z powodu pięknych wodospadów magmowych. Pellucia jest stolicą niewielkiego kraju na jakimś świecie, którego nazwy już nie pamiętam. W przestrzeni codziennej nie leży nawet w naszej galaktyce, lecz eony świetlne dalej, ale sąsiaduje z Dagostinem w nurcie.

W tamtym okresie byłam już całkiem doświadczone. Gdy spotkałam Scile'a, miałam akurat przerwę między kontraktami i postanowiłam wziąć sobie krótki urlop, zanim poszukam kolejnej pracy. Nasłuchiwałam plotek o nowym sprzęcie nurtowym, o misjach badawczych i podejrzanych zleceniach. W barze hotelowym siedziało mnóstwo zanurzaczy i innych portowych typków, do tego także podróżni i — całkiem nieoczekiwanie — naukowcy. Z nimi niewiele miałam w życiu do czynienia. W holu wisiało ogłoszenie reklamujące kurs Uzdrowicielskiej Mocy Opowieści, na widok którego tylko parsknęłam pogardliwie. Trid przedstawiający migające i wirujące słowa unosił się w korytarzach, zapraszając gości na inauguracyjne spotkanie Rady Zarządu Srebrnych i Złotych Obwodów, zjazd filozofów-biurokratów Shur'asi, a także na KLP — Konferencję Lingwistyki Pozaziemskiej.

Siedziałam w barze w towarzystwie grupki tymczasowych kolegów, których już za dobrze nie pamiętam. Zachowywaliśmy się okropnie. Poflirtowałam z barmanem, po czym przeszłam do kpin z siedzących nieopodal naukowców z KLP, równie pijanych jak ja. Podśluchiwaaliśmy ich rozmowy, a potem z zanurzaczką swadą zapewniliśmy tych bufonów, że nie mają pojęcia ani o życiu, ani nawet o językach z zewnątrz.

— No, dalej. Spytaj mnie o coś — zachęciłam Scile'a.

Były to pierwsze słowa, jakie z nim zamieniłam. Wiem, jak musiałam wyglądać w jego oczach: odchylona na wysokim stołku, odwróconym tak, by oprzeć się plecami o bar, z głową przechyloną w tył, by popatrzeć na wszystkich z góry. Wskazywałam na niego oburącz i uśmiechałam się wyzywająco. Scile był najmniej pijany z całej ekipy i trochę mediował pomiędzy nami.

— Znam się na obcych językach — dodałam z przekonaniem. — Lepiej od was, misiaczki. Jestem z Ambasadorii.

Chyba nigdy w życiu nie widziałam tak zaskoczonego i szczęśliwego człowieka. Scile nie przerwał dyskusji, ale spojrział na mnie innym wzrokiem, a jego podziw jeszcze się pogłębił, gdy

odkrył, że nikt z moich towarzyszy stamtąd nie pochodzi. Byłam jedyną Ambasadorianką w towarzystwie i to go zachwyciło.

Jego podziw sprawiał mi dużą przyjemność, ale jeszcze bardziej podobało mi się, że ten krępy, twardy facet z upodobaniem toczy ze mną pojedynki słowne i zabawia całe towarzystwo, jednocześnie zadając naprawdę sensowne pytania. Po jakimś czasie odtoczyliśmy się od stolika i spędziliśmy razem noc, a potem dzień. Próbowaliśmy uprawiać seks, zasypialiśmy i znów próbowaliśmy — bez powodzenia, ale podeszliśmy do tego z humorem. Przy śniadaniu Scile nieustannie błagał mnie, dręczył i obsypywał pochlebstwami — udawałam irytację, ale w rzeczywistości świetnie się bawiłam — aż w końcu, pomimo zmęczenia, zgodziłam się pójść na jego konferencję.

Przedstawił mnie swoim kolegom. KLP dotyczyła wprawdzie wszystkich języków pozaziemskich, ale to najbardziej egzotyczne z nich cieszyły się największym zainteresowaniem. Zobaczyłam zaimprovizowane tridy reklamujące wykłady dotyczące sygnalizacji międzykulturowej komunikacji chro-matoforowej, komunikacji manualnej u niewidomych Bur-dhanów oraz mnie.

— Pracuję w Homash. Zna pani to miejsce? — powiedziała jedna z kobiet à propos niczego. Bardzo się ucieszyła, gdy powiedziałam, że nie. — Porozumiewają się przez regurgitację. Grudki wypełnione enzymami w różnych kombinacjach stanowią odpowiedniki zdań. Rozmówcy je zjadają.

Zobaczyłam w tle swój własny trid. Specjalny gość: Am-basadorianka. O życiu wśród Ariekenów.

— Niegrzecznie tak o nich mówić — zwróciłam uwagę organizatorom. — To przecież Gospodarze.

— Tylko dla pani — odpowiedzieli.

Koledzy Scile'a też byli zachwyceni rozmową — żaden z nich jeszcze nigdy nie spotkał Ambasadorianina ani, tym bardziej, Gospodarza.

— Wciąż są objęci kwarantanną — powiedziałam. — Ale tak czy inaczej, nigdy nie wspominali o podróży na zewnątrz. Nie wiemy nawet, czy są kompatybilni z nurtem.

Odgrywałam rolę ciekawostki z dużym zaangażowaniem, ale i tak ich zawiodłam. Ostrzegałam Scile'a, że tak będzie. Gdy tylko zorientowali się, że nie jestem w stanie powiedzieć im prawie nic na temat Języka, dyskusja stała się zawiła i zesłała na socjologię.

— Sama niewiele rozumiem — przyznałam szczerze. — Właściwie nikt go u nas nie zna, oprócz Personelu i Ambasadorów.

Jeden z uczestników wyświetlił nagrania przemawiających Gospodarzy i zaczął analizować słownictwo. Z zadowoleniem odkryłam, że potrafię podać przynajmniej kilka szczegółowych definicji, ale, szczerze mówiąc, na tej sali znajdowało się przynajmniej dwoje ludzi, którzy rozumieli Język lepiej ode mnie.

Dlatego zaczęłam opowiadać historie o życiu na przyczółku. Okazało się, że nie wiedzieli nic o aeoli — rzeźbieniu powietrza, dzięki któremu Ambasadorię okrywała kopała gazów nadających się do oddychania. Niektórzy widzieli jakieś kawałki importowanych budyfikatów, ale za pomocą ich przestarzałych tridów mogłam opowiedzieć coś więcej na temat naszej infrastruktury: stad domów i młodych mostów wyrastających niespodziewanie z pomostów pontonowych, aż w końcu łączyły ze sobą części miasta bez żadnego wyraźnego powodu. Scile zapytał mnie o religię i odpowiedziałam, że o ile wiem, Gospodarze nie znają niczego takiego. Wszystkich zainteresowała wzmianka o Festiwalu Kłamstw.

— Myślałem, że tego nie potrafią — zdziwił się ktoś.

— Właśnie o to chodzi — wyjaśniłam. — Starają się dokonać niemożliwego.

— Jak wygląda taki festiwal? — chciał wiedzieć ktoś inny, a ja zaśmiałam się w odpowiedzi i wyznałam, że nie wiem, bo nigdy nie byłam w mieście.

Potem zaczęli dyskutować o Języku. Zastanawiając się, jak jeszcze mogłabym im odpłacić za gościnność, opowiedziałam o swojej wizycie w tamtej opuszczonej restauracji. Wszyscy znów się zainteresowali. Scile wpatrywał się we mnie z maniackim skupieniem.

— Chcesz powiedzieć, że uczestniczyłaś w porównaniu?

— Jestem porównaniem.

— Jesteś historią?

Ucieszyłam się, że w końcu zdołałam powiedzieć im coś ciekawego. Moje porównywanie zrobiło na Scileu i jego kolegach znacznie większe wrażenie niż na mnie samej.

* * *

Czasem droczyłam się ze Scile'em. Zarzucałam mu, że widzi we mnie tylko część słownika.

Niedawno ukończył większość swoich badań — studium porównawcze wybranych zestawów fonemów w kilku różnych językach. Nie należały do jednego gatunku ani nawet nie pochodziły z jednego świata, dlatego nie do końca rozumiałam, jaki ma w tym cel.

— Czego właściwie szukasz? — zapytałam.

— Och, sam nie wiem. Tajemnic. Esencji. Nieodłączności.

— Brawo! Bardzo ładne brzydkie słowo. I co?

— Nie ma żadnych.

— Mmm — mruknęłam. — Co za rozczarowanie.

— Co za defetystyczne podejście. Na pewno coś wykombinuję. Prawdziwy naukowiec nigdy nie pozwala, żeby fakty zagroziły jego teorii.

— Brawo raz jeszcze — wzniosłam toast kieliszkiem.

Zostaliśmy w tym hotelu znacznie dłużej, niż planowaliśmy. A potem, ponieważ nie miałam żadnych planów ani zleceń, załatwiłam sobie posadę na statku wiozącym go do domu. Miałam doświadczenie i dobre referencje, więc nie było z tym problemu, zresztą trasa wynosiła nie więcej niż 400 godzin. Gdy zdałam sobie sprawę, jak bardzo źle Scile znosi zanurzenie, byłam bardzo wzruszona, że postanowił przebyć naszą pierwszą podróż w stanie przytomności. Oczywiście był to bezsensowny gest — gdy ja byłam na wachcie, on leżał samotnie, dręczony mdłościami, a gdy wracałam, ledwie mogliśmy porozmawiać, nawet za pomocą leków. Ale przy całej swojej irytacji nadal byłam bardzo wzruszona.

Z tego co rozumiałam, potrzebował już tylko niewiele czasu, by dopracować ostatnie rozdziały, wykresy, pliki dźwiękowe i tridy. Ale Scile niespodziewanie oznajmił, że nie zamierza składać tej pracy.

— Tak się nad tym naharowałeś, a teraz nie chcesz wykonać ostatniego kroku? — zdziwiłam się.

— Pieprzyć to — odparł z brawurową nonszalancją. — Rewolucja nie może czekać!

— Mój ty biedny radykale.

— No cóż. Znudzilem się.

— Ale zaczekaj — nie odpuszczałam. — Mówisz serio? Chyba warto byłoby...

— To koniec, stare dzieje, zapomnijmy o tym. Zresztą mam inne projekty, moje ty drogie porównanie. Do czego jesteś podobna? — Ukłonił się, wygłaszając ten kiepski żart, strzelił palcami i zaczął mnie wypytywać o Ambasadorię. Intensywność jego emocji była zaraźliwa, ale przy tym wykazywał dość dystansu do siebie i miało się wrażenie, jakby jego obsesyjne

zachowanie było częściowo wyreżyserowane.

Niewiele czasu spędziliśmy w jego prowincjonalnym miasteczku uniwersyteckim. Powiedział, że poleci ze mną do domu, i męczył mnie dopóty, dopóki nie wyraziłam zgody. Nie do końca wierzyłam w szczerłość tych zamiarów, ale gdy wsiadłam w następny transport, zabrał się ze mną jako pasażer.

Gdy już byliśmy w drodze, w płytkim, spokojnym nurcie, wybudziłam Scile'a z soporu, by pokazać mu ławicę nurtowych drapieźników, przez nas nazywanych hajami. Rozmawiałam już z kapitanami i naukowcami, którzy w ogóle nie uważali ich za żywe istoty, jedynie agregaty nurtu, a ich ataki, zadawane z chirurgiczną precyzją, były dla nich manifestacją nurtowego chaosu, w której nasze czasomowe mózgi nie potrafiły dostrzegać należytej losowości. Ja zawsze uważałam je za potwory. Scile, naćpany lekami, patrzył, jak nasze ładunki obronne wstrząsają nurtem i rozpraszają haje na boki.

Ilekcję wynurzałam się, by dostarczyć lub przyjąć przesyłki, Scile rejestrował się w miejscowej bibliotece, po czym siadał nad starymi badaniami i zaczynał nowe. Zwiedzaliśmy miejscowe zabytki. Sypialiśmy w jednym łóżku, ale szybko daliśmy sobie spokój z seksem.

Wszędzie, gdzie tylko się zjawiliśmy, Scile próbował się uczyć języków, a jeśli znał oficjalne słownictwo, to przyswajał slang. Podróżowałam w życiu znacznie więcej od niego, ale mówiłam i czytałam tylko we wszechangielskim. Jego towarzystwo było przyjemne, zabawne i zawsze ciekawe. Wystawiałam go na próbę, przyjmując kontrakty, które wymagały spędzenia w nurcie setek godzin jednym ciągiem (nie był to nieznośnie długi okres, ale dostatecznie trudny do wytrzymania). Scile przeszedł ją pozytywnie. W końcu zdałam sobie sprawę, że już nie zastanawiam się, czy ze mną zostanie, ale mam nadzieję, że nigdy nie odejdzie.

Pobraliśmy się na Dagostinie w Bremen, w mieście Charo, do którego jako dziecko wysyłałam listy. Wmawiałam sobie — i była to prawda — że czasem trzeba odwiedzić swoją stolicę. Nie zważając na ślimacze tempo wymiany listów między światami, Scile korespondował z naukowcami z Bremen, a ja — nigdy nie byłam samotniczką — miałam tu sporo kontaktów i szybkich, intensywnych przyjaźni, które tak łatwo nawiązują się między zanurzacami, dlatego bez problemu dało się kogoś zaprosić. Tam, w stolicy swojego kraju, której większość Ambasadorian nigdy nie oglądała na oczy, zapisałam się do związków, przelałam swoje oszczędności na główny rachunek i zapoznałam się z bremeńskim prawem. Kupiłam mieszkanie w niemodnej, ale miłej dzielnicy miasta, gdzie rzadko widywałam kogoś wyposażonego w idiotyczne luksusowe gadzety importowane z Ambasadorii.

Zawarcie związku według miejscowego prawa ułatwiało Scile'owi podróż do prowincji czy innych terytoriów Bremen. Przez dłuższy czas odpowiadałam na jego nalegania — które, jak się okazało, nigdy nie były tylko żartem — przypominając, że nie mam zamiaru wracać do Ambasadorii. Jednak gdy się pobieraliśmy, byłam już gotowa podarować mu ten prezent ślubny — zamierzałam go zabrać do domu.

* * *

Nie było to takie proste — Bremen kontrolowało imigrację na swoje terytoria prawie równie surowo jak emigrację. Zamierzaliśmy tam wysiąść, nie mogłam więc przedstawić tego jako rejs handlowy. W Biurze Tranzytowym zaskoczeni urzędnicy przerzucali się mną jak gorącym kartoflem. Spodziewałam się tego, ale naprawdę zaskoczyło mnie to, jak wysoko w hierarchii — sądząc po wyglądzie mebli biurowych — zawędrowała ta sprawa.

— Chce pani wrócić do Ambasadorii? — powtórzyła z niedowierzaniem kobieta, która najwyraźniej znajdowała się jedynie o szczebelek lub dwa poniżej szefa. — Chyba wie pani, że to dość... nietypowe.

— Tak, wszyscy mi to mówią.

— Tęskni pani za domem?

— Ani trochę. Ach, czego to się nie robi w imię miłości — westchnęłam teatralnie, ale urzędniczka była niewzruszona. — Szczerze mówiąc, też nie podoba mi się to, że będę odcięta od świata, tak daleko od najbliższego węzła.

Spojrzała mi w oczy i nie odpowiedziała.

Po chwili zapytała, co zamierzam robić na Ariece. Zgodnie z prawdą odparłam, że flokować. To też jej nie rozbawiło. Komu zamierzam się zameldować po przybyciu? Powiedziałam, że nikomu — nie byłam niczym podwładnym, tylko cywilem. Przypomniała mi, że Ambasadoria należy do Bremen. Gdzie byłam, odkąd znalazłam się na zewnątrz? Podkreśliła, że chodzi o wszystkie miejsca pobytu i nazwiska osób, które mogły to pamiętać. Musiałam pokazać wszystkie karty i transfery, choć urzędniczka powinna wiedzieć, że w wielu miejscach formalności na wjeździe były naprawdę symboliczne. Przeczytała całą listę, łącznie ze stacjami końcowymi i krótkimi przystankami, których nawet nie pamiętałam. Spytała mnie o lokalną politykę jednego czy dwóch miejsc, a ja tylko uśmiechnęłam się w odpowiedzi, bo nie wiedziałam niczego.

Nie byłam pewna, czego właściwie ode mnie chcą. Jako posiadaczka karty, obywatelka Ambasadorii, mogłam poświadczyć za swojego narzeczonego, zatem przyznanie mu prawa wjazdu, a mnie prawa powrotu było tylko kwestią czasu i wytrwałości. Scile przygotowywał się do swojej pracy, czytając, słuchając nagrań, oglądając tridy i filmy. Wymyślił nawet tytuł swojej kolejnej książki.

— Jeszcze tylko jedna zmiana — powiedziałam.

W Charo, w katedrze Chrystusa Transferowanego — pomysł Scile'a — zgodnie z prawem Bremen zawarliśmy związek drugiego stopnia, co oznaczało niewyłączny związek małżeński z miłości. Potem zabrałam go do Ambasadorii.

Część pierwsza

PRZYBYCIE

Później, 1

Sala Dyplomatyczna była pełna. Zwykle podczas balów, zwłaszcza na powitanie gości, mieliśmy tu tłok, ale nie aż taki. Jednak tym razem całej imprezie towarzyszył niezwykle nastrój oczekiwania. Personel zapewniał nas, że to nic nadzwyczajnego, ot zwykły przylot, ale miałam wrażenie, że sami w to nie wierzą.

Przepchnęłam się poprzez strojny tłum. Przed wejściem nałożyłam klejnoty i włączyłam parę cyzeli, które otoczyły moją głowę koroną ogników. Oparłam się o ścianę pośród gęstego listowia.

— Dobrze wyglądasz — zauważyła Ehrsul. — Krótka fry-zurka, pazurki. Ładnie. Pożegnałaś się już z Kayliegh?

— Dzięki. Tak, już po wszystkim. Wciąż nie mogę uwierzyć, że dostała papiery na wyjazd.

— No cóż... — Ehrsul wskazała głową na Kayliegh uwieszoną na ramieniu Damier, pracownicy Ambasady częściowo odpowiedzialnej za wydawanie kart. — Niewykluczone, że zastosowano tu poziomą ścieżkę proceduralną.

Ehrsul była autorem. Tego wieczoru jej powłoka zewnętrzna była przystrojona akrylowymi pawimi piórami, a całą sylwetkę otaczały tridowe ozdoby.

— Ależ jestem zmęczona. — Jej twarz zatrzęszczała, jakby od statyki. — Czekam już tylko na naszego nowego Ambasadora. Jak mogłabym to przegapić? Potem znikam.

Używała tylko jednego korpusu, może z powodu jakiegoś ziemiofilskiego poczucia grzeczności. Chyba zdawała sobie sprawę, że kontakty z kimś o zmiennej powierzchowności byłyby dla nas kłopotliwe. Oczywiście pochodziła z importu, choć nie wiedzieliśmy skąd konkretnie. Przebywała w Ambasadorii dłużej niż ktokolwiek, kogo znałam. Jej turingprogi znacznie wykraczały poza możliwości miejscowej techniki i co najmniej dorównywały wielu egzemplarzom, które widywałam na zewnątrz. Rozmowa z większością automów przypomina komunikację z człowiekiem o poważnie upośledzonych funkcjach kognitywnych, ale z Ehrsul zdołałam się zaprzyjaźnić.

— Chodź tu, uratuj mnie od towarzystwa tych wioskowych głupków — mówiła czasem po załadowaniu aktualizacji wraz z innymi autemami.

— Żartujesz czasem, gdy nikt cię nie słucha? — spytałam kiedyś.

— A jakie to ma znaczenie? — odpowiedziała po chwili, a ja poczułam się, jakby mnie złażała. Poruszanie tematu jej osobowości było niegrzeczne i niedojrzałe. Zgodnie z tradycją żaden z automów o wystarczająco ludzkim zachowaniu, by wywołać takie pytania, nigdy nie udzielał na nie odpowiedzi.

Ehrsul była moją najlepszą przyjaciółką i czymś w rodzaju miejscowej ciekawostki. Gdy mi ją po raz pierwszy przedstawiano, miałam wrażenie, że widziałam ją już gdzieś wcześniej, i spontanicznie zapytałam:

— Co tam robiłaś? Wtedy, przed laty, w domu Brena, gdy Ambasadorzy tłumaczyli mi moje porównanie? To byłaś ty, prawda? Pamiętasz?

— Avice — powiedziała tylko, z lekką przyganą, i potrząsnęła głową, jakby rozczarowana. Nie dowiedziałam się od niej niczego więcej i nie próbowałam pytać.

Stałyśmy razem przy drzwiach, wśród wijących się pnączy, obserwując małe vidy śmigające po sali. Ozdobne biodyfikaty rzucały kolorowe błyski.

— Spotkałaś ich już wcześniej? — zapytała Ehrsul. — Nasz nowy nabytek? Ja nie.

To mnie trochę zaskoczyło. Ehrsul nie miała pracy, nie była od nikogo zależna, ale jako komputer przedstawiała dla Personelu dużą wartość i często wypełniała dla nich różne zadania. Mogłam powiedzieć to samo o sobie — mój status częściowego outsidera był dla nich bardzo użyteczny, póki nie wypadłam z łask. Spodziewałabym się, że Ehrsul będzie wtajemniczona w wewnętrzne działania Ambasady, ale najwyraźniej od czasu przybycia nowego Ambasadora Personel zamknął się w swoim kręgu.

— Były jakieś przepychanki — powiedziała. — Tylko tyle słyszałam.

Ludzie często mówili Ehrsul różne rzeczy — może dlatego, że nie była człowiekiem, ale przy tym tak bardzo nas przypominała. Podejrzewam też, że włamywała się do lokalnej sieci i łamała zabezpieczenia.

— Niektórzy trochę się martwią... choć mam wrażenie, że inni są nim oczarowani. Spójrz na MagDę. Wyatt też nalega, by go w to włączyć.

— Wyatt?

— Powoływał się na jakieś stare prawa, próbował spotkać się z Ambasadorem na osobności, tego typu rzeczy.

Wyatt, attaché Bremen, przybył wraz ze swą żoną na poprzednim statku, by zmienić Chettenhama. Miał wyjechać kolejnym transportem. Bremen założyło Ambasadorię nieco ponad dwie megagodziny temu. Z prawnego punktu widzenia byliśmy ich protektoratem. Jednak Ambasadorzy rządzący w imieniu Bremen przychodzili na świat tutaj. Wyatt, Chettenham i inni attaché musieli polegać na Personelu, przyjmować od nich informacje handlowe i sugestie; byli od nich całkowicie uzależnieni w sprawach kontaktu z Gospodarzami i dostępu do sprzętu. Rzadko wydawali inne rozkazy niż „proszę kontynuować”. Sami również pełnili funkcje doradcze, przydatne, ilekroć trzeba było uwzględnić sytuację polityczną w stolicy. Dlatego zdziwiłam się, że Wyatt nagle zaczął próbować rozwiązań siłowych.

Był to pierwszy przypadek w historii, kiedy Ambasador przybył z zewnątrz. Gdyby bal nie związał Personelowi rąk — statek odlatywał lada chwila, nie można było tego dłużej odwlekać — pewnie spróbowaliby przedłużyć kwarantannę, jednocześnie snując swoje intrygi.

— Przyszli CalVin — ostrzegła mnie cicho Ehrsul, obraz jej twarzy obejrzał mi się przez ramię. Nawet się nie poruszyłam. Przyjaciółka spojrzała na mnie, układając usta w nieme „no co?”, przekazując bez słów, że chciałaby wiedzieć, co się właściwie stało. Potrząsnęłam głową.

Yanna Southel, najwyższy rangą naukowiec Ambasadorii, przybyła w towarzystwie Ambasadora.

— W porządku, to EdGar. Czas się przejść po sali. Wrócę później.

Powoli przebrnęłam przez tłum krążący po orbicie Ambasadora. Tam, pośród roześmianych ludzi, potrącana przez tancerzy, uniosłam kieliszek.

— Dzień dobry, Ambasadorze — oznajmiłam, a oni uśmiechnęli się w odpowiedzi. — Wszystko gotowe?

— Chryste Pharosie, nie — odparł Ed albo Gar.

— Pytasz tak, jakbyś sądziła, że wszystko wiem, Avice — dodał drugi, a ja skłoniłam głowę.

Zawsze lubiliśmy ostentacyjnie flirtować. Ambasador Ed-Gar byli gadatliwymi ludźmi, kochali plotki i zawsze ujawniali więcej, niż powinni. Teraz obaj rozejrzeli się na boki, unieśli teatralnie brwi, jakby ktoś lada chwila miał ich nakryć. Ta konspiracyjna maniera stanowiła ich ulubiony greps. Prawdopodobnie ostrzegano ich przede mną, ale wciąż traktowali mnie z

gadatliwą grzecznością i byłam im za to wdzięczna. Uśmiechnęłam się, ale grymas zamarł mi na ustach, gdy zdałam sobie sprawę, że pomimo rozbawionej pozy zdają się naprawdę nieszczęśliwi.

— Nie sądziłem, że to...

— ...możliwe — powiedzieli EdGar.

— Nie do końca rozumiemy...

— ...co się tu właściwie dzieje.

— A pozostali Ambasadorzy? — zapytałam.

Rozejrzeliśmy się po sali — wokół zebrało się już sporo ich kolegów. Zobaczyłam EsMé w tęczowej sukience, ArnOlda poprawiających kołnierzyk wciśnięty pod łącze, JasMin i Hel-En pogrążone w dyskusji. Każdy z Ambasadorów przerywał drugiemu, każda połowa kończyła zdania swego dubla. Tylu Ambasadorów w tym jednym onirycznym miejscu. Diody w obwodach łączy, wszczepione w szyję, mniej lub bardziej ozdobne, w zależności od gustu, mrugały w ostrym staccato.

— Szczerze? — odparli EdGar. — Wszyscy się martwią...

— ...mniej lub bardziej.

— Niektórzy uważają, że trochę...

— ...przesadzamy. RanDolf na przykład sądzą, że pewna odmiana...

— ...że przybycie kogoś z zewnątrz odświeży atmosferę. Ale wszyscy są niespokojni.

— Gdzie jest JoaQuin? A Wyatt?

— Zamierzają przyprowadzić tu nasz nowy nabytek. Razem.

— Żaden z nich nie spuszcza drugiego z oka.

Personel kazał bankietowiczom się rozejść, by zrobić miejsce dla JoaQuina, przewodniczącego Ambasadorów, Wyatta, attaché Bremen, i dla nowego Ambasadora. Byli tam jacyś ludzie, których nie znałam. Straciłam pilota z oczu, nie mogłam więc go nawet spytać, czy to załoga, imigranci czy pracownicy tymczasowi.

Jak na każdym balu nowych przybyszów zawsze otaczał krąg miejscowych, z pewnością nie mogli się uskarżać na brak towarzystwa, ani do łóżka, ani do rozmowy. Ich ubrania, akcesoria i cyzele były niczym święte Graale. Całe ich oprogramowanie miało zostać spiracone i przez całe tygodnie lokalna sieć będzie aż świergotać od nowych, egzotycznych algorytmów. Ale tym razem wszyscy byli zainteresowani jedynie nowym Ambasadorem.

— Co jeszcze przyszło? Coś ciekawego? — Ambasador JasMin znalazły się w zasięgu głosu, postanowiłam zatem pociągnąć je za język. JasMin nie przepadały za mną, dlatego odzywałam się do nich jak najczęściej, by pokazać, że wcale mnie nie onieśmielają. Nie odpowiedziały, więc przywitałam się z Simmonem, ochroniarzem Ambasady. Już od dawna nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, ale lubiliśmy się na tyle, by uniknąć niezręczności, mimo że byłam tu gościem (i to niezbyt mile widzianym), a on przyszedł służbowo. Uścisnął mi dłoń swoją biodyfikowaną prawą ręką, którą nosił, odkąd pistolet wybuchł na strzelnicy i pozbawił go prawdziwej.

Podążyłam poprzez tłum, zamieniając czasem parę słów z kolegami, patrząc na błyski cyzeli podczas interakcji i łowiąc strzępki zanurzacckiego slangu. Czasem odwracałam się wtedy i, ku ich radości, odpowiadałam w tym samym żargonie albo unosiłam rękę, sygnalizując ułożeniem palców, na jakim statku ostatnio służyłam. Lekko stukaliśmy się z nimi kieliszkiem i ruszałam dalej.

Podobnie jak wszyscy, wypatrywałam nowego Ambasadora.

* * *

A potem się zjawił — wiedziałam, że przy tak napiętym oczekiwaniu mogliśmy przeżyć

tylko zawód. To Wyatt otworzył drzwi, ostrożniejszy, bardziej niepewny niż zazwyczaj. JoaQuin uśmiechnęli się i mimowolnie poczułam podziw — doskonale ukrywali nerwy. Rozmowy ucichły, a ja wstrzymałam oddech.

Z tyłu doleciało jakieś poruszenie, chwila ożywionej dyskusji, a potem nowy Ambasador minęli swoją eskortę i weszli do Sali Dyplomatycznej. To był historyczny moment.

Jeden z mężczyzn był wysoki i chudy, miał rzednące włosy i ziemistą cerę, mrugał nerwowo i się uśmiechał. Drugi był krępy, muskularny i niższy o szerokość dłoni. Uśmiechnął się promiennie i rozejrzał wokół. Przeczesał włosy palcami. Miał cyzele we krwi — poznałam po otaczającym go blasku. Jego towarzysz najwyraźniej obywał się bez nich. Niższy z mężczyzn miał wydatny, rzymski nos; drugiego był krótki i zadarty. Mieli różny kolor skóry i oczu. Nie patrzyli na siebie.

Potem nowy Ambasador stanęli przed tłumem, uśmiechając się, każdy na swój sposób. Stali tak razem, zupełnie nieprawdopodobni, jak cielę z dwiema głowami.

Wcześniej, 1

Parę kilogodzin zanim wyruszyliśmy w drogę, Scile zawarł jakąś umowę ze swymi pracodawcami czy też przełożonymi. Nigdy nie próbowałam dochodzić, jak funkcjonuje ten jego akademicki świat. Z tego co zrozumiałam, wynegocjował sobie bardzo wydłużony urlop naukowy i, technicznie rzecz biorąc, jego pobyt w Ambasadorii był elementem projektu badawczego częściowo finansowanego przez jego uczelnię. Wypłacali mu jakąś niewielką zaliczkę i pozwalali zachować ciągły dostęp do kont w zamian za obietnicę opublikowania książki *Rozwidlone języki: socjopsycholingwistyka Ariekenów*.

Już wcześniej zdarzało się, że do Ambasadorii przybywali naukowcy, zwłaszcza badacze z Bremen, zafascynowani biologiczną konstrukcją Gospodarzy; nadal mieszkano ich tam kilku, wciąż oczekujących na transport. Jednak za naszej pamięci nie było na Ariece żadnych lingwistów z zewnątrz, już od czasu pionierów usiłujących złamać tajemnicę Języka prawie trzy i pół megagodziny wcześniej.

— Mogę stanąć im na ramionach — stwierdził Scile. — Oni musieli zrozumieć, jak to działa od podstaw. Dlaczego my rozumieliśmy Ariekenów, a oni nas nie? Teraz już to wiemy.

W miarę przygotowań do podróży — Scile nazywał to miesiącem miodowym — mój mąż przeszukiwał wszystkie biblioteki w Charo. Z moją pomocą próbował skorzystać z wiedzy zanurzaczy i gdy w końcu przybyliśmy na miejsce, udał się prosto do naszych archiwów w Ambasadorii, ale nie znalazł żadnych systematycznych źródeł. Bardzo go to ucieszyło.

— Dlaczego nikt wcześniej nie zajął się tym tematem? — spytałam.

— Bo nikt tu nie przyjeżdża — odparł. — Za daleko. Bez urazy, ale to jednak koniec świata.

— Wcale mnie to nie obraża.

— A do tego niebezpieczny koniec. Plus ta cała bremeńska biurokracja. I szczerze mówiąc, nic tu nie ma sensu.

— Mówisz o języku?

— Tak, o języku.

Ambasadoria miała własnych lingwistów, ale większość z nich — raczej nie otrzymywali kart, nawet jeśli chciało im się złożyć wniosek — specjalizowała się w bardziej abstrakcyjnych dziedzinach. Studiowali i wykładali stary i nowy francuski, mandaryński, panarabski; rozmawiali w tych językach, jakby grali w szachy. Niektórzy uczyli się języków pozaziemskich, o ile pozwalała na to ich fizjologia. Miejscowi Panne-getchowie przestali używać swych języków, odkąd nauczyli się wszechangielskiego, ale w Ambasadorii nadal funkcjonowało pięć języków Kedisów i trzy dialekty Shur’asi, z czego cztery nadawały się dla ludzi.

Miejscowi lingwiści nie zajmowali się językiem Gospodarzy, ale Scile’a nie obchodziły nasze przesady.

* * *

Nie pochodził ani z Bremen, ani z żadnego z przyczółków, ani z innego kraju na Dagostinie. Urodził się na skolonizowanym księżycu, Sebastapolis, o którym kiedyś słyszałam. Dorastał jako poliglota — nigdy nie byłam pewna, który z tych języków był jego pierwszym. Podczas naszych podróży trochę zazdrościłam mu tej radosnej obojętności i całkowitego braku

zainteresowania, z jakim traktował swój rodzinny dom.

Nasza podróż do Ambasadorii biegła trochę naokoło. Wiozące nas statki miały najbardziej zróżnicowaną załogę, jaką kiedykolwiek widziałam. Dobrze znałam bremeńskie mapy zbadanego nurtu i kiedyś potrafiłam nawet wymienić nazwy krajów na podstawowych światach — ludzie, z którymi służyłam podczas drogi do domu, nie pochodzili z żadnego z nich. Byli to Ziemianie pochodzący z tak daleka, że pozwalali sobie na różne żarty, wmawiając mi, że ich rodzinny świat nazywa się Fatamorgana albo Siódme Niebo.

Gdybym wyruszyła w inne strony, możliwe, że dotarłabym w regiony nurtu i codzienności, gdzie to Bremen zdawało się egzotyczną bajką. Ludzie czasem gubią się w zachodzących na siebie obszarach znanego kosmosu. Ci, którzy służą na pozaziemskich statkach, ucząc się wytrzymywać dziwne obciążenia ich napędów — łykopędów, fałd nadświetlnych, wyjcotechów — potrafią zawędrować nawet dalej, przy mniej przewidywalnej trajektorii podróży, i gubią się jeszcze bardziej. Ten stan trwa już od wielu megagodzin, odkąd ludzie odkryli nurt, a ich gatunek zmienił się w *homo diaspora*.

Fascynacja Scile'a językiem Gospodarzy była dla mnie źródłem nieustannej radości. Jako zewnątrzowiec, nie tylko wobec Ambasadorii, ale i całego obszaru Bremen, mógł nawet nie zdawać sobie sprawy, że przechodzi mnie dreszcz, ilekroć używał słowa „Ariekeni” zamiast oficjalnego „Gospodarze”. Zapewne była w tym jakaś ironia, że to właśnie dzięki badaniom mojego męża cudzoziemca poznałam język miasta, w którym przyszłam na świat.

* * *

ZLK — zmodyfikowana lingwistyka kontaktowa — jak wyjaśnił mi Scile, stanowiła specjalizację powstałą z połączenia pedagogiki, komunikacji, programowania i kryptografii. Wykorzystywali ją naukowcy z bremeńskich statków badawczych, by jak najszybciej nawiązać komunikację z napotkanymi tubylcami.

Z logo tych wczesnych wypraw przebija przede wszystkim niepohamowany entuzjizm zelkowców. Na wszystkich kontynentach, na różnych światach, kolorowych czy matowych, to oni nagrywali pierwsze przypadki porozumienia z pozaziemską menażerią. Języki dotykowe, bioluminescencyjne słowa, wszelkiego rodzaju dźwięki, jakie tylko mogą wydawać organizmy. Dialekty zrozumiałe jedynie jako palimpsest nawiązań do tego, co już zostało powiedziane. Języki, w których przymiotniki są niegrzeczne, a czasowniki — bluźniercze. Obejrzałam między innymi tridowe pamiętniki zelkowca zabarykadowanego w swojej kabinie, odpierającego szturm — jak się później okazało — Corscanów. Badacz był wprawdzie przerażony obecnością wielkich stworów dobijających mu się do drzwi, ale nawet w takiej chwili postanowił podzielić się swoją radością, ponieważ właśnie udało mu się zrozumieć tonalną strukturę ich języka.

Gdy zelkowcy i załogi statków przybyli na Ariekę, rozpoczęło się ponad 250 kilogodzin nieustannego zdziwienia. Język Gospodarzy nie był jakoś szczególnie trudny do zrozumienia, ani zmienny, ani bogaty w wariacje. Na całej planecie żyło zaskakująco niewiele Gospodarzy i wszyscy posługiwali się tym samym językiem. Za pomocą uchoprogów i dysków badacze nietrudno było zebrać bazę dźwiękosłów (przybysze nazywali je słowami, choć w miejscach podziału Ariekeni mogliby nie dostrzec żadnych granic). Dość szybko rozpracowali składnię. Podobnie jak w przypadku wszystkich języków pozaziemskich, odkryli kilka niespodzianek, ale nie było w tym nic na tyle obcego, by przerastało to zelkowców czy ich maszyny.

Gospodarze byli bardzo cierpliwi, lekko zaintrygowani i, o ile można było wywnioskować z ich grzecznej obojętności, życzliwi przybyszom. Nie mieli dostępu do nurtu, egzotycznych napędów ani nawet silników podświetlnych, nigdy nie opuścili swojej atmosfery, ale poza tym zdawali się dość zaawansowanym społeczeństwem. Z niezwykłą finezją potrafili

manipulować rozwojem żywych organizmów i wcale nie byli zaskoczeni odkryciem, że poza ich światem też istnieje życie.

Nie nauczyli się wszechangielskiego — chyba nawet nie próbowali. Jednak po kilku tysiącach godzin ziemscy lingwiści byli w stanie zrozumieć większość z ich komunikatów, a także syntetyzować odpowiedzi i pytania w języku ariekeńskim. Fonetyczna struktura zdań emitowanych przez ich maszyny — zmiany tonalne, długość samogłosek i rytm spółgłosek — była odwzorowana idealnie, przynajmniej w granicach błędu pomiarowego.

Gospodarze słuchali i nie rozumieli z tego ani dźwięku.

* * *

— Jak wielu z was udaje się stąd wyrwać? — zapytał Scile.

— Mówisz, jakby chodziło o ucieczkę z więzienia!

— Daj spokój. O ile dobrze pamiętam, sama kilkakrotnie użyłaś określenia „wyrwać”.

Chyba dodałaś też, że nigdy tu nie wrócisz.

— Punkt dla ciebie — odparłam. Byliśmy już na ostatniej prostej do Ambasadorii.

— To ilu?

— Niewielu. Mówisz teraz o zanurzaczach?

— O kimkolwiek.

Wzruszyłam ramionami.

— Co jakiś czas wydają karty paru innym cywilom. Niewiele osób próbuje składać wnioski, nawet jeśli przejdą testy.

— Masz wciąż kontakt z kolegami ze szkoły?

— Kolegami? Masz na myśli zanurzaczy, którzy ukończyli kurs razem ze mną? Skąd! — Rozłożyłam ręce, przebierając palcami, by pokazać, jak daleko się rozjechaliśmy. — A zresztą była tylko trójka innych. Nie byliśmy ze sobą blisko. A nawet gdyby, to tempo podróży listów wysyłanych wiadomościami zabiłoby wszelki kontakt. Szkoda fatygi.

Była to klasyczna, niepisana umowa uciekinierów z małego miasteczka: nie patrz wstecz, nie bądź dla nikogo kotwicą, nie poddawaj się nostalgii. Nie podejrzewałam, że ktokolwiek z nich wróci do domu.

Podczas podróży do Ambasadorii Scile poprosił o wprowadzenie go w zmodyfikowany sopor, tak by mógł starzeć się w trakcie. Był to wzruszający gest — miał zapobiec sytuacji, w której tylko jedno z partnerów robi się coraz starsze.

Właściwie nie spędził nawet całej podróży we śnie. Za pomocą leków i cyzeli zdołał wykroić trochę czasu na czytanie i naukę, okazjonalnie przerywaną wymiotami lub atakami paniki, które uspokajał odpowiednimi preparatami.

— Posłuchaj tego — powiedział. Siedzieliśmy akurat przy stole; statek płynął przez bardzo spokojne płycizny nurtu. Przez wzgląd na dolegliwości Scile’a jadłam suszone owoce, były praktycznie pozbawione zapachu. — „Wiesz, oczywiście, iż każdy Mężczyzna ma dwoje ust i dwa głosy” [*Flatlandia, czyli Kraina Plaszczyków*, tłum. Jacek Dziedzic, Konrad Dziedzic, Leszek A. Kołodziejczyk, Marcin Skrzypski, Leszek Sobiecki, Gdańskie Wydawnictwo Oświatowe, Gdańsk 1997.]. Ci tutaj — dziabnął tekst palcem — uprawiają seks, śpiewając sobie nawzajem. — Była to jakaś starożytna księga opisująca płaską planetę.

— Po co ci te bzdury? — spytałam.

— Szukam epigrafów — wyjaśnił.

Przeszukiwał stare teksty. W poszukiwaniu fikcyjnych kuzynów Gospodarzy przeglądał opisy Korian, Tukanów, Ithorian, Wess’harów i nieistniejących dwujęzykowych bestii. Nie podzielałam jego entuzjazmu dla tych groteskowych wymysłów.

— Weźmy choćby Księgę Przysłów rozdział piąty, werset czwarty — powiedział, wpatrzony w ekran. Nie prosiłam o wyjaśnienie. Czasem toczyliśmy takie potyczki. Gdy znalazłam się sama, otworzyłam Biblię i przeczytałam: „lecz w końcu będzie gorzka niby piołun i ostra jak miecz obosieczny” [Prz 5,4, tłum. wg Biblii Tysiąclecia.].

Gospodarze to nie jedyni poliwokalni pozaziemowicze we wszechświecie. Najwyraźniej istnieją też rasy emitujące dwa, trzy i więcej dźwięków jednocześnie, by się porozumieć. Gospodarze, czy też Ariekeni, wypadają dość skromnie w porównaniu z innymi. Ich mowę tworzą dwa przeplatające się głosy, zbyt skomplikowane tonalnie, by sprowadzić je do określeń „bas” i „dyszkant”. Dwa dźwięki — Gospodarze nie potrafią wydawać tylko jednego — wykształcone prawdopodobnie w toku ewolucji z ust właściwych i jakiegoś wyspecjalizowanego organu ostrzegającego przed zagrożeniem.

Pierwsi zelkowcy nagrali ich mowę, rozpracowali i zrozumieli.

— Słyszeliśmy dzisiaj, jak rozmawiali o nowym budynku — mówiły rozgorączkowane postacie na tridzie. — Dziś rozmawiali o swojej biopracy. Dziś wymieniali nazwy różnych gwiazd.

Oglądaliśmy Uricha i Becker, i ich kolegów, z których żaden nie był jeszcze wówczas sławny, jak naśladują głosy tubylców, powtarzając ich własne wypowiedzi.

— Wiemy, że tak brzmi powitanie. Wiemy to na pewno. — Patrzyliśmy, jak sławni lingwiści, nieżyjący już od dawna, odtwarzają nagrane wypowiedzi oczekującym Ariekenom. — Wiemy, że odbierają bodźce słuchowe — ciągnęła badaczka. — Wiemy, że porozumiewają się ze sobą wokalnie. Wiemy, że jeden z jego przyjaciół powiedział kiedyś dokładnie to, co odegrałam przed chwilą, i zrozumieli się nawzajem. — Nagrana postać potrząsnęła głową, a Scile powtórzył ten gest.

Z samego momentu eureka zachowały się jedynie pisemne świadectwa Uricha i Becker. Inni członkowie ekipy twierdzili później, że zapis jest nieprecyzyjny, ale to ten manuskrypt stał się podstawą legendy. Widziałam kiedyś wersję dla dzieci. Do dziś pamiętałam ten obrazek — Urich, którego wyrazista twarz musiała stanowić raj dla karykaturzysty, i Sura Becker o nieco subtelniejszych rysach, oboje wpatrywali się w Gospodarza okrągłymi oczami. Nigdy nie czytałam oryginalnego manuskryptu, póki Scile mi go nie pokazał:

suhail
jarr

Znaliśmy wiele różnych słów i fraz. Znałam ich najważniejsze powitanie:

Słyszeliśmy je każdego dnia i każdego dnia powtarzaliśmy — bezskutecznie.

Zaprogramowaliśmy swoje głosoprogi, by powtarzały je raz za razem — Ariekeni nie zwracali na nie uwagi. Aż w końcu odwróciliśmy się do siebie sfrustrowani i jednocześnie wykrzyknęliśmy po pół słowa, jakby to było przekleństwo. Urich krzyknął „suhail”, a Becker „jarr” w tym samym momencie. Arieken odwrócił się do nas i przemówił. Nie potrzebowaliśmy żadnych programów, by wiedzieć, co mówi. Spytał nas, kim jesteśmy. I o co chodziło. Nie zrozumiał nas, ale dopiero teraz zorientował się, że jest tu coś do rozumienia. Przedtem słyszał zsyntetyzowane głosy jedynie jako szum, ale tym razem, mimo że nasz okrzyk był znacznie mniej idealny niż jakikolwiek odtwarzany zapis, to jednak zrozumiał, że próbowaliśmy coś powiedzieć. Słyszałam w życiu wiele wersji tej nieprawdopodobnej historii. Od tej chwili — albo od chwili tego, co się naprawdę stało — w ciągu siedemdziesięciu pięciu kilogodzin nasi przodkowie zdołali rozpracować dziwną naturę Języka.

— Jest unikatowy? — zapytałam Scile’a, a gdy skinął głową, poczułam podziw, jakbym także była outsiderką.

— Nigdzie na świecie nie ma nic podobnego. Nigdzie, rozumiesz? Nie chodzi tu tylko o dźwięki. To nie w dźwiękach kryje się znaczenie.

Istnieją pozaziemie, którzy porozumiewają się w milczeniu. W znanym nam wszechświecie nie ma telepatów, ale niektóre języki są tak bezgłośnie, że równie dobrze mogłyby polegać na współdzieleniu myśli. Gospodarze do nich nie należą. Są empatami innego rodzaju. Gdy ludzie mówią „kot”, słowo to składa się z fonemów [k], [o] i [t], które w określonym kontekście oznaczają takie a nie inne zwierzę. Nie ma przy tym znaczenia, czy mówię to ja, czy Scile, czy Shur’asi, czy pozbawiony świadomości program, który nawet nie zdaje sobie sprawy, że wydaje dźwięki. Z Ariekenami jest całkiem inaczej.

Ich język, podobnie jak nasze, przypomina zorganizowany szum, ale w ich przypadku każde słowo działa jak lejek. Dla nas każde słowo coś oznacza, ale dla Gospodarzy słowo stanowi jedynie otwór — rodzaj drzwi, przez które ukazuje się myśl o desygnacie tego słowa.

— Jeśli zaprogramowałbym komputer, żeby odtwarzał wszechangielskie słowa, byłabyś w stanie wszystko zrozumieć — tłumaczył Scile. — Jeśli zrobię to samo ze słowami Języka i odtworzę je Ariekenom, będę je rozumiał, ale oni nie. Dla nich to tylko dźwięki, a to nie w nich tkwi znaczenie. Potrzebny jest jeszcze jakiś umysł zawiadujący komunikacją.

Umysły Gospodarzy funkcjonowały nierozdzielnie z ich podwójnym językiem. Nie byli w stanie nauczyć się innych języków, nie potrafili wyobrazić sobie ich istnienia; nie wiedzieli nawet, że te dźwięki, które wydają inne istoty, to w ogóle słowa. Gospodarz nie potrafił zrozumieć niczego, co nie zostało wypowiedziane w Języku przez jego użytkownika, z określoną intencją. To dlatego pionierzy ZLK byli tak zdezorientowani. Gdy odtwarzali wypowiedzi w Języku za pomocą swoich maszyn, Gospodarze słyszeli tylko pozbawiony znaczenia jazgot.

— Nie ma innego języka, który działałby w ten sposób. „Poza tym głos ludzki ma tę właściwość, że słyszy się go jako głos duszy samej” [G.W.F. Hegel, *Wykłady o estetyce*, t. 3, tłum. Janusz Grabowski, Adam Landman, PWN₁ Warszawa 1967.].

— Kto to powiedział? — Widać było, że cytuje.

— Nie pamiętam. Jakiś filozof. To zresztą nieprawda, i facet dobrze o tym wiedział.

— Albo babka.

— Albo babka. W odniesieniu do ludzkiego głosu to nieprawda. Ale co do Ariekenów... oni rzeczywiście słyszą duszę w każdym głosie. Dzięki temu ich słowa mają sens... Mają... — potrząsnął głową, jakby wahał się przed użyciem tego religijnego terminu — mają duszę. Wszystko w języku musi być prawdziwe. Dlatego konstruują porównania.

— Takie jak ja.

— Takie jak ty, ale nie tylko. Tworzyli porównania na długo, nim się tu zjawiliście. Ze wszystkiego, co mieli pod ręką. Ze zwierząt. Z własnych skrzydeł. Właśnie do tego służy ten głąz.

— Rozłupany i scalony. O to właśnie chodzi.

— Tak. Musieli go zrobić, by powiedzieć: „To, o czym mówię, jest jak głąz, który został rozłupany i scalony”. I opisać coś w ten sposób.

— Ale zanim tu przybyliśmy, nie robili tyłu porównań.

— Nie — zgodził się Scile. — To znaczy... nie.

— Ludzie potrafią pomyśleć o rzeczach, które nie istnieją — zastanawiałam się. — Oni najwyraźniej też. Muszą posiadać taką umiejętność, żeby móc zaplanować te porównania.

— Nie... nie do końca. Nie mają trybu warunkowego. W najlepszym przypadku to tylko duchy pojęć. Wszystko, co wyraża się w Języku, jest opisem rzeczywistości. Potrzebują porównań, żeby porównywać rzeczy do innych rzeczy, by uprawdopodobnić to, czego nie ma, a potrzebują to wyrazić. Może Język tego wymaga. Ta „dusza”, o której mówiłem wcześniej.. .

Słyszą ją też u Ambasadorów.

Lingwiści opracowali odpowiedni zapis — przypominający zapis nutowy — oddający spleciony strumień mowy Gospodarzy, a konkretnie jego dwa elementy z zapomnianego już powodu nazwane „skrót” i „skręt”. Ich — nasza — ludzka wersja Języka była bardziej elastyczna niż oryginał; stanowiła jedynie jego prymitywną, fonetyczną kopię. Można było go odtworzyć za pomocą programów albo zapisać. Gospodarze, dla których jedyną zrozumiałą formą Języka było wymówienie go przez myślącą istotę, nie byli w stanie korzystać z żadnego z tych kanałów.

„Nie możemy się go nauczyć — twierdził Scile. — Możemy co najwyżej odtwarzać te same kombinacje dźwiękowe. Nagieśliśmy metodologię do swoich potrzeb. Nasze umysły funkcjonują inaczej. Musieliśmy wypaczyć sens Języka, by się go nauczyć”.

Gdy Ulrich i Becker przemówili razem, łączyło ich silne, intensywne uczucie, jedno z nich zadziało jako „skrót”, drugie jako „skręt”, i mgnienie znaczenia zostało przesłane odpowiednim kanałem tam, gdzie zettabajty komputerów okazały się bezradne.

Oczywiście próbowali powtórzyć eksperyment, powtarzając zwroty „witajcie” i „chcemy porozmawiać”. Obejrzelismy nagrania, słuchając ich recytacji.

— Moim zdaniem wymawiają to bezbłędnie — stwierdził Scile. Nawet ja rozpoznawałam te frazy, ale Ariekeni jakoś nie. — U i B nie mają wspólnej jaźni — dodał mój mąż. — Za tymi słowami nie stoi jedna spójna myśl.

Gospodarze nie zareagowali jednak tą samą obojętnością, z jaką słuchali syntetycznych głosów. W większości przypadków wyglądali na niezainteresowanych, jednak ze szczególną uwagą nasłuchiwali kilku jąkających się par. Nie rozumieli, ale najwyraźniej zdawali sobie sprawę, że zachodzi tu jakaś próba komunikacji.

Lingwiści, śpiewacy i psychospecjaliści dogłębnie zbadali te pary mówców, które zdawały się wywierać największy efekt — w ten sposób opracowano test empatyczny Stadta-Dyadica. Jeśli uda się przekroczyć pewien próg na krzywej wzajemnego zrozumienia i uruchomi się maszyny łączące fale mózgowe, synchronizujące je ze sobą, wtedy — dopiero wtedy — dwójka ludzi może przekonać Ariekeniów, że wydawane przez nich dźwięki mają jakiś sens.

Jednak komunikacja pozostawała niemożliwa jeszcze przez kilka megagodzin po nawiązaniu kontaktu. Dopiero po dłuższym czasie te wczesne odkrycia dały jakiegokolwiek owoce. Bardzo niewiele par uzyskiwało wysoki wynik na skali Stad-ta — na tyle wysoki, by symulować jednolity umysł. Było to absolutne minimum konieczne, żeby porozumieć się z nowo odkrytym gatunkiem.

W końcu ktoś zażartował, że należałoby po prostu rozszcześcić parę osób na pół. I takie ujęcie sprawy podsunęło komuś rozwiązanie.

Pierwszymi rozmówcami Gospodarzy były gruntownie przeszkolone bliźnięta jednojajowe. Niewiele z nich radziło sobie z Językiem lepiej niż reszta z nas, ale ci, którzy potrafili, stanowili tu nieco większą mniejszość niż w przypadku innych grup kontrolnych.

Mówili okropnie — teraz już to wiemy — i nie obyło się bez licznych nieporozumień, ale każda, jakakolwiek komunikacja oznaczała handel i dalsze powody do nauki.

Widziałam w życiu tylko jedną parę identów spoza Ambasadorii — w porcie na Treony, lodowym księżycu. Pracowały jako tancerki, wykonując wspólny numer. Były, rzecz jasna, urodzone, nie skonstruowane, ale mimo wszystko zrobiły na mnie niesamowite wrażenie, właśnie przez to, że były do siebie tak bardzo podobne, ale tylko do pewnego stopnia. Ich włosy i ubrania nie były identyczne, ich głosy dawały się odróżnić. Chodziły różnymi drogami, rozmawiały z różnymi ludźmi.

Na Ariece już od wielu pokoleń, przynajmniej od dwóch megagodzin, Ambasadorzy nie

byli bliźniętami, lecz klonami. Tworzono ich po dwóch lub dwie na farmie Ambasadorów dążącej do wykształcenia odpowiednich uwarunkowań psychicznych. Bliźnięta krwi dawno zostały zdelegalizowane.

Za pomocą szkoleń, urządzeń i leków można wykształcić pomiędzy dwoma osobami ograniczony stopień empatii, ale to nie wystarczy. Ambasadorzy byli tworzeni i wychowywani tak, by wykształcić dwa jednolite umysły. Łączyły ich identyczne geny, ale nie one były najważniejsze — to wykształcone przez nie identyczne umysły sprawiały, że Gospodarze byli w stanie ich usłyszeć. Jeśli tylko wychowano ich odpowiednio, nauczono myśleć o sobie w odpowiedni sposób i wszczepiono łącza, po pewnym czasie potrafili na tyle dobrze symulować jedną jaźń, by Ariekeni mogli ich zrozumieć.

Na zewnątrz wciąż przeprowadzano testy Stadta, ale odkąd hodowaliśmy sobie własnych Ambasadorów na miejscu, nie miało to większego znaczenia. Nie trzeba już było szukać bezcennego potencjału pośród bardzo młodych bliźniąt. Z praktycznego punktu widzenia ten test stanowił archaizm — a przynajmniej tak mi się wydawało.

Później, 2

— Powitajmy, proszę... — w Sali Dyplomatycznej znów rozległ się czyjś głos, nie widziałam, kto mówi — ...nowego Ambasadora EzRę!

Od razu zgromadził się tłum. Nie widziałam tam żadnych bliskich znajomych, nikogo, komu mogłabym rzucić porozumiewawcze spojrzenie. Czekałam, aż EzRa skończą obchód. Był to kolejny przejaw ich niecodzienności — w miarę jak JoaQuin i Wyatt przedstawiali ich różnym ludziom, Ez i Ra stopniowo oddalali się od siebie. Od czasu do czasu zerkali w swoją stronę, jakby byli parą, ale już niedługo dzieliło ich kilka metrów. Zupełnie nie wyglądali jak duple, jak zwyczajny Ambasador. Pomyślałam, że ich łącze musi działać jakoś inaczej. Zmrużyłam oczy, wpatrując się w drobne mechanizmy. Każdy z mężczyzn miał wszczepiony nieco inny element — to było do przewidzenia. Maskując swe zakłopotanie ceremonialną grzecznością, JoaQuin poprowadzili Eza, a Wyatt Rę.

Każda z połówek nowego Ambasadora znalazła się pośrodku ciekawskiego tłumu. Większość z nas dopiero teraz mogła ich powitać. Ale dojrzałam tam kilku członków Personelu, a nawet Ambasadorów, których zainteresowanie wobec nowo przybyłego znacznie wykraczało poza krótką prezentację. LeNa, RanDolph i HenRy żartowali i śmiali się z Ezem, podczas gdy Ra stał nieopodal, równie nieśmiały jak AnDrew, i zadawał im jakieś pytania. Zauważyłam, że MagDa stoją na tyle blisko, by dotknąć jego ręki.

Przyjęcie toczyło się nadal. W końcu napotkałam wygenerowany obraz oczu EhRsul i mrugnęłam, nim zbliżył się do mnie Ra. Wyatt wydał okrzyk zachwyty i pocałował mnie w oba policzki.

— Avice! Ra, to jest Avice Benner Cho, jedna z naszych... no cóż, zajmuje się różnymi rzeczami. — Ukłonił się, jakby szedł na jakieś ustępstwo. — Jest jednym z naszych zanurza-czy. Przez dłuższy czas mieszkała na zewnątrz i teraz pozwala nam korzystać ze swych kosmopolitycznych doświadczeń.

Lubiłam Wyatta i jego gierki. Można by powiedzieć, że kokietowaliśmy się w walce o władzę.

— Witaj, Ra. Miło mi poznać — powiedziałam po chwili wahania, chyba zbyt krótkiej, by coś zauważył, i wyciągnęłam rękę. Wiedziałam, że nie powinnam go tytułować „panem” ani „ekscelencją”, z prawnego punktu widzenia nie był osobą, ale jej połową. Gdyby przyszedł razem z Ezem, mówiłabym im „Ambasadorze”. Skinęłam głową AnDrew, Mag i Dzie, którzy nie spuszczały z nas wzroku.

— Cała przyjemność po mojej stronie, sterniczko Cho — odparł cicho Ra. Po krótkim wahaniu ujął wyciągniętą dłoń.

— Wygląda na to, że właśnie zostałam awansowana — zaśmiałam się. — Proszę mi mówić Avice.

— Dobrze, Avice.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Ra był wysoki, szczupły i blady, miał długie włosy splecione w warkocz. Wydawał się trochę podenerwowany, ale w końcu wziął się w garść.

— Zawsze byłem pod wrażeniem waszych zdolności — powiedział w końcu. — Ja sam nie mogę się przyzwyczaić do nurtu. Niewiele w życiu podróżowałem, może to dlatego.

Już nie pamiętam, co na to odpowiedziałam, ale potem zapadła cisza.

— Musisz się tego nauczyć — podsunęłam po dłuższej chwili. — Prowadzenia rozmów towarzyskich. Od tej pory właśnie na tym będzie polegać twoja praca.

Uśmiechnął się.

— To chyba niesprawiedliwa ocena.

— Owszem — zgodziłam się. — Trzeba jeszcze pić wino i podpisywać papierki. — To go rozbawiło. — I właśnie w tym celu przybyliście na Ariekę. Po wsze czasy.

— Nie po wsze czasy — poprawił. — Tylko jakieś siedem-dziesiąt-osiemdziesiąt kilogodzin. Do następnego transportu. Potem wracamy do Bremen.

Byłam tak zaskoczona, że aż przestałam paplać. Oczywiście nie powinno mnie to zdziwić, ale... Ambasador opuszczający Ambasadorię? Ambasador, który miał stąd dokąd odejść? To było nie do pomyślenia.

Wyatt mruknął coś do Ry, a MagDa uśmiechnęły się do mnie za jego plecami. Lubiłam MagDę — tylko one wciąż traktowały mnie tak samo jak wcześniej, zanim pokłóciłam się z CalVinem.

— Pochodzę z Bremen — powiedział Ra. — Żałuję, że nie miałem w życiu okazji podróżować tyle co ty.

— Jesteś skrótem czy skrętem? — zapytałam.

Od razu zauważyłam, że nie podoba mu się to pytanie.

— Skrętem — odpowiedział po chwili. Był ode mnie starszy, ale bardzo niewiele.

— Jak to się stało? — drążyłam. — Ty i Ez? Potrzeba przecież całych lat, żeby... Jak długo ćwiczyliście?

— Cierpliwości, Avice — odezwał się Wyatt zza pleców Ry. — Dowiesz się wszystkiego... — Uniósł brwi, jakby w przy-ganie, ale ja tylko powtórzyłam ten gest. Przez chwilę patrzyli po sobie z Rą, aż w końcu przybysz odpowiedział:

— Jesteśmy przyjaciółmi. Przetestowano nas już dawno... kilka kilogodzin temu. Właściwie stało się to przypadkiem, w ramach wystawy poświęconej metodzie Stadta.

Przerwał, słysząc rosnący gwar. Mag lub Da powiedziały coś i ze śmiechem odgrodziły mnie od Ry.

— Denerwuje się — stwierdził cicho Wyatt.

— Chyba nie jest w swoim żywiole — dodałam. — A ty na jego miejscu jak byś się czuł? Biedak. Oglądamy go jak zwierzę w klatce.

— Biedak? Dziwne, że akurat ty go tak nazywasz.

— Mamy dziwne czasy.

Muzyka zagłuszyła nasz śmiech. Wokół pachniało perfumami i winem. Patrzyliśmy na EzRę, którzy tak naprawdę byli Ezem i Rą i teraz stali oddaleni od siebie o kilka metrów. Ez przekomarzał się z rozmówcami, najwyraźniej świetnie się przy tym bawiąc. Gdy napotkał mój wzrok, przeprosił ich i podszedł do naszej grupki.

— Witaj, Avice — powiedział. — Widzę, że już poznałaś mojego kolegę. — Wyciągnął do mnie rękę.

— Twojego... kolegę? Tak, poznałam. — Potrząsnęłam z dezaprobatą głową. JoaQuin stali po obu stronach Eza, niczym nadopiekuńczy rodzice. Skinęłam im głową na powitanie. — Kolegę. Chyba chcesz nas wszystkich doszczętnie zszokować, Ez.

— Ależ nie. Wcale nie, bynajmniej... — Uśmiechnął się przepaszająco do stojących po bokach dubli. — Tyle że... To po prostu trochę inna metoda.

— Z pewnością będzie to dla nas bezcenne doświadczenie — stwierdził jowialnie Joa lub Quin. Potem przemówili w tandemie:

— Zawsze powtarzałaś...

- ...że zbyt kurczowo trzymamy się wyznaczonych ram, Avice. To będzie...
- ...doskonałe doświadczenie dla nas i dla całej Ambasadorii.
- Jeden z nich klepnął Eza po ramieniu.
- Ambasador EzRa są wybitnym lingwistą i biegłym urzędnikiem.
- Może jeszcze wspomnicie coś o „świeżej krwi”, Ambasadorze?
- Czemu nie? — zaśmiali się JoaQuin. — Czemu nie? Przecież właśnie o to chodzi.

* * *

Ehrsul i ja zachowywałyśmy się niegrzecznie na wszystkich takich imprezach — stałyśmy blisko siebie, szeptałyśmy i robiłyśmy miny. A zatem gdy zamachała tridową ręką, by zwrócić moją uwagę, podeszłam, mając nadzieję na zabawę. Ale ona tylko wyszeptała gorączkowo:

- Scile przyszedł.
- Nie obejrzałam się.
- Na pewno? — spytałam.
- Nie sądziłam, że się tu zjawi.
- Nie wiem co... — zaczęłam i urwałam. Nie widziałam go już od jakiegoś czasu.

Przygryzłam palec, wyprostowałam plecy. — Przyszedł z CalVinem, prawda?

- Będę musiał was rozdzielać? — rozległ się jakiś głos.

Znowu Ez. Najwyraźniej wyrwał się spod kurateli JoaQuina. Zaproponował mi drinka. Coś poruszyło mu się w środku i cyzele zamigotały, zmieniając barwę aureoli. Zdałam sobie sprawę, że za pomocą swoich wszczepów mógł podsłuchać naszą rozmowę. Skupiłam na nim wzrok, próbując nie rozglądać się za Scile'em. Ez był niższy ode mnie i bardzo umięśniony. Włosy przystrzygł krótko.

— Ez, to jest Ehrsul — przedstawiłam przyjaciółkę. Ku mojemu zaskoczeniu spojrzął na nią i bez słowa odwrócił się znów do mnie. Aż mnie zatkało z powodu takiego nietaktu.

— Dobrze się bawisz? — zapytał. Po jego tęczęwkach przesuwaly się drobne iskierki. Ehrsul wycofała się powoli. Miałam zamiar podążyć jej śladem, wyniośle ignorując Eza, ale ona szybko wyświetliła krótki komunikat: „Zostań, zrób rozpoznanie”.

- Musisz się dużo bardziej postarać — powiedziałam cicho.
- Co takiego? — Był wyraźnie zaskoczony. — Mówisz o swojej...
- Ona nie należy do mnie. — Ez wpatrywał się we mnie oszołomiony.
- Ten autom? Przepraszam, nie chciałem.
- To nie mnie powinieneś przeproszać — ucięłam bezlitośnie. Mężczyzna zwiesił głowę.
- Co monitorujesz? — zapytałam po chwili ciszy. — Widzę, że masz uruchomione

wyświetlacze.

— Robię to z przyzwyczajenia. Temperatura, zanieczyszczenia powietrza, szum tła. Większość z tych rzeczy nie jest mi do niczego przydatna. Przez wiele lat pracowałem jako... no cóż, przyzwyczailem się sprawdzać otoczenie na obecność ukrytych vidów, tridów, takich rzeczy. — Uniosłam brew. — Domyślnie uruchamiam też autotłumacza.

— Czyżby? Bardzo ciekawe. A teraz powiedz prawdę. Masz w uszach jakieś oprogramowanie? Ścieżkę dźwiękową?

- Nie — zaśmiał się. — Wyrosłem. Nie robiłem tego... już chyba od dwóch tygodni.

— Po co ci autotłumaczenie? Przecież... — Dotknęłam jego ramienia, udając napad paniki. — Ty chyba rozumiesz Język, prawda? Jeśli nie... obawiam się, że zaszło straszliwe nieporozumienie.

Znów się zaśmiał.

— Spokojnie, jakoś radzę sobie z Językiem. — Po czym poważnie dodał: — Ale nie znam żadnych dialektów Kedisów ani Shur’asi, ani...

— Och, spokojnie. Dziś wieczorem nie będzie tu żadnych pozaziemów, oczywiście oprócz Gospodarzy. — Byłam zaskoczona, że tego nie wiedział. Ambasadoria była kolonią Bremen i obowiązywało tu prawo bremeńskie, które przyznawało naszym nielicznym pozaziemom jedynie status pracowników czasowych.

— A ty? — zapytał Ez. — Nie widzę żadnych cyzeli. Znasz Język?

Przez chwilę naprawdę nie wiedziałam, co ma na myśli.

— Nie. Kazałam pozamykać sobie wszystkie gniazda. Miałam kiedyś kilka wszczepów, przydają się podczas zanurzania. A poza tym podejrzewam, że mogą pomagać w zrozumieniu Gospodarzy. Ale jak dla mnie są zbyt... inwazyjne.

— O to właśnie chodzi.

— Dlatego mogę się pogodzić z ich obecnością, jeśli są mi do czegoś przydatne, ale Język to dla nich za dużo. Za pomocą wszczepu słyszy się jedynie absurdalny ciąg słów: Witajcie ukośnik pytajnik czy wszystko w porządku? nawias pytajnik po kompatybilności czasowej ukośnik podejrzenia życzliwości sześćdziesiąt procent podejrzeń wiara że rozmówca chce przedyskutować temat czterdzieści procent, ple, ple. — Uniosłam brew. — To nie ma żadnego sensu.

Ez nie spuszczał ze mnie wzroku — prawdopodobnie przejrzał moje kłamstwo. Musiał wiedzieć, że sam pomysł używania auto tłumacza do przetwarzania Języka z punktu widzenia Ambasadorianina byłby wręcz bluźnierczy. Legalna, ale mimo to odrażająca impertynencja. Sama nie wiedziałam, dlaczego postanowiłam udzielić tak wykrętnej odpowiedzi.

— Słyszałem o tobie — powiedział. Czekałam na dalszy ciąg. Jeśli EzRa mieli choćby krztynę rozsądku, to przygotowali sobie jakąś osobistą wypowiedź dla każdej z osób, które mogli tu dzisiaj spotkać. Ale jego dalsze słowa zupełnie mnie zaskoczyły: — Ra przypomniał mi, gdzie wcześniej słyszeliśmy twoje imię. Brałaś udział w porównaniu, prawda? I pewnie bywałaś też w mieście? Poza Ambasadorią?

— Tak, zdarzyło się.

— Przepraszam, chyba... Wybacz, jeśli... To nie moja sprawa.

— Nic się nie stało, po prostu mnie zaskoczyłeś.

— To chyba oczywiste, że o tobie słyszałem. Odrobiliśmy pracę domową. Niewielu Ambasadorian dokonało czegoś podobnego.

Nie odpowiedziałam. Trudno powiedzieć, co czułam, słysząc, że moje nazwisko pojawiło się w raportach wysyłanych do Bremen. Pochyliłam kieliszek, pożegnałam się z Ezem i podążyłam za korpusem Ehresul manewrującym w tłumie.

* * *

— I jak wygląda ich historia? — zapytałam. Ehresul wzruszyła wygenerowanymi ramionami.

— Ez jest uroczy, prawda? — stwierdziła zgryźliwie. — Ra wydaje się lepszy, ale za to nieśmiały.

— Jest coś w sieci? — spytałam, wiedząc, że automka prawdopodobnie próbowała włąmywać się do różnych miejsc.

— Niewiele. To chyba jakiś pomysł Wyatta. Puszy się jak paw. To dlatego Personel jest taki spięty. Udało mi się odszyfrować jakieś odpryski ich korespondencji. Mam wrażenie, że Personel zmusił EzRę, żeby poddali się testowi. Upłynęło mnóstwo czasu, odkąd ostatni raz mieliśmy tu Ambasadora z zewnątrz. Klócili się o to, czy ktoś, kto nie uczył się Języka jako

dziecko, jest w stanie wylapać wszystkie niuanse. Chyba nie podoba im się ta nominacja.

— Technicznie rzecz biorąc, oni także są nominowani — zauważyłam. Personel tego nie znosił: po przybyciu Wyatt, jak każdy attaché, musiał oficjalnie upoważnić wszystkich Ambasadorów, by mogli działać w imieniu Bremen. — I jaki był wynik testu? EzRa zdali?

Ehrsul wzruszyła ramionami.

— Gdyby nie zdali, nie byłoby ich tutaj.

Wtedy coś się zmieniło w sali. Nagła świadomość, że mimo wszechobecnego nastroju biesiadnego wszyscy poczuli, że powinni się na czymś skupić. Działo się tak za każdym razem, gdy do sali wchodził Gospodarze.

* * *

Uczestnicy starali się zachować grzecznie — tak jakby Gospodarza dało się urazić, tak jakby rozpatrywali grzeczność na jakiejś zrozumiałej dla nas płaszczyźnie. Mimo to większość z nas kontynuowała rozmowy i starała się nie gapić.

Wyjątek stanowili członkowie załogi statku, otwarcie wpatrujący się w obce istoty, których nigdy wcześniej nie widzieli. W drugim krańcu sali dostrzegłam swojego sternika, wyraz jego twarzy był trudny do opisanie. Kiedyś miałam pewną teorię na ten temat. Próbowałam zrozumieć, jak to działa: nieważne, jak bardzo obcy i kosmopolityczni byśmy byli, jak bardzo zróżnicowane byłoby nasze społeczeństwo, nigdy nie potrafimy zachować obojętności w obliczu jakiegokolwiek pozaziemskiej rasy. Według tej teorii jesteśmy tak uwarunkowani ziemską psychofizjologią, że widok czegokolwiek, co nie powstało w naszym rodzinnym zaścianku, jest odruchowo identyfikowany jako coś nienaturalnego.

Wcześniej, 2

Nie miałam pojęcia, jak Scile'owi spodoba się życie w Ambasa-dorii. Z całą pewnością nie był pierwszym outsiderem, który przybył tu z reemigrantem, ale nigdy nie spotkałam innych.

Spędziłam wiele czasu na statkach w nurcie albo na planetach o cyklu dobowym niekorzystnym dla ludzi. Po powrocie do domu po raz pierwszy od tysięcy godzin mogłam się pozbyć implantów dobowych i żyć według rzeczywistego rytmu solarnego. Wraz ze Scile'em przyzwyczajaliśmy się do dziewiętnastogodzinnego ariekeńskiego dnia tradycyjnymi metodami — spędzając jak najwięcej czasu na zewnątrz.

— Ostrzegałam cię — powiedziałam. — To naprawdę dziura.

Teraz wspominam te dni z prawdziwą przyjemnością, ale wtedy bez przerwy podkreślałam, jak wiele poświęcenia mnie to kosztowało — powrót do tej dziury! z zewnątrz! normalnie regres! A jednak wychodząc z pociągu w strefie aeoli i po raz pierwszy od dawna wdychając zapach domu, byłam szczęśliwsza, niż się spodziewałam. Znów poczułam się dzieckiem, choć oczywiście było to zupełnie inne uczucie. Bycie dzieckiem jest zupełnie przezroczyście. Dopiero później, gdy wspominamy tamte wrażenia, odruchowo kojarzymy je z młodością.

Pierwsze dni po powrocie spędziłam, chodząc w glorii sławy i zadając zanurzaczkowego szyku. Zostałam powitana z radością przez znajomych, którzy nie wierzyli, że jeszcze mnie zobaczą, i nie przekonała ich nawet informacja o moim powrocie przesłana poprzednim wiadomością.

Nie byłam bogata, ale miałam oszczędności w bremeńskich eumarkach. Była to podstawowa waluta Ambasadorii, ale rzadko kto miał szansę ją oglądać — biorąc pod uwagę to, że od metropolii dzieliło nas wiele kilogodzin drogi, nasza mała gospodarka musiała być samowystarczalna. Przez szacunek dla eumarki nasza miejscowa waluta, podobnie jak we wszystkich koloniach Bremen, nazywała się „ersatz” i była bezwartościowa poza granicami miasta. Wybrałam część pieniędzy i zabrałam ze sobą — kwota, która pozwoliłaby mi przeżyć w Bremen kilka miesięcy, w Ambasadorii mogła wystarczyć do następnego transportu, a może nawet do następnego po nim. Miałam wrażenie, że znajomi nawet niezbyt mi zazdroszczą; uważali, że zarobiłam je uczciwie na zewnątrz. Powiedziałam im, że zamierzam fukować. Nie była to do końca prawda — nie było żadnych rozkazów, które należało wypełniać minimalnym nakładem sił, po prostu byłam bez pracy — ale wszystkim spodobało się użycie zanurzaczkowego slangu. Uznali, że mam prawo do bezczynności.

Moi rodzice zmianowi, którzy jeszcze pracowali, przygotowali mi przyjęcie powitalne. Trochę zaskoczyło mnie to, jak bardzo się tym ucieszyłam, z jaką radością ucałowałam, wyściskałam i powitałam tych miłych, życzliwych ludzi. Niektórzy z nich byli już wyraźnie starsi, ale inni praktycznie się nie zmienili.

— Mówiłem wam, że wróci! — powtarzał Tata Shemmi, tańcząc ze mną po pokoju. — Mówiłem!

Odpakowali świecidełka i ozdóbki, które przywiozłam im z Bremen.

— Och, kochanie, nie trzeba było! — wykrzyknęła Mama Quiller na widok bransoletki z cyzelami estetycznymi. Potem ojcowie i mamy nieśmiało przywitali się z moim mężem. Scile stał i uśmiechał się pośrodku udekorowanej serpentynami sali, podczas gdy ja upijałam się metodycznie, i przez cały wieczór odpowiadał na te same pytania.

Spotkałam kilku swoich kolegów z dzieciństwa, w tym Simmona, ale nigdy nie zobaczyłam Yohna, choć trochę się tego spodziewałam. Zaprzyjaźniłam się z ludźmi z innych warstw. Zaczęli mnie zapraszać na przyjęcia w Ambasadzie. Zanim wyjechałam, nie miałam z tym towarzystwem nic wspólnego — teraz ludzie, których znałam wyłącznie z widzenia i słyszenia, stali się nagle znajomymi, wręcz kolegami. Jednak zabrakło wśród nich przynajmniej kilku osób.

— Gdzie jest Oaten? — zapytałam o człowieka, który często wypowiadał się w imieniu Personelu na naszym am-basadoriańskim tridzie. — Gdzie jest Tata Renshaw? Gdzie jest GaeNor? — Tak nazywała się ta starsza Ambasadorka, którą spotkałam kiedyś w domu Brena, tamtego dnia, gdy zaoferowano mi odegranie porównania. „Avice Benner Cho, prawda?” — powiedziały wtedy z tak piękną intonacją, że włączyłam ten zwrot do swojego wewnętrznego idiolektu i za każdym razem, gdy się przedstawiałam, słyszałam ciche „prawda?”, rozbrzmiewające gdzieś z tyłu głowy. — Gdzie jest DalTon? — spytałam też o owego niesławnego Ambasadora, znanego z zamiłowania do intryg i machinacji, obaj mówili o swoich sporach z kolegami znacznie bardziej otwarcie, niż to było przyjęte. Chciałam ich poznać, odkąd dowiedziałam się, że to oni publicznie okazali wściekłość, wtedy przed laty, gdy pękł wiab.

Oaten odszedł na emeryturę, Renshaw zmarł młodo (odkryłam, że trochę mnie to zasmuciło). GaeNor zmarły, najpierw jedna i prawie natychmiast po niej druga; prawdopodobnie z rozpaczy i szoku łączowego. DalTon — po dłuższym konflikcie z kolegami i jakimś ostatecznym ultimatum w niejasnej, zabójczej grze Personelu — zniknęli albo zostali zniknięci. Zaintrygowana, próbowałam zbadać tę sprawę, ale do niczego nie doszłam. Jako reemigrant miałam prawo zadawać takie pytania Ambasadorom, ale umiałam też wyczuć, na ile mogę sobie pozwolić.

Pamiętam, że żywiłam wtedy niesłuszne, ale bardzo szczerze przekonanie, iż dzięki pobytowi na zewnątrz stałam się bystrzejsza, bardziej sarkastyczna i dowcipniejsza od swoich rodaków. Ambasadorianie przyjęli Scile’a bardzo życzliwie. Chyba trochę ich fascynował i sam był nimi zafascynowany. Odwiedził wcześniej kilka światów, ale potem zjawił się w Ambasadorii, jakby przeszedł przez jakieś drzwi, które nagle otworzyły się w ścianie. Wszystko go ciekawiło. Nasz związek nie był tajemnicą. Małżeństwa niewyłączne były znane w Ambasadorii, ale należały do rzadkości. Z upływem dni spędzaliśmy razem coraz mniej czasu — Scile rozbudowywał swój własny krąg towarzyski.

— Ostrożnie — przestrzegłam go po jednym przyjęciu, gdzie mężczyzna imieniem Ramir próbował flirtować z moim mężem, wykorzystując cyzele, by nadać swej twarzy prowokacyjny wyraz. Nie widziałam, by Scile kiedykolwiek wykazywał zainteresowanie mężczyznami, ale na wszelki wypadek poinformowałam go, że homoseks jest trochę nielegalny. Oczywiście nie licząc Ambasadorów.

— A ta kobieta w Ambasadzie? Damier? — zapytał wtedy.

— Należy do Personelu. Zresztą mówiłam, że jest tylko trochę nielegalny.

— Jakie to dziwne.

— O tak. To cudowne.

— Wiedzą, że kiedyś poślubiłaś kobietę?

— Ja byłam na zewnątrz, kochany. Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Pokazałam mu miejsca, gdzie bawiłam się jako dziecko. Chodziliśmy do galerii na wystawy tridów. Scile był zafascynowany włączającymi się po Ambasadorii automami, snującymi się niczym melancholijni żebracy.

— Zdarza się, że wchodzi do miasta? — zapytał.

Czasem tak było, ale nawet gdy je przyłapał, ich SI były zbyt mało zaawansowane, by

odpowiedzieć na jego pytania.

Przede wszystkim interesował go, oczywiście, Język, ale doceniał też inne ciekawostki. Był pod wrażeniem ariekeńskich biodyfikatów. Odwiedzając znajomych, wpatrywał się niczym rzeczoznawca w niby-żywe artefakty. Architektoniczne filigrany, medyczne modyfikacje, protezy i tym podobne. Czasem stawał ze mną na skraju strefy prądów aeoliańskich, na tarasach i balkonach, patrząc na stada pasących się fabryk i elektrowni. Patrzył na miasto przede wszystkim jako na miejsce, gdzie mówiono Językiem, ale ono samo także go interesowało. Raz zamachał ręką jak dziecko i choć stojące w oddali konstrukty nie mogły nas widzieć, zdawało się, że jedna z elektrowni zastrzygła antenką w odpowiedzi.

Nieopodal centrum Ambasadorii leżały ruiny pierwszego archiwum. Gruz pewnie dałoby się uprzątnąć, ale minęło już kilka pokoleń, odkąd budynek runął — ponad półtora megagodziny, ponad pół miejscowego stulecia. Nasi planiści prawdopodobnie uznali, że ludzie potrzebują jakichś ruin. Czasem zaglądały tu dzieci — ja także — a czasem zarośnięte gruzowisko roilo się od ziemskich zwierząt i nielicznych miejscowych stworzeń, które były w stanie oddychać naszym powietrzem. Scile także je obserwował.

— Co to jest? — zapytał, wskazując na rudego małpo-kształtnego stwora o psiej głowie, który akurat wdrapywał się po rurze.

— To lis — odparłam.

— Czy to modyfikat?

— Nie wiem. Jeśli tak, to bardzo stary.

— A to?

— Kawka. Kot kolcogrzbity. Pies. Coś miejscowego, nie wiem, jak się nazywa.

— Tam, skąd pochodzę, są inne psy — odpowiadał Scile albo powtarzał wyraźnie: — Kaw-ka.

Nieznana, ariekeńska przyroda interesowała go najbardziej.

Któregoś dnia spędziliśmy kilka godzin w bardzo ostrym słońcu. Siedzieliśmy, rozmawialiśmy, a potem milczeliśmy — na tyle długo, że zwierzęta i miejscowa abflora zapomniały o naszej obecności i potraktowały nas jak element krajobrazu.

— Zobacz — powiedziałam cicho.

Z gromadki zwierząt wyłonił się niezręczny mały dwunóg, ciągnąc za sobą krwawiący korpus.

— Jest ranny — stwierdził Scile.

— Nie do końca — odpowiedziałam. Podobnie jak każde dziecko w Ambasadorii, wiedziałam, co to za stwór — Zobacz. To łowca. — Wskazałam na małego, zajadłego altbor-suka, którego czarno-białe futro zbryzgane było posoką. — A jego ofiara nazywa się rwacz. To, co tam biegnie, to też jego część. Wyglądają jak dwa różne zwierzęta, ale spójrz. Widzisz, że ogon tamtego jest cały poszarpany? A głowa tego, który teraz walczy z altborsukiem, też jest zakrwawiona? To mózgołowa i ciałołowa tego samego zwierzęcia. Rozrywają się, gdy coś zaatakuję rwacza. Ciałołowa odpięra napastnika, a mózgołowa biegnie wykorzystać ostatnią szansę na rozmnożenie.

— Nie przypomina innych miejscowych zwierząt — stwierdził Scile. — Ale... chyba nie jest ziemskie? — Ciałołowa rwacza powoli wygrywała, przypierając altborsuka do ziemi. — Zanim się rozerwał, miał osiem nóg. Na Ziemi nie było chyba zbyt wielu ósmionogów, prawda? Może pod wodą, ale...

— Nie jest ani ziemskie, ani ariekeńskie. Przybyło tu przypadkiem parę kilogodzin temu na statku Kedisów. To nomadowie. Chyba mają apetyczny zapach, bo wiele zwierząt je atakuje. Ale nawet jeśli zwyciężą, to i tak nie mogą się pożywić. Mięso rwacza jest dla nich niestrawne

albo wręcz trujące. Biedni mali uchodźcy.

Mózgopółowa rwacza siedziała w cieniu zwalonego kamienia, obserwując triumf swych byłych tylnych łap. Świergotała przy tym jak surykotka albo mały dinozaur. Zabrała jedyną parę oczu rwacza i teraz ciałopółowa obracała się w ślepym gniewie, szukając kolejnych wrogów.

W odruchu dziwnego sentymentalizmu Scile wstał, z pewnym trudem uniknął ciosu pazurów — niezły wyczyn, biorąc pod uwagę, że resztką stworzenia była w tej chwili motywowana już wyłącznie do walki — i zaniósł do domu. Przeżyło jeszcze kilka dni. Scile zbudował klatkę, do której wkładał jedzenie, a rwacz w pośpiechu chwycił kęsy, wciąż chodząc w kółko, choć nie było już żadnego mózgu, który mógłby chronić. Próbował walczyć ze wszystkimi gałązkami i paskami tkaniny, które wetknęliśmy do klatki. Potem zdechł i szybko się rozłożył, niczym nasolony pomrów.

Przy murze monet opowiedziałam Scile'owi o swoim pierwszym spotkaniu z Brenem. Przez jakiś czas nie byłam pewna, czy powinnam go tam zabrać, i to mnie zirytowało, więc się zmusiłam. Scile długo oglądał budynek.

— Wciąż tam mieszka? — spytałam przekupnia ze straganu obok.

— Rzadko go widuję, ale jest tam na pewno. — Mężczyzna wykonał gest odwracający złe uroki.

W ten sposób przeprowadziłam Scile'a przez całe swoje dzieciństwo. Któregoś ranka przy śniadaniu pokazałam mu grupę młodych Ambasadorów praktykantów na ściśle nadzorowanej wycieczce do miasta, które pewnego dnia mieli odziedziczyć. Było ich pięcioro czy sześcioro, najwyraźniej wszyscy z tej samej serii. Towarzyszyło im dwoje dorosłych Ambasadorów, kobiety i mężczyźni, ale z tej odległości nie mogłam ich rozpoznać. Łącza ich podopiecznych migotały opętańczo.

— Co oni robią? — zapytał Scile.

— Nie wiem. Może bawią się w poszukiwanie skarbów? Albo prowadzą lekcje? A najprawdopodobniej pokazują im ich przysze włosci.

Ku mojemu lekkiemu zakłopotaniu i wesołości innych klientów kawiarni Scile wstał, by popatrzeć, jak odchodzą, wciąż żując mięsisty ambasadoriański chleb, który podobno bardzo mu smakował (ale mnie od czasu powrotu zdawał się zbyt ascetyczny).

— Często widujecie tu takie rzeczy?

— Chyba nie — odparłam.

W dzieciństwie bardzo często widywałam takie wycieczki. Jeśli akurat byłam z kolegami, próbowaliśmy spojrzeć w oczy jednemu z przyszłych Ambasadorów, a gdy się udało, uciekaliśmy ze śmiechem, czasem przegonieni przez ich opiekunów. Czasem przez kilka minut oddawaliśmy się jakiejś nerwowej, ostentacyjnej zabawie.

Wpatrzyłam się w swój talerz, czekając, aż Scile usiądzie.

— Co myślisz o dzieciach? — zapytał.

Odruchowo spjrzałam w ślad za młodymi dublami.

— Ciekawy tok skojarzeń — stwierdziłam. — Tutaj jest inaczej niż... — W kraju Scile'a, chyba nawet na całym jego świecie, dzieci wychowywały się w rodzinach liczących zazwyczaj od dwóch do sześciu członków, z którymi były bezpośrednio powiązane genetycznie. Scile wspominał w rozmowach swą matkę, ojca, ciotkojców i innych krewnych, wielokrotnie i z pewną czułością. Nie widział ich już od dawna, tego typu więzi na zewnątrz zwykle ulegają osłabieniu.

— Wiem — powiedział. — Tylko że... — wskazał ręką na miasto — tu jest bardzo miło.

— Miło?

— Coś w nim jest.

— „Coś”. Od razu widać, że język to twoja specjalność. W każdym razie udam, że tego nie słyszałam. Dlaczego miałabym skazywać kogokolwiek na życie w tej dziurze?

— Och, przestań. — Uśmiechnął się, a w jego głosie zabrzmiało tylko ledwie dosłyszalne zniecierpliwienie. — Wiem, zdołałaś się stąd wyrwać, ale tak naprawdę wcale nie czujesz się tu tak źle, jak udajesz. Nie zależy ci na mnie aż tak bardzo, żeby przyjeżdżać do miejsca, którego nienawidzisz. — Znów się uśmiechnął. — Aw ogóle, dlaczego ci to przeszkadza?

— Chyba o czymś zapomniałeś. Nie jesteśmy już na zewnątrz. W Bremen większość naszej technologii — nie licząc biodyfikatów, a nawet to dostajemy wyłącznie dzięki dobrym układom z sam-wiesz-kim — uchodzi za prymitywną medycynę połową. Dotyczy to również seks-techu. Wiesz, skąd się biorą dzieci? Ty i ja nie mamy zbyt wielu możliwości, aby...

— Racja. — Scile zaśmiał się i ujął mnie za rękę. — Kompatybilni wszędzie z wyjątkiem sypialni.

— A kto powiedział, że chciałabym to zrobić w sypialni?

— Miało to zabrzmieć żartobliwie, nie uwodzicielsko.

* * *

Teraz, z perspektywy czasu, to wszystko wygląda zupełnie jak preludium. Pamiętam, że po raz pierwszy zobaczyłam całkowicie obce istoty — nieznane mi z własnej planety — w awanturycznym miasteczku na maleńkiej planecie, którą nazywano Sebzii. Przedstawiono mnie grupie rojostworów. Nie miałam pojęcia, skąd się wzięły ani skąd pochodził ich gatunek, i od tamtego czasu nie widziałam ich już więcej. Jeden z nich podszedł do mnie na pseudokończynie, nachylił swoje wrzecionowate ciało i wtedy z maleńkiej komory pełnej poszarpanych zębów dobiegł głos mówiący idealnym wszechangielskim.

— Pani Cho? Miło mi panią poznać.

Scile zareagował na obecność Kedisów, Shur’asi i Panne-getchów ze znacznie większym opanowaniem. Wygłosił kilka wykładów we wschodniej Ambasadorii, opowiadając o swoim życiu i podróżach (byłam pod wrażeniem — mówił samą prawdę, a jednak sprawiał wrażenie, jakby całe jego życie było spójne i precyzyjnie zaplanowane). Po skończonym wykładzie podeszła do niego trojka Kedisów, mrugając chromatofora-mi rozszanymi we frędzlach, a mówca trojki, androginiczna onsamica, podziękowała mu za wystąpienie i uściśnęła dłoń chwytnymi genitaliami.

Scile przedstawił się też mieszkającemu po sąsiedzku sklepikarzowi Shur’asi, którego nazywaliśmy Wietrzyk — Scile ostentacyjnie i nie bez przyjemności poinformował mnie, jak się naprawdę nazywa — i nawiązał z nim krótką przyjaźń. Mieszkańcy byli oczarowani ich wspólnymi spacerami: Scile przyjaźnie obejmował korpus Wietrzyka, a rzęsy Shur’asi przesuwwały się w rytmie kroków towarzysza. Licytowali się opowieściami.

— Tyle opowiadasz o tym całym nurcie — mówił na przykład Wietrzyk. — Spróbuj się kiedyś przejechać statkiem z napędem spiralnym. Jak rany, to jest dopiero jazda!

Nie mogłam ustalić, czy jego umysł rzeczywiście był tak zbliżony do naszego, jak sugerowały to jego opowieści. Z całą pewnością dobrze radził sobie z rozmową towarzyską, potrafił nawet całkiem wiernie naśladować łamany wszechangielski swojego sąsiada na potrzeby jakiegoś skomplikowanego żartu.

Scile’owi, rzecz jasna, najbardziej zależało na spotkaniu z Arieckenami. To ich język i zwyczaje studiował po nocach, gdy nie był zajęty życiem towarzyskim. To do nich wciąż nie mógł dotrzeć.

— Nadal nie mogę się o nich niczego dowiedzieć — stwierdził rozczarowany. — Jacy są, co myślą, jak żyją, czym się zajmują. Nawet materiały tworzone dla Ambasadorów, opisujące ich

pracę, czyli, no wiesz, interakcje z Ariekenami, są... strasznie powierzchowne. — Spojrzał na mnie, jakby czegoś chciał. — Wiedzą, co mają robić. Ale sami nie wiedzą, co właściwie robią.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałam, czego dotyczy jego zarzut.

— Rozumienie Gospodarzy nie należy do obowiązków Ambasadora.

— A zatem czyich?

— Niczyich. Nikt ich nie musi rozumieć. — Chyba właśnie wtedy po raz pierwszy dojrzałam dzielącą nas przepaść.

W tamtym czasie znaliśmy już Ghardę, Kayliegh i innych, zarówno Ambasadorów, jak i ich przyjaciół. Zaprzyjaźniłam się z Ehrsul. Automka żartowała z mojego braku zajęcia (w przeciwieństwie do większości Ambasadorian znała określenie „flokier”, zanim je spopularyzowałam), a ja odwdzięczałam się tym samym. Jako autom Ehrsul nie miała ani praw, ani obowiązków, ale, o ile się zorientowałam, jej poprzedni właściciel zmarł, nie spisawszy testamentu, dlatego nigdy nie przeszła na własność kogoś innego. Istniały różne kruczki prawne, dzięki którym teoretycznie można było próbować ją przejąć, ale po tak długim czasie byłby to po prostu skandal.

— To tylko parę linijek kodu — powiedział Scile, gdy wyszła, chociaż dodał, że znacznie wykracza poza wszystko, co widział wcześniej. Bawiła go nasza relacja. Nie podobało mi się to, ale zawsze był wobec niej nienagannie uprzejmy, zupełnie jakby uważał ją za osobę, więc postanowiłam się o to nie kłócić. Zainteresował się nią tylko raz, gdy zdał sobie sprawę, że Ehrsul nie oddycha, więc mogłaby wejść do miasta. Powiedziałam mu prawdę: kiedyś ją o to spytałam, a ona przyznała, że nigdy tam nie chodzi. Nie wiedziałam dlaczego, a ona, biorąc pod uwagę ton jej głosu, prawdopodobnie nie była skłonna do wyjaśnień.

Czasem proszono ją, by coś pomajstrowała przy ambasadoriańskich SI i automach, co wymagało bliskich kontaktów z Personelem; często pojawiałyśmy się na tych samych wieczorkach. Zapraszano mnie, bo też miałam swoje zastosowania. Byłam na zewnątrz, i to dużo później niż ktokolwiek z moich przełożonych (bardzo niewielu pracowników Ambasady wyjeżdżało służbowo do Bremen i wracało). Byłam cennym źródłem — mogłam im opowiedzieć o najnowszych wydarzeniach politycznych i rozwoju kultury w Charo.

Kilka lat temu, gdy już miałam opuścić Ambasadorię, Tata Renshaw wziął mnie na stronę — i to dosłownie, poprowadził mnie na skraj sali, w której urządzono mi przyjęcie pożegnalne. Spodziewałam się ojcowskich kazań, ostrzeżeń przed niebezpieczeństwami zewnątrz, ale usłyszałam coś zupełnie innego. Powiedział mi wtedy, że jeśli kiedykolwiek wrócę, Ambasadoria będzie bardzo zainteresowana informacjami na temat sytuacji w Bremen. Zrobił to tak grzecznie i rzeczowo, że dopiero po dłuższym czasie zrozumiałam, iż właśnie poproszono mnie o szpiegowanie. Nie zrobiło to na mnie szczególnego wrażenia — może byłam trochę rozbawiona absurdem tego polecenia. Kolejny moment rozbawienia nadszedł wiele tysięcy godzin później, znów w Ambasadorii, gdy zdałam sobie sprawę, że staram się przekazać jak najwięcej pożytecznych informacji, dokładnie tak, jak o to poproszono.

Scile i ja stalibyśmy się sensacją, cokolwiek byśmy zrobili — on był barwnym outsiderem, a ja reemigrantem, zanurza-czem i pomniejszą celebrytką. Ale to właśnie dzięki mojej znajomości różnych faktów z życia Bremen dostaliśmy się na salony Personelu znacznie łatwiej niż w jakiegokolwiek innej sytuacji. Przesyłano nam zaproszenia nawet wówczas, gdy ambasadoriańskie media przestały w kółko puszczać wywiady i reportaże o genialnej zanurzacze.

Zwrócili się do mnie tuż po przybyciu. Oczywiście nie skontaktował się ze mną nikt z Ambasadorów — przysłali jakichś pomniejszych wezyrów i wysoko postawionych przydupasów, którzy powiadomili mnie, że moja obecność będzie mile widziana na jakimś

spotkaniu. Wszyscy mówili takimi ogólnikami, że przez dłuższy czas niczego nie rozumiałam, aż w końcu przypomniałam sobie przestrożę Taty Renshawa i pojęłam, że pytania o „trendy widoczne w Bremen i okolicznych imperiach” oraz „potencjalne nastroje ludności terytoriów zależnych i ich aspiracji” stanowiły zawołaną prośbę o dane wywiadowcze. I że oferowali za to wynagrodzenie.

To ostatnie wydało mi się szczególnie niedorzeczne. Nie wzięłam ani grosza za przekazanie tych skąpych danych, które zdobyłam. Machnięciem ręki uciszyłam kogoś próbującego wyjaśnić podłoże ich politycznych trosk — w ogóle nie miało to znaczenia. Pokazałam im infowody i ściągnięte pakiety, co dało im może wycinek obrazu sytuacji, a zgromadzone dane przybliżyły trochę aktualny rozkład sił w grupie rządzącej — niewielkiej Kosmopolitycznej Partii Demokratycznej. Bre-meńskie wojny, interwencje i kryzysy nigdy mnie szczególnie nie fascynowały, ale może osoby bardziej zorientowane zyskały na tym jakąś wiedzę w ostatnie zawirowania. Wątpiłam jednak, bym przekazała im coś, czego ich SI oraz analitycy już dawno by nie przewidzieli.

Poza tym zupełnie nie przypominało to dramatu szpiegowskiego. Kilka dni później przedstawiono mnie Wyattowi, nowemu attaché w Ambasadorii, którego członkowie Personelu opisali mi już wcześniej przy użyciu zawołanych ostrzeżeń. Natychmiast zaczął ze mnie żartować, wspominając o tym wcześniejszym spotkaniu. Pytał, czy zainstalowałam mu w pokoju vid lub coś podobnego. Zaśmiałam się. Lubiłam z nich rozmawiać. Dał mi swój osobisty numer.

Właśnie w tych kręgach ambasadorskiej społeczności poznałam Ambasadora CalVina i zostałam ich kochanką. Zawdzięczam im kilka rzeczy, ale największą przysługę wyświadczyli Scile’owi — dzięki nim wreszcie poznał Gospodarzy.

* * *

CalVin byli wysokimi mężczyznami, nieco starszymi ode mnie, o żartobliwym sposobie bycia i aroganckim wdzięku, który bez wyjątku cechował najlepszych Ambasadorów. Zapraszali mnie, a potem, na moją prośbę, także Scile’a na różne uroczystości; wychodzili też z nami do miasta, w miejsca, gdzie Ambasador spacerujący bez orszaku wzbudzał pewną sensację.

— Ambasadorze — zwrócił się do nich Scile, gdy w końcu zebrał się na odwagę. — Mam kilka pytań o wasze... interakcje z Gospodarzami — zaczął, a potem zagłębił się w jakieś zniuansowane analizy. CalVin zaskarbili sobie moją wdzięczność, cierpliwie udzielając odpowiedzi, choć z miny Scile’a wynikało, że ich wyjaśnienia sprawiły mu zawód.

W towarzystwie CalVina widywałam, słyszałam i domyślałam się rzeczy, których istnienia dotąd nie podejrzewałam. Nauczyłam się interpretować ich drobne nawiązania, aluzje i dygresje. Nie zawsze odpowiadali mi wprost, nawet jeśli naciskałam — wspominali na przykład coś o zbłąkanych kolegach albo o ariekeńskich fackjach, ale nie chcieli wchodzić w szczegóły — mimo to i tak uczyłam się coraz więcej, choćby z podsłuchanych rozmów.

Zapytałam ich o Brena.

— Rzadko go widuję — powiedziałam niezobowiązująco. — Nie przychodzi na spotkania.

— Zapomniałem, że coś cię z nim łączyło — odpowiedzieli CalVin, patrząc na mnie na dwa różne sposoby.

— Nie, Bren udał się na coś w rodzaju samowygnań. Oczywiście nigdy by stąd nie odszedł, chyba rozumiesz.

— A miał taką szansę. Mógł odejść.

— Zaraz po rozszczepieniu.

— A jednak... — Roześmiali się.

— To taki nasz usankcjonowany obraz nędzy i rozpacz.
— Wie o większości spraw, może nawet o tych, o których nie powinien.
— Nie można powiedzieć, że jest lojalny, ale bywa użyteczny.
— Tak naprawdę nie dałoby się go nazwać lojalnym, nawet gdyby rzeczywiście był.
Scile przysłuchiwał się temu z fascynacją.

* * *

— Co to za uczucie? — zapytał później. — To znaczy... bywałem już w łóżku z dwójką ludzi, ty pewnie też, ale to chyba nie są...
— Pharosie, nie! Jesteś straszny. To zupełnie co innego.
— Wtedy byłem o tym przekonana, teraz mam wątpliwości.
— Obaj skupiają się tylko na tobie? — spytał, a potem oboje zachichotaliśmy, rozbawieni tą idiotyczną lubieżnością, która zdawała się nam prawie bluźniercza.
— Nie, robimy to bardzo egalitarnie. Cal, ja i Vin, wszyscy razem. Daj spokój, Scile, nie jestem przecież jedyną osobą, jaką Ambasador kiedykolwiek...
— Ale za to jedyną, którą mogę o to spytać — odparł, lecz wtedy nie miałam już pewności, czy to prawda. — Myślałem, że homoseks jest nielegalny.
— Teraz po prostu chciałeś się popisać — zgasiłam go.
— W wykonaniu Ambasadorów to co innego. Po prostu... masturbacja. — Było to dość popularne, choć trochę bulwersujące określenie i przez chwilę poczułam się jak dziecko. — Wyobraź sobie, co się dzieje, gdy w łóżku ląduje razem dwójka Ambasadorów.

Scile spędził wiele godzin, słuchając nagrań Ariekenów, oglądając tridy i płaski przedstawiające interakcje pomiędzy nimi i Ambasadorami. Patrzyłam, jak mruczy do siebie i notuje coś, jedną ręką robiąc wpisy w swojej datasferze. Uczył się bardzo szybko, ale to mnie wcale nie zdziwiło. Gdy w końcu Cal i Vin zaprosili nas na uroczystość, na której spodziewano się Gospodarzy, miał już doskonale opanowaną bierną znajomość Języka.

Miała to być jedna z dyskusji odbywanych co kilka tygodni pomiędzy Ambasadorami i Gospodarzami. Transporty handlowe przychodziły do nas co kilka tysięcy godzin, ale zawsze poprzedzały je wyczerpujące i szczegółowe negocjacje. Gdy warunki transakcji zostały w końcu ustalone przez Personel i Gospodarzy, zatwierdzone przez przedstawiciela Bremen i przesłane, statek wyruszał w podróż, wioząc ariekęńskie towary, po czym wracał, przynosząc to, co obiecaliśmy Ariekę-nom w zamian. Gospodarze byli bardzo cierpliwi.

— Urządzamy przyjęcie — powiedział Cal lub Vin. — Chcielibyście przyjść?
Rzecz jasna, nie dopuszczono nas do negocjacji. Scile był tym bardzo rozczarowany.
— Czemu tak ci na tym zależy? — spytałam. — Będzie nudno jak cholera. Negocjacje handlowe? Ile chcecie tego, co chcecie z tamtego...
— Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć. Czego chcą. Wiesz chociaż, co z nimi wymieniamy?
— Głównie wiedzę. Specyfikacje i SI. Nie potrafią tego wyprodukować...
— Wiem, z powodu Języka. Ale chętnie bym zobaczył, co robią z tymi rzeczami, gdy już je dostaną.

Arieken nie mógł wprowadzać danych do SI, idea pisma była dla nich zupełnie niezrozumiała. Wprowadzanie głosowe było niewiele lepsze — ksenopsychologowie ustalili, że Gospodarze w ogóle nie są w stanie pojąć interakcji z maszyną. Komputer odpowiadał im płynnie w ich własnej mowie, ale dla Ariekena te dźwięki, wydawane bez pomocy żywego umysłu, stanowiły tylko szum.

A zatem nasi projektanci skonstruowali komputery-pod-słuchiwaczy, zbudowane na bazie

prostych głośników i telefonicznych zwierząt bioformowanych przez Ariekeńów. Potrafiły one — choć nikt nie wiedział jak — zrozumieć swoje głosy, a także głosy naszych Ambasadorów, wydawane przez głośniki albo nawet odtwarzane z nagrań, pod warunkiem że zdanie wypowiedziała rozumna istota. Ani odległość, ani odstęp czasowy nie wpływały na ich zdolność rozumienia, którą Scile prowokacyjnie nazywał „duszą”. Wzięliśmy tych małych mediatorów, rozbudowaliśmy, przerobiliśmy, a z czasem wręcz zastąpiliśmy technologią niewytworzoną przez Gospodarzy. Przekierowaliśmy ich głosy przez SI.

Programy miały pośredniczyć w kontakcie pomiędzy rozmówcami. Ariekeńi rozmawiali ze sobą jak zwykle, a jeśli ich rozmowy podążały w konkretnym kierunku, oprogramowanie nasłuchiwało, dokonywało obliczeń, zmieniało działanie i wykonywało zautomatyzowane czynności. W jaki sposób Ariekeńi rozumieli, co się działo — tego nie wiem, ale podobno byli świadomi, że coś od nas dostają. Zresztą, przecież za to zapłacili.

— A co my z tego mamy? — zapytał Scile.

CalVin wskazali na żyrandol, z wdziękiem sięgający w ciemniejsze zakamarki sali, wysuwając świetliste wici.

— Biodyfikaty, oczywiście — stwierdzili. — Przecież wiesz.

— Na pewno widziałeś je także w Bremen. Sporo naszej żywności. Klejnoty i różne drobiazgi.

Podobniejak większość Ambasadorian, nie znałam szczegółów tego barteru.

— I złoto.

CalVin bardzo dobrze poprowadzili pierwszą uroczystość. Scile stał przy stołach z poczęstunkiem, obserwując oczekujących ludzi i Ariekeńów.

— Bratamy się z tubylcami, co? — spytała niespodziewanie Ehrsul. Niepostrzeżenie podeszła mnie od tyłu, aż wybuch-nęłam śmiechem z zaskoczenia.

— Jest grzeczny — stwierdziłam żartobliwie, wskazując na Scile’a.

— Cierpliwy — odparła Ehrsul. — Ale dla ciebie to żaden wysiłek. Przecież już poznałaś Gospodarzy.

Powiedziała, że zagląda tu tylko przelotnie, podobno miała coś do załatwienia.

Wmieszła się w tłum, minęła Scile’a, szepcząc jakieś powitanie, a on coś odpowiedział i odprowadził ją wzrokiem.

— Wiesz, co mi powiedzieli CalVin? — spytał cicho i wskazał kieliszkiem plecy Ehrsul.

— Ona mówi w Języku. Zupełnie płynnie. Wszyscy Ambasadorzy rozumieją ją bez problemu. Ale ilekroć próbuje rozmawiać z Gospodarzami, nie rozpoznają ani słowa. — Spojrzał mi prosto w oczy. — Tak naprawdę nie mówi w Języku.

Bardzo starał się ukryć zniecierpliwienie, ale przynajmniej nie był niegrzeczny. CalVin przedstawili go Personelowi i Ambasadorom, których jeszcze nie znał. A potem, gdy w końcu przybyli najważniejsi goście, zapowiedziani nagłą, wyczuwalną zmianą nastroju — zaprezentowali go Gospodarzom.

Po raz pierwszy od tysięcy godzin zobaczyłam ich z tak bliska. Było ich czterech, z czego trzech w trzecim stadium, czyli po naszymu w kwiecie wieku; ich wysokie sylwetki pokrywały drżące rzęski. Ostatni był już na końcowym etapie, w fazie uwiądu starczego. Miał ciężkie, masywne podbrzusze, a członki — długie i patykowate. Szedł pewnym krokiem, ale poza tym zachowywał się zupełnie bezmyślnie. Jego rodzeństwo przyprowadziło go tu z życzliwości, a on podążał za nimi instynktownie, kierując się wzrokiem i śladem chemicznym. Była to dość popularna strategia ewolucyjna na Ariece, występująca u więcej niż jednego typu istot — osobnik w ostatniej fazie życiowej służył jako zapas pokarmu dla młodszych. Młode mogły podgryzać jego tłuste podbrzusze całymi dniami, nie pozbawiając go przy tym życia. Nasi

Gospodarze również mieli taki zwyczaj, ale zrezygnowali z niego już wiele pokoleń temu, najwyraźniej uważając go za przejaw barbarzyństwa. Gdy ich współbracia wkraczali w ostatnią fazę rozwoju, a ich umysły obumierały, pozostali odprawiali żałobę, a potem z szacunkiem prowadzali za sobą te mobilne trupy, póki nie rozpadły się całkowicie.

Nieumarła istota potrafiła stół z taką siłą, że aż zadrżały kanapki i kieliszki z winem. HenRy, LoGan, CalVin i pozostali Ambasadorzy roześmiali się, jakby to był żart.

— Proszę pozwolić za mną — oznajmili CalVin i poprowadzili Scile'a do naszych szacownych tubylców. Nie mogłam nic wyczytać z wyrazu jego twarzy. — Scile Cho Baradjian, oto Mówca... — A potem w skręcie i skrócie jednocześnie wypowiedzieli imię Gospodarza:

kora
shahundi

Skrętousta osadzone na długiej, lodygowatej szyi, bardzo przypominające ludzkie usta, ułożyły się w jakiś grymas i wydobył się z nich powitalny pomruk, a jednocześnie na poziomie naszej piersi, gdzie ciało istoty stawało się szersze, otworzyły się skrętousta, zakaszłały, emitując krótkie, zaokrąglone samogłoski: „tao dao thao”.

Istota ozdobiła szyję wieńcem z wnętrzości małych stworzeń. Coś wiło się pomiędzy jego stożkowatymi stopami — prawdopodobnie domowe zwierzątko. Każdy z Ariekenów, prócz zidiociałego staruszka, miał ze sobą takiego towarzysza. Zwierzęta były rozmiarów ludzkiego niemowlęcia, krępe, na krótkich, przysadzistych nóżkach. Z głów wystawały im filigranowe antenki, a grzbiet pokrywały rzędy otworów, niektóre wyłożone warstwą metalu. Poruszały się krótkimi nerwowymi ruchami trochę przypominającymi drobinie krabów, a trochę konwulsje. To właśnie były zelle — biodyfikowane samobieżne baterie, do których można było podłączyć różnego rodzaju przewody i czerpać różne rodzaje mocy. Miasto Ariekenów pełne było takich zasilaczy.

Gospodarz wystąpił naprzód na czterech kończynach przypominających pajęcze nogi — były długie, pokryte ciemnym włosiem, wyposażone w zbyt wiele stawów — po czym rozwinął skrzydła. Z tyłu znajdowało się wielokolorowe wa-chloskrzydło, odbierające bodźce słuchowe, a z przodu, spod większego otworu gębowego, wystawało darskrzydło, służące do interakcji i manipulowania przedmiotami.

„Chcielibyśmy uścisnąć twoje darskrzydło naszymi dłońmi” — powiedzieli CalVin w Języku, a Scile, wciąż z nieodgadnionym wyrazem twarzy, wyciągnął rękę. Gospodarz ujął jego dłoń w geście powitania, który nie miał dla niego żadnego sensu, a potem zwrócił się do mnie.

* * *

Wtedy Scile po raz pierwszy usłyszał Język na żywo. Słuchał uważnie, zadając CalVinowi szybkie pytania pomiędzy wymianą zdań z Gospodarzem, Ambasador zaś, ku mojemu zdziwieniu, tolerował to bez słowa sprzeciwu.

— Co takiego? Czyżby sugerował, że nie może się na to zgodzić?

— Nie, to... trochę bardziej skomplikowane. Zaczekaj.

Potem CalVin przemówili razem:

suhaish
ko

— . — Już wcześniej to słyszałam, oznaczało „proszę”.

— Prawie wszystko zrozumiałem — cieszył się później Scile. — Używają czasów gramatycznych. Mówiąc o negocjacjach, używali czasu teraźniejszego nieciągłego, ale potem

przeszli na abstrakcyjny terazoprzeszły. Używają go do... eee... Zapewniłam go, że wiem, do czego służy ta konstrukcja. Już kiedyś mi to wyjaśniał. Jego entuzjazm był rozbrajający. Słuchałam go z czułością, choć czasem bez specjalnego zainteresowania, przez setki godzin.

— Myślałaś kiedyś nad tym, że ze zdroworozsądkowego punktu widzenia ten język jest niemożliwy? — spytał. — Nie--moż-li-wy. To nie ma sensu. Brak w nim pojęcia wieloznaczności. Słowa nie oznaczają czegoś innego, same są swoimi własnymi referentami. Jak mogą być rozumni i nie znać języka symbolicznego? Jakim cudem potrafią liczyć? To nie ma sensu. Ambasadorzy zaś są bliźniętami, nie jedną osobą. Gdy mówią w Języku, nie stoi za tym jeden umysł...

— Nie są bliźniętami, kochany.

— No to klonami. Dublami. Wszystko jedno. Ariekeni myślą, że słyszą jeden umysł, ale to nieprawda. — Uniosłam brew, a on powtórzył z naciskiem: — No tak. Wygląda to tak, jakbyśmy mogli z nimi porozmawiać tylko przez nieporozumienie. To, co uważamy za ich słowa, to wcale nie słowa, bo nie oznaczają pojęć. A to, co oni uważają za nasze umysły, to wcale nie umysły. — Roześmiałam się, ale był poważny. — Skłania do myślenia, prawda? Co oni właściwie robią? Mam tu na myśli Personel. Jakim cudem dwie osoby zaczynają myśleć jak jedna?

— Tak, ale Ambasadorzy nie są dwojgiem ludzi. Na tym polega cały dowcip. Obawiam się, że twoja teoria trochę się wali.

— Ale wyglądają jak dwoje. Mogliby być dwojgiem. Może nawet powinni. Co oni robią?

W odróżnieniu od bliźniąt jednojajowych duble mieli identyczne odciski palców, choćby dla zasady. Każdego wieczoru i ranka odbywały się poprawki Ambasadorów. Automaty do mikrochirurgii operowane przez SI odnajdowały najmniejsze ślady i uszkodzenia unikatowe dla każdej połowy, a jeśli nie dało się ich usunąć, replikowano je na drugiej połowie. Właśnie to miał na myśli Scile. Chciał zobaczyć dzieci: młode duble w ambasadorskim żłobku — wciąż potrafił mnie szokować takimi pomysłami. Oczywiście nigdy nie otrzymał zgody.

* * *

Personel i Ambasadorzy regularnie wychodzili do miasta, ale tylko młodzież albo wyjątkowi śmiałkowie próbowali się dowiadywać szczegółów. Niczym niegrzeczne dzieci łamaliśmy komunikaty, odkrywając zdjęcia i raporty, które zdawały nam się tajne (choć, oczywiście, nie były).

— Czasem — opowiedzieli nam CalVin — wzywają nas na takie spotkania. Nazywamy je „sporami”. Podczas tych ceremonii zawodzą, intonując jakieś dźwięki. Nie są to słowa, a w każdym razie my ich nie znamy.

— A potem, gdy już kończą, my po kolei im śpiewamy.

— Po co to robią? — spytałam, a CalVin jednocześnie odpowiedzieli:

— Nie wiem.

* * *

Wszyscy byliśmy ubrani wieczorowo, gotowi na kolejną uroczystość — inną od poprzednich. Miałam na sobie suknię ozdobioną jadeitami koloru byczej krwi, Scile włożył smoking i przypiął w klapie białą różę. Pojazd, który zawiózł nas na uroczystość, okazał się skundlonym Modyfikowanym kon-struktem: wyhodowano go przy użyciu technik Ariekeniów, ale jego niby-żywe wnętrze zostało dostosowane do potrzeb istot ziemskich. Pilotowała go SI.

Zaproszenie na tę ceremonię stanowiło dla nas niezły szok. Nie było to kolejne przyjęcie w Ambasadzie — tym razem udaliśmy się do miasta Gospodarzy na Festiwal Kłamstw.

Spędziłam w nurcie tysiące godzin. Odwiedziłam porty w dziesiątkach krajów na dziesiątkach planet, doświadczyłam nawet szoku podróżnika, który flokerzy nazywają „zwrotem”. Oznacza on wrażenie dziwnej znajomości, które odczuwa podróżny, przygotowany na obcość nieznanego świata, gdy wędruje poprzez niehumanne miasta, wpatruje się w obcych tubylców i nagle zaczyna podejrzewać, że był tu już wcześniej. A jednak tamtego wieczoru, gdy wkładaliśmy ze Scile’em wieczorowe stroje, odczuwałam taką treść, jak jeszcze nigdy wcześniej, od czasu gdy opuściłam Ariekę.

Wyglądałam z okien łodzi, patrząc na obrosnięte bluszczem ściany i dachy mojego małego getta-miasta. Odetchnęłam, gdy minęliśmy granicę, gdzie zabudowa zmieniała się z ceglano-bluszczowej, znanej mi z dzieciństwa, przechodząc w polimery i biodyfikowane ciała Gospodarzy. Ze splecionych zaułków w odpowiedniki ulic w innej topografii. Budynko-podobne konstrukcje rozbierano i wznoszono na nowo. Place budowy stanowiły połączenie rzeźni, pseudohodowli psów i kamieniołomu.

Było nas mniej więcej dwadzieścioro — pięcioro Ambasadorów, kilkanaście osób z Personelu i nas dwoje. Uśmiechaliśmy się do siebie zza masek tlenowych, wdychając powietrze z naszych małych przenośnych aeoli. Pojazd bardzo szybko wylądował na dachu, a wtedy poszliśmy śladem naszych towarzyszy w dół, w głąb budowli i w głąb miasta.

* * *

Było wielkie i skomplikowane, złożone z licznych kątów, a jego geometria zupełnie mnie oszołomiła. Wszyscy, którzy kiedykolwiek zarzucali mi zblazowanie, pewnie by się roześmiali, widząc, jak wtaczam się tyłem do sali. Ściany i sklepienia poruszały się mechanicznymi ruchami, niczym potomstwo krabów i łańcuchów. Jakiś życzliwy członek Personelu skierował nas ze Scile’em we właściwym kierunku. Szliśmy bez ariekęńskiego przewodnika. Miałam ochotę dotknąć ścian. Słyszałam bicie własnego serca i odgłosy nadchodzących Gospodarzy i nagle znaleźliśmy się pośród nich. Było ich więcej, niż widziałam kiedykolwiek w życiu.

Sale były żywe, gdy weszliśmy, w ich komórkach rozszczepiały się tęcze. Ariekeni mówili na zmianę, potem nasi Ambasadorzy odpowiadali, recytując obce formułki grzecznościowe. Z ziejącego korytarza wynurzyło się kilku Gospodarzy w swoich ostatnich stadiach, wpełzając do środka z majestatyczną bezmyślnością. Most powitał nas gwizdaniem.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam młodych Gospodarzy — zbiornik pełen odżywki aż kipiał od gibkich, węgorzo-watych ciałek. Dalej znajdował się żłobek, gdzie wojownicze maluchy w drugim stadium mogły spokojnie walczyć i mordować się nawzajem. W sali poprzecinanej kładkami na ścięgnach i platformami podpartymi za pomocą mięśniowych członków stały setki Ariekonów; wyciągali darskrzydła i wa-chloskrzydła ozdobione tuszem i naturalnymi pigmentami. Zebrali się na Festiwal Kłamstw.

* * *

Dla Gospodarzy mowa i myśl stanowiły jedno. Z ich punktu widzenia absurdem była sama idea, że mówca mógłby świadomie powiedzieć nieprawdę; tak samo jak ja nie potrafiłabym uwierzyć w coś, co sama uważałabym za fałsz. Nie mając w Języku określeń na rzeczy, których nie znali, nie mogli o nich nawet pomyśleć — były dla nich równie niejasne jak sny. Wszelkie przybliżenia, jakich dokonywali we własnych umysłach, musiały być mgliste i ograniczone.

Ale nasi Ambasadorzy byli przecież ludźmi i, ku nieustannej radości Gospodarzy, potrafili równie dobrze kłamać w swoim języku, co w Języku. Podobne zabawy były im nieznanne, póki nie zjawili się Ziemianie. Tradycja Festiwalu Kłamstw była prawie równie stara jak sama Ambasadoria — był to jeden z naszych darów dla Gospodarzy. Słyszałam o nich

opowieści, ale nigdy nie sądziłam, że sama wezmę w tym udział.

Ambasadorzy przeszli pomiędzy parszkającymi Ariekenami, podczas gdy Personel, Scile i ja — ci, którzy nie władali Językiem — mogliśmy tylko patrzeć. Sala była nakrapiana otwartymi komorami; słyszałam, jak oddycha.

— Witają nas — powiedział Scile, nasłuchując głosów. — Mówi, że zaraz zobaczymy... eee... chyba cuda. Prosi, żeby nasz pierwszy... pierwsze coś tam wystąpiło naprzód. To jakiś złożony wyraz, czekaj... — W jego głosie zabrzmiało napięcie. — Nasz pierwszy kłamca.

— Skąd wzięli to słowo?

— Och, to neologizm. „Mówiący o rzeczach, które nie istnieją”, coś w tym rodzaju.

W całej sali ukształtowały się meble, tworząc coś w rodzaju amfiteatru. Ambasador MayBel, starsze, wytworne kobiety, stanęły przed Ariekenem, który trzymał w darskrzydło coś w rodzaju dużego, włóknistego grzyba. Wetknął włókna do gniazd na grzbiecie podskakującej zelli, a wtedy bulwa grzyba wydała jakiś dźwięk i zaświeciła, szybko zmieniając kolory, aż w końcu przybrała barwę opalizującego błękitu.

Gospodarz przemówił.

— Poprosił, żeby to opisały — szepnęła Scile.

MayBel odpowiedziały, May mówiła skrótem, a Bel skrótem.

Ariekeni zakołysali się, przebierając nogami w miejscu. W powietrzu dało się wyczuć napięcie, ale i podekscytowanie. Szeptali i świergotali.

— Co one powiedziały? — dopytywałam się. — MayBel. Co one...

Scile spojrział na mnie, jakby z niedowierzaniem.

— Powiedziały: „Jest czerwone”.

MayBel ukloniły się, a ich miejsce zajęli Ambasador LeRoy. Arieken pogładził zellę, a wtedy obiekt zmienił kolor i kształt, przybierając postać dużej, zielonej lzy.

— Opisz to — przetłumaczył Scile.

LeRoy spojrzeli na siebie i odpowiedzieli.

— „To ptak” — przetłumaczył Scile.

Ariekeni zaszemrali z podziwem. Ten rzeczownik stanowił ogólne określenie miejscowych latających form życia, jak również naszych ambasadoriańskich ptaków. LeRoy znów przemówili, a wtedy kilku Ariekenów wydało okrzyki, jakby nie mogli się opanować.

— LeRoy powiedzieli, że właśnie odlatuje — wyszeptał Scile prosto w mój kask.

Przysięgam, że widziałam, jak Gospodarze wyciągają swe koralowe oczy w górę, jakby się spodziewali, że ten kawałek plazmy naprawdę się uniesie.

— Mówią... — Scile zmarszczył brwi, próbując nadążyć — mówią, że teraz zmienił się w koło — dokończył, przekrzykując zgiełk na widowni.

Ambasadorzy kłamali jeden po drugim. Gospodarze stawali się coraz bardziej hałaśliwi, jakby oszołomieni, dosłownie pijani kłamstwem. Scile był dziwnie spięty. Cała sala szeptała, jakby naśladując wzburzenie mieszkańców.

Nadeszła kolej CalVina.

— „Wszystkie ściany znikają — przetłumaczył Scile. — A bluszcz Ambasadorii owija się nam wokół nóg... — Gospodarze obejrżeli swe kończyny — ...a cała sala zamienia się w metal, a my rośniemy coraz bardziej, aż w końcu sala i my stajemy się jednym”.

„Wystarczy” — pomyślałam. Ktoś z Personelu chyba doszedł do tego samego wniosku, bo szepnęła coś CalVinowi. Ambasador uklonili się i odeszli na bok.

Ariekeni uspokoili się z wolna. Myślałam, że to już koniec. Ale potem kilku Gospodarzy wystąpiło naprzód.

— To taki sport — wyjaśnił Cal albo Vin, podchodząc bliżej.

— Sport ekstremalny — dodał drugi.

— Już od lat próbują nas naśladować.

— Kilku nawet nieźle sobie radzi.

— Co to za kolor? — pytał po kolei Arieken, trzymając świecą z żelą, podobnie jak to robił z Ziemianami. Gospodarze, jeden po drugim, próbowali go okłamać.

Większość nie zdołała. Szczękali i gruchali, co oznaczało wielki wysiłek.

— „Czerwony” — przetłumaczył Scile, a mówca zaskomlał z obu ust, co pewnie miało oznaczać rozczarowanie.

— Niebieski — powiedział drugi. Też zgodnie z prawdą, bo obiekt za każdym razem zmieniał barwę.

— Zielony.

— Czarny.

Niektórzy wydawali z siebie jedynie nieartykułowane dźwięki, szczękanie i rżenie.

Każdy, nawet najmniejszy sukces nagradzano dzikimi owocami. Gdy grzyb zaświecił na żółto, zawodnik z ostrym zygzakiem na wachlokrzydło zadrżał, zwinął kilkoro oczu, zebrał się w sobie i z trudem wykrztusił słowo oznaczające „żółtobeżowy”. Nie było to ewidentne kłamstwo, ale tłum wpadł w zachwyt.

Potem zbliżyła się do nas grupa Gospodarzy.

— Avice — powiedział grzecznie Cal lub Vin. — To jest... — i zaczął wymieniać imiona.

Nigdy nie rozumiałam potrzeby tej wymiany grzeczności pomiędzy zwykłymi ludźmi a Ariekenami. Skoro Gospodarze uważali, że tylko użytkownicy Języka mają umysły, to prawdopodobnie odczuwali zakłopotanie, gdy Ambasadorzy przedstawiali ich niemym, rozszczepionym półistotom. Tak jakby Arieken domagał się od człowieka, by przywitał się grzecznie z jego chodzącą baterią.

Tak myślałam, ale w rzeczywistości było inaczej. Ariekeni ujęli moją rękę darskrzydłami. Mieli chłodną, suchą skórę. Zacisnęłam usta, by stłumić wzbierające we mnie uczucie. (Do dziś nie jestem pewna, co to było). Ambasador przedstawił mi wszystkim, co wywołało niejaki poruszenie. Zasypali go pytaniami, a Scile szybko przetłumaczył mi do ucha:

— Mówią: „To ona? To właśnie ona?”.

Później, 3

To nieprawda, że Gospodarzy nie da się rozróżnić. Na każdym wachlokrzydłe znajduje się charakterystyczny wzór, tak niepowtarzalny jak ludzkie odciski palców (wszelkie komentarze na ten temat zawsze uzupełniano wyświechtanym spostrzeżeniem, że Ambadoria stanowiła jedyne miejsce we wszechświecie, gdzie odciski palców nie były niepowtarzalne). Istnieją pewne różnice w barwie pancerza, kształcie kończyn czy szypulek ocznych. W tamtym czasie rzadko zwracałam na to uwagę, zazwyczaj też nie zapamiętywałam imion Ariekeńców. Dlatego nie jestem w stanie powiedzieć, czy podczas tej pierwszej czy którejś z kolejnych wizyt w mieście poznałam kogoś z członków delegacji, która dołączyła do nas tamtego dnia, kilka kilogodzin później, w Sali Dyplomatycznej, by powitać nowego Ambadora.

Na ile mogłam ustalić, wszyscy byli w średnim wieku, w trzecim stadium, a zatem rozumni. Niektórzy nosili szarfy oznaczające stopnie w zupełnie dla mnie niezrozumiałej hierarchii, niektórzy nabijali sobie pancerze małymi, brzydkimi świecidełkami. Najstarsi z Ambadorów, MayBel i JoaQuin, oprowadzali ich powoli po sali, wręczając każdemu po kieliszku szampana (starannie biodyfikowanego, by wydał im się smaczny). Gospodarze trzymali je wytwornie, od czasu do czasu wlewając łyk do skrętoust. Zobaczyłam, że Ez się im przygląda.

— Ra zaraz przyjdzie — powiedziała Ehrrul.

— Jak mamy go nazywać? — zastanawiałam się. — Czym oni są dla siebie? Przecież nie dublami.

Podjeżdżałam, że gdziekolwiek teraz znajduje się Scile, prawdopodobnie jest równie zakłopotany całą sytuacją jak ja. Ez i Ra stanęli razem, zmieniając postawę, dostrajając się do siebie nawzajem.

Jak to się stało?

Wszystkie te struktury, istniejące od tysięcy godzin i lat (ambadoriańskich lat, tych, które zapamiętałam z dzieciństwa, długie miesiące nazwane w porywie idiotycznej nostalgii za starożytnym kalendarzem, każdy złożony z wielu kilkuna-stodniowych tygodni), przez prawie całe ambadoriańskie stulecie, od czasu założenia miasta, właśnie te struktury trzymały wszystko w ryzach. Na farmach klonów ostrożnie hodowano i wychowywano pary dubli przeznaczone na przyszłych Ambadorów, przekazywano im niezbędne umiejętności. Wszystko to działało się pod egidą Bremen — w końcu było to nasze metropolis, nasze budynki i kalendarze używały rachuby z Charo. Jednak tutaj, tak daleko w nurcie, to Personel powinien nad wszystkim panować.

CalVin powiedzieli mi kiedyś, że prognozy Bremen dotyczące Ariekei — jej potencjału i bogactw naturalnych — okazały się nadmiernie optymistyczne. Ariekeńskie biodyfikaty oczywiście były bardzo cenne, bardziej eleganckie i funkcjonalne niż znane nam z innych światów prymitywne chimery czy konstrukty wytworzone przez rozszczepianie cząstek elementarnych. Ariekeńskie wyroby kształtowano na żywnych farmach plazmowych za pomocą technologii Gospodarzy, których nie mogliśmy odtworzyć. Co więcej — z punktu widzenia naszej nauki ich działanie nie było możliwe. Czy to mogło wystarczyć? Tak czy inaczej, nigdy w historii nie było przypadku, żeby zlikwidowali jakąś kolonię.

Jak i dlaczego mieszkańcy Charo zdołali wyszkolić tego nieprawdopodobnego Ambadora? Podobnie jak wszyscy, słyszałam historie o eksperymencie, w wyniku którego

odczyt empatii wyskoczył poza skalę Stadta. Ale nawet jeśli tych dwóch przyjaciół łączyła tak unikatowa więź, to przecież jeszcze nie powód, żeby mianować ich Ambasadorem.

— Wyattjest bardzo podekscytowany — stwierdziła Ehr-sul.

— Wszyscy są — dodała Gharda, podchodząc do nas. Czas na tańce dobiegł końca, instrumenty odłożono. — Dziwisz się im?

— Panie i panowie — cyzele JoaQuina przekazały ich głos do ukrytych głośników.

JoaQuin i MayBel w samych superlatywach powitali ariekeńskich gości, po czym zwrócili się do nowego Ambasadora.

Bywałam już na balach absolwentów, urządzanych, gdy Ambasadory wkraczali w dorosły wiek (dziwni, arogancy i czarujący młodzi duble pozdrawiali wtedy zgromadzony tłum). Ale, rzecz jasna, w niczym nie przypominało to wręczenia nominacji.

JoaQuin ciągnęli dalej:

— To niezwykle moment. Przypadł nam w udziale zaszczyt. ..

— ...niezwykły i niecodzienny zaszczyt...

— ...wymyślenia nowego powitania. Możliwe, że niektórzy z was słyszeli już o przybyciu nowego Ambasadora. — Grzeczne uśmieški. — Ostatnich kilka dni spędziliśmy w ich towarzystwie...

— ...i chyba zdążyliśmy się trochę poznać.

— Żyjemy w niezwykłych czasach.

— Słuchajcie, słuchajcie — mruknęli pod nosem Ran-Dolph.

— To wielki zaszczyt być tu dzisiaj z wami i mamy nadzieję, że zgodzicie się z nami, jeśli użyjemy określenia...

— ...historyczna chwila.

— Panie i panowie...

— Gospodarze...

— Drodzy goście...

— Z przyjemnością witamy w Ambasadorii...

— ...Ambasadora EzRę!

Gdy oklaski ucichły, JoaQuin odwrócili się do stojących obok Gospodarzy i wymówili imię nowego Ambasadora w Języku.

ez
ra

— — powiedzieli. Gospodarze wyciągnęli szypułki oczu.

— Dziękuję, Ambasadory JoaQuin — powiedział Ez, po czym przez chwilę naradzał się cicho z Rą. — Cieszę się, że mogę być tu dzisiaj z wami. — Potem dodał jeszcze kilka grzecznościowych formułek.

Obserwowałam reakcje innych Ambasadorów. Ra był bardziej lakoniczny, tylko się przedstawił.

— Chcemy podkreślić, jakie to dla nas ogromne wyróżnienie — ciągnął Ez. — Ambasadoria to jeden z najważniejszych przyczółków Bremen i tętniąca życiem społeczność. Wasze serdeczne powitanie sprawiło nam większą przyjemność, niż zdołalibyśmy wyrazić słowami. Chcielibyśmy stać się częścią tej społeczności i wspólnie pracować dla jej dobra i dla dobra Bremen.

Rozległy się oklaski. Ez czekał.

— Bardzo cieszy nas, że otrzymaliśmy taką możliwość — dodał Ra.

Niektórzy z Personelu i Ambasadorów próbowali ukryć zakłopotanie. Inni — jak zauważyłam — rozgorączkowanie.

— Z pewnością macie do nas wiele pytań — przejął pałeczkę Ez. — Proszę się nie krępować. Zdajemy sobie sprawę, że stanowimy pewną... anomalię. Możemy o tym porozmawiać, choć, szczerze powiedziawszy, sami do końca nie wiemy, dlaczego i w jaki sposób zdołaliśmy osiągnąć ten rezultat. Jesteśmy dla siebie zagadką tak samo jak dla was. — Zaczekał na śmiech (był bardzo krótki). — Teraz chcielibyśmy zrobić coś, do czego tak długo się przygotowywaliśmy. Jesteśmy Ambasadorem ... mówię to z wielką dumą... i mamy do wykonania pewne zadanie. Chcielibyśmy teraz powitać naszych szanownych Gospodarzy.

Tym razem aplauz zdawał się autentyczny.

Wokół zaroilo się od osawidów, a na ścianach wyświetliły się obrazy ukazujące pod różnym kątem Eza i Rę prowadzonych przez swoich nowych kolegów w stronę Gospodarzy. Ariekeeni stali w półkołu. Nie mam pojęcia, czy w ogóle rozumieli, co się dzieje. W najgorszym

wypadku zrozumieli tylko, że to nowy Ambasador i że nazywa się $\frac{ez}{ra}$.

EzRa przez chwilę naradzali się po cichu, jak wszyscy Ambasadorzy, szepcząc do siebie, przygotowując wystąpienie. Gospodarze wyciągnęli oczy. Ziemianie pochylili się, by lepiej widzieć, niektórzy wstrzymali oddech. Teatralnym gestem EzRa odwrócili się do oczekujących i przemówili w Języku.

* * *

Ez był skrótem, a Ra skrętem. Mówili biegle i bardzo pięknie. Słyszałam już w życiu dość Języka, by umieć to rozpoznać. Mieli dobry akcent, dobrze odmierzali czas. Ich głosy współgrały

ze sobą. Zapewnili, że to wielki zaszczyt spotkać Gospodarzy, powiedzieli. „Witajcie”.
 $\frac{suhail}{shura\ suhail}$,

I wtedy wszystko się zmieniło. EzRa spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się jednocześnie. Ich pierwsze oficjalne wystąpienie. Gdyby nie było to absurdalnym nietaktem, chyba byśmy zaklaskali. Podejrzewam, że wiele osób do końca nie wierzyło w ich zdolności.

Byliśmy zbyt zajęci słuchaniem ich głosów i ocenianiem umiejętności — i dlatego przegapiliśmy moment, gdy wszystko się zmieniło. Chyba nikt z nas nie zwrócił uwagi na reakcję Gospodarzy.

Część druga

FESTIWALE

Później, 4

Wszyscy wpatrywaliśmy się w nowego Ambasadora.

Ez pochylał się wojowniczo. Na zmianę zaciskał i otwierał pięści i widać było, że dobrze się czuje w swojej roli. Spoglądał na Gospodarzy spod ściągniętych brwi.

Ra patrzył na nich z ukosa. Wyprostował się odruchowo; był tak wysoki i chudy, że zdawał się lekko chwiać. Obaj tak drastycznie różnili się wyglądem, że wyglądało to na przeszarżowany żart. Przypominali Flipa i Flapa, Merla i Rattleshapea, Don Kichota i Sancho Pansę.

Gdy skończyli mówić, przez Salę Dyplomatyczną przeszła fala jakiegoś uczucia, było to tak namacalne, jakby powiew wiatru zakołysał bluszczem. Spojrzałam pytająco na Ehra. Wszyscy wiedzieliśmy, że to historyczna chwila i tak dalej, ale upłynęło przynajmniej pięć sekund, zanim ktokolwiek z nas zrozumiał, że stało się coś złego.

* * *

Gospodarze chwiali się niczym statki na wzburzonym morzu. Jednemu spazmatycznie drgały skrzydła, inny zaś stał w nienaturalnym bezruchu. Jeden na zmianę otwierał i zamykał membrany w jakimś neurotycznym transie.

Trzech było podłączonych do zelli za pomocą swoich wici, doprowadzających chemikalia lub energię. Wyglądało to, jakby niestandardowe zachowanie Gospodarzy zainfekowało ich pupilów — samobieżne generatorki zataczały się na boki, wydając dźwięki, jakich jeszcze nigdy wcześniej nie słyszałam.

Powoli, wykazując niepokojący stopień zsynchronizowania, Ariekeni otrząsnęli się z transu. Szypulki opadły w naszą stronę i w końcu zogniskowały się na nas. Istoty wyprostowały się i poruszyły odrętwiałymi kończynami, jakby zbudzone ze snu.

EzRa zmarszczyli brwi. Przez chwilę szeptali ze sobą, po czym znów przemówili.

Później dowiedziałam się, że powiedzieli dosłownie: „Czy ciała i/lub mózgi naszych Gospodarzy znalazły się pod wpływem wrogich organizmów biologicznych lub reakcji alergicznych wywołanych przez czynnik środowiskowy?”. „Czy nastąpiło coś, co wywołało u was suboptymalność?”. Innymi słowy, spytali: „Czy wszystko w porządku?”.

Ich słowa zabrzmiały, jakby Ez, jękając się, recytował jakiś wiersz, a Ra naśladował głosy ptaków. Ariekeni znów zadrgali tym ohydny, zsynchronizowanym ruchem, a zelle powtórzyły te drgania. Ich oczy znów się zaszklily. Tym razem tylko jeden wydał jakiś dźwięk, cichy jęk ze skrótoust.

JoaQuin i MayBel naradzali się gorączkowo, po czym May-Bel zbliżyły się do Ariekenów. Gospodarze wyszli z transu stopniowo, bardzo powoli. CalVin spojrzeli na mnie i przez chwilę patrzyliśmy na siebie poprzez salę, po raz pierwszy od dłuższego czasu. W ich oczach nie było nic prócz strachu.

* * *

Wokół zawrzało. Ambasadorzy wybiegli z tłumu i wyprowadzili Gospodarzy. Ariekeni, powoli budzący się z transu, zaczęli nagle mówić gorączkowo, przekrzykując się nawzajem.

Pytali o nowego Ambasadora. Gdzie jest $\frac{ez}{ra}$? — pytali. — Gdzie jest $\frac{ez}{ra}$? Nawet ze swoją ograniczoną znajomością Języka byłam w stanie to zrozumieć.

— Panie i panowie, prosimy zachować spokój — powiedział jeden z JoaQuin.

Ktoś z Personelu musiał dać znać orkiestrze, bo przestała grać. Kelnerzy wycofali się z sali. Zobaczyłam biegnących ochroniarzy, między nimi Simmona. Poruszali się w sposób opanowany, ale z wyraźnym pośpiechem.

— Proszę nam wybaczyć — powiedzieli znów JoaQuin. — Nasi goście, Gospodarze, poczuli się nieco... — Ambasadór przerwali i poszeptali między sobą.

— Doszło do pewnego nieporozumienia...

— ...nie ma się czym przejmować...

Zobaczyłam, jak LoGan, CharLott, LuCy i AnDrew prowadzą Gospodarzy do wyjścia.

— Nic ważnego, pomyłka wynikała wyłącznie z naszej winy...

Obaj się roześmiali.

— Już niedługo wszystko wróci do normy.

— Proszę się tym nie martwić.

— Przyjęcie trwa nadal. Wznieśmy toast!

Wielu miejscowych bardzo chciało w to uwierzyć, a nowo przybyli nie zdawali sobie sprawy z tego, co zaszło. Unieśliśmy kieliszki.

— Za kapitana i załogę nurtostatku „Odpowiedź Męczenników z Tolpuddle”...

— ...za naszych miłych gości, imigrantów, nowych obywateli...

— ...a przede wszystkim za naszego nowego Ambasadora, EzRę! Za długą i owocną karierę w Ambasadorii!

— Za EzRę!

Wszyscy powtórzyliśmy za nim. Adresaci naszego toastu wznieśli kieliszki w odpowiedzi, po czym odruchowo spojrzeli w stronę wyjścia, gdzie wyprowadzono Gospodarzy. Trzeba przyznać Personelowi, że całkiem sprawnie opanował ten kryzys. Po jakichś dziesięciu minutach uczestnicy zachowywali się mniej więcej tak, jak przed całym incydentem.

— Co to, kurwa, było? — spytałam cicho Ghardę.

— Nie mam bladego pojęcia.

Nigdzie nie widziałam Scile'a. W sali wciąż było kilku Ambasadorów i członków Personelu. Podeszłam do EdGara, ale całkiem nieoczekiwanie odwrócili się do mnie plecami. Zawołałam ich po imieniu, tak by nie mogli mnie zignorować.

— Nie teraz, Avice — szepnęli, zerkając na mnie kątem oka.

— Nawet nie wiecie, o co chcę zapytać.

— Serio, Avice.

— Nie teraz — skarcili mnie, jednocześnie rozdając uśmiechy i pozdrowienia.

Tłum rozstąpił się na boki, jakby powodowany wolą Cala albo Vina. Wciąż wpatrywał się we mnie — byłam tak zaskoczona, że na moment znieruchomiałam. Nigdzie nie widziałam jego dubla. Później znowu zniknął w tłumie.

Potem zjawiała się Gharda, prowadząc pod ramię pilota. Na mój widok zawahała się lekko i spojrzała pytająco, a ja zamachałam, sygnalizując „ależ proszę”. Nieważne, jak wiele w życiu podróżowałam, jak bardzo przewyższałam obyciem władców mojego miasta, jak bardzo patrzyłam na nich z góry, dzieląc się swą cenną wiedzą, i jak chętnie ją ode mnie wyciągano — odwracając się do mnie plecami, EdGar wyraźnie dali mi do zrozumienia, że jestem nikim. O tym, co się teraz stanie, mieli zdecydować oni i inni Ambasadory za zamkniętymi drzwiami.

To oni stanowili prawo.

Wcześniej, 3

Dawno temu odbyłam pewien dziwny, nieprzyjemny rytuał w ruinach opuszczonej restauracji. Z tego właśnie powodu, jak dowiedziałam się od Ambasadorów i Personelu, Ariekeni darzyli mnie wielkim szacunkiem. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, aż do tamtej chwili podczas festiwalu, po zakończeniu kłamstw, gdy Gospodarze dowiedzieli się, kim jestem.

Przemówili szybko, wyciągając oczy na szypułkach. Scile powiedział mi później, że podobno wymawiają mnie codziennie — a w każdym razie tak powiedzieli CalVinowi. „Nie mam pojęcia — stwierdził jeden z Gospodarzy — jak sobie radziłem wcześniej. Gdyby nie ona, nie byłbym w stanie pomyśleć tego, co konieczne”.

„Ona”? Nazywaliśmy to „zagadką rejestrową”: czy Gospodarze uważają każdego z Ambasadorów za jeden umysł, wspólny dla dwóch ludzkich ciał? A jeśli tak, to czy resztę z nas traktowali jako pólístoty, maszyny, kaleki? Miasto pełne ambasadorskich marionetek? Gdy już dowiedzieli się, że jestem porównaniem, natychmiast poprosili, żebym ich znów odwiedziła, ale nie miałam pojęcia, czy zapraszali mnie jako gościa, eksponat wystawowy czy coś jeszcze innego. Ilekroć wkraczaliśmy do ich miasta, zawsze otaczali nas opieką, niezależnie od tego, czy uważali nas za ludzi.

Przyjmowałam ich zaproszenia, bo zawsze mogłam zabrać ze sobą Scile’a. Okazywał mi za to wylewną wdzięczność, chociaż po skończonej wizycie miał znacznie większą ochotę na dyskusję niż ja. Wprowadzano nas do sal Gospodarzy. Zwykle znajdowali się tam Ambasadorzy i inni oficjele; te drobne przebłyski tajemnic, rozgrywających się za plecami mieszkańców przez całe moje życie, dziwne sprawy Personelu załatwiane w mieście Gospodarzy wydawały mi się równie niepokojące jak wszystkie inne wydarzenia. Co chwila widywałam Ambasadorów sunących po cielesnych korytarzach, pogrążonych w rozmowach z Ariekenami, w miejscu gdzie żaden człowiek nie miał racji bytu.

Te uroczystości stanowiły niesłabnący powód zainteresowania moich przyjaciół.

— Festiwal Kłamstw? — zapytała kiedyś Gharda. — Sami cię zaprosili?

Wszyscy stłoczyli się koło mnie, pytając, jak wygląda miasto. Zaśmiałam się, bo ktoś powiedział: „Normalnie import!”, jak za naszego dzieciństwa.

Wiedziałam, że moje okazjonalne wizyty w mieście nie do końca podobają się Ambasadorom. To była ich domena. Po każdej uroczystości musiałam się zameldować u Personelu w Ambasadzie, gdzie wypytywano mnie dokładnie, co widziałam i ile z tego rozumiałam.

Za drugim razem zaprowadzono mnie do innej sali i zostawiono nieopodal kolekcji dziwnych przedmiotów i pogrążonych w narkozie ariekeńskich zwierząt, a także czworga innych ludzi. W zagłębieniach ich hełmów aeoli mrugały enzymatyczne światła. W dwóch spośród nich rozpoznałam Ambasador LeNę — nie zwróciły na mnie uwagi. Pozostali dwaj pochodzili z gminu, tak jak ja.

— Cześć — powiedział jeden z nich. Uśmiechnął się entuzjastycznie, a ja odpowiedziałam uśmiechem. — Mam na imię Hasser i jestem przykładem. Davyn jest tematem. Ty jesteś Avice, prawda? Jesteś porównaniem.

* * *

Ani wtedy, ani nigdy później żadna uroczystość nie przypominała tego, co widziałam za pierwszym razem. Były bardziej chaotyczne, mniej skupione. Przez jakiś czas wśród Gospodarzy panowała niejasna moda na coś, co z braku lepszego określenia uznawaliśmy za złoty fanowskie. Były to sesje celebracji Języka, w szerszym zakresie, niż obejmowały to same kłamstwa. Gromadzili w jednym miejscu jak najwięcej skonstruowanych faktów i wypowiedzianych przedmiotów — żywych, martwych, rozumnych i innych — przychodzili nas oglądać, używać i teoretyzować na nasz temat, nie dochodząc do żadnej konkluzji. Siedzieliśmy grzecznie, słuchając rżenia, krztuszenia i śpiewnie wygłaszanych argumentów. Wydało mi się to znacznie mniej atrakcyjne niż żarliwie próby kłamstwa, które widziałam za pierwszym razem.

Pogrążyłam się w otępieniu, kołysana szumem i szeptem dobiegającym ze skrętoust i skrótoust, podczas gdy Scile próbował tłumaczyć. Gospodarze z tupotem gnali w tę i z powrotem, dyskutując zażarcie i łącząc się we frakcje. Miałam wrażenie, że toczy się jakiś spór pomiędzy dwoma frakcjami, które uważały mnie za użyteczną figurę stylistyczną.

Miałam wrażenie, że to dziwna, kaleka debata. Niektórzy uważali, że za pomocą tych środków można by powiedzieć coś lepszego, a tym samym — mieć lepsze myśli, gdyby tylko wcześniej skłoniono mnie do zrobienia czegoś innego. Że mogłabym stanowić lepsze porównanie, zapewniające większą precyzję; że pozwoliłabym wyrażać owe inne rzeczy, które — ich zdaniem — przypominałam. Jednak żaden z tych krytyków nie potrafił sprecyzować, jakie myśli chcieliby wyrazić, bo nie byli w stanie ich pomyśleć.

— Ale... — zaczął Scile. Najwyraźniej był nieszczęśliwy.

— Pewnie mają je gdzieś z tyłu głowy — zgadywałam. — Czy to dlatego się złością? Nie mogą ich wyrazić.

— Zaczekaj — odparł mój mąż. — Jeden z nich mówi coś o tobie. To porównanie... coś nowego, to coś nowego. Nie rozumiem...

— W porządku, kochany, po prostu...

— Hej! — szepnęła Scile. — Używają innych środków stylistycznych. — Zobaczyłam, że Gospodarze wpatrują się uważnie w naszych towarzyszy z Ambasadorii. Scile odwrócił się zaskoczony. — O ile rozumiem, to ten gość, Hasser, nas oszukał. Nie jest przykładem. Jest porównaniem, tak jak ty.

Niezależnie od kontrowersji związanych z moją użytecznością przez kilka kolejnych tygodni Gospodarze zapraszali mnie na każdy zlot.

* * *

Coś się zepsuło pomiędzy mną a CalVinem. Przez kilka tygodni droczyłam się z nimi podczas seksu, twierdząc, że wyczuwam różnicę w ich dotyku; prawdopodobnie wiedzieli, że jest w tym trochę prawdy. Gdy po raz pierwszy wylądowaliśmy razem w łóżku, byłam dziecinnie podekscytowana, że oto mam się przespać z Ambasadorem. Ale upojenie nie trwało długo.

Pamiętam ich pieszczoty, chłód łączy na szyjach, minima-listyczną biżuterię amplifikującą ich fale mózgowie. Pamiętam, jak dotykali się nawzajem — była to dziwna, niespotykana erotyka. Po fakcie czasem uśmiechałam się triumfalnie, jeśli zdołałam ich rozróżnić, ale była to ryzykowna gra.

— Cal — mówiłam, pokazując na jednego.

— Vin — odwracałam się do drugiego.

— Vin. Cal... Vin.

Czasem uśmiechali się w odpowiedzi, a czasem odwracali wzrok. Rzeczywiście dostrzegałam różnice, zwłaszcza wczesnym rankiem — odcisk poduszki na twarzy, kształt cieni pod oczami. Ale nigdy nie trwało to długo; CalVin szybko dokonywali ablucji, zamykając za

sobą drzwi do sali korekcyjnej, i wychodzili stamtąd pozbawieni wszystkich tych drobnych różnic.

Nie podobało się im, że wciąż jestem zapraszana na konferencje i zjazdy, ale Personel nie mógł przecież odmówić prośbie Gospodarzy. Któregoś dnia CalVin oznajmili gniewnie — à propos niczego — że Ambasadorzy nie mają właściwie żadnej władzy, że reszta Personelu podejmuje wszystkie decyzje, a oni mają jeszcze mniej do powiedzenia niż ktokolwiek inny.

Czasami się z nimi kłóciłam. Po jednej szczególnie nieprzyjemnej scysji, która — przysięgam — nie wynikała z mojej winy, Cal lub Vin zatrzymał się na chwilę w drzwiach, spoglądając na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, podczas gdy jego dubel odchodził, nie patrząc za siebie. Pomyślałam, że pewnie też nie byłabym szczęśliwa, gdyby Ambasadorzy nagle nauczyli się zanurzać. Ale najprawdopodobniej w ogóle by mnie to nie obeszło.

— To nie to samo — powiedziałam do tego, który został.

— Wy mówicie w Języku, ja nim jestem.

* * *

Niektórzy z Gospodarzy cenili moje porównanie bardziej od innych i przychodzili na każdą uroczystość z moim udziałem. Chwalili moje zastosowania — ich zdaniem znacznie przydatniejsze od alegorii i technik retorycznych wyobrażanych przez innych obecnych.

— Masz fanów — stwierdził Scile. Był to czas mojej największej sławy.

Kilkakrotnie widziałam też Hassera. Staliśmy obok siebie, czekając, aż Gospodarze wykorzystają nas w swoich zaciekłych sporach. Trafiło się też kilku dysydentów, postulujących redefinicję obecnych porównań. Sądząc po reakcjach innych Arieckenów, ten eksperyment myślowy najwyraźniej uchodził za coś w złym guście. Po którymś spotkaniu zapytałam Scile'a, czy słyszał, jak Gospodarze mówią Hasserem, a jeśli tak, to co on oznaczał.

Scile rozumiał Język równie dobrze jak Ambasadorzy, ale odpowiedział tylko:

— Nie mam pojęcia, jak wy w ogóle działacie. Nie widzę żadnego związku pomiędzy waszym znaczeniem a tym, o czym oni rozmawiają. Nie rozumiem, do czego was używają i do czego porównują. O czym mogą myśleć z pomocą Hassera? Zabij, nie wiem.

— Nie o to pytałam.

— Pytasz o dosłowne znaczenie?

— Tak, takie najbardziej podstawowe. Dziewczynka, która zjadła... i tak dalej.

Scile zawahał się przez chwilę.

— Nie jestem pewien, ale mam wrażenie, że... to coś w stylu „chłopiec, który został otwarty i zamknięty z powrotem”.

Zagapiliśmy się na siebie.

— O Boże — wykrztusiłam w końcu.

— Tak, ale to nic pewnego, więc nie mów... ale tak.

— Jezu.

W corvusie zmierzającym z powrotem do Ambasadorii zapytałam Hassera:

— Dlaczego nie powiedziałeś mi, że też jesteś porównaniem?

— Wybacz — uśmiechnął się. — Podśledzałaś? To skomplikowane. Wiesz, dużo o tym myślałem, co znaczy być porównaniem. Dla niektórych z nas... jeśli chcesz o tym pogadać... — Jego głos brzmiał ostrożnie, ale z nutką podekscytowania. — Jest parę osób, które uważają, że to bardzo ważne.

— Kto? Inne porównania? Spotykacie się?

Przyznał, że znają też inne środki stylistyczne, ale to właśnie porównania stworzyły szczególną społeczność. Od razu poczułam do nich szczerą pogardę.

— Nie wiem, jakim cudem cię nie zauważyliśmy — ciągnął. — Wiem, że cię używają, ale dlaczego nie zapraszali cię na te wszystkie uroczystości? Czemu sama nas nie odszukałaś?

— Hm, występowanie w Języku nigdy nie było moim głównym zajęciem — odpowiedziałam, chyba podświadomie okazując swoją niechęć.

Gdybym nie nauczyła się zanurzać i nie wyjechała na zewnątrz, być może też spędzałabym całe dnie w barach, gdzie przychodziły inne porównania. Pomyślałam, że musi to być dziwne życie i dziwna sława, ale uznałam, że warto przeprosić za swoje docinki. Zapytałam, co to oznacza dla niego. Z początku trochę kluczył, ale w końcu wyznał:

— Chodzi o to, by stać się częścią Języka!

Później, 5

Nikt z bywalców nie uwierzył, że impreza wróciła na dawny tor.

— Ehrsul! — wyszeptalam, przyzywając ją gestem, ale gdy w końcu prześlizgnęła się przez tłum, precyzyjnie skręcając swój długi korpus, powiedziała mi tylko, że nie może zha-kować żadnych transmisji.

Odszukałam pozostałe w sali Ambasadorki: MagDę i EsMé.

— Co się dzieje? — zapytałam. — Hej, MagDa! Powiedzcie!

— Musimy — zaczęła jedna z EsMé. — To tylko...

— Wszystko w porządku.

— MagDa, co się dzieje?

Mag i Da, a potem Es i Mé spojrzały na mnie tak, jakby już-już miały coś powiedzieć. EsMé nigdy mnie nie lubiły — podobnie jak większość Ambasadorów spoglądały z góry na reemigrantkę, zanurzaczkę i flokerkę — ale i tak się zawahały

Potem, ku memu wielkiemu zdumieniu, obok nas zjawił się Scile. Spojrzał mi w oczy — albo nie odczuwał żadnego wzburzenia, albo dobrze to ukrywał.

— MagDa — zwrócił się do Ambasadorki. — Musicie porozmawiać z Rą.

Skinęły głową i okazja przepadła. Wszyscy pięcioro odwrócili się, by odejść. Chwyciłam Scile'a za rękę. Spojrzałam na niego neutralnie, a on odwzajemnił spojrzenie. Nic dziwnego, że lepiej orientował się w sytuacji. Od dawna współpracował z Personelem, cieszył się zaufaniem Ambasadorów. Wszyscy tak bardzo skupiali się na używaniu Języka, że nie zwracali sobie nawet głowy jego badaniem, ale gdy zmieniła się sytuacja w mieście, takie sprawy nagle nabrały znaczenia. Jego teorie ich zafascynowały. Z całą pewnością zapraszano go na więcej spotkań niż mnie.

— No i? — spytałam bezceremonialnie, zaskoczona własną śmiałością. Ale flokerzy zawsze zmierzali najkrótszą drogą do celu. — Co się dzieje?

— Avvy... — odparł z ociąganiem. — Nie mogę ci powiedzieć.

— A sam wiesz?

— Nie. Nie wiem. Myślę, że... nie wiem. Nie spodziewaliśmy się tego.

Tuż obok dwoje ludzi stuknęło się kieliszkami — zabrzmiało to jak dźwięk małego dzwoneczka. Muzycy byli już pijani; miałam wrażenie, że muzyka też się zatacza. Dla wielu miejscowych była to jedyna szansa, by porozmawiać z zanurzaczkami, i wykorzystywali ją do maksimum. Patrząc na uczestników przyjęcia opuszczających salę — parami albo w małych grupkach — przypominałam sobie ten legendarny seksapil zanurzaczy. Sama skorzystałam z niego po powrocie — spędziłam parę naprawdę gorących tygodni.

— Muszę już iść — oznajmił Scile. — Jestem potrzebny.

Es ujęła go pod jedno ramię, a Mé pod drugie. Z pewnością wiedziały, że stosunki między mną i Scile'em są napięte, może nawet wiedziały dlaczego. Wątpię, by z nim sypiały. Scile'a interesowały wyłącznie sporadyczne i bardzo krótkie numerki. Wszystkie formy małżeństw zawarte w Bremen były ważne również w Ambasadorii, ale miejscowi zwykle preferowali modele wyłączne, własnościowe. Byłam zazdrosna — nie tyle o niego, ile o to, co wiedział.

* * *

Do mojego mieszkania było pół godziny piechotą. Ehrsul poszła razem ze mną. W wielu krajach, które odwiedziłam, mieszkańcy poruszali się za pomocą osobistych pojazdów, ale ulice Ambasadorii — może z wyjątkiem głównych arterii — były na to za wąskie i zbyt strome. Korzystano z alzwierząt i Modyfikowanych powozów podążających określoną trasą, które w miarę potrzeby zamieniały koła na nogi, ale większość mieszkańców poruszała się pieszo.

Ambasadoria była mała i zatłoczona, wzrost populacji ograniczała jedynie strefa zasięgu aeoli. Zewsząd otaczało nas miasto Gospodarzy, nie licząc północnego krańca, gdzie zaczynały się równiny uprawne. Na półlegalne budownictwo zwykle patrzono przez palce — wszędzie widywaliśmy zaimprovizowane pokoiki przytulone do ścian, przycupnięte nad zaułkami jak okapy, dobudowane na dachu, stale gotowe do porzucenia. Większość Personelu milcząco aprobowala tę maksymalizację przestrzeni użytkowej. Gdzieniegdzie wystawały na wpół wyszkolone biodyfikowane części, samoróbki skrzyżowane z ziemtechem, trzymające się dzięki czystemu szczęściu.

Wysoko ponad Ambasadorią górowała sama Ambasada, sięgająca północnych równin. Miała ponad sto metrów i była najwyższym budynkiem w mieście. Gruba kolumna podzielona poprzeczkami i płytami lądowisk, z których wciąż, mimo późnej pory, startowały corvusy. Ambasada rozszerzała się u podstawy, jak topniejąca świeca, stapiając się z otaczającymi ulicami. Osiedle Personelu, na wpół przykryte dachami, stanowiło część Ambasady, podobnie jak przecinające je zaułki. Wraz z Ehrsul zjechałyśmy windą, po czym ruszyłyśmy przez kładki i korytarze, przejścia biegnące pomiędzy korytarzami i ulicami, na wpół otwarte arkady z nieoszkłonymi oknami, aż w końcu wyszłyśmy na prawdziwe ulice, owiewane podmuchem wiatru.

— Jak to dobrze w końcu wyjść — westchnęłam.

— Przecież nie wyszłyśmy — zauważyła Ehrsul. — Wciąż jesteśmy w strefie aeoli.

Wtedy po raz pierwszy zastanowiłam się, dlaczego nigdy nie opuściła Ambasadorii, choć przecież mogła. Podejrzewałam, że nie zaprogramowano jej zainteresowania miastem. Szybko odepchnęłam od siebie tę myśl. Po przybyciu do domu szybko nalałam sobie więcej wina, a Ehrsul wyświetliła trid identycznego kieliszka i czasem pochylała głowę, jakby piła. Połączyła się z moją stacją, ale nie znalazła w lokalnej sieci niczego na temat dzisiejszych wydarzeń.

— Spróbuję jeszcze raz, jak już wrócę — stwierdziła. — Bez urazy, ale ta twoja maszynka... Więcej można by zdziałać, pocierając dwa kamienie.

Odwiedziłam ją wcześniej kilka razy. Jej mieszkanie było małe i oszczędnie umeblowane, ale na ścianach wisały grafiki, była też kuchnia, meble dla ludzi i innych gości (w tym piękny, obsceniczny stołek Shur'asi). Wszystko to prawdopodobnie służyło tylko do użytku osób z zewnątrz — grafiki, stolik do kawy, importowane dywany, wszystko to były elementy systemu mające go uczynić bardziej przyjaznym dla użytkownika. Te rozmyślenia wydały mi się obrzydliwe.

Znów pomyślałam o nowym Ambasadorze.

Wcześniej, 4

Zadzwoił do mnie Hasser.

— Skąd masz mój numer? — zapytałam bez ogródek.

— Daj spokój — odparł lekceważąco. Nie wydawał się onieśmielony, choć wezwałam na pomoc całą swą zanurzacką arogancję. — Wcale nie tak trudno było cię znaleźć. Chodź na drinka.

— A po co?

— Nie daj się prosić. Jest tu parę osób, które powinnaś poznać.

Porównania spotykały się w miłej, nieco podupadającej dzielnicy Ambasadorii, nieopodal świeżych ruin. Wybrałam sobie okrężną drogę i dotarcie na miejsce zabrało mi większość poranka. Mijałam porzucone i bezdomne automy, a przechodząc obok naszego „muru monetowego”, jak zawsze zerknęłam w stronę drzwi.

Charo jest pełne slumsów, aja spędziłam tam więcej czasu, niż kiedykolwiek chciałam. Wiele portów, w których dokowaliśmy, znajdowało się w takich okolicach; wygląda to tak, jakby slumsizm był jakąś chorobą przenoszoną przez statki. Ilekroć na imprezach w Ambasadorii jacyś członkowie frakcji reformatorskich wspominali coś o slumsach, przerywałam im natychmiast.

— Slumsy? — prychałam wtedy. — Uwierz mi, kolego, widziałam w życiu trochę slumsów. Potrafię je rozpoznać. U nas nie ma slumsów.

W Ambasadorii nie było okrytych łachmanami dzieci, bawiących się papierowymi stateczkami w przydrożnych kałużach, ani dziurawych dróg, nie było ludzi oddających się za-nurzaczom za jedzenie albo sprzedających biopiratom próbki DNA i kawałki ciała, ani lepierek trzęsących się przy starcie statku i zawałających się przy lądowaniu. Rozwarstwienie społeczne prawie nie istniało, różnice majątkowe były bardzo niewielkie — oczywiście nie licząc Personelu i Ambasadorów.

Ekranry ścienne i projektory w tej dzielnicy były zapętlone, ich cykle zdezaktualizowane. Niektóre reklamowały dawno nieprodukowane wyroby albo towary z zewnątrz, już od dawna niedostępne. Ściany były porośnięte bluszczem i altbluszczem, nakrapiane kępkami miejscowego odpowiednika mchu, przez co reklamy i graffiti pokrywały plamki w kształcie liści.

W niektórych miejscach poprzez listowie przebijały się przewody pobierające informacje z ekranów i podające na nie buntownicze hasła. Szłam ulicami, skąpana w świetle haker-skich sloganów protestujących przeciw władzy Bremen, wygrażających Wyattowi i jego pachołkom. Jakiś tridowy duch wykrzykiwał demagogiczne slogany, coś o wolności, demokracji i podatkach. Nawet Wyatt nie przejąłby się tą słabowitą demonstracją radykalizmu, choć pewnie nie zostawiłby suchej nitki na konstablach, którzy nie pofatygowali się wyłączyć tego graffiti.

Znalazłam się na ulicy pełnej sklepików sprzedających wyroby ze skóry i altskóry. Bifyfikowane drzewa rodzące dojrzałe torebki otaczał zapach garbarni. Rzeźnicy ścinali je zręcznie, wykonując nacięcie, do którego miano doszyć zapięcie, następnie wycinali wnętrzości, przygotowując tuskę do zszycia. Z tyłu znajdowała się grządka niedojrzałych parasoli — zbytkowne, luksusowe przedmioty, z wysiłkiem prężące swoje błoniaste korony. Produkty altskórzane były proste, pozbawione otworów gębowych i wydalniczych, w naturze nigdy nie zdołałyby przeżyć; wnętrzości przelewające się w rynsztoku przed sklepem były nieokreślone i bez znaczenia.

W winiarni Krawat siedziało kilkanaście porównań. Tridowy szyld niestrudzenie przechadzał się w tę i z powrotem — przedstawiał ludzką postać bezskutecznie usiłującą zawiązać krawat. Przeszłam poprzez niego (zawierał niespodziewany efekt — postać obejrzała się, jakby zdumiona, a po chwili znów wróciła do przerwanej czynności) i znalazłam się w środku.

— Avice! — zawołał z zachwytem Hasser. — Zaczekaj, przedstawię ci wszystkich. To jest Darius, nosił narzędzia zamiast ozdób. Shanita, została oślepią i nie spała przez trzy noce. Valdik, co tydzień pływa z rybami. — Obszedł w ten sposób całą salę. — To jest Avice — powiedział w końcu. — Dziewczynka, która zjadła to, co jej dano.

* * *

Oczywiście nie były to wszystkie porównania używane przez Ariekenów. Niektóre z nich wyobrażono za pomocą zwierząt albo nieożywionych przedmiotów. W mieście był pewien dom, z którego Gospodarze wynieśli wszystkie meble, a potem wstawili z powrotem, by stworzyć potrzebne porównanie. Rozłupany głaz, który pozwalał im wypowiedzieć myśl „to jak kamień, który został rozdzielony i znów scalony”. Jednak najczęściej korzystali z ludzi — najwyraźniej byliśmy szczególnie użyteczni.

Wiele porównań w ogóle nie interesowało się Językiem. Z tego co się dowiedziałam, było ich kilkoro wśród Personelu, nawet pośród Ambasadorów. Nigdy nie przychodzili na spotkania.

— Nie podoba im się, że są Językiem — wyjaśnił Hasser. — Czują się wtedy bezbronni, wolą mówić w Języku, niż być jego częścią. A poza tym nie chcą się spoufalać z pospólstwem. — Z jego głosu przebijała dziwna mieszanka szacunku i pogardy, którą słyszałam już wcześniej i miałam usłyszeć jeszcze wielokrotnie.

Rozmawialiśmy o Języku i o tym, co dla nas oznacza. Głównie to oni mówili, a ja słuchałam, starając się nie okazywać irytacji — przecież w końcu przyszłam tu z własnej woli. Większość porównań opowiadała się po stronie separatystów. Co chwila ktoś wspominał o nieoświeconej polityce i bezwzględnych agentach Bremen. Znałam Wyatta, więc nie mogłam powstrzymać śmiechu.

— Nie widzę, żeby ktoś z was odmawiał sobie towarów z wiabów — zauważyłam.

— Nie — odpowiedział ktoś — ale powinniśmy z nimi handlować, zamiast płacić te cholerne podatki.

Hasser szeptem przekazywał mi ważne informacje na temat moich rozmówców, jak asystent Ambasadora.

— Nie przejmuj się nią, jest rozgoryczona, bo rzadko ją wzywają. Jej porównanie jest zbyt hermetyczne.

— On jest raczej przykładem niż porównaniem, i dobrze o tym wie.

Gdy wróciłam do domu, miałam serdecznie dosyć ich wszystkich. Poskarżyłam się Scile'owi, że cała ta impreza była kompletnie idiotyczna. Ale potem wróciłam. Długo zastanawiałam się, co mnie podkusiło, ale wciąż nie znam odpowiedzi.

Przy drugiej wizycie Valdik, który co tydzień pływał z rybami, wyjaśnił mi swoje znaczenie. Był porównaniem w stanie ciągłym — jego znaczenie nie zależało od czegoś, co zrobił dawniej, lecz od tego, co robił regularnie. „Jak ten człowiek, który co tydzień pływa z rybami” — mówili Gospodarze, by przedstawić swoje stanowisko, a by tego dokonać, Valdik musiał sprawić, żeby było prawdą. Na tym polegał jego obowiązek.

— W kwaterach Personelu jest taki marmurowy basen — powiedział Valdik. Zerknął na mnie i znowu spuścił wzrok. — Przywieźli go tu wieki temu, poprzez nurt. Wpuszczają tam małe altrybki, które mogą znosić chlor. Pływam tam w każdy naddzień.

Podejrzewałam, że spędzał pozostałe jedenaście dni, przygotowując się do kolejnej wyprawy. Nie wiedziałam wcześniej, że ktoś czuwa nad dopełnieniem formalności gwarantujących prawdziwość porównań. Zastanawiałam się, czy to właśnie jest powodem niepokoju Ambasadorów — widmo strajku porównań.

Gdy nadeszła moja kolej, opowiedziałam o opuszczonej restauracji i o tym, co zjadłam. Było to na tyle nieprzyjemne doświadczenie, że od razu zyskałam trochę szacunku. Niektórzy zagapili się na mnie z niedowierzaniem, kilkoro — w tym Valdik — unikało mojego wzroku.

— Witaj w domu — ktoś powiedział.

Poczułam złość i na chwilę przestałam pilnować wyrazu twarzy; upewniłam się, by wszyscy zobaczyli, jak bardzo mi się to nie spodobało. A jeszcze bardziej nie podobało mi się, gdy Hasser, którego otwarto i znów zamknięto, zaczął opowiadać o swoim doświadczeniu, modulując głos i robiąc pauzy, jakby opowiadał wyjątkowo fascynującą historię.

Później, 6

Ktoś, kto rzadko odwiedzał Ambasadę, mógłby nawet uwierzyć, że wszystko jest w porządku. Posterunki były obsadzone, wszędzie wokół kręcili się członkowie Personelu albo stażyści, tridowe znaki i ekrany wciąż wyświetlały potrzebne informacje. Jednak wszyscy, którzy wiedzieli, od czasu przyjęcia nie mogli się otrząsnąć z niepokoju.

Jeszcze nigdy żaden statek nie odleciał żegnany z takim roztargnieniem. Oczywiście zrobiono wszystko, by zapewnić odpowiedni przepych. Niedługo po Balu Powitalnym, na tyle szybko, że niektórzy wciąż byli jeszcze nieco wczorajsi, załoga statku została zapakowana na pokład łodzi i pożegnana przez grono Ambasadorów, Personelu i przypadkowych gapiów, takich jak ja. Ambasadorianie wstrzymywali oddech, czekając, aż w końcu zostaną sami i będą się mogli uporać z sytuacją. Ich plan, prawdę mówiąc, zakładał nierobienie niczego. Później dowiedziałam się, że niektórzy z Personelu upierali się, by nie wypuszczać statku.

A ja, Avice Benner Cho, zanurzaczką, kochanką, a następnie była kochanką CalVina (choć niektórzy z Ambassadorian nie dawali temu wiary), doradczyni Personelu ds. polityki zewnętrznej, odkryłam, że drogę do gabinetów zagradza mi zdenerwowany funkcjonariusz. Ostatecznie nie trzeba było wiele. Wystarczyło trochę poflokować: „To chyba pomyłka, panie funkcjonariuszu”, po czym ze zdziwieniem ponale-gać: „Przecież właśnie po to tu jestem, zostałam wezwana do pomocy”, i już byłam w środku. Jeśli chodzi o dostęp do istotnych informacji, to nie miałam złudzeń. Ale żeby tak się namęczyć tylko po to, by wejść do korytarza?

Atmosfera w środku nie miała nawet pozorów spokoju. Przepchnęłam się pomiędzy szepczącymi członkami Personelu. Rozejrzałam się za EdGarem albo kimś innym, kto byłby skłonny ze mną porozmawiać.

— Co ty tu robisz? — zapytała Ag lub Nes, podczas gdy jej dubelka potrząsała z dezaprobatą głową. AgNes były wielkimi damami i nie zwróciły uwagi na moje ciche mruczenie.

— Zmykaj stąd, dziewczyno.

— Tylko będziesz...

— ...wszystkim przeszkadzać.

Inni potraktowali mnie grzeczniej — RanDolph uśmiechnęli się i gestem pokazali jacy są zmęczeni; jeden z wysoko postawionych doradców nawet mrugnął do mnie porozumiewawczo, ale AgNes miały rację. Przeszkadzałam.

W herbaciarni na najwyższym piętrze, gdzie okna wychodziły na okoliczne dachy i dalej, na miasto, znalazłam Simmo-na z ochrony i wzięłam go w krzyżowy ogień pytań. Po paru obowiązkowych protestach, że nic nie wie, a zresztą i tak nie może mi nic ujawnić, wyznał w końcu:

— Nie widziałem Ambasadora EzRy od czasu tamtego przyjęcia. Nie wiem, co się z nimi dzieje. Oficjalny harmonogram przewidywał spotkanie powitalne pół godziny temu, ale wciąż się nie zjawili. Zresztą nie tylko oni. Wszystkie plany poszły do kosza. Gdzie, do ciężkiej cholery, są Gospodarze?

Dobre pytanie. Dyskusje na ważne tematy — prawa do wydobycia złóż, nasze farmy, wymiana technologii, uroczystości językowe — zdarzały się rzadko, ale codziennie były do ustalenia jakieś drobiazgi. Po korytarzach zawsze przechadzało się kilku Ariekenów, czekając na rozpoczęcie negocjacji. Podłogi Ambasady zostały specjalnie wzmocnione, by wytrzymać

uderzenia ich spiczastych stóp.

— Nie przyszli — ciągnął Simmon, masując dziwną skórę Modyfikowanego ramienia. — Ani jeden. Już wiele pokoleń temu wyjaśniliśmy im, co to znaczy spotkanie, więc wiemy na pewno, że kilku z nich miało się tu zjawić tego rana, a wciąż ich nie ma. Nie odpowiadają na dzwonki. Nie możemy nawiązać kontaktu.

— Musieliśmy ich bardzo obrazić — stwierdziłam w końcu.

— Na to wygląda — zgodził się.

— Ale jak?

— Pharotekton jeden wie. A może jeszcze EzRa. — Przez chwilę nikt się nie odzywał. — Kojarzysz może niejakiego Oracjenta?

— Nie. Co to za jeden? — Nie brzmiało to jak imię Ambasadora; było dziwne, niecodzienne, pozbawione lekkiego akcentu pośrodku.

— Nie wiem. Słyszałem, że wspominali o nim CalVin i HenRy. Miałem wrażenie, że ten gość chyba wie, o co chodzi. Pomyślałem, że może go znasz. Ty znasz wszystkich.

Uznałam, że to miłe z jego strony, ale nie miałam siły udawać.

— AgNes i paru innych Ambasadorów obwiniają za to Wyat-ta, wiesz?

— Za co?

— Za wszystko. Za to, co się stało. Słyszałem, jak mówią: „To wszystko sprawka Bremen. Zawsze wiedzieliśmy, że coś knują i w końcu...”. — Proteza Simmona zaciskała się i rozluźniała, jakby naśladując mówiące usta.

— A zatem ten tajemniczy osobnik wie, co tu się dzieje?

Simmon wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, ale wiesz, jak jest. Nie trzeba niczego rozumieć, żeby szukać winnego. Poza tym chyba mają rację. To musi być jakiś... podstęp, nie ma wątpliwości. Ten EzRa... to jakaś bremeńska broń.

A co, jeśli AgNes miały rację? Jeśli tak, to zagrywając swoją ostatnią kartą, dopuściłabym się zdrady wobec Ambasadorii. Pomyślałam o CalVinie i Scile'u i pozbyłam się resztek wątpliwości. Zadzwoniłam do Wyattta. Czekaając na połączenie, próbowałam wypracować sobie jakąś strategię, ustalić jego słabe punkty, odgadnąć, gdzie może się ugiąć, jak mogę go przekonać, by coś wyjawiał. Ostatecznie cała para poszła w gwizdek.

— Avice! — wykrzyknął Wyatt, gdy tylko się połączył. — Dzięki Bogu, że dzwonisz. Nie mogę się z nikim połączyć. Na litość boską, co tu się dzieje?

* * *

Wiedział jeszcze mniej ode mnie. Oczywiście miał biuro w samym sercu Ambasady, podobnie jak jego asystenci, ale część Personelu obwiniła go o całe zajście, inni postanowili trzymać go jak najdalej od sprawy, a wszyscy byli zgodni, że najlepiej naradzić się bez niego. Jakoś udało się im to osiągnąć, nie łamiąc prawa, które teoretycznie dawało mu zwierzchność nad miejscowymi władzami.

Zgodnie z wymogami rozesłali harmonogram spotkań, jakie miały się odbyć w tym dniu. Wyatt wysłał swoich urzędników na zebrania odbywające się w głównych salach, a sam udał się na posiedzenie zatytułowane „Sytuacja kryzysowa”, szybko jednak odkrył, że są to jedynie naprędce zaimprovizowane dyskusje pomiędzy urzędnikami średniego szczebla, poruszające tak palące kwestie jak zakup nowych przyborów biurowych. Prawdziwe dyskusje, nawiązujące bezpośrednio do katastrofy na przyjęciu, już dawno odbyły się podczas sesji „Pozostałe sprawy” prowadzonej w ramach Komitetu Prac Publicznych.

— To skandal, Avice! — pinił się Wyatt. — To się musi skończyć! Właśnie takie

zachowanie mieliśmy ukrócić. Spiskują między sobą, były tylko odsunąć mnie od sprawy. Jestem ich zwierzchnikiem, do cholery! Nie mówiąc już o tym, jak traktują EzRę... W końcu są kolegami z pracy, a tamci z premedytacją ich wykluczają. To hańba!

— Wyatt, zaczekaj. Gdzie są EzRa?

— Ra jest u siebie, a przynajmniej był tam, kiedy do niego dzwoniłem. Ez... nie mam pojęcia. Twoi koledzy...

— To nie są moi...

— Twoi koledzy celowo ich ignorują. Podejrzewam, że aresztowaliby ich, gdyby tylko mogli. Ez nie odpowiada, nie mogę go znaleźć... — Sam pomyśl, że połówki Ambasadora mogłyby mieć osobne pokoje i robić różne rzeczy, wciąż nie mieścił mi się w głowie.

— Czy oni w ogóle wiedzą, co się dzieje?

— Nie myślisz, że wtedy by mi powiedzieli? — zapytał cierpko. — Nie wszyscy próbują mnie zmarginalizować, tylko ci cholerni Ambasadorzy. Cokolwiek knują...

— Wyatt, uspokój się. Nie wiem, co się dzieje, ale chyba widzisz, że Personel wcale nie ma nad tym większej kontroli niż ty sam. — Prawdopodobnie wiedział, że Ambasada nie miała żadnego kontaktu z miastem od czasu tamtego pamiętnego przyjęcia. — Gospodarze milczą. Wydaje mi się. — powiedziałam ostrożnie — że EzRa... albo my... przypadkiem zrobiliśmy coś, co ich obraziło... i to bardzo.

— Nonsens! — odparł Wyatt z taką stanowczością, że aż zamrugałam. — To nie ten przypadek, Avice. Jedna drobna niezręczność, kapitan Cook obraża miejscowych ludożerców albo źle chwyta święte sztuce i cabas!... łąduje na grillu? Nie zdajesz sobie sprawy, co to za stek bzdur? Wszystkie te historyjki tylko udają, że punktuja brak kulturowej wrażliwości... „ojej, to nasza wina, powiedzieliśmy nie to, co trzeba”... ale tak naprawdę podkreślają, jacy ci tubylcy są przewrażliwieni. — Zaśmiał się i potrząsnął głową. — Avice, przez te wszystkie lata musieliśmy popełnić tysiące takich gaf. Pomyśl o tym. Tak samo było z naszą delegacją na Ziemię. I przez większość czasu nikt nie robił tragedii, prawda? I Ariekeni, i Kedisowie, i Shur’asi, i Cymarowie, i w zasadzie wszyscy pozaziemowicze, z którymi miałem do czynienia, doskonale wiedzą, kiedy obraza jest zamierzona, a kiedy wynika z pomyłki. Ale za każdą taką historią o Ku i Lono kryje się... grabież i ogień armatni. Uwierz mi. To moja praca — dodał sucho, przebierając palcami w geście oznaczającym kradzież.

Właśnie za takie rzeczy go lubiłam.

— Są jeszcze burze w szklance wody, Avice — powiedział, nachylając się w stronę ekranu. — To też moja praca. Chyba nie zrobiłem nic złego, co? — zapytał prawie błagalnie. — Ale to?... Są przecież jakieś granice. JoaQuin i MayBel, i cała reszta... powinni pamiętać, kogo reprezentuję.

Bremen było potęgą, wiecznie uwikłaną w wojny z innymi krajami na Dagostinie i na innych światach. A co będzie, jeśli wrogowie wyślą okręty bojowe w naszym kierunku? Jeśli postanowią kopnąć Bremen w kolonie? Co wtedy zrobimy — uniesiemy nasze biodyfikowane działa i wymierzmy w niebo? Wszelki odwet za takie małe ludobójstwo — które nieprzyjaciel bez trudu mógłby przeprowadzić — musiałby nadejść z samego Bremen, pod warunkiem że uznaloby to za opłacalne. Potyczki w próżni czasemprzestrzeni, straszliwe bitwy w nurcie. Zagrożenie odwetem i położenie geograficzne Arieki, ukrytej w odległych głębinach burzliwego nurtu — a także, choć rzadko o tym wspominało, nasze relatywnie niewielkie znaczenie — zniechęcało potencjalnych wrogów do tego rodzaju ataków. Jednak w obliczeniach Bremen widniały też inne pozycje.

Ariekeni nie byli pacyfistami. Zdarzało się, że dokonywali brutalnych mordów lub toczyli ze sobą krwawe wojny. Wbrew temu, co mówił Wyatt, we wczesnej fazie kontaktu zdarzały się

gwałtowne konfrontacje i straty po obu stronach. Od tego czasu opracowano sztywne protokoły zachowań i już od wielu pokoleń nasze stosunki przebiegały całkowicie pokojowo. Trudno było zatem uwierzyć, że Ariekeni oraz ich miasto mogą się kiedyś obrócić przeciwko Ambasadorii. Jednak było nas tylko kilka tysięcy, a ich — wielokrotnie więcej, do tego mieli broń.

Wyatt nie był wyłącznie biurokratą. Reprezentował Bremen — czyli oficjalnie naszego protektora — a zatem musiał być uzbrojony. Jego urzędnicy byli podejrzanie umięśnieni jak na pracowników biurowych. Wszyscy wiedzieli, że po Ambasadorii porozmieszczane są skrytki z bronią, do których tylko on ma dostęp. Mówiono, że ukryte silosy zawierają broń o sile ognia przewyższającej nasze nędzne działa o kilka rzędów wielkości. Oczywiście twierdzono, że to dla naszego bezpieczeństwa. Reprezentanci Bremen przylatywali tu z kluczami dostępu zakodowanymi w cyzelach. Było to niepolityczne i trochę przerażające, że Wyatt tak otwarcie zadeklarował — nawet wobec mnie, outsiderki i dobrej znajomej — że jego administracja to uzbrojony oddział, a on jest dowódcą.

To prawda, że był bardzo cierpliwy. Ignorował drobne i średnie przypadki defraudacji podczas rozładunku wiabów i zapłaty podatków dla Bremen. Zachęcał swoich urzędników do kontaktów z Personelem i pospółstwem, a czasem nawet udzielał zgody na małżeństwa. W sytuacji gdy komunikacja z przełożonymi była tak sporadyczna, musiał się wykazać inicjatywą i elastycznością.

Mieliśmy już w Ambasadorii nadgorliwych komisarzy — polityka wyglądała wtedy okropnie. Wyatt uważał, że w zamian za łagodne traktowanie miejscowi są mu coś winni. Uważał, że Ambasadorzy nie grają fair.

Lubiłam Wyatta, ale sama widziałam, że postępuje zbyt naiwnie. W ostatecznym rozrachunku był przede wszystkim przedstawicielem Bremen. Rozumiałam, co to znaczy, nawet jeśli on jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

Wcześniej, 5

Gospodarze ukazywali się czasem w okolicy, sami lub w małych grupkach, otoczeni przez swoje zelle, drobiąc naprzód w zwolnionym tempie. Dokąd i po co zmierzali? Może zwiedzali miasto, a może skracali sobie drogę przez naszą dzielnicę? Niektórzy wchodzili głęboko w strefę aeoli, aż na osiedla Ambasadorii, a niektórzy z nich szukali porównań. To byli nasi najwięksi fani.

Co kilka dni zjawiał się któryś z nich albo nawet cała grupka, stąpając naprzód drobnymi kroczkami niczym skorupiaki. Wchodzili do Krawata, lekko poruszając drżącymi wachlo-skrzydłami, ubrani w stroje wizytowe — szarfy ozdobione frędzlami i filigranami, które przy podmuchach wiatru wydawały określone dźwięki, równie wyraziste jak jaskrawe kolory.

— Nasza publiczność chce nas widzieć — powiedział ktoś, gdy zobaczyłam ich po raz pierwszy.

Mimo udawanego zblazowania widać było, że ta publiczność wiele znaczy dla samych porównań.

Raz udało mi się namówić Ehrsul, by poszła ze mną — rzekomo po to, by nazbierać anegdot i później pośmiać się z moich nowych znajomych. Zobaczyłam, że przybycie Gospodarzy zupełnie wytrąciło ją z równowagi. Nie odpowiadała na moje szeptki i praktycznie się nie odzywała, nie licząc grzecznych półsłówek. Już wcześniej bywałyśmy razem w towarzystwie Gospodarzy, ale nigdy w tak nieformalnym otoczeniu, na ich własnych warunkach, bez protokołu narzuconego przez ambasadoriańskich ważniaków. Nigdy już nie wróciła.

Właściciele i stali bywalcy Krawata grzecznie ignorowali przybyszów, którzy mruczełi coś do siebie. Wyciągali korale oczu i rozsuwali szypułki na boki, mierząc nas spojrzeniem. Kelnerzy i klienci omijali ich zręcznie. Gospodarze szeptali między sobą, nie spuszczać z nas wzroku.

— Mówi, że szuka tego, który balansował metal — przetłumaczył ktoś. — To ty, Burnham. No, wstań! Pokaż się państwu.

— Mówią o twoich ubraniach, Sasha.

— A ten mówi, że jestem bardziej przydatny od was. Podobno bez przerwy mnie używa.

— Ty bezczelny draniu, wcale tak nie mówi!

I dalej w tym stylu. Gdy Gospodarze podchodzili bliżej i tłoczyli się wokół, czasem musiałam tłumić wspomnienia — ja, jako dziecko, w tej opuszczonej restauracji.

Z łatwością nauczyłam się rozpoznawać stałych gości po układzie oczu i wzorze na wachlo-skrzydłach. Z rozkosznym poczuciem, że oto popełniamy drobne bluźnierstwo, nadaliśmy im imiona odzwierciedlające te cechy charakterystyczne: Pieniek, Rogalik, Piątak. Oni najwyraźniej rozpoznawali nas bez problemu.

Po jakimś czasie poznaliśmy też ich preferencje. Jednym z moich najgorliwszych użytkowników był wysoki Gospodarz z czarno-czerwonym wzorem na wachlo-skrzydło, nieco przypominającym suknię do flamenco — na tyle, że ostatecznie ochrzciliśmy go Tancerką.

— On robi coś takiego... — tłumaczył mi Hasser. Wiedział, że nie znam za dobrze Języka. — Za każdym razem, gdy wspomina o tobie. — Widziałam, że bardzo stara się oddać niuansę. — „Ilekoć mówimy o mówieniu, większość z nas jest jak dziewczynka, która zjadła to, co jej dano. Ale pamiętajmy, że możemy z a d e c y d o w a ć, co chcemy z jej pomocą wyrazić”.

To prawdziwy wirtuoz. — Wzruszył ramionami, widząc moją sceptyczną minę, i pewnie porzuciłby ten temat, ale nalegałam, żeby to wyjaśnił.

Z tego co wiedział, moje porównanie najczęściej oznaczało borykanie się z jakąś trudnością. Jednak Tancerka i jego przyjaciele, za pomocą jakiejś dziwnej retoryki, kładąc nacisk na określoną sylabę, używali mnie, by opisać potencjalne zmiany. Tego rodzaju brawura potrafiła wprawić Gospodarzy w ekstazę. Nie wiedziałam, czy zawsze byli tak zafascynowani Językiem, czy ta obsesja wynikała dopiero z kontaktu z Ambasadorami i z nami — ich dziwnymi, pozbawionymi Języka pobratymcami.

Scile zawsze domagał się szczegółów: kto co powiedział, którzy Gospodarze się zjawili.

— To nieuczciwe — poskarżyłam się. — Nie chcesz ze mną pójść, a potem złościsz się, że nie zapamiętałam wszystkich idiotycznych drobiazgów.

— Nie byłbym tam mile widziany. — Tu miał rację. — A zresztą po co tam chodzisz, skoro to takie nudne?

Było to bardzo rozsądne pytanie. Przyznaję, że irytowało mnie to dziecinne podekscytowanie innych porównań na widok odwiedzających ich Gospodarzy, a także różnorodność tematów (a raczej jej brak), jakie poruszali, gdy gości akurat nie było. A jednak odczuwałam jakieś dziwne przekonanie, że właśnie tu może się wydarzyć coś ważnego.

* * *

Pewien Gospodarz często zjawiał się w Krawacie z Tancerką. Był niższy i bardziej krępy od pozostałych, brzuch miał bardziej obwisły, jakby zbliżał się już do starości. Z jakiegoś powodu nazwaliśmy go Ulem.

— Widywałam go już wcześniej — powiedziała Shanita.

Przybysz mówił bezustannie, ale nie mogliśmy za nim nadążyć — wyglądało to na przypadkowe urywki dłuższych zdań. Nie widzieliśmy w nich żadnego sensu. Przypomniałam sobie, skąd go znam — ze swojej pierwszej wizyty w mieście. Brał udział w Festiwalu Kłamstw. Okazał się niezwykle sprawny w opisywaniu przedstawionego obiektu. Chyba wymienił zły kolor.

— To kłamca — stwierdziłam, strzelając palcami. — Ja też go znam.

— Hmm — mruknął Valdik podejrzliwie. — A co teraz mówi?

Ul zataczał kręgi i obserwował nas, drapiąc powietrze dar-skrzydłem.

— „Tak, właśnie tak — przetłumaczył Hasser. Potrząsnął głową. — Oni są, właśnie tak, podobni, oni, nie tacy sami, tacy sami”.

* * *

Spotykaliśmy się także w innych miejscach, ale Krawacie pozostał naszą ulubioną metą. Od czasu do czasu chodziliśmy do jakiejś restauracji w dzielnicy handlowej albo do ogródka nad kanałem, ale tylko po wcześniejszym ustaleniu i tylko z powodu jakiegoś dziwnego strachu przed zbytnim ograniczeniem. Jednak to w Krawacie szukali nas Gospodarze, a w końcu cała zabawa polegała na tym, żeby dać się odnaleźć.

Porównania uważały, że tworzą jakiś salon wymiany opinii, ale dopuszczalny był jedynie określony zakres poglądów. Pewien młody człowiek próbował kiedyś wytaczać argumenty, które stopniowo przeszły od haseł wolnościowych do czystego podżegania, i musiałam interweniować, by nie doszło do bójki.

Wyprowadziłam go na zewnątrz.

— Idź już — poradziłam.

Porównania stłoczyły się przy wejściu, szydząc i podpuszczając go, by wrócił i raz

jeszcze spróbował obrazić Ambasadorów.

— Myślałem, że są radykałami. — Był tak zdruzgotany, że miałam ochotę uściskać go na pocieszenie.

— Oni? Zależy kogo spytać — odparłam. — Bremen pewnie uznałoby ich za zdrajców, ale są bardziej lojalni wobec Personelu niż Personel wobec siebie.

Sam pomysł, by rządzić, kierując się zdaniem opinii publicznej, był absurdalny. Czy ktoś z nas zdołałby samodzielnie porozumieć się z Gospodarzami? A dla bywalców Krawata brak Ambasadorów — oczywiście abstrahując od nieuchronnego upadku Ambasadorii, do jakiego by doprowadził — musiałby być szczególnie dotkliwy. Kto wtedy wymawiałby tych wszystkich ludzi, tak bardzo przejętych swoją rolą?

Później, 7

Ariekeni nie reagowali na próby kontaktu. Wielokrotnie rozważałam wtedy, czy nie zadzwonić do CalVina lub Scile'a i nie zażądać informacji; podejrzewałam, że wiedzą znacznie więcej niż inni. W końcu zrezygnowałam — nie dlatego, że bałam się konfrontacji, raczej przypuszczałam, że nie zdołam od nich nic wyciągnąć.

W Ambasadorii nadeszła wiosna i chłód powoli ustępował. Wyrzałam z okna Ambasady, patrząc na okoliczne dachy, zwierzostatki i migoczące budynki. Coś się zmieniało. Jakiś kolor lub jego brak, jakiś ruch, drzenie.

Corvus poderwał się z platformy lądowniczej i wzbił się w niebo, przez chwilę miotał się w tę i z powrotem, szukając miejsca do lądowania, po czym wrócił pokonany. Najwyraźniej lecący nim Ambasadorzy wysłali wiadomości do budynków, nad którymi przelatywali, i nie doczekali się odpowiedzi.

Prawdopodobnie większość miasta nie wiedziała jeszcze, że coś się stało. Oficjalne media były lojalne wobec Personelu albo niekompetentne. Ale na tym przyjęciu było mnóstwo osób i plotki rozchodziły się stopniowo.

* * *

Słońce nadal wschodziło, w sklepach sprzedawano towary, a ludzie udawali się do pracy. Była to bardzo powolna katastrofa.

Zadzwoiłam pod numer, który dostałam od Ehrrul — wyluskała go z nowej i nie do końca zabezpieczonej aktualizacji sieci. Twierdziła, że to numer Eza, ale abonent nie odpowiadał. Zakląłam najciszej, jak potrafiłam, i znów spróbowałam. Bezskutecznie.

Później dowiedziałam się, że tamtego dnia Ambasadorzy w desperacji wyszli do miasta piechotą. Pary rozgorączkowanych dubli zaczepiały napotkanych Gospodarzy, zadając im pytania poprzez transmitery hełmów aeoli, ale w odpowiedzi słyszeli jedynie grzecznościowe banały, zdziwione pomruki albo niezbyt pomocne napomknienia o nadchodzącym nieszczęściu.

Do mnie także ktoś zawitał. Gdy otworzyłam drzwi, na progu stał Ra. Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w niego w milczeniu.

— Wyglądasz na zaskoczoną — stwierdził.

— To mało powiedziane — odparłam, odstupując na bok, by mógł wejść. Ra co chwila wyjmował swój komunikator, jakby chciał go wyłączyć. — Dzwonili do ciebie? — spytałam.

— Tylko Wyatt.

— Naprawdę? Nikt inny? Żaden z Ambasadorów? Nikt cię nie śledził?

— Jak się miewasz? — zapytał. — Tak sobie pomyślałam... — Przez dłuższy czas siedzieliśmy naprzeciwko siebie. Ra kilkakrotnie obejrzał się za siebie, ale była tam tylko ściana.

— Gdzie jest Ez? — spytałam.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Wszedł.

— Nie powinniście teraz być razem? — Znów wzruszył ramionami. — W Ambasadzie? Słuchaj, jak ty w ogóle stamtąd wyszedłeś? Myślałam, że nałożą na ciebie areszt domowy.

Gdyby to zależało ode mnie, na pewno zamknęłabym EzRę, choćby po to, żeby opanować sytuację. Może faktycznie próbowali, ale chyba się nie udało.

— No cóż — odparł. — Wiesz, jak jest. Musiałem... pobyć trochę sam. — Aż się roześmiał, słysząc ostatnie zdanie. Pewnie kryła się za tym niezła historia.

— I jak?... — odezwała się w końcu. — Jak ci się podoba nasze miasteczko? Znów się zaśmiał.

— Jezu — wykrztusił, jakby zobaczył coś dobrego i całkiem niespodziewanego.

Na zewnątrz rozległ się krzyk mew. Zataczały kręgi, zmierzając w stronę morza leżącego o kilka kilometrów stąd, i zawracały, pchane powiewem wiatru i aeoli. Bardzo rzadko zdarzało się, żeby któreś z nich dotarły do strefy miejscowego powietrza i zdechły.

— Musisz mi pomóc — nalegał Ra. — Muszę wiedzieć, co tu się dzieje.

— Żartujesz! — wykrzyknęłam. — A co ja niby mogg wiedzieć? Jezu, co za komedia pomyłek. Jak sadzisz, czego próbuję się dowiedzieć? Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

— Próbowałem rozmawiać ze wszystkimi, którzy byli na tej imprezie, i...

— Chyba kiepsko próbowałeś, skoro dopiero teraz trafiłeś do mnie...

— Ze wszystkimi z Personelu i z pracownikami Ambasady. Ci wyżej postawieni nie powiedzieli ani słowa, a reszta... Kilku z nich poradziło, żebym przyszedł do ciebie.

— Nie mam pojęcia dlaczego. Myślałam, że skoro byłeś w to zamieszany, to...

— Może ktoś tam na górze wie, co się dzieje, ale niemi... nam... nie powiedział. Ale ci inni... mów li, że znasz dużo osób, Avice. I że ludzie ci się zwierniają.

Potrząsnęłam głową.

— Wszystko przez ten cholerny urok outsidera — westchnęłam. — Myślałeś, że zdołasz pójść okrężną drogą i wydobyć coś ze mnie? Ludzie nie mają pojęcia, mówią tak tylko dlatego, że jestem zanurzaczką i przez chwilę sypiałam z Cal-Vinem. Ale nie robiłam tego już od wielu miesięcy. Miejscowych, nie bremeńskich. Mój własny mąż jest tu cudzoziemcem i wie więcej ode mnie, a nawet on nie chce ze mną rozmawiać. — Spojrzałam na niego. — Naprawdę nie wiesz, co się dzieje? Czy Wyatt wie, że tu jesteś?

— Nie. Pomógł mi w ucieczce, ale... Ez też nie wie. To nie ich sprawa. — Przygryzł wargę. — No dobrze, oficjalnie rzecz biorąc, tak. To znaczy... chciałem tylko... — Po dłuższym milczeniu spojrzał mi w oczy i wstał z krzesła. — Posłuchaj — powiedział z nagłym spokojem. — Muszę to zbadać. Wyatt jest kompletnie bezużyteczny. Ez próbuje wykorzystać swoją pozycję. Zobaczymy, co mu to da. Słyszałem, że znasz parę dobrze poinformowanych osób. — W tej jednej chwili nie wyglądał już jak bezwolny bagaż Eza, ale jak wysoki urzędnik i agent władzy kolonialnej.

— Powiedz mi — poprosiłam w końcu — ile tak naprawdę wiesz? Co słyszałeś, co podejrzewasz? Wszystko od początku.

Najwyraźniej Gospodarze wrócili. Po dwóch dniach milczenia wrócili do Ambasadorii, grupka ciężkich sylwetek kołysała się na platformie lądowniczej.

— Przynajmniej czterdziestu — powiedział. — Bóg jeden wie, jak się mieszczą w tym statku. Pytali o mnie i o Eza.

Z tego co mówił, Ariekeni ledwie odpowiedzieli na powitania Ambasadorów. Dość obcesowo zażądali widzenia z EzRą.

— Szkoliłem się do tego — powiedział Ra. — Studiowałem ich fizjologię. Pamiętasz, co się stało z tą grupką, która zjawiała się na przyjęciu? To nie było normalne zachowanie. Ci tutaj wyglądali tak samo, tylko bardziej... jakby... podekscytowani. Bełkotali coś bez sensu.

Wyszedłem do nich od razu, ale potem przyszedł Ez i dopiero wtedy nas rozpoznali. Zaczęli powtarzać: „Proszę, dobry wieczór, Ambasadorze EzRa, proszę, proszę”. I tak dalej w tym stylu. Niektórzy, w tym twój przyjaciel CalVin, próbowali nas powstrzymać. Protestowali. Mówili, że powiedzieliśmy już za dużo. — Potrząsnęłam głową. — A Gospodarze zbliżali się coraz bardziej.

Nie mieliśmy dokąd uciec. Oni są olbrzymi. Ma się wrażenie... A zatem po prostu... przemówiliśmy w Języku, Ez i ja. Powiedzieliśmy im dobry wieczór. Dodaliśmy, że to zaszczyt ich tu widzieć. A wtedy...

Gdy przemówili, wydarzenia się powtórzyły, ale tym razem na większą skalę. Możliwe, że zdołałabym namierzyć jakieś nagranie albo trid przedstawiający całą scenę — pewnie były tam jakieś osawidy — ale Ra opowiedział mi wszystko, więc z łatwością mogłam to sobie wyobrazić. Tłum Gospodarzy zeszywniał, niektórzy zataczali się w miejscu, inni przewracali na ziemię, jeden na drugiego. Wokół rozbrzmiewały dźwięki, rozpaczliwe wołania, zmieniając się w coś nieznanego. Czyżby zasłabli? Dźwięki rozbrzmiewały i milkły w rytmie słów EzRy.

— Próbowałam mówić dalej, ale w końcu Ez się zmęczył.

Wtedy Gospodarz stojący z przodu rozwinął oczy i wyciągnął je w tył do swoich towarzyszy, nie odwracając przy tym korpusu, i powiedział:

— Mówiłem wam.

Zataczając się, weszli do sali recepcyjnej, zostawiając za sobą betonowe sylwetki budynków i niebo pełne ptaków uwięzionych w swojej powietrznej klatce. Ambasadorzy i członkowie Personelu wciąż stali na platformie, osłupiali i zaskoczeni.

Zawsze postrzegaliśmy Ariekeńców jako postacie mityczne czy baśniowe. Patrzyliśmy na Gospodarzy i widzieliśmy fantastyczne twory owadzio-końsko-koralowe, chimery złożone z naszych własnych wyobrażeń. Teraz zobaczyliśmy obcych, nucących polifoniczne melodie, pograżonych w transie wypływającym wyłącznie z nich samych.

— Odeszli. Niektórzy z Ambasadorów próbowali ich zatrzymać, ale co właściwie mogli zrobić? No, chyba że rzuciliby się im pod nogi. EdGar i LoGan krzyczeli, JoaQuin i AgNes próbowali... perswadować. Ale Gospodarze po prostu wy-maszerowali na zewnątrz. Razem z Ezem dopytywałam się, co teraz zrobić, a CalVin i ArnOld powiedzieli, że zrobiliśmy już dosyć. — Ra schował twarz w dłoniach. — Teraz nawet MagDa nie chcą z nami rozmawiać. Nie widziałem ich już od kilku dni. Nie chciałyby się dowiedzieć, o co tu chodzi?

— Oczywiście, że tak — odparłam. — Co to za pytanie?

— Potem było sporo krzyków.

— Kim jest Oracjent?

— Nie wiem. Czemu pytasz?

— CalVin i HenRy coś o nim wspominali. Może należałoby o tym pomówić. Myślałam, że może wiesz...

— Pomówić z Oracjentem, CalVinem czy HenRym?

— Nie wiem — odparłam. — Tak. — Wzruszyłam ramionami. „W zasadzie dlaczego nie?”.

— Myślałam, że możesz mi pomóc — nalegał Ra. — Ludzie mają sporo zaufania do twoich umiejętności.

— Powiedzieli ci, że umiem flokować? — zadrwiłam. — Żałuję, że w ogóle nauczyłam ich tego słowa. Teraz chyba myślą, że potrafię wszystko. Chociaż nie, tak naprawdę nic nie myślą, po prostu szukają okazji, żeby powiedzieć „flokować”.

— Rozmawiają z pozaziemami — dodał Ra. — Ambasadorzy musieli dać znać Kedisom i pozostałym, że coś się dzieje. Najwyraźniej mieli nadzieję, że uda im się to opanować, ale... — Znów zadzwieczał dzwonek. — Zaczekaj! — zawołał Ra, ale ja już wyszłam z pokoju.

Za drzwiami czekali konstable i funkcjonariusze służby bezpieczeństwa. Niektórzy z nich byli młodszy ode mnie i zdawali się trochę onieśmieleni.

— Pani Benner Cho? — zapytał jeden. — Przepraszamy za najście. Z tego co wiemy, eee, przebywa u pani Ra? — zająknął się przy braku tytułu.

— Avice, gdzie on jest? — Rozpoznałam ten głos.

— MagDa? — upewniłam się. Nie dostrzegłam ich zza tej obstawy.

Ambasador przepchnęły się naprzód.

— Musimy z nim pomówić.

— I to pilnie.

— Witajcie. — Ra stanął mi za plecami. Nie odwróciłam się.

— Ra... — Spodziewałam się, że MagDa będą wściekłe, ale na ich twarzach odmalowała się tylko ulga. — Tu jesteś.

— Musisz wracać.

— Musimy objąć pana opieką prewencyjną — powiedział jeden z funkcjonariuszy. MagDa wyglądały, jakby podziałało im to na nerwy, ale nic nie powiedziały. — Dla pana bezpieczeństwa, póki nie opanujemy sytuacji. Proszę pójść z nami.

Ra wyprostował się na całą wysokość, funkcjonariusz spojrzął mu w oczy. Po chwili mężczyzna skinął mi głową i pozwolił się wyprowadzić. Odpowiedziałam skinieniem. Byłam nim trochę zawiedziona.

Wyprowadzili Rę z budynku, ale nie skuli go kajdankami. Szli obok niego, tak jakby rzeczywiście byli tu tylko dla jego bezpieczeństwa. Była to pewna uprzejmość z ich strony, choć każdy, kto miał jakiegokolwiek pojęcie na temat ambasadorskiej polityki, zdawał sobie sprawę, że to nic innego jak zwykle aresztowanie. Patrzyłam, jak odchodzi, by dołączyć do Eza i być może także Wyatta w niewielkich, czystych pokojach, dobrze strzeżonych i zamkniętych od zewnątrz.

Wcześniej, 6

Pod względem praw religijnych Ambasadoria stanowiła odłam Bremen. Nie było żadnego oficjalnego wyznania, ale, podobnie jak w przypadku wielu małych kolonii, wśród założycieli znalazła się grupka religijnych osób. Kościół Jezusa Pharotektona stanowił najbliższy odpowiednik oficjalnej kongregacji. Jego wysokie latarnie wznosiły się wysoko ponad dachami Ambadorii, rzucając wokół wirujące wiązki światła.

Były także inne przybytki religijne: maleńkie synagogi, meczety, kościoły i świątynie, regularnie odwiedzane przez kilkudziesięciu wiernych. Kilka ultraortodoksyjnych odłamów każdego z wyznań z całych sił opierało się bezbożnym nowinkom, próbując utrzymać kalendarz oparty na trzydzie-stosiedmiogodzinnym dniu Bremen albo wręcz, wiedzione szaleńczą nostalgią, starały się wprowadzić rachubę i podział pór roku rzekomo używane na Ziemi.

Podobnie jak Gospodarze, Kedisowie z Ambadorii nie znali żadnych bogów. Zgodnie z ich wiarą dusze zmarłych i nienarodzonych łączyły siły w nieskończonej walce z żywymi, ale ich usposobienie było znacznie pogodniejsze, niż wskazywałaby ta ponura teologia. Zdarzyło się kilku religijnych Shur'asi, ale byli to raczej dysydenci. Większość stanowili ateści — może dlatego, że, nie licząc tragicznych wypadków, Shur'asi nie umierali i rzadko się rodzili.

Ambadorianie mieli prawo nie wierzyć w nic, dlatego rzadko myślałam o sprawach dobra i zła.

* * *

Jak dowiedzieliśmy się z podsłuchanych rozmów, Ul tak naprawdę nazywał się

surl
tesh-echer

. Powiedziałam o tym Calvinowi, kalecząc to imię swoim monogłosem, wymawiając najpierw skrót, potem skręt, po czym zapytałam:

— Mógłbyś się dowiedzieć, kiedy weźmie udział w następnym Festiwalu Kłamstw? Jest moim wiernym fanem i chciałabym się jakoś... odwdziaczyć.

— Chcesz pójść na... kolejny festiwal?

— Aha. Ja i parę innych porównań. — Z początku był to tylko kaprys, zwykła ciekawość, ale potem nie mogłam się już opędzić od tej myśli. Gdy wspomniałam o tym Hasserowi i kilku pozostałym, byli zachwyceni. — Myślicie, że dałoby się to zrobić? Moglibyście nas wprowadzić?

Już od jakiegoś czasu nie wzywano nas na żadne imprezy Języka. Chyba jako jedyna z nich byłam bardziej zainteresowana kłamstwami niż wykorzystaniem mojego porównania, ale reszta „krawaciarzy” na pewno nie pogardziłaby wejściówką na festiwal.

CalVin spełnili moją prośbę, chociaż bez entuzjazmu. Czasem zastanawiałam się, dlaczego w ogóle robili mi przysługi. Jeden z nich zawsze okazywał mi rozdrażnienie. Różnice w ich zachowaniu były bardzo niewielkie, ale już od jakiegoś czasu miałam do czynienia z Ambadorami i potrafiłam je wyczuć. Miałam wrażenie, że na zmianę są wobec mnie życzliwi i oschli, niczym dobry i zły policjant.

Rozmowy Gospodarzy w Krawacie zdradzały istnienie burzliwych sporów. Ariekeni

dzielili się na frakcje, w zależności od wyznawanych teorii i poglądów politycznych. Niektórzy z nich uwielbiali nas — choć pewnie nie powinnam używać tego słowa — ze względu na efekt estetyczny. Niektórzy oceniali naszą przydatność. „Chłopiec, który pływa z rybami, jest prosty — powiedział jeden z nich. — Dziewczynka, która zjadła to, co jej dano, przypomina więcej rzeczy”. Valdik się zaśmiał, ale nie był zadowolony, że tak zlekceważono jego porównanie. Ul, którego zaczęłam nazywać „Surl Tesh-echer”, był przywódcą innej grupy. Był mistrzem kłamstw

Miał kilku stałych towarzyszy: Tancerkę, Szpindla i Kale-sona, który nosił budyfikowaną protezę kopyta. Trudno wyrazić ich rozmowy we wszechangielskim — wyobraźcie sobie ludzi obchodzących w kółko eksponat w galerii, od czasu do czasu rzucających krótkie komentarze w rodzaju: „niepełny”, „duży potencjał” albo „liczne niuanse i niepewność ekspresji”, a czasem dłuższe, bardziej niejasne zdania.

— „Ptaki krążą jak dziewczynka, która zjadła to, co jej dano — przetłumaczył Hasser. — Ptaki są jak dziewczynka, która zjadła to, co jej dano, i jak chłopiec, który pływa z rybami, i jak rozłupany głąz...”.

Ariekeni spoza grupy surl
tesh-echer głośno protestowali. Reagowali na te

stwierdzenia podnieceniem lub zdenerwowaniem. W przeciwieństwie do nich surl
tesh-echer, Tancerka i inni w ogóle nie odpowiadali na tę krytykę. Ochrzciliśmy tę grupę mianem „profesorów”.

surl
tesh-echer naciągał logikę analogii — zdaniem większości Arie-kenów ptaki w niczym nie przypominały mojego porównania.

— Uważają, że to brak szacunku... upierać się, że coś jest inne, niż widzą je pozostali — powiedział Hasser, który z jakiegoś powodu zdawał się nieszczęśliwy. *Ptaki są jak dziewczynka, która zjadła to, co jej dano*, powiedział znów jeden z profesorów. Zająknął się i pomylił słowa, musiał przerwać i zacząć od początku.

* * *

U progu zimy znów zjawiłam się w Krawacie — z przekąsem zastanawiając się, jak długo już tu przychodzę — zasypanym zeschniętymi liśćmi i zimnym kurzem z uliczek Ambasadorii. Tym razem siedział tam tylko Valdik. Najwyraźniej czuł się niekomfortowo, mówił jeszcze mniej niż zwykle. Zastanawiałam się, czy ma jakieś problemy w życiu osobistym, o których nic nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć. Siedzieliśmy w kłopotliwej ciszy.

Wypiłam swoją kawę i już miałam iść, gdy weszli Shanita i Darius. Shanita była małomówna; zawsze miałam wrażenie, że trochę ją onieśmielałam. Darius był szczery, prostoduszny i niezbyt bystry. Przywitali się ze mną serdecznie.

— Co tu robił Scile? — zapytał Darius, siadając przy stoliku. Valdik nie zareagował.

— Scile? — upewniłam się.

— Znów tu był, trochę wcześniej — wyjaśnił Darius. — Przyszedł też jakiś Gospodarz. Strasznie dziwnie się zachowywał. Twój mąż, nie Gospodarz. Chodził po sali i rozkładał... — wykonał nieokreślony gest, jakby szukał słowa — .. .jakieś śrubki i nakrętki na wszystkich

stolikach. Nie chciał powiedzieć po CO.

— Znów? Co to znaczy „znów”?

Okazało się, że zajrzał tu kiedyś, gdy mnie akurat nie było, późno w nocy. Siedziało tu trzech Gospodarzy. Dariusz tego nie widział, ale Hasser mu wszystko powtórzył. Scile był dziwnie ubrany, miał wszystko w jednym kolorze. Shanita skinęła głową. Powiedziała, że za pierwszym razem rozkładał te same przedmioty.

— O co mu chodziło? — zapytał Dariusz.

— Nie wiem — odparłam ostrożnie.

Sądząc z jego milczenia, Valdik mógł się domyślać, o co chodzi. Ja też się domyślałam — odprawiając te dziwne, niecodzienne rytuały, Scile próbował zapaść Gospodarzom w pamięć. Usiłował zrobić wrażenie przydatnego narzędzia, czegoś sugestywnego. Chciał zostać porównaniem.

Co próbował oznaczać? Przez chwilę się nad tym zastanawiałam, ale potem poprawiałam się w duchu: to już byłoby dla niego bez znaczenia.

* * *

Corvus zawiózł nas w głąb miasta, do wielkich, wysokich sal, katakumb w jego pomarszczonej skórze, do alków pełnych budowlanych narządów.

W sali aż dźwięczało od melodii Języka. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam tyłu młodych Gospodarzy, zaledwie rozpoczynających swój trzeci cykl i dopiero uczących się mowy. Dorównywali swym rodzicom pod względem kształtu i rozmiarów, ale byli jeszcze dziećmi — można to było poznać po kolorze brzuchów i charakterystycznym kołysaniu. Z wielkim zaciekawieniem przyglądali się próbom kłamstwa.

Większość uczestników była w stanie co najwyżej milczeć, nie mogąc wymówić nieprawdy Stałam z Hasserem, Valdi-kiem i kilkoma innymi porównaniami wybranymi spośród naszej paczki, nie wiem, na jakiej zasadzie. Wprowadzili nas ArnOld — przyszli na festiwal jako uczestnicy i dali nam wyraźnie do zrozumienia, jak bardzo nie mają ochoty służyć nam za

arn
—
old

opiekunkę. Gospodarze powitali ich prawdziwym imieniem:

Scile przyszedł wraz ze mną i teraz prowadził niezobowiązującą pogawędkę z moimi znajomymi. Już od dawna nie miał okazji usłyszeć Języka w jego naturalnym środowisku — poprosiłam o to zaproszenie specjalnie dla niego. Wiedział o tym i teraz odnosił się do mnie z nieśmiałą wdzięcznością. Nie byliśmy już ze sobą tak blisko, jak podczas naszego pierwszego festiwalu, i ten niespodziewany prezent z pewnością go zaskoczył. Nie słyszałam, żeby podejmował jeszcze jakieś inne próby, by zainteresować sobą Gospodarzy, i nie powiedziałam nic na ten temat.

Zanim nadeszli ludzie... Zauważyłam, że przemawia teraz jeden z najrzęczniejszych kłamców, członek kręgu profesorów.

Zanim nadeszli ludzie... Tu się zatrzymał. Jeden z jego towarzyszy podjął wątek: *Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele o pewnych sprawach.* Po widowni przeszedł dreszcz. Wystąpił kolejny mówca: *Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele...*

Wiedziałam już o nich dość dużo, by rozpoznać tę sztuczkę — było to zbiorowe pseudołgarstwo: każdy z nich powtarzał zdanie poprzednika, ścisząc głos na ostatniej frazie. „O pewnych sprawach” zostało wypowiedziane tak cicho, że publiczność nie mogła go usłyszeć. Była to zwykła blaga, sztuczka wykonana ku uciesze tłumu... a tłum zdawał się ucieszony.

ArnOld wyprostowali się i razem zapowiedzieli kolejnego zawodnika:

surl
tesh-echer

To był Ul. Zataczając kręgi wachloskrzydłem i prężąc dar-skrzydło, wystąpił na pole kłamstw.

* * *

Ariekeni, którzy potrafili odrobinę kłamać, posługiwali się przy tym jedną z dwóch metod. Pierwsza polegała na tym, by mówić bardzo wolno. Próbowali skoncentrować się na nieprawdziwym stwierdzeniu — co było dla nich praktycznie niemożliwe; ich umysły alergicznie reagowały na stwierdzenia sprzeczne z faktami, nawet niewypowiedziane. Przygotowawszy je odpowiednio, udawali przed sobą, że nagle zapomnieli o jego znaczeniu. Wymawiali każde z tworzących je słów z odpowiednią prędkością, robiąc na tyle duże pauzy, że w ich umyśle każde słowo tworzyło osobną ideę i samo w sobie mogło zostać wymówione; jednak zachowywali przy tym odpowiedni rytm, tak by w odbiorze słuchaczy całość składała się w niezgrabne, lecz zrozumiałe nieprawdziwe zdanie. Spośród kłamców, których dotąd widziałam, największe sukcesy odnosili właśnie korzystający z metody „powolnego kłamstwa”.

Istniała jednak również druga technika, bardziej żywiołowa i znacznie trudniejsza. Polegała na zamknięciu własnego umysłu na znaczenie zdania, a nawet poszczególnych słów, i po prostu wymówieniu potrzebnych dźwięków. Wyrzuceniu z siebie ciągu sylab. To było „szybkie kłamstwo”, wydanie odpowiednich dźwięków, zanim ich suma w swojej nieprawdziwości odbierze mówiącemu zdolność pomyślenia tej koncepcji.

surl
tesh-echer

otworzył dwie pary ust.

Zanim nadeszli ludzie — powiedział upartym staccato — *nie mówiliśmy.*

Zapadła długa cisza. A potem tłum oszalał.

surl
tesh-echer

Żałowałam, że nie rozumiem mowy ciała Ariekenów. mógł promieniować triumfem, cierpliwością albo w ogóle niczym. Nie wyszeptał drugiej części zdania ani nie wypowiedział go mechanicznie, wyrzucając z siebie dźwięk po dźwięku.

surl
tesh-echer

wygłosił najprawdziwsze kłamstwo.

Publiczność zataczała się ze zdumienia. Sama się zatoczyłam.

* * *

W początkach trzeciego cyklu Gospodarze budzili się z doskonałą znajomością Języka, była to bezpośrednia funkcja ich świadomości.

— Miliony lat temu musiała tu zajść jakaś adaptacja ewolucyjna. Zdolność natychmiastowego rozpoznawania prawdy musiała dawać jakąś przewagę — powiedział ostatnio Scile, gdy snuliśmy hipotezy na temat tej historii. — Dobór selektywny faworyzujący umysły,

które umiały wyrażać tylko prawdę.

— Ewolucja zaufania... — zaczęłam.

— W takiej sytuacji zaufanie nie jest potrzebne — przerwał.

Przypadek, zmagania, porażka, przetrwanie, darwinowski chaos instynktownej gramatyki, popędy zwierzęcia o dużym mózgu żyjącego w trudnych warunkach, selekcja cech, która w efekcie stworzyła całą rasę prawdomównych istot.

— Ten Język jest cudowny — stwierdził Scile, ale ja, szczerze mówiąc, byłam nim trochę zde gustowana. Biorąc pod uwagę, do czego może służyć mowa, to cud, że Ariekeni przetrwali aż tak długo. Doszłam do wniosku, że Scile właśnie to ma na myśli, więc się z nim zgodziłam.

Gdyby ewolucja rzeczywiście była tożsama z moralnością, Gospodarze nie potrafiliby również dosłyszeć kłamstw, jak jedna z owych legendarnych małp, ale w rzeczywistości jest znacznie bardziej losowa i piękniejsza. A zatem dotyczyło to jedynie tych nielicznych osobników, które potrafiły je wymówić — drobne, zręczne nieprawdy. Bez pomocy referentów, dla samego kłamcy jego własne kłamstwa stanowiły jedynie szum. Biologia jest leniwa: jeśli usta mówią prawdę, to dlaczego uszy miałyby odróżniać ją od jej przeciwieństwa? W sytuacji gdy każde wymówione zdanie z definicji oznacza to, co oznacza? Dzięki tej luce adaptacyjnej Gospodarze byli w stanie zrozumieć kłamstwa. Mogli w nie uwierzyć — wiara była dla nich stanem domyślnym, pozbawionym znaczenia. A jeśli fałszywość jakiegoś stwierdzenia była oczywista, mogli napawać się nim jako czymś niezwykłym, obrazem czystej niemożliwości.

Może jestem monotematyczna: to niesprawiedliwe sugerować, że Gospodarze interesowali się wyłącznie Językiem, ale takie skrzywienie jest chyba nieuniknione. Moja opowieść jest prawdziwa, ale to ja ją opowiadam, ze wszystkimi tego konsekwencjami. A zatem podkreślę to jeszcze raz: Gospodarze interesowali się wszystkim, ale Językiem przede wszystkim.

* * *

surl
tesh-echer:

A zatem *surl*, ekstremista i radykał, wymówił kłamstwo w postaci wymiotu fonemów, artykułowanych wbrew własnemu umysłowi.

Widownia wpadła w zachwyt, zobaczyliśmy naprawdę rzadkie osiągnięcie. Sama byłam zachwycona. Ambasadorzy ArnOld byli zaskoczeni, Hasser — rozbawiony. Valdik i Scile wyglądali na przerażonych.

Później, 8

Do Ambasady zaczęto eskortować Kedisów i Shur'asi. Sfilmowały to małe osawidy reporterskie.

Urzednicy średniego szczebla zabierali ze sobą trójki i czwórki Kedisów, a także paru myśłowódców Shur'asi. Pojazdy śmigały ponad dachami, antenami i dźwigarami budynków, ponad kłębami dymów wzbijającymi się z kominów. W biuletynach informacyjnych wciąż powtarzało się jedno ujęcie: młody członek Personelu machnięciem ręki odganiający natrętnego vida. Musiał być bardzo zestresowany, skoro pozwolił sobie na taki brak profesjonalizmu.

Infocasty, zarówno głosowe, jak i tekstowe, były zupełnie zdezorientowane. Być może większość miejscowych w ogóle nie dostrzegła żadnego kryzysu aż do tego zebrania z udziałem naszych pozaziemów. Kapsuły zabierające ich na posiedzenia leciały stadami, tuż obok ptaków i vidów wielkości pięści.

Daleko na przedmieściach dziwny ruch zmieniający krzywizny miasta wciąż pełził przed siebie.

* * *

Zadzwoiłam do Ehrrsul, RanDolpha i Simmona, ale nie mogłam połączyć się z nikim. Po długim wahaniu wybrałam numer Wyatta, ale on też nie odbierał.

W słuchawce wciąż zachowałam numer Hassera, Valdika i kilku innych porównań. Już od dawna nie miałam z nimi kontaktu. „A zresztą jakie to ma teraz znaczenie?” — pomyślałam, ale nie zadzwoniłam.

Jestem pewna, że nie ja jedna na to wpadłam, ale powoli zaczęłam się przygotowywać na nieuniknione (czymkolwiek ono by było). Skopiowałam ważne dane, ukryłam cenne przedmioty i spakowałam niezbędne rzeczy do podręcznej torby. Zawsze fascynowało mnie to, jak szybko moje ciało potrafiło samo przejąć kontrolę nad sytuacją. Umysł miał ochotę usiąść i rozpacząć, ale ręce i nogi robiły to, co należało.

Niepostrzeżenie nadeszła noc, powiew aeoli był wciąż chłodny. Pamiętam, że w tym kluczowym momencie w powietrzu rozbrzmiewały głosy nocnych ptaków i szczebiot miejscowych zwierząt. Nie było jeszcze na tyle późno, by ruch całkowicie ustał. W ogóle nie czułam zmęczenia. Trudno było przyjąć do wiadomości treść nagrań, które oglądałam przez cały dzień. Infoprogi wciąż nadawały.

— Nie jesteśmy pewni, co... zaraz... Coś nadchodzi od strony miasta... ach, ruch w rejonie...

Vid ukazał maszerujących Ariekenów. Zarówno na ekranie, jak i w oknie widziałam corvusy śmigające gorączkowo w kilku różnych kierunkach. Usłyszałam jakieś głosy. Wychyliłam się przez okno i wtedy ujrzałam ich źródło. Gospodarze zmierzali do Ambasadorii.

* * *

Pobiegłam do międzystrefy rozciągającej się od Ambasadorii do miasta. Wokół zapalały się światła, ludzie, zbudzeni hałasem, wyglądali na ulicę, ale choć dołączało do mnie coraz więcej mrugających z senności mieszkańców, nie czułam się częścią tłumu. Przebiegałam pod świetlnymi kulami, syczącymi, gdy dotknęły ich ćmy. Pod łukami, które znałam już od

dzieciństwa, czując w ustach smak rzednącego powietrza, zorientowałam się, że tylko kilka przecznic dzieli mnie od skraju miasta. Znajdowałam się na Beckon Street, która opadała ostro w dół i wychodziła z naszej enklawy.

Była to stara część Ambasadorii. Na skraju okapów umieszczono gipsowe gryfy. Nieopodal kończyła się nasza architektura — pędy dzikiego wina ginęły pod naporem ciałomaterii i ariekieńskich konstrukcji. Bioformy dotykały pla-styny i cegieł, wyciągając strużki skóry.

Gospodarze wylegli na drogę, potracając się nawzajem. Pojedyncze osobniki poruszały się z wdziękiem, ale ich tłum przypominał stado spłoszonych zwierząt. Nigdy w życiu nie widziałam ich aż tylu naraz. Słysząc było skrzypienie pancerzy, tupot tysięcy stóp, szemranie przemykających zelli.

Gdy dotarli do ludzkiej dzielnicy, latarnie i kolorowe barwy wyświetlaczy nadały im psychodeliczny wygląd. Zaspani, wymięci ludzie w piżamach odsunęli się na boki, tworząc szpaler. Ariekeni wkroczyli do Ambasadorii, obserwowani przez komitet powitalny, jakby to była parada. Vidy śmigwały nad głowami, wiecznie czymś zajęte.

Byli tam Gospodarze we wszystkich cyklach: od młodych, które dopiero niedawno zyskały świadomość, do staruszków, stojących u progu bezmyślności. Trzepotały setki wachlo-skrzydeł. Żałowałam, że nie patrzę na to z góry, skąd mogłabym zobaczyć kamuflażowy wzór, pełen drżących barw. Gdy nas minęli, zawróciłam i poszłam ich śladem.

Wielu z obserwatorów rozumiało Język, ale, rzecz jasna, nikt z nas nim nie władał. Niektórzy jednak nie mogli się oprzeć pokusie, by spytać we wszechangielskim:

— Co tu robicie?

— Dokąd idziecie?

Podążaliśmy za nimi na północ, wspinając się na wzniesienie przy Ambasadzie, przemierzając ulice i pobocza, brnąc przez krabtrawę i nasze śmieci. Wkrótce zjawili się konstable. Machali rękami, jakby chcieli nas pospieszyć, chroniąc starzejące się mury. Wykrzykiwali przy tym różne bezsensowne frazy, w rodzaju: „Tylko spokojnie!”, „Proszę stąd odejść!”.

Dzieci wyszły z domów, by pogapić się na to zbiegowisko. Widziałam, jak bawią się w Ambasadorów, jednocześnie wykrzykując bezsensowne dźwięki, a potem kiwając z namaszczeniem głową, jakby Ariekeni im odpowiadali. Gospodarze kluczyli, przyciągając po drodze jeszcze więcej gapiów. Koty i altlisy uciekały na ich widok. Minęliśmy ruiny.

Z ciemności wynurzyło się kilkoro Ambasadorów — Ran-Dolph, MagDa i EdGar — otoczonych przez konstabli i członków Personelu. Wykrzyknęli coś na powitanie, lecz Ariekeni nawet nie przystanęli.

Wtedy Ambasadorzy przemówili:

ursh

hesser

— ! — zawołali. — Stójcie. Czekaście. Stójcie.

— Przyjaciele — wołali. — Powiedzcie nam, co robić. Czemu tu przyszliście?

Cofnęli się przed pochodem Ariekeniów, którzy wciąż nie zwracali na nich uwagi. Ktoś włączył latarnię na wieży kościoła, jakby to był utudzień, a wtedy wiązka światła zaczęła zataczać kręgi. Gospodarze w końcu przemówili, wykrzykując na dwa głosy. Z początku była to niezrozumiała kakofonia dźwięków, które nie składały się w żadne sensowne zbitki, ale potem przeszły w skandujące zawrodożenie. Kilka nieznanych słów i jedno znajome.

— $\frac{ez}{ra}$... $\frac{ez}{ra}$... $\frac{ez}{ra}$

* * *

Ariekeni rozstąpili się przed czarnymi kamiennymi schodami Ambasady. Szłam pośród nich. Gospodarze wpuścili mnie w swoje szeregi, przesuając się na boki, by zrobić mi miejsce, i spoglądając koralowymi oczami. Ich spiczaste, łykowate kończyny tworzyły wokół gąszcz, sztywne pancerze przypominały polerowany plastik. Moja niewielka sylwetka pozostawała wśród nich niezauważona, a ja, przez nikogo nieobserwowana, patrzyłam, jak Ambasadorzy wpadają w panikę.

$\frac{ez}{ra}$

— — powtarzali Gospodarze, a mieszkańcy Ambasadorii dołączyli do nich, wymawiając to imię najlepiej, jak umieli.

— EzRa... — rytmicznie skandowano to samo słowo w dwóch językach.

JoaQuin i MayBel naradzali się gorączkowo. Za plecami JasMin, ArnOlda i MagDy dostrzegłam CalVina. Personel także zaczął się sprzeczać, a otaczający ich konstable zdawali się bliscy paniki, nerwowo ściskali w rękach karabiny i sen-sobronie.

Jeden z Gospodarzy wystąpił naprzód.

du kora eshin
— u shahundi qes

kora
shahundi

— powiedział. — *Jestem*

Należał do delegacji, która powitała EzRę na Balu Powitalnym.

Witajcie — powiedział. — *Przyszedliśmy posłuchać* $\frac{ez}{ra}$. *Przyprowadźcie* $\frac{ez}{ra}$. — I tak dalej.

JoaQuin, a potem MayBel próbowali coś powiedzieć, ale Gospodarz ich nie słuchał. Jego żądania poparli pozostali, powtarzając wciąż to samo. Powoli napierali naprzód, a wtedy nie sposób było nie dostrzec, jak bardzo są wielcy, jak twarde mają pancerze.

— Nie mamy wyboru! — wykrzyknął Joalub Quin; sądziłam, że mówi do MayBel, ale potem zszokowana zobaczyłam, że zwraca się do Quina lub Joi.

Ambasadorzy rozstąpili się, a spomiędzy nich, jakby wyczarowani sztuczką iluzjonisty, wyszli EzRa.

* * *

Ez zdawał się nerwowy, twarz Ry nie wyrażała niczego. Gdy ich koledzy rozstępowali się pospiesznie, Ez obrzucił ich nienawistnym spojrzeniem. Stanęli na szczycie schodów, spoglądając na zgromadzenie.

Ariekeni rozłożyli szypułki oczu, by objąć spojrzeniem obu mężczyzn.

$\frac{ez}{ra}$

kora

shahundi

znów przemówił. Bieglejsi w Języku obserwatorzy zorientowali się, że mówi bardzo szybko.

EzRa — ponaglił. — *Mów.*

EzRa przemówi do nas albo zmusimy go do tego.

— Nie możecie! — wykrzyknął ktoś z Personelu lub z szeregu Ambasadorów. Ktoś inny odpowiedział:

— A co im zrobimy?

EzRa spojrzeli na siebie i wymruczeli coś w charakterze przygotowania. *Ez* westchnął, twarz *Ry* wciąż była nieprzenikniona.

Przyjaciele — zaczęli. — „*Curish*” — powiedział *Ez*, a *Ra* w tej samej chwili dodał „*loah*”. — *Przyjaciele.*

Rozległ się trzask ariekęńskich mostków i kończyn.

Przyjaciele, dziękujemy za te odwiedziny — powiedzieli *EzRa*, a *Ariekeni* aż się zatoczyli, wpadając na mnie. — *Przyjaciele, dziękujemy za powitanie.*

Ekstaza trwała nadal.

Ra od czasu do czasu coś pomrukiwał, lecz *Ez* zamilkł, aż w końcu komunikacja się urwała. Wśród *Gospodarzy* przebiegł szmer. Niektórzy wymachiwali darskrzydłami i owijali się nimi, inni splatali je z sąsiadami.

kora

shahundi

znów zażądał: *przemów*, i *EzRa* przemówili. Wygłaszali kurtuazyjne uwagi, puste formułki i inne warianty oznaczające „witajcie, witajcie”.

Ariekeni słuchali w skupieniu; wyglądali, jakby spali albo trawili. Dookoła na placu stały setki *Ambasadorian*, w powietrzu wisiały milczące *vidy*.

— Wy głupie durnie! — powiedział ktoś na schodach Ambasady. Jego słowa zignorowano, jakby były bluszczem porastającym ścianę. Wszyscy wpatrywali się w *Gospodarzy*. Powoli budzili się z tego dziwnego stanu.

kora

shahundi

Dobrze — powiedział jeden z nich. Nie był to . — *Dobrze.* — Potem obrócił się, a pozostali poszli za jego przykładem. Wszyscy ruszyli przed siebie, z powrotem tam, skąd przyszli.

Czekajcie! — krzyknęły *MagDa*. — *Pharosie! Musimy...*

Jedna z nich pokazała coś gestem *EzRze*, jakby ostrzegając ich, by nie odzywali się więcej. *MagDa* naradzały się ze sobą i krzyczały w Języku.

Musimy porozmawiać — nalegały. Może z litości, może z grzeczności, a może z

kora

shahundi

ciekawości i inni przywódcy zgromadzenia wyciągnęli koralowe oczy, wykręcili je do tyłu i spojrzeli za siebie. Usłyszałam, jak ktoś mówi:

— Proszę to odłożyć, funkcjonariuszu. Na rany boskie...

Mamy wiele do omówienia — nalegały MagDa. — Proszę, dołączcie do nas. Czy możemy zaprosić was do środka?

Konstabele i ochrona przepchnęli się przez tłum. Jedna z funkcjonariuszek stanęła przede mną, ściskając krótki pistolet. Mówiła szybko, zwracając się identycznie jak do pozostałych.

— Proszę opuścić ulicę. Próbuje opanować sytuację. Proszę się rozejść.

Podobnie jak pozostali, bardzo powoli wykonałam polecenia. Przybycie Ariekenów było dziwnie zgrane; teraz większość z nich odchodziła w losowym kierunku, pozostawiając na ziemi charakterystyczne ślady i znacząc okolicę swoim zapachem. Jakiś chłopiec w mundurze konstabla szepnął do mnie gorączkowo:

— Proszę natychmiast stąd spierdalać.

Trochę przyspieszyłam kroku. Ambasadorzy próbowali wprowadzić do Ambasady kilku Gospodarzy, tych, którzy się zawahali, ale najwyraźniej bez rezultatu.

Część trzecia

TAKIE SAMO JAK COŚ INNEGO

Wcześniej, 7

Po festiwalu Scile gdzieś zniknął. Nie odpowiadał na moje dzwonki, czasem tylko zostawiał krótkie wiadomości i obiecywał, że wróci. Nie wiedziałam, czym się zajmuje, ale podejrzewałam, że ma w tym nietypowych współników. Nazajutrz po festiwalu siedziałam w kawiarni z Shanitą i Valdikiem, gdy ktoś do niego zadzwonił. Valdik odebrał, zamilkł gwałtownie i zerknął na mnie spłoszonym wzrokiem. Nagle zyskałam pewność, że to Scile jest po drugiej stronie.

Po kilku dniach wrócił do mojego mieszkania, a wtedy wybuchła kłótnia, która szykowała się już od dłuższego czasu. Jak to w takich sytuacjach bywa, jej powody okazały się błahe i niezwiązane z niczym ważnym. Scile był ponury, drażliwy i pozwalał sobie na różne docinki dotyczące moich sposobów spędzania wolnego czasu, a moja cierpliwość wisiała na włosku. Ostatnimi czasy miałam już dość jego humorów i zamiłowania do krytycznych stwierdzeń.

— Jak ci się wydaje: kto zorganizował tę wycieczkę? — wykrzyknęłam. Mój mąż nie odpowiedział ani nawet nie spojrzął na mnie, a ja nie oparłam dłoni na biodrach ani nie wykonałam żadnego gestu. Skrzyżowałam ręce na piersiach, odchyliłam się do tyłu i spojrzałam na niego z góry, tak jak podczas naszego pierwszego spotkania. — Mam wrażenie, że za przysługę należałyby mi się podziękowania, a nie takie sceny. Czemu uważasz, że masz prawo tak się zachowywać? Gdzieś ty w ogóle, kurwa, był?

Scile odpowiedział coś niezobowiązującego, co jednak zdradziło, że przebywał z Ambasadorami. Zamarłam w połowie riposty. „Co za cholera? — pomyślałam w pierwszej chwili. — Jaki normalny człowiek spieprza odreagować stres na oficjalne zebranie?”

— Posłuchaj — powiedział Scile. Widziałam, że próbuje podjąć decyzję i jakoś złagodzić naszą sprzeczkę. — Posłuchaj mnie, proszę. — Zamachał jakimś papierkiem. — Wiem, co on robi. Surl Tesh-echer. Ćwiczy i naucza swoją koterię. Tu jest zapis jego wystąpienia. — Nie powiedział, skąd wziął ten transkrypt. — Wy, porównania... — zaczął i urwał. — Gospodarze są inni niż my, jasne? Większość ludzi wcale nie miałaby ochoty spotkać... powiedzmy... związku zgody albo imiesłowu przysłówkowego, albo czegoś podobnego. Ale to chyba jasne, dlaczego niektórzy z nich tak bardzo chcą zobaczyć porównanie. Pomagacie im myśleć. Ktoś, kto odczuwa szacunek dla Języka, pewnie byłby tym zachwycony. Ale kto chciałby wykorzystywać was do kłamstwa? Łajdak, ot kto. Interesują się wami przede wszystkim fani i kłamcy, a Surl Tesh-echer i jego kumple są jednym i drugim. — Wygładził kartkę. — Teraz posłuchasz? Myślisz, że co ostatnio robiłem? Siedziałem w szafie dla podreperowania zdrowia? Surl Tesh-echer mówi tak: *Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele o pewnych sprawach. Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele. Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy.*

Scile spojrzął na mnie.

Nie chodziliśmy na skrzydłach. Nie chodziliśmy. Nie jedliśmy ziemi. Nie jedliśmy.

Jest pewien człowiek, który pływa z rybami, który nie miał ubrań, jadł to, co mu dano, i chodził tyłem. Jest pewien kamień, który został rozbity i złączony na nowo. Czasem zmieniam zdanie. Jestem jak kamień, który został rozbity i złączony na nowo. Nie jestem inny niż kamień, który został rozbity i złączony na nowo.

Robię to, co zwykle. Jestem jak chłopiec, który pływa z rybami. Niejestem inny niż chłopiec. Jestem bardzo podobny.

Niejestem wodą. Niejestem wodą. Jestem wodą.

Zdania tłumaczone z Języka nigdy nie brzmiały znajomo, ale te tutaj, pomimo swej dziwacznej konstrukcji, nieco bardziej przypominały wszechangielski. Od razu zwracały uwagę swoim brakiem intuicyjności, nie miały tej precyzji i szczegółowej dokładności.

— Większość zawodników próbuje po prostu zmusić się do wymówienia kłamstwa — ciągnął Scile. — On jest bardziej systematyczny. Przyzwyczajają się do nieprawdy Buduje te dziwne konstrukcje, by zacząć prawdziwe zdanie, a potem nagle przerwać sobie i zmienić je w kłamstwo.

— Nie pamiętam, żeby wygłosił je na festiwalu.

— Ćwiczył sobie. Zawsze wiedzieliśmy, że Gospodarze was potrzebują, prawda? Ciebie i pozostałych. Rozbitego kamienia i tych dwóch biednych kotów, z których uszyli worek. Muszą uciekać się do pomocy porównań, by powiedzieć pewne rzeczy. Zebyje pomyśleć. Muszą je najpierw stworzyć, by dokonać porównania.

— Tak, ale... — Spojrzałam na papier. Przeczytałam zapis jeszcze raz.

surl

tesh-echer

próbował nauczyć się kłamać.

— Mówi: „Jestem jak kamień, który został rozbity” — stwierdził Scile. — A potem: „Nie jestem inny niż kamień”. Nie do końca mu to wychodzi, ale próbuje przejść od „jestem jak kamień” do „jestem kamieniem”. Widzisz? To już nie będzie porównanie.

Pokazał mi stare książki w papierze albo wirtu: Leezen-berg, Lakoff, u-senHe, Ricoeur. Kiedyś te jego dziwne fascynacje wydawały mi się urocze; teraz wprawiały mnie w popłoch.

— Porównanie — konkludował — jest prawdziwe, bo ty tak twierdzisz. To element perswazji: coś jest takie jak coś innego. Teraz nie wystarczają mu same porównania. — Popatrzył na mnie poważnie. — On chce was zmienić w kłamstwa. Próbuje zmienić wszystko. Porównanie pozwala zilustrować pewien argument. Można to potraktować jako drogę na skróty do ekspresowego uprawdziwiania. Dzięki temu nie trzeba łączyć ze sobą... niewspółmiernych elementów. A jeśli tego dokonasz i powiesz: „To jest coś”, podczas gdy w rzeczywistości będzie to coś innego? Wtedy skłamiesz. Dlatego nazywamy to metaforą. To rodzaj kłamstwa. Cały świat

surl

tesh-echer

staje się kłamstwem. Tego pragnie bardzo spokojnie. — Chce sprowadzić zło.

. Otworzyć drogę kłamstwu. — Mówił

* * *

— Martwię się o Scile’a — zwierzyłam się Ehrsul.

— Avice — odparła w końcu, gdy spróbowałam jej to wytłumaczyć. — Przykro mi, ale nie jestem pewna, czy dobrze cię rozumiem.

Ale słuchała — nie chcę tu sugerować, że tylko prosiła, by jej nic nie mówić. Ehrsul słuchała, ale sama nie jestem pewna, co słyszała. W końcu nie wyrażałam się zbyt precyzyjnie. Nie potrafiłam.

— Martwię się o Scile’a — powiedziałam dla odmiany do CalVina. — Ostatnio zrobił się bardzo religijny.

— Pharotekton?

— Nie. Nie chodzi o żaden Kościół. Ale... — Od tamtego dnia poznałam kolejne strzępy teologii Scile’a (nazywałam tak jego wierzenia, choć on upierał się, że nie ma to nic wspólnego z

żadnym bogiem). — Chce ochronić Ariekenów przed zmianą Języka. — Opowiedziałam

surl

tesh-echer

CalVinowi o planie

— Uważa, że stawka jest bardzo wysoka.

„Wciąż kocham tego człowieka i boję się o niego — miałam ochotę powiedzieć. —
Możecie mi pomóc? Nie wiem, po co to robi, czego się tak boi i dlaczego tak się tym przejmuję”.
Coś w tym stylu.

— Porozmawiamy z nim — powiedział jeden z nich. Drugi popatrzył na niego, unosząc
brwi, potem uśmiechnął się i spojrzał na mnie.

Wcześniej, 8

Zgodnie z obietnicą CalVin spotkali się ze Scile'em. Mój mąż prowadził intensywne badania, ograniczając wszelkie kontakty, wszędzie leżały jego notatki, w większości niezrozumiałe, pliki walały się po datasferze. Prawdę mówiąc, trochę się bałam. Nie wiedziałam, jak zareagować na jego obecny stan. Zawsze miał w sobie ten gorączkowy zapał, ale kiedyś próbował się z nim kryć. Od czasu tamtej rozmowy nie opowiadał mi już o swoich lękach, ale widziałam, że przybierają na sile.

Nie rozumiałam, dlaczego próbuje je ukrywać. Zastanawiałam się, czy uważa je za naturalną reakcję na zmiany w praktykach Gospodarzy i czy brak takich lęków u całej reszty może być powodem do zmartwień. Może uważał, że cały świat osuwa się w szaleństwo, więc próbował się maskować. Przeczytałam wszystkie jego notatki, dzienniki, do których miałam dostęp, jakby szukając klucza do szyfru. Rzuciło to nieco światła na jego zagmatwane teorie.

— Co o tym myślicie? — spytałam CalVina.

Miałam wrażenie, że mój błagalny ton zbił ich z tropu. Powiedzieli, że Scile przygląda się tym zjawiskom w nietypowy sposób i, tak, rzeczywiście, zajmuje się tym dość obsesyjnie. Ale ogólnie rzecz biorąc, nie należy się martwić. Zupełnie bezwartościowa rada.

* * *

Ku mojemu zaskoczeniu Scile nagle zaczął chodzić ze mną do Krawata. Spodziewałam się raczej, że będziemy spędzać razem coraz mniej czasu. Nie powiedziałam, że wiem o jego samotnych eskapadach, i nie widziałam, żeby znowu próbował przekonać Gospodarzy, by go wymówili. Zaczął za to powoli przeciągać na swoją stronę niektóre z porównań. Brał udział w dyskusjach i wygłaszał pewne teorie — zwłaszcza te, według których porównania stanowiły szczytowe osiągnięcie i granicę Języka. Komunikacja uprawdziwiająca. Zaskoczyło mnie, że stali bywalcy kawiarni przyjęli go bardzo życzliwie. Valdik dosłownie spijał słowa z jego ust. Ten chłopak nie był szczególnie rozgarnięty i trochę się o niego martwiłam.

Nie powinnam przesadzać. Scile prawdopodobnie wyglądał jak zwykle, choć może był bardziej skupiony albo bardziej roztargniony. Nie wierzyłam już, że zdołamy uratować ten związek, ale chciałam wiedzieć, czy wszystko z nim w porządku.

Pod innymi względami wcale nie był to dla mnie zły okres. Od ostatniego transportu minęło sporo czasu — to właśnie wtedy miasto żyło najpełniej; ani nie czekając, ani nie świętując czegoś, co stało się wcześniej. Nazywaliśmy te okresy „zastojami”. Oczywiście znaleźliśmy również konwencjonalne znaczenie tego słowa, ale mieliśmy kilka takich niecodziennych wyrazów, mających jednocześnie dwa przeciwne znaczenia. Podczas tych długich, szarych dni, odcięci od świata w naszej małej osadzie na obrzeżach nurtu, bez kontaktu, daleko od spodziewanych wiadomości, zwracaliśmy się z powrotem do wewnątrz.

Podczas wolnodnia pod koniec każdego z naszych długich miesięcy przypadły jakieś fiesty i widowiska; kręte zaułki były przyozdobione wstążkami i rozbrzmiewały śmiechem. Dzieci tańczyły w tridowych kostiumach, ich świetliste powłoki zachodziły na siebie i lśniły krystalicznie. Organizowano też przyjęcia: oficjalne, kostiumowe i kilka dla nudystów.

Kultura zastojów stanowiła pokłosie naszej gospodarki. Po przybyciu dostawy zyskiwaliśmy luksusowe towary i nowe technologie, które ożywiały rynek i produkcję. Tuż przed

przybyciem nowej następowały gorączkowe wydatki napędzane świadomością, że nasze towary lada chwila ulegną zmianie i to produkty z nowego sezonu staną się najnowszym krzykiem mody. Pomiędzy dostawami, podczas zastoju, atmosfera była raczej statyczna, nie desperacka, ale oszczędna, a te imprezy stanowiły kontrapunkty, oznaczały niewielką dyspensę dla pewnych przyjemności.

Któregoś dnia leżałam w łóżku z CalVinem. Jeden z nich spał, podczas gdy drugi gładził mój bok, cicho szepcząc. Rzadko się zdarzało, by ktoś przebywał z jednym z dubli sam na sam. Miałam wielką ochotę zapytać, jak ma na imię. Teraz już chyba wiem. Gładziłam go palcem po karku, dotykając złącza, pięknie wkomponowanego we wgłębienie czaszki. Spojrzałam na jego bliźniaka, śpiącą połówkę Ambasadora.

— Myślisz, że powinnam się martwić o Scile'a? — zapytałam.

Śpiący poruszył się i na chwilę zamarlił bez ruchu.

— Nie, chyba nie — szepnął mój towarzysz. — On coś wie...

Nie zrozumiałam.

— Nie chodzi mi o to, że może się mylić — uściśliłam. — Boję się tylko, że... że on...

— Ale on się wcale nie myli. A w każdym razie... zwraca uwagę na coś ważnego.

Usiadłam gwałtownie.

— Chcesz powiedzieć, że?... — Wstałam i zaczęłam się przechadzać. Śpiący dubel obudził się i spojrzał na mnie spokojnie. Przez chwilę naradzali się szeptem; miałam wrażenie, że nie zgadzają się ze sobą.

— O czym rozmawiacie? — spytałam.

— Scile ma trochę racji — powiedział świeżo obudzony dubel.

— Naprawdę chcesz mi wmówić, że?...

— Nie chcę. Nie próbuję ci niczego wmawiać — oznajmił neutralnym tonem. Jego dubel niespokojnie wodził oczami. — Prosiłaś, żebyśmy mieli na niego oko, i mamy Przyglądamy się też temu, co mówi. Scile może i jest ekscentrykiem, ale nie jest głupi. Nie ma wątpliwości, że ten Gospodarz... — Połowa CalVina spojrzała na swojego dubla i obaj razem powiedzieli: —

surl
tesh-echer

— po czym kontynuowała swój wywód: — ..nie ma wątpliwości, że realizuje jakieś dziwne strategie.

Stałam nago w nogach łóżka i patrzyłam na nich: jeden leżał na plecach i spoglądał na mnie, drugi siedział z podkulonymi nogami.

* * *

Przyznaję się do porażki. Próbowałam nadać tym wydarzeniom jakiś kształt, strukturę, ale tak naprawdę nie mam pojęcia, jak do tego doszło. Może dlatego, że nie uważałam, może dlatego, że te wydarzenia nie miały prostej narracji, ale z jakiegoś powodu cała ta historia nie układa się tak, jak bym chciała.

* * *

Na ulicach Ambasadorii zaczęło się tworzyć zgromadzenie; najwyraźniej to Valdik mu przewodził. To on wygłaszał teorie. Mój mąż był sprytnym człowiekiem, nawet wtedy, gdy dał się pochłonąć obsesjom.

— Valdik Druman? On przewodzi temu ruchowi? — upewnili się CalVin. — Naprawdę?

— Wiem, że brzmi to niewiarygodnie...

— No cóż, jest dorosły i może sam o sobie decydować.

— To nie takie proste. — Wiedziałam, że CalVin jednocześnie mają i nie mają racji.

Większość mieszkańców w ogóle nie interesowała się tą debatą. Nawet większość zainteresowanych uważała ją za nieistotną, przekonana, że Gospodarze nie są zdolni do kłamstwa, niezależnie od tego, co twierdziło parę spanikowanych porównań. Dla osób, które wiedziały o istnieniu Festiwalu Kłamstw, taka wiadomość — ot, paru Gospodarzy próbuje przesuwac granice Języka — nie stanowiła żadnego skandalu, nie mówiac już o tym, by postrzegali to jako problem moralny. Dlatego mogła się tym przejac jedynie garstka mieszkańców, w większości łatwowiernych. Ale ich liczba ciągle rosła.

Valdik wygłaszał w Krawacie przemówienia dotyczące natury porównań i roli Języka. Jego argumenty były nieco nieskładne, lecz za to pełne pasji.

— W całym wszechświecie nie ma niczego podobnego — oznajmiał z naciskiem. — Nie istnieje inny język, w którym można mówić tylko prawdę. Czy potraficie sobie wyobrazić, co to byłoby za tragedia utracić coś takiego?

— Nie powinieneś go tak wykorzystywać — zwróciłam się do Scile'a, gdy niespodziewanie zajrzał do naszego domu.

— Do ciężkiej cholery, ten człowiek nie jest dzieckiem! — odparł mój mąż, zbierając ubrania i notatki. Nie patrzył na mnie. — Sam może zdecydować, czym będzie się zajmował!

* * *

Gdy przechodziłam koło ruin, ktoś wręczył mi ulotkę wydrukowaną na tanim nanotechowym papierze, która po rozwinięciu wyświetlała trid. Podskoczyłam zdumiona, bo w rękę trzymałam twarz Valdika wielkości jabłka.

DRUMAN O WALCE Z KŁAMSTWEM - głosiła ulotka. Wymieniano też miejsce wystąpienia, nie był to Krawat, ale jakaś sala widowiskowa. Zauważyłam wzmianki o podobnych spotkaniach zakodowane w ekranach i zhakowanych tridach. Poszłam. Myślałam, że może spotkam tam Scile'a, ale nie spotkałam. Na wszelki wypadek trzymałam się z tyłu.

Valdik miał na sobie projektor i przedstawiające go tridy pojawiały się w całej świątyni, w losowych miejscach. Z przodu zauważyłam Shanitę, Dariusa, Hassera i kilka innych porównań. Valdik wygłaszał kazanie. Wciąż był bardzo przeciętnym mówcą — nie miałam pojęcia, jakim cudem taka tandeta zdobyła jakkolwiek publiczność, pewnie miało to coś wspólnego z zastojem. Wygłaszał religijne frazesy w stylu: „Dwa głosy, lecz jedna prawda, czymże bowiem jest prawda, jak nie zjawiskiem dwoistym w swojej naturze; nie konflikt, lecz dwie postacie jednej prawdy”, i tak dalej.

Sala nie była zapełniona nawet w jednej czwartej. Publiczność składała się z kolegów, poszukiwaczy ciekawostek i uchodźców z innych kultów. Zgromadzenie nawiedzonych i znudzonych. Gdy wróciłam do domu, Scile rozmawiał właśnie z kimś przez łącze. Uśmiechnął się nieprzekonująco i odwrócił, bym nie widziała jego ust. Zastanawiałam się, co by było, gdyby Valdik został pozbawiony swej samozwańczej godności, a Scile stracił swoje najprzydatniejsze narzędzie. Czyjego mania mogłaby ustąpić?

— Co niby możemy z tym zrobić? — spytał CalVin. — Te spotkania nie są nielegalne.

— Możecie zrobić, co wam się żywnie podoba.

— No cóż...

— Możemy na chwilę zamknąć Drumana w ramach zatrzymania administracyjnego...

— ...ale czy naprawdę tego chcesz?

— Tak! — odpowiedziałam natychmiast, chociaż wcale nie chciałam i wiedziałam, że tego nie zrobią.

— Posłuchaj — powiedzieli. — Nie martw się.

— Będziemy mieć oko na Scile'a.

— Zajmiemy się nim.

Rzeczywiście dotrzykali słowa, choć zupełnie inaczej, niż się spodziewałam.

Wcześniej, 9

Ktoś wpuścił wirusa do oprogramowania automów włączających się po Ambasadorii, sprawiając, że udzieliła im się mania Valdika. Zmieniono ich w kaznodziejów, wyznawców nowego Kościoła. Ich elokwencja zależała oczywiście od mocy procesorów — większość zachowywała się jak prostaczek w ekstazie, ale kilku niespodziewanie zamieniło się w teologów. Jak zawsze wędrowali po mieście, ale teraz zaczęli po drodze przechodniów, by bronić pierwotnej postaci języka — czyli Języka. Przekonywali, że choć my, nieszczęśni grzesznicy (ich retoryka była nieznośnie kiczowata), jesteśmy wiecznie skazani na niebezpieczeństwo kłamstwa tkwiące w głębokiej strukturze zdania, to jednak wciąż możemy służyć dwójjęzykowi prawdy, i tak dalej, i tak dalej.

Szybko opracowano łąty do ich oprogramowania, ale infekcja okazała się oporna i bezdomni kapłani jeszcze przez wiele tygodni usiłowali nas nawracać. Ich katechizm ulegał powolnemu rozkładowi, w miarę degradacji oprogramowania, rodząc protestanckie sekty.

— Jesteśmy namiestnikami aniołów — powiedziała mi jedna z maszyn, skłaniając głowę niczym błagalnik. — Jesteśmy namiestnikami mówiących aniołów i języka Boga.

Wirus został zlikwidowany, gdy wygenerowane przez niego teorie za bardzo oddaliły się od ortodoksyjnej drumaniań-skiej wersji.

Zapytałam Ehर्सul, czy jej to nie martwi i czy nie wyczuwa żadnych prób ataku ze strony wirtualnych zarazków. Zbagatelizowała zarażone automy, uznając je za słabeuszy, i powiedziała, że owszem, wyczuwa próby ataku, ale nic jej nie grozi. Oczywiście podejrzenie natychmiast padło na Valdika i innych radykałów, ale nikt nie był w stanie udowodnić, że to oni zaprogramowali wirusa. Poza tym jego faktyczna szkodliwość była niewielka, stanowił raczej drobną uciążliwość. Wiedziałam, że Scile nie umie programować, inaczej podejrzewałabym, że to jego sprawa.

* * *

Gdy zdecydowałam się powrócić do Krawata, zrobiłam to z powodów społecznodeagnostycznych. Wielu bywalców przestało tam przychodzić — zniechęceni profetycznymi wystąpieniami Valdika założyli własne salony. Na ich miejsce przyszli inni. Chodziłam oglądać te wystąpienia, tłumacząc sobie, że to taka pornografia przegranych spraw; szukałam też pretekstów do interwencji. Valdik wychwalał Ambasadorów (którzy w jego teologii przybierali postać hierofantów) i wyrażał wdzięczność za to, że mógł zostać porównaniem, żywym wcieleniem Języka.

surl

tesh-echer

Na ostatnich wystąpieniach Valdika, które odwiedziłam, byli także i Tancerka, i inni. Gospodarz przybył w większej asyście — najwyraźniej zdobywał kolejnych zwolenników, z czego wywnioskowałam, że prawdopodobnie doskonali swoją technikę kłamstwa. Patrzyli na siebie; Valdik piorunował przybyszy wzrokiem. Nie wiedziałam, czy Gospodarze wyczuwają jego wrogość. Był tam także Hasser, jeden z nielicznych, którzy wciąż mieli przyjaciół po obu stronach konfliktu. Skinął mi głową, a na jego twarzy pojawił się dziwny

wyraz, którego nie mogłam określić, choć przypominał mi mój własny. Najbliższy mu byłby chyba „niepokój”.

— Nie martwisz się? — spytałam Ehrsul.

— Mówiłam ci już, że jestem na to odporna.

— Nie, chodzi mi o to wszystko... Co o tym myślisz? Czy to dobrze, czy źle, że niektórzy spośród Gospodarzy uczą się... eee... obchodzić prawdę? — Nie odpowiedziała, więc doprecyzowałam: — Że kłamią.

Siedziałyśmy w barze na jednej z ulic handlowych, bogatsza młodzież popatrywała bezczelnie na automkę. Rozmawialiśmy cicho, by nie zagłuszać muzyki ani szczęku szklanek. Ehrsul nie odpowiedziała.

— Coś się zmienia — powiedziała w końcu. — Może się okazać, że to dobrze albo źle.

Spojrzała na mnie, wyświetlając twarz, która, celowo albo na skutek sprzecznych bodźców w jej oprogramowaniu, miała zupełnie nieprzenikniony wyraz. Nie odpowiedziała. Było mi coraz bardziej niekomfortowo w tej enigmatycznej ciszy, aż w końcu zaczęłam mówić o czymś innym, a ona odpowiedziała normalnie, ze wszystkimi oznakami przyjaźni.

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, co to znaczy być porównaniem, i nie przejmowałam się kazaniami Valdika. „Chodzi o Scile’a” — powtarzałam sobie, ale tak naprawdę nie tylko o niego się martwiłam, choć nie potrafiłam powiedzieć o co jeszcze.

* * *

— Co robicie w tej sprawie? — spytałam CalVina.

Teraz nawet Ambasadorzy byli zaniepokojeni. Nowa filozofia miała co najwyżej kilkudziesięciu zwolenników, ale ich zapal wyprzedzał z równowagi resztę mieszkańców. Gospodarze musieli to wyczuwać — widywałam w naszej dzielnicy więcej Ariekenów niż zwykle.

— Rozmawiamy o tym z Gospodarzami — odparli CalVin. — Zorganizujemy...

— ...festiwal.

— Tutaj, w Ambasadorii.

— Aby zaakcentować, że oni także mogą się tu wypowiadać.

— Okej — odpowiedziałam powoli. Nie pamiętam, by kiedykolwiek wcześniej zorganizowano u nas jakąś ariekęńską ceremonię. — A co robicie w sprawie Valdika?

Jeden z nich spojrzał na mnie, drugi odwrócił wzrok. Byłam wściekła. Bezskutecznie próbowałam dojść, z kim zadaje się obecnie Scile — z radykalnymi porównaniami czy z Personelem — ale najwyraźniej nikogo innego to nie obchodziło. Wplątałam się pomiędzy konkurencyjne kliki i sekrety. Sama już nie wiedziałam, czy jestem spostrzegawcza, czy też ogarnięta paranoją.

— To przez ten zastój, Avvy — powiedziała później Ehrsul.

— Tak to się zwykle kończy. Zachowujemy się tak, jakby to był koniec świata, a ja myślę... — Urwała. — Denerwujesz się z powodu Scile’a. Wciąż ci na nim zależy, a on... — Zająknęła się, zupełnie jakby nad tym myślała.

* * *

Przedstawiciele Ariekenów przybyli na ten łączony festiwal w swoich lotnikach. Często flokowałam w Ambasadzie, zdążyłam więc poznać ich wszystkich. Jeden z najwyższych i najpotężniejszych Gospodarzy miał na wachlooskrzydło wzór przypominający ptaka skrytego wśród liści, więc nazwałam go Gruszą.

— Tego nam właśnie trzeba — stwierdzili CalVin.

- Wszyscy jesteśmy zbyt spięci.
- Będzie parada i stragany, i gry, i zabawy' dla Ziemiań...
- ...i Festiwal Kłamstw dla Gospodarzy.
- A co ze Scile'em? — przypomniałam. — I z Valdikiem?
- Valdikiem nie trzeba się przejmować.
- A Scile'a nie widzieliśmy już od kilku tygodni.
- A zatem gdzie jest?
- Nie martw się.
- Wszystko będzie dobrze.
- Naprawdę, ta impreza rozładuje wiele problemów.

Uważałam, że to zupełny absurd, ale nikt się ze mną nie zgadzał. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak samotna.

Festiwal miał się odbyć na placu nieopodal południowego krańca Ambasadorii.

Nazwano go Festiwalem Poszukiwaczy — drugi człon nazwy miał nawiązywać do „oszukiwania” i „poszukiwania” jednocześnie. Nikt nie umiał mi wyjaśnić, o co chodziło z tym poszukiwaniem. W mieście rozmieszczono tablice wyświetlające tę idiotyczną nazwę wraz z jej etymologią.

* * *

Valdik mieszkał we wschodniej dzielnicy Ambasadorii. Dom wyposażono w przestronny balkon wychodzący na okoliczny kanał i ogród pełen ptaków, alptaków i miejscowej fauny.

— Cześć, Avice — powiedział powoli, otwierając przede mną drzwi. Jeśli był zaskoczony, to dobrze to ukrywał.

— Cześć, Valdik — odparłam. — Możesz mi pomóc? Muszę odnaleźć Scile'a.

— Oczywiście... Czy wszystko w porządku? — spytał z widoczną ulgą.

— Tak — odparłam odruchowo. — Nie. Po prostu... Nie widziałam go już od dawna.

Wahanie nie było udawane, choć przyszłam tam nie tyle szukać Scile'a, ile przyjrzeć się Valdikowi i jego teologii. Gdy wpuścił mnie do środka, wokół zobaczyłam ślady jego nowej wiary. Wszędzie walały się papiery; wariackie paraferalia gorliwego sekciarza.

— Ja też go nie widziałem — stwierdził. — Przepraszam, ale nie wiem. Chyba wciąż jest z CalVinem i resztą.

— Nie widzieli go już od kilku tygodni.

— Nie, spotkali się parę dni temu. — To mnie uciszyło. — Siedział w Krawacie, a oni po niego przyszli.

— Kiedy? Kto?

— CalVin i parę osób z Personelu.

— CalVin? — powtórzyłam. — Jesteś pewien?

— Tak. — Valdik nie wyglądał w tej chwili jak prorok. Poczułam, że muszę natychmiast wyjść. Nie mogłam się skupić na jego kazaniach.

* * *

Gdy CalVin w końcu znaleźli dla mnie czas, bardzo starałam się być miłą. Zjedliśmy razem kolację, przy czym oni mówili głównie o nadchodzącym Festiwalu Poszukiwaczy. Jeden dzień, jedna noc, pół kolejnego dnia. CalVin wynurzyli się z łazienki idealnie dopasowani. Wszelkie ślady zostały usunięte lub zreplikowane. Nic nie powiedziałam.

Obserwowałam ich we śnie, patrzyłam, jak na ich skórze pojawiają się drobne linie odcisnięte przez zmarszczki w pościeli i nieświadome ruchy rąk. Gdy któryś z nich zdawał się

budzić, przysuwałam się bliżej, mrużąc pod nosem, próbując ich wysondować. Było to bardzo dziwne — kiedyś takie zachowanie nawet nie przyszłoby mi do głowy.

W końcu uznałam, że mężczyzna leżący po lewej wymruczał moje imię z czułością, którą rozpoznałam, w jego uśmiechu było prawdziwe ciepło. Naprawdę trudno było to ocenić, opierając się wyłącznie na tych półprzytomnych odruchach, ale w końcu uznałam, że to ten po lewej — Cal lub Vin — czuje do mnie większą sympatię. Przyłożyłam mu palec do ust, budząc go bezgłośnie. Otworzył oczy.

— Cal — szepnęłam. — Albo Vin. Powiedz mi prawdę. On mi nie powie. — Wskazałam na jego dubla. — Wiem, że widziałeś Scile’a. Nie udawaj. Gdzie on jest? Co się dzieje?

Zrozumiałam swój błąd, gdy tylko odsunęłam rękę.

— Ty... — wycedził przez zęby i choć mówił cicho, widziałam, że jest wściekły. Próbowałam mu wydrzeć jego sekrety, i to za pomocą takiego bluźnierstwa. Twarz mi zastygła w wyrazie nikomu już niepotrzebnej czułości. — Jak śmiesz...

Zakląłam. Mężczyzna usiadł, jego dubel poruszył się niespokojnie.

— Masz tupet, Avice — ciągnął ten, którego obudziłam. — Jak śmiesz! Jeśli nawet widzieliśmy Scile’a, to i tak nie twoja sprawa...

— Jest moim mężem!

— To nie twój interes. Obiecaliśmy, że się tym zajmujemy. Sama nas o to błagałaś. A potem przychodzisz tu i traktujesz nas jak... w taki sposób?

Drugi z nich też się obudził i usiadł na pościeli. Spojrzałam na niego i poczułam straszny wstyd. Jak mogłam się tak pomylić? Od razu dostrzegłam w nim to, co wcześniej rzekomo wyczułam w jego dublu.

— Myślałaś, że on to ja?... — W jego twarzy zobaczyłam ból i wiele innych uczuć. — Jak?...

— Jak mogłaś? — dodał jego dubel.

Potem wstał z łóżka, aż przykrycie opadło na podłogę.

— Wyjdź — rozkazał. — Wyjdź. Masz cholerne... Masz, kurwa, pierdolone szczęście, że nie wyciągniemy z tego żadnych konsekwencji.

— Nie mogę uwierzyć — dodał drugi.

— Koniec z tym — zdecydował ten, który stał, Cal albo Vin, a jego dubel, ten, którego powinnam była obudzić, spojrzął na niego, potem na mnie, potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

Wysłałam z pokoju, doszczętnie zrujnowawszy swój własny plan.

Przeklinałam się w duchu przez całą drogę do domu. Idąc ulicą, minęłam małą grupkę Ariekeńów mrużących do siebie w Języku. Wyglądali jak kustosze doglądający naszych oświetlonych domów.

Wcześniej, 10

Podczas różnych festiwali oraz innych uroczystości w Ambasadorii często proszono mnie o wygłoszenie pogadanki na temat nurtu. Pokazywałam tridy i obrazy przedstawiające moje doświadczenia na zewnątrz; teoretycznie było to skierowane do dzieci, choć wśród publiczności zawsze zdarzało się wielu dorosłych. Nurt jest i zawsze był pełen uchodźców i renegatów, którzy podróżują, gdzie ich zaniesie, i robią wszystko, na co tylko mogą sobie pozwolić.

Transportowałam już w życiu większość towarów do większości miejsc: biżuterię, wymęczony nurtem żywy inwentarz, a nawet hałdy organicznych śmieci do planetopaństwa rządzonego przez piratów. Najlepsze zawsze zostawiałam na koniec — ruchomy obraz pharosa znaczącego skraj znanego nurtu — właśnie tutaj, nieopodal Arieki. Pokazywałam go przez różne filtry, na końcu uruchamiając tropoprogi, przy których wyglądał jak latarnia, jak słup sygnałowy wśród mroku.

— Widzicie? Tak to właśnie wygląda. To nasza okolica. Tego, co jest dalej, nie obejmują już żadne mapy. Mieszkamy na skraju świata. — Nie mogłam się nadziwić, ile przyjemności daje taki dreszczyk.

Tym razem nie zaproszono mnie do udziału w Festiwalu Poszukiwaczy.

— Co zaszło między tobą a CalVinem? — spytała Ehrsul.

Nie powiedziałam ani jej, ani nikomu innemu.

* * *

Mikroklimat w mieście i w Ambasadorii został skonfigurowany według skomplikowanego algorytmu, którego nigdy nie chciało mi się rozpracować. Zawsze podobały mi się planety, które były więziami własnej osi nachylenia i miały mniej więcej przewidywalny układ pór roku. W Ambasadorii tylko reagowałam na konkretną pogodę, ale nigdy się jej nie spodziewałam.

Teraz robiło się cieplej. Najwyraźniej nadeszła pora lata.

Poszłam na festiwal sama. Gdy zorientowałam się, że Ehrsul spodziewa się pójść ze mną, odmówiłam stanowczo. Z jej milczenia wywnioskowałam, że jest dotknięta, a w każdym razie uruchomiła jakiś podproces, który tak się objawiał. Nie zamierzałam się za nic odgrywać — choć ostatnio milczenie zdarzało się jej coraz częściej — ale uznałam, że sama muszę się zmierzyć z tym, co tam czeka. Wiedziałam, że coś się wydarzy, wiedziałam to z taką pewnością, jakbym czytała ostatni rozdział książki.

* * *

Były tam sale gier, sale jadalne, salony masażu, pokoje do seksu i tereny specjalnie przystosowane dla Gospodarzy. Przybyli bardzo licznie, poinformowani o imprezie przez własne sieci i sieć głośników, które pomagaliśmy zautomatyzować. Nigdy w życiu nie widziałam tylu Ariekenów w Ambasadorii.

Na ulicach występowali wróżbici i akrobaci. Po bokach migotały i gasły tridowe karykatury przechodniów. Ziemskie detektory metalu i przepływów energii oraz Modyfikowane proscenia obwąchiwały nas czujnie, szukając śladów związków broni. W tłumie przechadzali się konstable.

Z upływem wieczoru ludzie i Kedisowie byli coraz bardziej pijani. Dzieci biegały,

gorączkowo realizując jakieś swoje misje. Zobaczyłam nawet strąg pełen młodocianych Shur’asi i samotną kostkę Pannegetchów. Gospodarze przyglądali się, jak gramy w swoje idiotyczne gry. Spoglądali na to z fascynacją turystów, słuchali piosenek, poruszeni ich rytmem. Nigdzie nie widziałam Scile’a.

Ariekeni chyba nigdy nie rozumieli naszego zamięłowania do symetrii i punktów granicznych: przesilen czy południ. Jednak Święto Poszukiwaczy należało do nich tak samo jak do nas. O północy miał się rozpocząć Festiwal Kłamstw.

Markiza była wielkości katedry: w niektórych miejscach Modyfikowana skóra nie wyrosła jeszcze do końca, dziury zasłonięto ozdobną gazą albo folią. Wokół umieszczono miejsca siedzące dla Ziemian, a stojące dla pozaziemów i Gospodarzy. Zobaczyłam kilka znajomych osób, które zawołały mnie po imieniu. Hasser uniósł rękę na powitanie, ale poza tym zdawał się spanikowany. Potem zniknął w tłumie, zanim zdążyłam do niego podejść. Nieopodal podwyższenia stała duża grupa Ambasadorów. Byli tam CalVin, CharLott, JoaQuin, MagDa, JasMin i kilku innych, akurat zajętych rozmową z Personelem. Obok nich stali Ariekeni — rozpoznałam Gruszę i jeszcze kilku innych, których można by nazwać przywódcami. Dalej stali zawodnicy, ludzie i Ariekeni.

surl
tesh-echer

Był tam Tancerka i pozostali z jego świty. Nietrudno było ich rozpoznać.

Gdy zgaszono światła i zapalono kolorowe iluminacje, wokół zabrzmiały podeksycytowane szeptki Ziemian. Ambasador CharLott wyszły na środek i przemówiły w Języku, silnym, wzmocnionym dwugłosem. Tłumacz wykrzyknął teatralnie:

— Ambasador mówią: „Tutaj pada! Pada na nas alkohol!”.

Wyglądało na to, że próbują zaciekawić tymi kłamstewkami również mieszkańców Ambasadorii — pomyślałam, że to absurd. Jednak do zachwyconych odgłosów Ariekeniów wypatrujących nieistniejącego deszczu dołączyły okrzyki moich sąsiadów, witających owacjami każde kolejne zdanie, tak jakby sami nie umieli kłamać.

Dotarłam na przód, gdy CharLott zbliżały się już do końca swojego wystąpienia. Potem nadeszli inni. Zdałam sobie sprawę, że realizują scenariusz. Kłamstwa układały się w kontrastującą mozaikę: a to komiczny przerywnik, a to budowanie napięcia, a to wzruszający moment.

Gdy po dłuższej ekscytującej chwili skończyli swój występ, ich miejsce zajęli Gospodarze. Każdy z Ariekeniów wygłaszał jedynie dwa krótkie kłamstwa. Większość korzystała z pomocy różnych sztuczek, na przykład wypowiadając ostatnią frazę szeptem. Każdy sukces witany był owacjami ze strony Ziemian i głosami uznania Ariekeniów. Wielu zawodników zająknęło się i ostatecznie powiedziało coś prawdziwego. Publiczność Gospodarzy zareagowała czymś, co mogło być litością albo pogardą.

Stoję, nie stoję.

To, co widzę przed sobą, nie jest czerwone.

surl
tesh-echer

wystąpił jako ostatni, by odbyć pojedynek. Naprzeciw niego stały Ambasador LuCy, wymierzając ciosy w powietrze i rozgrzewając się niczym bokser przed walką. Nie wiem dlaczego, ale gdy przeczytałam o tym konkursie, od razu pomyślałam, że to CalVin będą reprezentować Ambasadorię. Ambasadorka i Gospodarz spojrzeli na siebie.

Pomyślałam, że to bluźnierstwo. Kto pozwolił na coś takiego? Rozległy się wiwaty, ale jakiś mężczyzna obok zamruczał:

— To nie w porządku. — Całkiem jakby czytał mi w myślach.

Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele o pewnych sprawach — powiedział

surl
tesh-echer

Sędzia wykrzykiwał reguły pojedynku.

Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele o pewnych sprawach — powtórzył

surl
tesh-echer

i potrząsnął skrzydłami. Nie wiem, jakie obce uczucia mogły nim kierować, ale dla nas wyglądało to na brawurę. Dwie kobiety tworzące Ambasa-dorkę i wielka, potężna

surl
tesh-echer

istota patrzyli na siebie. Ambasador otworzyły usta, ale zanim się odezwały, dodał szybko:

Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele. — Wrzawa.

— *Zanim nadeszli ludzie* — ciągnął Gospodarz i już wiedziałam, co powie — *nie mówiliśmy.*

Powiedział to wyraźnie. Na chwilę zapadła cisza, a potem Ariekeńi zadygotali w ekstazie. Nawet Ziemianie zorientowali się, że zaszło coś niezwykłego. Wszędzie rozbrzmiewały podniesione głosy, ktoś coś krzyczał. Tłum zafalował.

— Nieprawda! — wołał ktoś gorączkowo. — Nieprawda!

Ktoś przepychał się brutalnie przez tłum, widzowie z okrzykiem bólu ustępowali mu z drogi. Po chwili zobaczyłam jego twarz — to był Valdik.

— Nieprawda! — zawołał. Podbiegł do sceny i z okrzykiem walnął w ziemię pałą. Broń była naenergetyzowana. Tyle, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Valdik spojrział na

surl
tesh-echer

i jeszcze raz krzyknął, że to nieprawda. Uniósł broń. Oczy na szypułkach wyciągnęły się naprzód. Ludzie rzucili się w naszą stronę.

surl
tesh-echer

— Ty wężu! — krzyknął jeszcze Valdik. patrzył na niego, a szypułkowe oczy rozkładały się szeroko jak rogi. Usłyszałam warknięcie broni, a potem Valdik padł, jego pałka osmaliła ziemię. Konstable chwycili go pod rękę.

— Zaatakował Gospodarza?! — Ludzie nie mogli w to uwierzyć.

Słyszałam, jak Valdik wciąż krzyczy:

— To szatan! Zniszczcie nas wszystkich! Nie pozwólcie mu kłamać!

Żaden z Ariekeńów nie wydał nawet dźwięku. Funkcjonariusze podnieśli napastnika z ziemi: był zakrwawiony, obdarty i ledwie żywy. Zaczęli wywlekać go z namiotu, ciągnąc

stopami po ziemi. Od chwili ataku minęło jakieś kilkadziesiąt sekund. Z całej tej wielkiej sali chyba tylko ja spojrzałam na CalVina i ich milczących kolegów, którzy jako jedni z nielicznych nie patrzyli na niedoszłego zabójcę.

Zobaczyłam Scile'a. Stał z nimi, pośród Ambasadorów i Personelu — wtedy upewniłam się, że właśnie tam należy patrzeć. Nie zwracali uwagi na Valdika, bo wciąż byli zwrócenii w

surl
tesh-echer

stronę i Gruszy stojącego za nim, w grupie Ariekenów. Jako jedna z nielicznych w tej sali zobaczyłam, co nastąpiło później.

Grusza odsunął się na bok, a zza jego pleców wystąpił Hasser. Szedł szybkim krokiem.

surl
tesh-echer

Nawet wciąż patrzył na Valdika. Nikt z konstabli nie zauważył nadejścia Hassera ani nie próbował interweniować. Padli ofiarą najstarszej sztuczki świata. Zerwałam się z miejsca.

surl
tesh-echer

Jedno z oczu dostrzegło jakiś ruch i cały koralowy polip wygiął się w tył. Zobaczyłam, jak Tancerka porusza się niespokojnie, wydając jakiś okrzyk ostrzegawczy. Hasser wycelował biodyfikowaną broń. Miała ceramiczną obudowę, z rękojeścią trzymającą rękę Strzelca. Nacisnął spust. Nikt go nie powstrzymał.

surl
tesh-echer

Wystrzelił, a wtedy zwierzęca broń otworzyła pysk i zawyła. został rzucony przez całą scenę, brocząc burą, błotnistą krwią.

Jego ciało rozerwało się w powietrzu, ale Hasser nie przerwał ognia. Atak oderwał darskrzydło od ciała, nogi przebierały spazmatycznie, były w tym tak owadzie, że aż obrzydliwe. Zwłoki tryskały płynami na wszystkie strony.

Potem Hasser sam zniknął mi z oczu, trafiony pociskiem konstabla. Gdy znów rozległy się krzyki, byłam już przy nim. Drżałam i z trudem chwytając oddech, jakbym znalazła się poza

surl
tesh-echer

strefą aeoli. Hasser patrzył w górę niewidzącymi oczami. Od strony dobiegł pośmiertny stukot pancerza.

Tancerka kreślił jakieś kształty skrzydłami, kolory zbladły mu gwałtownie. Nigdy wcześniej nie widziałam Ariekena w rozpacz. Nie zwracając uwagi na zamieszanie i zawrodozenie wokół, spoglądałam na Gruszę, CalVina i Scile'a. Jęczałam przy każdym wydechu. Patrzyli na ciało Hassera zupełnie obojętnie. Musieli mnie widzieć.

* * *

Tak zginął najzręczniejszy kłamca Ariekenów.

Kolejne dni wyglądały dokładnie tak, jak można było sobie wyobrazić: chaos, strach i nerwy. Już od setek tysięcy godzin, od wielu pokoleń żaden Gospodarz nie został skrzywdzony przez Ambassadorianina. Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że żyjemy wyłącznie dzięki tolerancji

obcych. Personel ogłosił godzinę policyjną, przydzielił konstablaturze i ochronie specjalne uprawnienia. Podczas pobytu na zewnątrz spędziłam trochę czasu w miastach i koloniach rządzonych przez różne formy dyktatury i wiedziałam, że to zgrubne przybliżenie stanu wojennego, ale dla Ambasadorii było to coś bez precedensu.

* * *

Przepełniał mnie smutek, tak bardzo, że płakałam w samotności. Było mi żal Hassera, tego niemądrego dewota, i Valdika, który prawdopodobnie nigdy nie dowiedział się, że miał być tylko wabikiem, i był tak lojalny wobec Scile'a, że aż do samej egzekucji upierał się, że działał na własną rękę.

surl
tesh-echer

Było mi żal . Nie wiedziałam, jakie uczucie byłoby odpowiednie w przypadku śmierci Ariekena, więc zdecydowałam się na smutek.

Wyłączyłam dzwonek na cały dzień i nie otwierałam nawet, gdy ktoś pukał do drzwi. Drugiego dnia nadal nie włączałam dzwonka, ale odpowiadałam na pukanie. Za drzwiami stał autom, którego nigdy przedtem nie widziałam; przypominał wibrującą ludzką sylwetkę. Zamrugałam oczami, zastanawiając się, kto go przysłał, ale wtedy zobaczyłam jego twarz. W życiu nie oglądałam jej na tak prymitywnym ekranie, ale od razu poznałam Ehersul.

— Cześć, Avice — powiedziała. — Mogę wejść?

— Ehersul, dlaczego załadowałaś się na coś tak?... — Potrząsnęłam głową i odsunęłam się, by ją wpuścić.

— Mój zwykły model ich nie ma — wyjaśniła, wymachując rękami, jakby to były ciężkie liny.

— A po co ci one? — spytałam, a wtedy ona, niech ją Pha-rotekton błogosławi, chwyciła mnie w objęcia, jakby mi ktoś umarł. Nie zapytała o nic. Obejmowałam ją bardzo długo.

* * *

Raz jeszcze wróciłam do Krawata. Ułożyłam twarz w neutralny wyraz, szłam zamaszystym krokiem. Nie było tam żadnych porównań — podejrzewałam, że nikt z nich już tu nie wrócił. Zrzuciłam maskę. Ale właściciel, którego imienia nigdy nie poznałam — jak wszyscy, posługiwałam się jedynie przezwiskiem, którego już nie pamiętam — podbiegł do mnie gorączkowo, jakby wierzył, że mogę mu pomóc. Powiedział mi, że Ariekeni wciąż tam przychodzą: Tancerka i ten, którego nazywaliśmy Chrzycielem, i inni profesorowie. Wpatrywali się w stolik, przy którym siadywały porównania.

— Surl Tesh-echer często tu przychodził — dodał. — Może w ten sposób wspominają swojego przyjaciela.

Właściciel, podobnie jak większość mieszkańców, obawiał się, że Gospodarze w końcu

surl
tesh-echer

dokonają jakiegoś odwetu za śmierć . Nie podzielałam tych obaw. Widziałam, jak Grusza odsuwa się, by zrobić Hasserowi miejsce; widziałam, że coś do niego mówi. Calvin i

surl
tesh-echer

inni tylko na to czekali, nie został zamordowany, lecz publicznie stracony za herezję. Skazany na śmierć przez człowieka.

Ambasadoria nie mogła się o tym dowiedzieć. Cała ta sytuacja została zaaranżowana, by wyglądała jak nieszczęśliwy wypadek, nie jak starannie zaplanowany samosąd.

Ariekeńscy tradycjonałiści uznali najwyraźniej, że nie można dłużej tolerować

surl
tesh-echer

eksperymentów . Kłamstwo stanowiło performance, porównanie było częścią retoryki, ale ich synteza — pierwszy krok do przekształcenia ich w inną figurę stylistyczną — była już wyrazem buntu. Nigdy nie sądziłam, że jestem w stanie zrozumieć pobudki jakichkolwiek pozaziemów; wychowano mnie w przekonaniu, że sposób rozumowania Gospodarzy jest dla nas nie do ogarnięcia. Cokolwiek pchnęło Ariekeenów do tej brutalnej decyzji, musiało choć trochę przypominać kalkulacje toczone się za zamkniętymi drzwiami Ambasady. Sprzeciw Gospodarzy wobec tych innowacji mógł się zrodzić na gruncie etycznym, estetycznym albo całkowicie losowym. Może była to religia, a może gra. A może wyraz jakiejś chłodnej, cynicznej kalkulacji w ramach walk frakcyjnych.

Przypomniałam sobie, jak Cal lub Vin próbowali mnie przekonać, że niektóre teorie Scile'a mają sens. Ambasadorzy, podobnie jak ariekeńscy sędziowie, dostrzegli nadciągające niebezpieczeństwo. Nigdy nie sądziłam, że Cal i Vin postrzegają to zagrożenie tak samo jak mój mąż, ale wszędzie, gdzie pojawiają się zdania odrębne, tam może pojawić się zmiana, i możliwe, że samo to wystarczyło. Tak czy inaczej, mogło dojść do katastrofy, którą Ariekeni i Ziemianie zażegnali wspólnymi siłami.

Komu mogłabym o tym wszystkim opowiedzieć? Co by mi z tego przyszło, nawet gdybym potrafiła to udowodnić? I co ściągnęłabym na siebie? Nie wiedziałam, ilu Ambasadorów zostało wtajemniczonych w te plany i ilu zaprotestowałoby przeciw nim, gdyby cokolwiek wiedzieli. Niemożliwe, żebym tylko ja jedna domyśliła się prawdy. Ale członkowie Personelu udawali głęboko zszokowanych i podkreślili, że złożyli najszczerze przeprosiny naszym Gospodarzom, a sprawiedliwości stało się zadość. Zaczęli energicznie tropić resztki kultu Drumana.

Scile w końcu przeprowadził się do Ambasady i został członkiem Personelu. Któregoś dnia odkryłam, że zabrał z mojego domu wszystkie rzeczy. Co by o nim nie mówić, nigdy nie był tchórzem. Chyba mnie unikał, może po prostu chciał mi oszczędzić swojej wściekłości.

* * *

Egzekucja, której stałam się świadkiem, chyba nigdy nie przestała mnie szokować. Ale minęło kilka miesięcy — nasze miesiące były długie — i w końcu zastój dobiegł końca. Valdik i Hasser już od dawna nie żyli. Wciąż nie rozmawiałam ze Scile'em i CalVinem, ale, choć nie wiedziałam, kto z Personelu i Ambasadorów maczał palce w tym spisku, nie mogłam ignorować ich wiecznie. Nie mogłabym tak żyć w Ambasadorii. Miałam wrażenie, że to nie tyle kompromis, ile strategia przetrwania.

Nawet z CalVinem po jakimś czasie milcząco wypracowaliśmy sobie dogodny sposób przebywania w tym samym pokoju, jeśli akurat sytuacja tego wymagała. Uznałam, że może któregoś dnia dojdziemy nawet do wymiany krótkich, chłodnych zdań.

Czasem myślałam o tych mrocznych obsesjach Scile'a, które tkwiły w nim od zawsze — może to właśnie one przyciągnęły mnie do niego — a teraz zdawały się pochłaniać go w całości. Nie wiedziałam, które z jego lęków podzielał Personel, ale najprawdopodobniej dotyczyły polityki. Co do Scile'a nigdy nie miałam pewności, mimo że technicznie należał teraz do ich frakcji. Pracował jako aparatczyk, ale czasem zastanawiałam się, czy naprawdę nie jest

prorokiem.

Wiele miesięcy po tych strasznych wydarzeniach, gdy Am-basadoria przechodziła do kolejnej fazy, w miarę jak zbliżał się czas przybycia statku, pod koniec etapu, który nazwałam tu „wcześniej”, nastąpił pierwszy kryzys. Gospodarze zrobili ze Scile’a porównanie. Dowiedziałam się o tym od Ehersul.

Nie zdołałam się dowiedzieć, co konkretnie musiał zrobić. Był częścią Języka, ale nigdy nie słyszałam, by ktoś go używał, choć, oczywiście, próbowałam dyskretnie podsłuchiwać. Dla odmiany, porównania Hassera i Valdika uległy zmianie, nabrały życia. „To zupełnie jak chłopiec, który został otwarty i zamknięty i teraz nie żyje”. „To zupełnie jak człowiek, który co tydzień pływał z rybami i teraz nie żyje”. Ariekeni znaleźli dla nich nowe zastosowanie.

W tamtym dość paskudnym okresie Ehersul pozostawała moją lojalną przyjaciółką, choć nie mogłam ryzykować i opowiedzieć jej o wszystkim. Powtarzałam sobie, że po prostu czekam na transport. Że jestem zanurzaczką. Gdy nadejdzie statek, popłynę na zewnątrz i wyprowadzę się daleko stąd. W końcu przybył wiab, przywożąc listę tego, co miało nadejść później, i wieści o naszym nowym, niewiarygodnym Ambasadorem.

Co miałam robić? Wyjechać, nie wiedząc, co się stanie? Wszystko, co nastąpiło potem, należy już do „później”, to jedyna historia. Czyż nie chciałam na własne oczy zobaczyć, jak Ambasadoria się zmienia?

Kryzys, który rozpełtał się później, sprawił, że trochę wstydziłam się takich wspomnień, ale to prawda. Gdy po raz pierwszy zorientowałam się, że sprawy nie idą według planu, gdy spotkałam EzRę na Balu Powitalnym, gdy wyczułam, że ich obecność rozsiewa po mieście jakiś niespodziewany chaos, po raz pierwszy od dawna poczułam się szczęśliwa.

Część czwarta
NAŁOGOWCY

Ludzie włóczyli się po ulicach w jakiejś utopijnej niepewności, świadomi, że wszystko się zmieniło, niepewni, w jakim miejscu przyszło im teraz żyć. Dorośli spędzali czas na dyskusjach, dzieci na zabawach.

— Ja tam wnioskuje, żeby przede wszystkim zachować ostrożność — powiedział jakiś człowiek, a ja miałam ochotę roześmiać mu się w twarz. „Tak wnioskuje? — chciałam zapytać. — Po czym wnioskuje? Co z tym zrobisz? I jak będziesz zachowywał tę ostrożność?”

Od zawsze żyliśmy w getcie, w mieście, które nie należało do nas, lecz do istot znacznie od nas dziwniejszych i potężniejszych. Żyliśmy pośród bogów — pomniejszych bóstw, ale, biorąc pod uwagę ich możliwości, w porównaniu z nami i tak były to istoty boskie — i zupełnie je ignorowaliśmy. A teraz oni się zmienili, a my nie potrafiliśmy tego zrozumieć, mogliśmy tylko czekać. Dyskusje Ambassadorian były dla mnie równie pozbawione znaczenia jak odgłosy ptaków.

Gadające głowy wciąż nadawały z ekranów i tridów, powtarzając, że „uważnie monitorują sytuację”. Próbowaliśmy znaleźć jakieś sensowne określenia dla czasu poprzedzającego to, co nadeszło potem. Spacerowałam po dzielnicy Kedisów. Rządzące nią trojki słyszały o zabójstwie i na tyle znały psychologię Ziemi, by udzieliły się im nasze lęki. Teraz Kedi-sowie także byli niespokojni.

Nie mogłam namówić EhRsul, by dołączyła ze mną do zbiorowiska w dzielnicach wzgórzowych, gdzie zbierali się ludzie gnani nic niemówiącymi pogłoskami; bezsilni widzowie wpatrzeni w miasto poruszające się równie niejasno jak wcześniej, a jednak inaczej. Wszyscy to widzieliśmy. Poszłam do jej mieszkania. EhRsul była przygaszona, ale wtedy wszyscy tak wyglądaliśmy.

Zaprawiła mi kawę trankwilizatorem, który wielu z nas wtedy brało. Poruszyła się w tył i naprzód na swoich bieżnikach. Mechanizm działał gładko, ale po jakimś czasie drobne szумы maszynowe stawały się słyszalne, a potem — irytujące.

— Wiesz już coś o tym? — spytałam.

— O tym, co się dzieje? Nie. Absolutnie nic.

— A może o...

— Powiedziałam, że nic. — Sprawiała, że jej twarz zamrugwała. — W sieci aż wrze od różnych plotek, ale jeśli ktoś się w tym orientuje albo wie, co się teraz stanie, to rozmawia o tym gdzieś, gdzie nie mogę go podsłuchać.

— A EzRa?

— Co z nimi? Naprawdę myślisz, że ukrywam przed tobą najważniejsze rzeczy? Na litość... — Jej ton zbił mnie z tropu. — Nie wiem, gdzie są, w każdym razie nie lepiej niż ty. Nie widziałam ich od czasu przyjęcia. — Nie wspominałam EhRsul, że widziałam Rę trochę później. — Och, krążą najróżniejsze plotki: że są na zewnątrz, że chcą przejąć władzę, że szykują inwazję, że nie żyją. Nic szczególnie wiarygodnego. Jeśli twoje doświadczenia w Ambasadzie nic nie wyłapały, to co mogą ci dać moje żalosne wyszukiwarki?

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie.

— No dobrze — powiedziałam powoli. — Chodź ze mną.

— Nigdzie nie pójde, Avice — odparła. Jej głos ucinął wszelką dyskusję i tym razem nie byłam tym całkowicie zawiedziona.

* * *

Poszłam do muru monetowego. Powrót do miejsc, które ostatnio odwiedzało się jako dziecko, zawsze jest trudny, zwłaszcza jeśli są to drzwi. Gdy do nich pukasz, serce bije ci jak szalone. Ale zapukałam, a Bren otworzył.

Spuściłam wzrok, gdy otwierał, by dać sobie więcej czasu. Potem uniosłam głowę. Wyglądał na znacznie starszego, bo włosy mu posiwiały, ale na tym kończyły się różnice. Jestem pewna, że rozpoznał mnie, jeszcze zanim spojrzałam mu w oczy.

— Avice — powiedział. — Avice Benner Cho.

— Bren — odparłam i tak patrzyliśmy na siebie, aż w końcu on westchnął, a może się zaśmiał, a ja odpowiedziałam smutnym uśmiechem. Cofnął się, by wpuścić mnie do pokoju, który tak doskonale zapamiętałam. On też się nie zmienił.

Przyniósł mi coś do picia, a ja wygłosiłam jakiś żarcik na temat tego ulepka, którym poczęstował mnie za pierwszym razem. Bren pamiętał wierszyk, który recytowaliśmy, kręcąc monetami, i powtórzył mi go, chociaż niedokładnie. Potem wygłosił sporo różnych wariacji na temat: „Ach, więc byłaś na zewnątrz, jesteś zanurzaczką!”. Chyba miały to być gratulacje, i poczułam, że powinnam mu podziękować. Patrzyliśmy na siebie. Bren wciąż był szczupły i nosił się elegancko, możliwe, że były to te same ubrania, w których go zapamiętałam.

— Hm — powiedział w końcu. — A zatem przyszłaś w sprawie końca świata?

Przygaszony ekran za jego plecami ukazywał chaos panujący w mieście.

— To naprawdę koniec?

— Tak myślę. A ty?

— Sama nie wiem, co myśleć, dlatego tu jestem.

— Tak, myślę, że to koniec. — Odchylił się na oparcie. Wyglądał zupełnie spokojnie.

Popił z kieliszka. — Tak myślę. Wszystko, co dotąd znaliśmy, już się skończyło. Wiesz o tym, prawda? Tak, widzę, że wiesz. — Po głosie poznałam, że bardzo mnie lubi. — Zrobiłaś na mnie duże wrażenie — przyznał. — Taka uparta dziewczyna. Aż miałem ochotę się roześmiać, nawet wtedy, gdy doglądałaś swojego biednego kolegi. Tego, który zatruł się powietrzem Gospodarzy.

— Yohna.

— W każdym razie... — uśmiechnął się — nadchodzi koniec świata. Po co przyszłaś? Myślisz, że możesz w czymś pomóc?

— Myślę, że mógłbyś mi wyjaśnić wiele rzeczy.

— Och, uwierz mi — parsknął. — Nikt w tym wielkim zamku nie chce, żebym cokolwiek wiedział. Próbują mnie utrzymać jak najdalej. Nie powiem, że nie mam żadnych doświadczeń... są jeszcze tacy, którzy dzielą się plotkami ze staruszkami. .. ale prawdopodobnie wiesz równie wiele jak ja.

— Kim jest Oracjent? — spytałam.

Bren spojrzał na mnie uważnie.

— Oracjent? — powtórzył. — Naprawdę do tego doszło? Chryste Pharotektonie. — Wyglądał na zdziwionego. — Zastanawiałem się nad tym. Myślałem, że może o to chodzi, ale... — Potrząsnął głową. — Widzę, że wątpisz. Też nie wierzysz, prawda?

Milczałam.

— Oracjent to nie jest konkretna osoba — powiedział w końcu. — To zjawisko. Oznacza ćpuna.

* * *

— Wszystko, co może się nam przytrafić, kiedyś już się stało — dodał, nachylając się do

mnie. — Jak sądzisz, Avice, gdzie się podziewają nieudani Ambasadorzy? — Pytanie było tak szokujące, że aż wstrzymałam oddech.

— Chyba nie sądzisz, że wszystkie te monozygi hodowane w Ambasadzie nadają się do pełnienia funkcji ambasador-skich? Jasne, że nie. Niektórzy duble się nie przyjmują, nie są dość podobni, mają własne nawyki, mimo szkolenia nie rozumują podobnie. Różnie bywa.

— Gdybyś się nad tym zastanowiła, na pewno sama byś na to wpadła. Ale o takich rzeczach po prostu się nie myśli. Wiesz, że dubel przechodzi na emeryturę, gdy umrze jego bliźniak. — Uniósł ręce, jakby wskazując na siebie. — Nigdy nie byłaś w żłobku Ambasady, prawda? Są tam też tacy, którzy nigdy z niego nie wyszli. Jeśli ktoś został stworzony i wyszkolony tylko do jednej pracy, której ostatecznie nie może wykonywać, to po co go w ogóle wypuszczać? Byłyby z tego tylko kłopoty

Małe, zapuszczone pokoiki pełne bliźniąt. Zwiotczałe, rozdzielone duble. Jeden cały, jeden częściowo stopiony ze sobą, dwa zepsute, a może nie tyle zepsute, ile obdarzone jakąś głęboko ukrytą wadą albo po prostu niezdolne do pracy.

— A jeśli już stamtąd wyjdiesz? I przekonasz się, że nienawidzisz swojej pracy albo swojego dubla? Co wtedy? No cóż. — Mówił łagodnie, próbując mnie oszczędzać. — Gdy zginął mój... to był wypadek. Nie byliśmy starzy Ludzie nas znali... znali mnie. Byłem za młody, by zniknąć. Oczywiście próbowali mnie skłonić do zamieszkania w domu starości, ale nie mogli mnie do niczego zmusić. Co z tego, że nie podobam się sąsiadom? Ze widzą we mnie kalekę? Nikt nie lubi patrzeć na rozszczenieców obnoszących swoje rany. Dla nich jesteśmy jak kikuty kończyn.

Uśmiechnął się.

— Są uczniowie, którzy nigdy nie opanowują Języka. Nie wiadomo dlaczego. Nie potrafią zsynchronizować się odpowiednio, nieważne, jak długo ćwiczą. Wtedy sprawa jest prosta: Personel ich nie wypuszcza. Ale są też trudniejsze przypadki. Taka para może z pozoru wyglądać jak wszystkie inne. Zdarzało się to już wcześniej. Gdy chodziłem do szkoły, mieliśmy takiego kolegę WilSona. Nie wiem, jak ich połączony umysł manifestował się w Języku, ale musiało w nich być coś dziwnego. Tylko odrobinę. Ja wprawdzie tego nie słyszałem, ale Gospodarze... cóż.

Zdawaliśmy egzaminy. Zostaliśmy przepytani przez Ambasadorów i Personel, a w ramach ostatniego testu mieliśmy porozmawiać z Gospodarzem. Czekał na nas. Nie wiem, jak przekonali go do współpracy, czy rozumiał, co tak właściwie robi. „Witaj”, powiedzieli WilSon.

Od razu wiedzieliśmy, że coś jest nie tak. Można to poznać po samych ruchach Ariekenów. Za każdym razem, gdy do nich mówimy, smakują nasze umysły, a my jesteśmy dla nich obcy. Mocna rzecz. Ale jeśli dwie połówki Ambasadora okażą się... niedostatecznie mocno splecione? Nie są to dwa oddzielne głosy, są na tyle blisko, by władać Językiem w sposób zrozumiały. Ale brzmi on w ich ustach... niewłaściwie. Jakby był pęknięty.

Wiesz, czym jest Język dla Gospodarzy? Co słyszą za pośrednictwem słów? A zatem, jeśli słyszą słowa, to mogą je zrozumieć, ale to pęknięcie? Ambasadorzy komunikują się w empatycznej jedności. To nasza praca. A co jeśli ta jedność istnieje i nie istnieje jednocześnie? — Odczekał chwilę. — To niemożliwe. Mają przed sobą coś niemożliwego, a to dla nich upajające. Szprycują się tym. To jak narkotyczna halucynacja. Ta sprzeczność daje im kopa.

Może nie wszystkim. Każdy Gospodarz, do którego mówili WilSon, widział w nich coś dziwnego, a kilku... — Wzruszył ramionami. — Kilku upiło się ich słowami. Nieważne, co mówili. „Ładną mamy dziś pogodę”, „Czy mogę prosić jeszcze herbaty?” Gospodarze słuchali tego jak urzeczeni, niektórzy zasłabli, a potem chcieli to usłyszeć znowu.

Ambasadorzy to mówcy, oratorzy, a ci, na których działa ich mowa, to oracjenci.

Nałogowcy, naćpani Językiem Ambasadora.

* * *

Ludzie biegali po ulicach niczym przerażony pochód karnawałowy. Strzelały fajerwerki. Bren napełnił mi kieliszek.

— Co się z nimi stało?

— Z WilSonem? Objęli ich kwarantanną, a potem zmarli. — Napił się. — Wszyscy mnie szanują, ale nienawiść jest silniejsza. Rozumiem to. Nie lubią patrzeć na moją ranę.

Wypisał swoje imię w powietrzu — pełne imię, siedem liter BrenDan. Kiedyś nazywał się

bren

BrenDan, czy też poprawnie dan. Potem jego dubel zmarł, a wtedy zmienił imię na

bren

BrenDan, dan. Nawet sam nie umiał poprawnie wymówić własnego imienia.

Przez dłuższy czas patrzył na mnie w zamyśleniu. W końcu podszedł do biurka.

— Coś ci pokażę.

Rzucił mi małe, płaskie pudełko. W środku znajdowały się dwa łącza, jego i Dana. Przyjrzałam się filigranowym obwodom, kabelkom i złączom, starannie wygrawerowanym inicjałom i srebrnym listkom. Zaczepy zostały rozcięte. Spojrzałam na niego i zobaczyłam blizny na szyi, gdzie niegdyś znajdował się implant.

— I co o tym sądzisz? Myślisz, że zatrzymałem je, żeby były pod ręką? Ze schowałem je, by o nich zapomnieć? Avice... Gdybym wyrzucił jego złącze i zatrzymał swoje, pomyślałabyś, że czepiam się swej utraconej tożsamości albo nie mogę się pogodzić z jego śmiercią. Gdybym wyrzucił oba, pomyślałabyś, że nie dopuszczam do siebie rozpacz. Gdybym zatrzymał jego, ale wyrzucił swoje, uznałabyś, że nie chcę mu pozwolić odejść. Nie ma dobrego rozwiązania. To nie twoja wina. Nie da się na to nic poradzić. Cokolwiek zrobię, wyjdzie z tego taka lub inna historia.

(Później — dwa spotkania później, bo wróciłam do niego, a potem on przyszedł do mnie — Bren powiedział: „Patrzę na to złącze i nadal go nienawidzę”. Siedzieliśmy na kanapie u mnie w pokoju. Nie była równie elegancka jak meble Brena. „Nie wiem, kiedy to się zaczęło — dodał. — Przez długi czas myślałem, że nienawidzę go za to, że umarł, ten nieszczęsny drań. Teraz mam wrażenie, że to się zaczęło już wcześniej. Nie miej do mnie pretensji. — Jego głos nagle stał się błagalny. — Jestem pewien, że on też mnie nie znoślił. To nie nasza wina”).

— Najprawdopodobniej podejrzewali, że tak się stanie. Ambasadorzy W przypadku ekscentryków zawsze istnieje największe ryzyko... rozplotu. Akurat na tyle, by zmienić paru Ariekeńów w oracjentów. Tych zamykano. Reszta zniknęła albo się znatywizowała.

— Myślisz, że od początku wiedzieli? — spytałam. — I kto się znatywi... co?

— Ambasadorzy chyba mieli nadzieję, że EzRa okażą się właśnie takim narkotykiem. Oszołomią jednego czy dwóch Ariekeńów i okażą się niezdatni do użytku. Odkąd usłyszeli o przybyciu EzRy, wszyscy bez przerwy się zastanawiają, kto realizuje jakie strategie i kto tu o czym decyduje.

— Wiem. Ale skoro już wcześniej to zauważono, to Bremen musiało o tym wiedzieć.

— O czym? O oracjentach? Dlaczego mielibyśmy im o tym mówić? Nie wiem, jaki był ich plan, ale to, że w ogóle pozwolono EzRze przemówić, to riposta Ambasady. Chociaż, oczywiście, nie spodziewali się takiego efektu. Taki Język... zrozumiały, ale jednocześnie tak niemożliwy, tak odurzający, że działa na każdego Gospodarza? A wieści wciąż się rozchodzą. Wkrótce wszyscy uzależnią się od nowego Ambasadora.

* * *

Nasz miejscowy panteon znów zrobił się niespokojny, desperacko spragniony nowej działki Ez i Ry mówiących jednocześnie, fermentujących Język w jakąś niesamowitą mieszankę sprzeczności. Zostaliśmy odcięci w swojej osadzie, w mieście pełnym nałogowców. Procesja, którą widziałam wcześniej, była na głodzie.

— Co się teraz stanie? — zapytałam.

W pokoju było bardzo cicho. W całym mieście żyły setki tysięcy Ariekenów, może nawet miliony. Nie wiedziałam. W ogóle mało wiedzieliśmy. Ich umysły składały się z Języka, a potem EzRa przemówili i zmienili to na zawsze. Każdy Gospodarz już wkrótce miał popaść w uzależnienie, gotów na wszystko, byle tylko usłyszeć paplaninę świeżo upieczonego urzędniczyny.

— Jezu Chryste Pharotektonie, oświeć nam drogę — wyszeptałam.

— Tak — potwierdził Bren. — To koniec świata.

Ariekeni powiedzieli nam, co się stanie. Miałam trochę przewagi nad resztą mieszkańców, ale wkrótce cała Ambasadoria wiedziała, że Gospodarze wpadli w nałóg, choć nie do końca zdawali sobie sprawę, jak do tego doszło i dlaczego. Podejrzywałam, że w Ambasadzie trwała teraz próba sił i ktoś z przyzwyczajenia próbował ukrywać informacje. Najwyraźniej nie wygrał.

Ulice wyglądały jak skrzyżowanie karnawału z apokalipsą, panował nastrój końca — histeria, zachwyty albo pełne ekscytacji oczekiwania. Konstable zatrzymywali ludzi idących zdecydowanym krokiem w stronę miasta, wyposażonych w biodyfikaty pozwalające oddychać miejskim powietrzem.

— Nigdzie nie pójdziecie! — wołali funkcjonariusze. — Proszę to zdjąć. Ludzie giną... — Niektórzy z wędrowców chyba jednak się przedostali. Ambasadorianie próbujący nawiązać kontakt z Gospodarzami? Bez sensu. Ariekeni nie uznaliby ich za ludzi, lecz za mięso należące do Ambasadorów.

Za pomocą blefu udało mi się wrócić do Ambasady. Gdy zobaczyłam Ambasadorów uganiających się w panice, poczułam coś na kształt przypływu opiekuńczości. Nikt nie próbował mnie wyrzucić, nawet JasMin zapomniały już, że mnie nie lubią. Jeden z EdGara pocałował mnie w policzek — ku swemu zdumieniu nigdzie nie mogłam dostrzec jego dubla. W oczach mężczyzny widać było dyskomfort spowodowany zbyt długim rozciągnięciem pola łącza.

— Gdzie jest?... — zaczęłam.

— Idzie, już idzie — odparł nieuważnie.

W takim oddaleniu zapewne trudno było im się skupić. Nie mówiliśmy zbyt wiele, dopóki jego dubel nie wynurzył się zza rogu.

— Byliście w mieście? — spytałam.

— Oczywiście.

— Nikt nie chce z nami rozmawiać.

— Wiecie, co się dzieje?

— Nie.

— Nie.

— Gdzie jest EzRa? Gdzie Wyatt?

— Nie wiem.

— Nie chcę wiedzieć.

— Nie wiecie, gdzie EzRa? — pytałam ze zdziwieniem. — Po tym wszystkim, co zaszło? Zostawiliście ich, żeby sobie konspirowali w spokoju?

— Konspirowali? — zaśmiali się Ed i Gar. — Nawet nie chcą ze sobą rozmawiać.

* * *

Znad miasta nadciągnął ariekeński biostatek niosący zaczątek tej dziwnej zarazy. Gdy lotnik wylądował na platformie, zmontowaliśmy coś w rodzaju szybkiego powitania. Może określenie „my” jest trochę na wyrost, ale postanowiłam dołączyć do tej grupy i nikt nie próbował mi przeszkodzić.

Był tam każdy Ambasador, którego znałam. Ariekeni wkroczyli do sali w powiewach

aeoli, naszego wiatru, połączane zasłony trzepotały wokół nich jak peleryny. Szli po podłodze wyłożonej aldrewnem, stukając kopytami. Zjawilo się ich znacznie mniej niż poprzednio, ale tym razem była to bardziej oficjalna wizyta. JoaQuin i MayBel wystąpili naprzód, pozostali ruszyli za nimi. Nasze dwie grupy stanęły naprzeciw, mierząc się wzrokiem. Szypułki wyciągnęły się naprzód.

Ariekeni mówili tak szybko, że tylko najbieglejsi byli w stanie ich zrozumieć. Odwróciłam się, by zobaczyć, jak zareagują zebrani, i nagle wśród nich ujrzałam swojego męża. Stał w drzwiach wraz z nowym Ambasadorem.

* * *

Byłam pierwsza, ale potem zauważyli ich kolejni. Rozległy się zdumione westchnienia. Ra wyglądał na bardzo zmęczonego, stał wyprostowany, jednocześnie pełen nadziei i odrazy. Ez stał za nim, wpatrzony w podłogę. Zniknęła jego zawadiacka maniera. Miał wyłączone cyzele.

Scile też mnie dostrzegł. Spojrzał mi w oczy, a potem znów rozejrzał się po sali. Może wspierał EzRę, może ich chronił, a może groził.

Rozpoznałam też niektórych z gości. Na wachlokrzydło rysował się znajomy wzór przypominający ptaka na drzewie. Grusza. Zapatrzyłam się na niego. Gospodarz zawołał EzRę.

Ambasador zebrali się na odwagę i wystąpili naprzód. Ariekeni przez chwilę naradzali się gorączkowo, chwilami przechodząc do kłótni, aż w końcu osiągnęli coś w rodzaju zgody. Ktoś zaczął tłumaczyć.

Tak będzie.

Bezwarunkowy czas przyszły, wielka rzadkość w Języku. Nie oznaczał życzeń ani dążeń, Gospodarze uważali, że to jedyna możliwa przyszłość. Nie pozwolili na dyskusję; dopiero później zrozumieliśmy to w pełni. Nie omawiali szczegółów. Nie przedstawili żadnych żądań, nie do końca, Opisać swoją potrzebę. Przez cały czas, na różne sposoby podkreślali jedynie, jak bardzo tego potrzebują.

Będziemy słuchać, jak EzRa mówi. Tak będzie. Posłuchamy, jak mówi. Najpierw teraz od razu posłuchamy, jak mówi.

Widziałam, że Personel usiłuje coś szacować, naradzając się w pomrukach; najlepsi z nich byli w stanie układać strategię nawet w takiej chwili. Usiłowali zrozumieć, jak tym pokierować, jakie relacje można zachować, jak ocalić innych, jak będziemy żyć dalej, jak to wpłynie na losy Ambasady. Dało mi to trochę nadziei, której w ogóle się nie spodziewałam.

Wyglądało na to, że Gospodarze mają tylko jeden prosty cel. Nie byłam naiwna — domyślałam się, że pomiędzy nimi także istnieją zantagonizowane grupy, frakcje zwolenników i zmagania sił, jeszcze nim zobaczyłam krwawe zakończenie jednej z tych wojen. Zakrawa na paradoks, że takie wspomnienie przyszło mi na myśl akurat w tej chwili, gdy Gospodarze przedłożyli nam jedno nieubłagane żądanie.

Najpierw posłuchamy, jak EzRa mówi.

Ez wystąpił naprzód, a Ra niechętnie poszedł w jego ślady. Spojrzeli na siebie zupełnie różnym wzrokiem, ci dwaj tak niepodobni ludzie. Szepnęli coś, a potem przemówili w Języku i wprawili Gospodarzy w ekstazę.

Tamte dni zapadły mi w pamięć jako okres czystego chaosu, ale dzięki tytanicznym wysiłkom bardziej kompetentnego Personelu w okolicy powoli wróciło normalne życie. Może nawet rutyna. Było to dość szokujące — jak łatwo można zmienić całe miasto.

Handel, wszystkie niuanse tej wymiany: wiedzy, usług, towarów, obietnic i innych. Nasza kultura. Sposób życia. Wszystko to trzeba było naprawić.

Wszędzie panował stan dziwnego, niebezpiecznego podniecenia, prowadzący do drobnych okrucieństw i nieskrępowanego hedonizmu. Niektórzy poddawali się mu bez oporów, inni bardzo starali się zachować normalność. W ciągu pierwszych kilku tygodni Ambasada była przeważnie strzeżona, ale nie zawsze. Sale spotkań i galerie stały nieposprzątane, zarzucone pozostałościami po przyjęciach. Naruszanie norm nigdy nie sprawiało mi przyjemności. Wiedziałam, że kałuże czerwonego wina nie zostały zwymiotowane celowo i pozostawione w ramach szokującej demonstracji, ale dlatego, że uczestnicy przyjęcia dowiedzieli się o żądaniach Arieckenów i nie wyobrażali sobie, jak zdołamy z tym dalej żyć i co się stanie, jeśli nie wypełnimy ich należycie. Nie wiedzieli, czy przeżyją kolejny tydzień, i jeszcze nigdy w życiu tak się nie bali.

Ehrsul nie odpowiadała na dzwonki, a ja byłam tym wszystkim tak przytłoczona, że nawet do niej nie poszłam. EzRa przychodzili na niektóre przyjęcia; czasem słyszałam o tym plotki, a potem zobaczyłam ich sama. Po jakimś czasie zaczął zjawiać się tylko Ez. Ra zajmował się czymś innym.

Relacje psuły się błyskawicznie, równie szybko powstawały nowe. Zawierano mnóstwo małżeństw. Sama nawiązałam kilka pospiesznych romansów. Trudno jest opowiedzieć o tych pierwszych dniach. Prawdziwi bohaterowie, dzięki którym Ambasadoria nie padła pod naporem uzależnionych Gospodarzy, to nasi urzędnicy, skrupulatnie podtrzymujący funkcjonowanie miasta, podczas gdy reszta mieszkańców z trudem walczyła z załamaniem psychicznym. Nieco później udało mi się przysłużyć miastu, ale w tamtym okresie byłam niczym.

Jeszcze nigdy w życiu miasto nie wydawało mi się tak małe. Praktycznie codziennie podczas jakiegoś spotkania wpadałam na ludzi, których unikałam od tysięcy godzin. Burnham, który też był porównaniem, wpadł mi w oko w tłumie ludzi zebranych przed bramą Ambasady po rozejściu się niepotwierdzonej pogłoski, że Personel ogłosi jakieś informacje. Odwrócił wzrok równie starannie jak ja. Zawsze tak robiłam od czasu śmierci Hassera i Valdika, jeszcze przed nadejściem tego nowego kataklizmu, za każdym razem, gdy spotykałam jego lub Shanitę, lub kogokolwiek z rozproszonej ekipy Krawata.

Włóczyłam się po mieście, podczas gdy urzędnicy garściami brali pigułki pobudzające i pracowali po nocach, próbując nakreślić plan, który utrzyma nas przy życiu. Kilka razy spotkałam starych znajomych: Ghardę i Simmona ochroniarza. Nie miał już czego ochraniać i strasznie się bał — jego bio-dyfikowana proteza wyglądała na chorą.

Personel niższego szczebla nie miał pojęcia, co robić, a ci z samego świecznika byli zbyt przytłoczeni tragedią. Podobnie zresztą jak Ambasadorzy, którzy próbowali teraz wmówić mieszkańcom, że to wina polityków, że oni sami nigdy by na to nie pozwolili, że prawdziwa władza zawsze leżała w rękach Personelu i to oni wszystkich zawiedli. Nikt ich nie słuchał.

To właśnie najmniej doceniani urzędnicy, robiący to samo od lat, ocalili Ambasadorię.

Nasz biurokratyczny feudalizm przybrał postać bezlitosnej merytokracji. Nawet kilku Ambasadorów stanęło na wysokości zadania i najczęściej nie byli to ci, których bym o to podejrzewała. Obserwacja równie prawdziwa co banalna.

Jednym z pierwszych osiągnięć tego nowego komitetu przywódczego było rozprawienie się z rebelią Wyatta. Simmon stanął kluczem do tej małej wojenki.

— Widziałaś, jak ekipa Wyatta się nagle zmobilizowała? — opowiadał mi kilka dni później, wciąż podekscytowany. — Otwierali swoje arsenały. Chyba to, co się teraz dzieje, podpada pod jakiś ich scenariusz awaryjny. Stąd cała ta zadyma przed paroma dniami.

W ogóle nie zauważyłam tego starcia. W całym mieście i tak panował dostateczny chaos.

— Dowiedzieliśmy się, co szykują... nieważne skąd... i byliśmy gotowi. Ale trzeba było podjąć pewne ryzyko — dodał, kreśląc w powietrzu plan działania. — Mogliśmy po prostu wyprowadzić uderzenie wyprzedzające, prawda? Ale ta bre-meńska technologia... Uznaliśmy, że może się okazać cholernie przydatna. Dlatego zaczekaliśmy i wkroczyliśmy, gdy już otworzyli silos. Podsunęliśmy im paru naszych ludzi, w końcu przygotowaliśmy się do tego już od dawna. Załatwiliśmy ich, przy naprawdę małych stratach, i przejęliśmy broń. Szczerze mówiąc, nie okazała się tak pożyteczna, jak myśleliśmy. Ale i tak było warto. Nawet się specjalnie nie bronili. Problem jest tylko z Wyattem. Wsadziliśmy go. Żadnego kontaktu. Na pewno po mieście grasują jeszcze agenci Bremen, trzeba dopilnować, by nie przesłał im jakichś kodów czy instrukcji.

Nie powiedziałam mu, że w ogóle nie zauważyłam tych zmagania. Mimo że nic wcześniej nie wiedziałam, jego opowieść i tak mnie zelektryzowała.

* * *

Ra, bardziej nieśmiała połowa naszego katastrofalnego Ambasadora, spędzał czas w samotności, skupiony na jakichś swoich projektach. Ezowi pozwolono tymczasem pograżać się w dekadencji. Jednak mieli swoje obowiązki i pozostawali pod ciągłą strażą. Dzięki nim nadal żyliśmy.

— Miasto pełne obcych po praniu mózgu — stwierdzili EdGar. — Silniejszych od nas i uzbrojonych. Musimy dbać o ich życzliwość.

Podczas tych pierwszych kilku dni Gospodarze nie mieli żadnych sensownych strategii. Byłam tak przyzwyczajona zwalać wszelkie ich dziwactwa na obcą kulturę — to taki ariekeński zwyczaj, my tego nie rozumiemy — że z trudem dopuszczałam do siebie tę świadomość: obcy nie stosowali już żadnych nieludzkich strategii, poruszali się, gnani bezmyślnym narkotycznym głosem. Grupki Ariekenów zbierały się pod bramą Ambasady. Gdy zaczynali się burzyć, a ich żądania przybierały na sile, posyłano po EzRę, którzy za chwilę pojawiali się w wejściu i mówili coś gładko w Języku. Ich słowa niosły się po placu, wzmocnione przez głośniki, a tłum falował w narkotycznej uldze.

Za drugim razem, gdy EzRa powiedzieli: *Cieszymy się, że was tu widzimy. Razem możemy się wiele nauczyć*, oracjenci zareagowali ze znacznie mniejszym entuzjazmem. Za trzecim razem byli wyraźnie nieszczęśliwi, póki EzRa nie dodali czegoś na temat koloru budynków, pory dnia czy pogody. Wtedy znów wpadli w ekstazę.

— Kurwa, świetnie — powiedziałam do kogoś obok. — Wykształcają sobie tolerancję. EzRa muszą się bardziej postarać.

Oglądaliśmy programy informacyjne, które po kilku kilo-godzinach nadawania banałów nauczyły się wreszcie relacjonować nasz własny upadek. Jeden z kanałów wysłał do miasta zespół wyposażony w osawidy i sprzęt aeoli. Nie próbowano go zapraszać ani odpędzać. Jego reportaże były szokujące.

Rzadko zdarzało się nam oglądać ariekeńskie ulice, ale w czasach upadku zawsze można sobie pozwolić na więcej. Reporterzy wkroczyli do miasta, mijając splecione sznury oddzielające pokoje Gospodarzy, budynki, które odsuwały się od nich albo powstawały na wrzecionowatych kończynach jak chatki na kurzej łapce. Przez ekran co chwila przechodzili Ariekeni. Na widok reporterów podbiegali do nich chwiejnym klusem. Dwugłosem zadawali jakieś pytania, ale w pobliżu nie było żadnych Ambasadorów, którzy mogliby na nie odpowiedzieć. Reporterzy znali Język i tłumaczyli na bieżąco:

*Gdzie jest EzRa*⁷. — powtarzali Gospodarze.

Dziennikarze nie byli jedynymi, którzy odważyli się wkroczyć do miasta. Osawidy co jakiś czas ukazywały ludzi w kombinezonach Ambasady prześlizgujących się pomiędzy nerwowymi budynkami. Kładli kable i montowali głośniki — w tej organicznej scenerii ziemtech wyglądał irytująco, drażnił oczy. Rozkładali sieć megafonów i skrzynek komunikacyjnych. Prawdopodobnie w zamian za nasze życie, doprowadzenie wody, prądu, infrastruktury i biodyfikatów obiecali dostarczyć głos EzRy bezpośrednio do miasta.

— Potrzebujemy ich natychmiast — oznajmił EdGar. — Muszą przemówić. Taka była umowa.

— Z nimi czy z Gospodarzami?

— Tak. Chociaż bardziej z EzRą. Dlatego potrzebny nam Ez.

Ez tymczasem pił i ćpał. Kilkakrotnie zdarzało się, że zniknął akurat wtedy, gdy miał przemówić w Języku, pozostawiając jedynie oniemiałego Rę. Nie zależało mi na tym człowieku, ale gdyby w końcu zginął, pociągnąłby za sobą całe miasto.

— Przynajmniej pod jednym względem są podobni do reszty Ambasadorów: nagrania ich głosu też działają — stwierdziłam w końcu. — Zrobmy sobie archiwum nagrań, a potem niech ten skurwiel robi sobie, co chce. Niech się zapije na śmierć.

Oczywiście już o tym pomyśleli, ale Ez się nie zgadzał. Nie pomogły nawet błagania Ry ani groźby Personelu. Mówił w Języku wyłącznie o wyznaczonej porze, nie więcej niż godzinę. Czasem udało się nagrać jakiś fragment, ale Ez bardzo uważał, byśmy nie zbudowali sobie zbyt dużej bazy.

— Wie, że wtedy przestanie być przydatny — stwierdził EdGar. — Pilnuje, byśmy stale go potrzebowali.

Nawet ogarnięty strachem Ez wciąż rozumował jak bezwzględny strateg. Byłam pod wrażeniem.

* * *

Oglądałam pierwsze próby odgrywania głosu EzRy w znar-kotyzowanym mieście.

Budynki już od dawna były nieszczęśliwe. Stawały dęba, dyszały parą i odrzucały biodyfikowane pasożyty, pełniące rolę ariekeńskich mebli. Z okien Ambasady miasto wyglądało jak organiczny stos kończyn, ruch budynków był bardzo wyraźny. Uczucie niewłaściwości przejmowało nas do głębi.

Miasto rzucało się w drgawkach, chore i zainfekowane. Gospodarze, upojeni niemożliwym głosem EzRy, zaczerpnęli energii ze swoich zelli i odprowadzili odpady; chemia uzależnienia została przekazana dalej przez te małe zwierzątka, gdy podłączały się do budynków, by zasilić oświetlenie i inne urządzenia. Uzależnienie ogarnęło także domy i teraz nieszczęsne, bezmyślne budynki trzęsły się w napadzie wiecznego głodu. Najcięższe przypadki pociły się i krwawiły. Mieszkańcy skonstruowali im prymitywne uszy, by domy też mogły usłyszeć głos EzRy i otrzymać swoją dawkę.

W końcu EzRa przemówili, ich wzmocniony głos poniósł się po zaułkach. Wszyscy

Ariekeni w mieście zatoczyli się i zatrzymali w pół kroku. Budynki też się zatoczyły.

Patrzyłam na to z obrzydzeniem. Wszystko poza Amba-sadorią zadrżało z ulgi; dreszcz niósł się po rurach, kablach i postronkach. Już za kilka godzin miały wystąpić objawy od-stawienne. Na skraju swojej osady wyczuwaliśmy to w chodniku — drżał od ruchu domów. Śledziliśmy ich biorytm na podstawie drżenia szyb i ocenialiśmy, jak bardzo potrzebują narkotyku.

* * *

Dawniej, co kilka miesięcy, podczas żniw albo przestawiania na pokarm stały, wysyłaliśmy Ambasadorów i załogi barterowe na pola za miastem, gdzie ariekeńscy pasterze wyjaśniali im działanie różnych maszyn, na wpół zaprojektowanych, na wpół zrodzonych. Obecnie Ariekeni zaniedbali swoje pola. Biodyfikaty wciąż napływały do miasta — sądząc po skurczach olbrzymich gardeł ciągnących się kilometrami aż do żywieniówek, dostarczano nimi także strawę. A z powrotem, za sprawą odwróconej perystaltyki, płynął nałóg.

— Świat umiera — stwierdziłam. — Jak mogli to tak zostawić?

Nie widzieliśmy żadnych prób leczenia, żadnych oznak walki. Żadnych ariekeńskich bohaterów. Ambasadorzy mogli się z nimi porozumieć przez kilka godzin, gdy byli naszpry-cowani głosem EzRy i zdawali się przytomni, ale jedynie na tyle, by zrealizować krótkie plany, obejmujące najbliższe kilka godzin.

— A co mieliby robić? — MagDa należały do tych nielicznych Ambasadorów, którzy próbowali coś zmienić. Dołączyłam do nich, starając się pomóc temu zespołowi. Znalazłam MagDę i Simmona, i naukowców, w tym Southel. W większości jednak byli to zupełnie nieznanymi mi ludzie.

— Nie ma żadnego stanu równowagi.

— To chaos. Kosmiczny pierdolnik.

MagDa nie ujednoliciły się należycie. Zobaczyłam pęknięte naczynko pod okiem jednej z nich i nowe zmarszczki koło ust drugiej.

— To tylko usterka pomiędzy dwoma formami ewolucji.

— Jak mogą się do tego przystosować?

— To nic nie znaczy.

— Oni się nie zmieniają, prędzej zasłuchają się na śmierć.

Gospodarze zawsze byli dla nas niezrozumiali. Pod tym jednym względem nic się nie zmieniło.

Górne piętra Ambasady uległy moralnemu rozkładowi. Mag i Da usilnie próbowały przekonać do czegoś grupę Ariekenów, zmusić ich do koncentracji choć na tyle, by mogły się upewnić, że zrozumieli nasze prośby o materiały i dokumentację.

Niech powie coś o kolorach — powiedział jeden z Gospodarzy.

Powie — obiecały MagDa. — *Dostarczcie nam dziś zwierzęce narzędzia, a my dopilnujemy, by opisał kolory wszystkich ścian.*

— Teraz ćwiczymy kolory — wyjaśniły mi później.

— Są zachwyceni — dodała Da. — Ale w końcu...

— Atmosfera nowości się skończy.

Po tej rozmowie inaczej spojrzałam na przemówienia EzRy. Zwykle ktoś je tłumaczył. Niektóre były logiczne. Inne składały się z losowych zdań albo opisów upodobań czy stanów. *Jestem zmęczony* albo zdania typu podmiot, orzeczenie, dopełnienie, jak w podręczniku do gramatyki. To, co wcześniej uważałam za wyraz kaprysu, mogło stanowić dar dla poszczególnych słuchaczy w zamian za tę czy tamtą przysługę. Ekonomia i polityka.

W korytarzu Ambasady dołączył do nas Ra, niemożliwy bliźniak Eza. Mag i Da go ucałowały. Za nim natychmiast podbiegła do nas grupa ludzi proszących o wstawiennictwo. Traktował ich jak najzyczliwiej. Widziałam już w życiu zbyt wielu mesjaszy zwymiotowanych przez to miasto.

— Ile to jeszcze potrwa? — spytała go jakaś zrozpaczona kobieta.

— Aż przybędzie transport — odparł. Tyle setek tysięcy godzin wymęczonego, niepewnego życia, podczas gdy Gospodarze wciąż domagali się głosu EzRy.

— A co wtedy? — dopytywała się kobieta. — Mamy stąd wyjechać?

Nikt nie odpowiedział. Zobaczyłam twarz MagDy. Zastanawiałam się, jak wyglądałoby ich życie na zewnątrz.

Już wcześniej zdarzało się, że transport przybywał na zniszczone światy. Nie było żadnych ostrzeżeń — nie da się wyprzedzić statku w nurcie. Żadna z załóg nie mogła wiedzieć, co zastaną po otwarciu wjazdu. Zdarzały się przypadki, gdy statki handlowe wynurzały się z nurtu na zgliszczach kolonii, wykończonych zarazą albo masowym szaleństwem. Zastanawiałam się, jaki widok powita naszego kapitana, gdy, płynąc jak najbliższej ariekeńskiego pharosa, zejdzie w końcu na orbitę. Przy odrobinie szczęścia zobaczy mnóstwo ludzi pragnących stąd uciec.

MagDa na zewnątrz? CalVin? A może nawet Mag, Da, Cal i Vin? Co by tam robili? A to właśnie oni należeli do najbardziej opanowanych. Większość pozostałych rozpadała się stopniowo na kawałki.

— Chodzą do miasta — powiedziały MagDa, gdy zostałyśmy same. Miały na myśli Ambasadorów, tych, którzy jeszcze potrafili wziąć się w garść. — Próbują odszukać Gospodarzy.

— Tych, których dobrze znają.

— Albo po prostu... stają pomiędzy budynkami.

— I mówią.

Potrząsnęły głowami.

— Chodzą grupkami, po dwie, trzy, cztery osoby i po prostu. ..

— ...po prostu...

— ...próbują...

— ...przemówić do Ariekenów.

Spojrzały na mnie.

— Same to raz zrobiłyśmy. Było jeszcze wcześniej.

Ale Ariekeni nie słuchali. Rozumieli i czasem nawet odpowiadali, ale potem zawsze wracali, czekając na wystąpienia EzRy. Osawidły były wszędzie, nie pozwalały Ambasadorom załamać się w spokoju. Widziałam nagrania JoaQuina, którzy wyli z rozpacz, wykrzykując coś w Języku, aż w końcu stracili wspólny rytm, i Arieken, do którego mówili, niczego nie rozumiał.

— Słyszałaś, co się stało z MarShą? — spytały MagDa. Pamiętam, że w ich głosie nie było niczego, co zapowiadałoby szokującą wiadomość. — Popęłniły samobójstwo.

Zastygłam. Oparłam się na stole i powoli spojrzałam na MagDę. Nie mogłam mówić. Przycisnęłam rękę do ust. Mag-Da nie spuszczały ze mnie wzroku.

— Będą kolejni — powiedziały cicho.

Wtedy zadecydowałam, że odleczę stąd pierwszym statkiem.

* * *

— Gdzie jest Wyatt? — zapytałam Rę.

— W więzieniu. W tym samym korytarzu co Ez.

— Nadal?! Przesłuchują go... czy co? — Ra wzruszył ramionami. — Gdzie jest Scile? Od

początku tej katastrofy nie miałam od niego żadnych wiadomości.

— Nie wiem. Wiesz, że właściwie go nie znam. Zanim... Wcześniej, gdy rozmawialiśmy, zawsze otaczał nas krąg Personelu. Nie wiem, czy w ogóle bym go rozpoznała.

Zeszłam na dół, mijając ekipę poszukiwaczy, przetrząsających pokój pełen papierów. Kilka pięter niżej ktoś zawołał mnie po imieniu. To był Cal albo Vin, stał przy wejściu na schody. Zastąpił mi drogę.

— Słyszałem, że jesteś w okolicy — powiedział. Był sam, ale nadal zachowywał tę samą powściągliwość. Ujął mnie za rękę. Nie rozmawialiśmy ze sobą już od miesiąca. Wciąż się rozglądałam, jakby wypatrując czegoś za jego plecami.

— Nie wiem, gdzie jest — powiedział, jakby czytając mi w myślach. — Pewnie gdzieś niedaleko. Niedługo tu będzie. Słyszałem, że przyszłaś.

To był on — ten, którego powinnam obudzić. Wpatrywał się we mnie z taką desperacją, że aż zadrżałam. Spuściłam wzrok, żeby nie patrzeć mu w oczy, i zobaczyłam coś, w co ledwo mogłam uwierzyć.

— Przerwałeś połączenie — powiedziałam. Lampki na łączu były zgaszone. Wpatrywałam się w nie oszołomiona.

— Szukałem cię, bo... — Zabrakło mu słów, ale jego głos przeorał mnie do głębi. Poglądziłam go po ramieniu. Z jego oczu wyjrzał tak straszny głód, że aż poczułam przyływ litości.

— Co się z tobą działo? — zapytałam. Ze mną też nie było za dobrze, ale Ambasadorzy nagle stali się niczym.

W korytarzu za nim ukazał się jego dubel.

— Rozmawiasz z nią?! — zapytał z oburzeniem. Próbował odciągnąć swojego brata, który wciąż nie odrywał ode mnie wzroku. Strącił jego rękę z ramienia.— Chodźmy!

Nie byli ujednoliceni — tak jak u MagDy widać było drobne różnice. Przez chwilę spierali się szeptem, po czym dubel cofnął się i odszedł.

— Cal — powiedział mężczyzna, który mnie odszukał. — Cal — wskazał swojego brata w drugim końcu korytarza. Potem dotknął kciukiem własnej piersi. — Vin.

Wiedziałam, że jego tęskne spojrzenie nie jest przeznaczone dla mnie, a w każdym razie nie tylko dla mnie. Spojrzałam mu w oczy. Vin cofnął się, by dołączyć do brata. Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, nim w końcu odwrócił się i odszedł.

Poszłam do miasta razem z MagDą i częścią Personelu; należeliśmy do grupy próbującej utrzymać przy życiu sparaliżowaną Ambasadorię. Wyposażona w aeolius produkujący powietrze zdatne do oddychania, wkroczyłam w końcu na zakazany teren. Musieliśmy zrezygnować z corvusów: urządzenia pomagające w lądowaniu zbyt często były teraz niesprawne.

Nie mogliśmy dłużej czekać — nasz Modyfikowany sprzęt medyczny, syntezatory żywności, żywe przewody kanalizacyjne potrzebowały konserwacji. Poza tym w nas samych tkwiło chyba coś nieustannie każącego sprawdzać, badać, co się dzieje. Niczym mityczni podróżnicy polarni czy pionierzy *homo diaspora* brnęliśmy naprzód, niosąc ze sobą różne dobra.

Budynki drżały, gdy nadchodziliśmy; traktowały nas jak mikroby atakujące organizm. Ariekeni mruzcili coś na nasz widok. MagDa próbowały z nimi porozmawiać, a z ich odpowiedzi wynikało, że nie do końca zdają sobie sprawę z naszej obecności. Minęliśmy głośniki ustawione przez Personel, obecnie milczące, ale nadal otoczone przez grupki Ariekenów. To właśnie byli najwięksi nałogowcy — nauczyliśmy się już rozpoznawać stopień uzależnienia. Oczekiwali na kolejne dźwięki, szepcząc do głośników i do siebie nawzajem, powtarzając ostatnie kwestie EzRy.

Ra musiał się uciekać do grózb i perswazji, by namówić Eza do wspólnych wystąpień. Jednym z ustępstw — traktowaliśmy Eza jak rozkapryszone dziecko, któremu podaje się rycynę na łyżeczce cukru — polegało na tym, że mógł sam dobierać sobie treść wystąpień. Obecnie preferował rozwlekłe wspomnienia ze swojej przeszłości. Jeśli czas przemówienia przypadł w trakcie naszej wycieczki do miasta, sami musieliśmy ich słuchać. Bóg jeden wiedział, co myślał sobie Ra, wygłaszając te banały, którymi Ez postanowił upoić publiczność.

...Zawsze wiedziałem, że jestem inny niż wszyscy — powtarzali Ariekeni. Mijaliśmy patchwork biografii Eza, wygłaszany przez kilkadziesiąt różnych głosów. Nigdy mnie nie rozumiała... a zatem nadeszła moja kolej... później już nic nie było takie samo. — Słuchanie tego w wykonaniu Ariekenów było prawie nie do zniesienia. Zdałam sobie sprawę, że Ez rozplanował tę historię na odcinki trwające wiele dni. A wtedy — usłyszałam ariekeński głos — wtedy dopiero zaczęły się kłopoty. O tym, co się stało później, opowiem wam następnym razem. Ez kończył każdą sesję dramatycznym akcentem, tak jakby tylko dzięki temu podtrzymywał zainteresowanie publiczności. Oczywiście zebrani słuchaliby równie uważnie, gdyby wyjaśniał im przepisy celne, szczegóły prawa budowlanego albo opisywał sny czy recytował listę zakupów.

* * *

Ostatecznie docieraliśmy do żłobka dla biodyfikatów, krematorium pełnego wspomnień, rezydencji, olbrzymiego pieca czy czegoś takiego; z pomocą MagDy lub innego Ambasadora odnajdowaliśmy właściwego Gospodarza i w końcu następowała mozolna dyskusja. Negocjacje handlowe z uzależnionym obcym to coś strasznego, ale najczęściej udawało się tym coś osiągnąć. Potem, w towarzystwie Gospodarza, z klatką pełną pasożytów-narzędzi w rękę albo z naręczem map czy planów, które powoli uczyliśmy się czytać, ruszaliśmy w drogę powrotną. Zawsze była to wyprawa całodniowa. Miasto żywo reagowało na naszą obecność. Mury spływały potem, komory okien otwierały się na oścież. Domy strzygły uszami w oczekiwaniu

Był jeszcze jeden powód, żeby nie włączyć się po mieście w czasie audycji EzRy.

Okazało się, że nie ja jedna odczuwam obrzydzenie na widok tej zachłanności budynków i gorączkowo podsłuchujących ścian.

Równowaga była delikatna i krucha, ale była — upadek, którego wszyscy oczekiwaliśmy, jednak nie nadszedł. Teraz pozostawało tylko czekać na statek. Do tego czasu wszyscy żyliśmy na krawędzi. Po ucieczce mieliśmy zostawić za sobą całą planetę zrozpaczonych Ariekenów, miotających się w napadach głodu. Nie byłam w stanie o tym myśleć — dopiero dużo później mogliśmy sobie pozwolić na luksus poczucia winy.

Podczas tych wycieczek często spotykaliśmy tych samych Ariekenów. Nadawaliśmy im przezwiska — Nożyce, Gałgan, Czacha. Na sam dźwięk głosu EzRy wpadali w trans, tak jak pozostali, ale poza tym starali się z nami współpracować. Pośród Gospodarzy także wyłoniła się jakaś kadra, odpowiednik naszego sztabu kryzysowego, próbująca opanować sytuację ze swej strony. Dla nich było znacznie trudniejsze, bo sami chorowali.

* * *

W Ambasadorii pojawiały się przeciwne prądy, podążające w opozycji do ogólnego fatalizmu. Znow otwarto szkoły i żłobki. Nikt nie wiedział co prawda, na jakiej zasadzie działa obecnie nasza gospodarka, rodzice zmianowi zajmowali się teraz tylko opieką nad dziećmi, a szpitale i inne instytucje działały mniej więcej jak zwykle. Z konieczności przestano się przejmować opłacalnością i poziomem zysków, wcześniej regulującymi produkcję i dystrybucję.

Oczywiście nie twierdzą, że sytuacja wróciła do normy. Ambasadoria umierała gwałtownie. Droga z miasta do domu nie była bezpieczna. Za każdym razem eskortowali nas kon-stable. Nie mogliśmy w żaden sposób ukarać dekadentów, którzy uparli się imprezować do końca świata, a poza tym czasem sami chodziliśmy do nich na imprezy (zastanawiałam się, czy spotkam tam Scile'a, ale nigdy mi się nie udało). Godzina policyjna pozostała jednak bez zmian, zdarzyło się nawet kilka ofiar — na infokanałach starannie wypikselowa-no ich ciała. W całym mieście wybuchały walki, zdarzały się napady i morderstwa. Były też samobójstwa.

Samobójstwa to zjawisko niezwykle podatne na modę, obecne najczęściej bywały melancholijne i dramatyczne. Wiele osób zdecydowało się odejść Drogą Oatesa — zakładając maskę tlenową, a następnie wychodząc z Ambasadorii, idąc jak najdalej, do miasta i poza jego teren, by zobaczyć, co się stanie. Jednak najpopularniejszą formą śmierci było powieszenie. Redaktorzy wiadomości z jakiegoś powodu uznali, że praktycznie niezakrwawione ciała wisielców można pokazywać bez cenzury. Przyzwyczailiśmy się do widoku dyndających zwłok.

Infostacje nie informowały o samobójstwach Ambasadorów.

MagDa pokazały mi nagranie ciał Ambasadora HenRyego, leżących w objęciach na łóżku, wstrząsanych drgawkami po zażyciu trucizny.

— Gdzie są ShelBy? — spytałam. ShelBy i HenRy byli ze sobą w związku.

— Zniknęły — odpowiedziały MagDa.

— Niedługo się znajdą — dodała Mag.

— Martwe — uściśliła Da.

— HenRy nie będzie ostatni.

— Nie da się tego ukrywać zbyt długo.

— Biorąc pod uwagę liczebność populacji...

— ...mamy wyższy wynik od średniej.

— Zabijamy się częściej niż inni.

— No cóż — odparłam, całkowicie opanowana. — To chyba nic dziwnego.

— Chyba nie, prawda? — odparły MagDa.

— Naprawdę nic dziwnego.

— Czemu tu się dziwić?

* * *

Schwytaliśmy część bezdomnych maszyn i wgraliśmy im nowe oprogramowanie, by stały się bardziej przydatne. Okazało się, że wciąż nie nadają się nawet do najprostszych zadań.

Ehrsul wciąż nie odpowiadała na moje dzwonki — ani, jak się dowiedziałam, nikogo innego. Zdałam sobie sprawę, ile czasu minęło od naszego ostatniego spotkania, i nagle zaczęłam się o nią bać. Poszłam do jej mieszkania. Pośród nowego Personelu było więcej osób, które ją znały, ale jeśli moje najgorsze obawy miały się sprawdzić, to wolałam się o tym przekonać w samotności.

Ale otworzyła mi drzwi prawie natychmiast.

— Ehrsul? — spytałam ostrożnie.

Powitała mnie ze swym zwykłym sardonicznym humorem, udając, że nie słyszy pytania w moim głosie. Chciała wiedzieć, co u mnie słychać, opowiedziała coś o pracy. Nalała mi drinka. Przez dłuższą chwilę pozwoliłam jej mówić, aż w końcu zapytałam, gdzie była, co robiła i dlaczego nie odpowiadała na wiadomości.

— Co się dzieje? — spytałam otwarcie. Chciałam wiedzieć, co myśli na temat tej katastrofy.

Awatar jej twarzy zastygł, zamigotał, a potem znów się ustabilizował. Ehrsul wciąż paplała o drobiazgach, wtrącając jakieś bezcelowe żarty. W ogóle nie odpowiedziała na moje pytanie.

— Chodź ze mną — powiedziałam. Poprosiłam ją, by dołączyła do zespołu MagDy i poszła ze mną do miasta. Jednak za każdym razem, gdy wspominałam o czymś, co wymagałoby wyjścia z domu, ona jakby się zacinała. Na chwilę milkła, a potem znów podejmowała rozmowę, tak jakby nigdy nic, i zaczynała mówić o czymś zupełnie niezwiązanym z tematem.

— Albo to jakiś błąd oprogramowania, albo robi to specjalnie — powiedziała zmęczonym głosem informatyczka z Ambasady, gdy opisałam jej objawy. Miałam ochotę zareagować złośliwym „nie, naprawdę?”, ale potem ona uściśliła, o co chodzi. Ehrsul zachowywała się jak dziecko, które zatyka uszy palcami, wołając „Nic nie słyszę!”.

Gdy wychodziłam od niej z domu, pod drzwiami leżał jakiś list, otwarty i wyrzucony. Automka nie zareagowała nawet, gdy się po niego schyliłam, nie spuszczać z niej wzroku.

Kochana Ehrsul — pisał nadawca. — *Bardzo się o ciebie martwię. Ta katastrofa przeraża nas wszystkich, ale obawiam się, że...* i tak dalej. Ehrsul czekała, aż skończę. Jaką mogłam mieć wtedy minę? Na pewno wstrzymywałam oddech. Jej awatar zacinał się i rozmywał, póki nie skończyłam.

Imię, którym podpisano list, nic mi nie mówiło. Papier zafalował lekko, gdy położyłam go z powrotem na podłodze, i zrozumiałam, że drżą mi ręce. Ilu najlepszych przyjaciół zdołała sobie zebrać? Może ja miałam być wersją ekskluzywną, zapewniającą dojeżdżanie do Personelu? Może każdy z nas miał swoją niszę. Może wszyscy się o nią martwiliśmy.

Wtedy pomyślałam o Calvinie i ich bezsensownej krzątaninie, a także o Scileu, od którego wciąż nie miałam żadnych wiadomości. Zadzwoiłam do Brena, ale ku mojej bezsilnej wściekłości nie odebrał. Zapukałam do niego, lecz nikt nie otworzył.

* * *

Nie miałam pojęcia, przez co musiał przechodzić Ra, póki nie przydzielono mi dyżuru nad Ezem. Oczywiście mogliśmy go zmusić do tych wystąpień pod pistoletem, ale gdy za bardzo naciskaliśmy, odpowiadał groźbami. Jego zachowanie stało się tak nieprzewidywalne, że

musieliśmy na serio rozważyć najgorszą możliwość: że w ogóle odmówi wystąpień i pograży nas wszystkich z czystej złośliwości. Dlatego po prostu towarzyszyliśmy mu wszędzie, byliśmy jednocześnie strażnikami i towarzyszami zabawy. Gdy nadchodził czas wystąpienia, on stawał okoniem, a my pozwalaliśmy się rozstawiać po kątach, aż w końcu wyrażał niechętną zgodę.

Strażnicy zawsze chodzili dwójkami. Poprosiłam, by przydzielono mnie razem z Simmonem. Gdy znów się spotkaliśmy, podałam mu prawą rękę, a on uściśnął ją lewą. Spojrzałam na niego w szoku. Prawa ręka, którą nosił przez tyle lat, ariekińska biodyfikowana proteza, nieco odbiegająca kolorem i teksturą od ludzkiej ręki, ale obdarzona identyczną funkcjonalnością, zniknęła. Rękaw kurtki został przypięty z boku.

— Uzależniła się — wyjaśnił. — Pewnie wtedy, gdy ją ładowałem. .. — W mieście ludzie, podobnie jak Gospodarze, korzystali z zelli. — Dostała skurczów, próbowała wyhodować sobie uszy. Odciałem ją. Nadal próbowała nasłuchiwać, nawet gdy leżała na podłodze.

Ez siedział w komnatach EzRy w Ambasadzie. Był pijany i strasznie się mazał. Zarzucał swojemu dublowi tchórzostwo i spiskowanie, wyzywał MagDę od ostatnich. Niedobrze to wyglądało, ale nie gorzej od wielu innych kłótni, które już widziałam. To Ra mnie zaskoczył. Zachowywał się inaczej niż wcześniej. Ten spokojny człowiek, z którego małomówności tak często żartowano, teraz odwzajemniał obelgi.

— Dopilnujcie, żeby był gotów, kiedy wróci — powiedział do nas. Ez pokazał obraźliwy gest.

— Może chociaż wolno mi pójść na przyjęcie? Czy nawet tego mi odmówicie, łajdaki? — jęczał, gdy szliśmy za nim na imprezę zorganizowaną na jednym z niższych pięter Ambasady. Staliśmy na straży, kontrolowaliśmy, ile i jakie napoje pije, choć nigdy nie zdarzyło się, żeby upojenie odbierało mu zdolność mówienia w Języku. Patrzyliśmy, jak rozmawia z ludźmi, klóci się i pieprzy. Dioda na jego łączu migotała gorączkowo, próbując znaleźć swoją parę i nawiązać połączenie, którego Ez tak bardzo unikał.

Można chyba powiedzieć, że przyjęcie było dość ponure, jak spacer przez czyściec. Grupka ludzi na końcu świata, ginąca w zapomnieniu i narkotyzująca się rytualnie w rytmie wewnętrznego cyklu i pulsowania świateł w dymie. Może dla uczestników było to zabawne, ale nie interesowało Eza. Szłam za nim beznamiętnie niczym żołnierz.

Zabrał nas do starego magazynu sprzętu biurowego, na jednym ze środkowych pięter, gdzie teraz mieścił się zaimprovizowany bar. Pił, dopóki nie interweniowałam, co go zachwyciło, bo wtedy mógł mnie zwymyślać. W tym dziwnym miejscu można było spotkać jedynie byłych członków Personelu i jednego czy dwóch Ambasadorów, których najwyraźniej nie obchodziło, że Ez z każdym kolejnym kieliszkiem naraża nasze bezpieczeństwo.

— Twój koleczy — szepnęłam i potrząsnęłam głową.

Spojrzał mi w oczy, zupełnie niezrażony moim obrzydzeniem.

Ambasadorianie wprowadzili się na niższe poziomy Ambasady w poszukiwaniu bezpieczeństwa. Dolne piętra zamieniły się w zaułki nędzy. Kobiety i mężczyźni, przedszkola i rodzice zmianowi, szafy wystawione na korytarz, architektura pomieszczeń wywrócona na nice. Szliśmy przez te zaułki zrobione z korytarzy, gdzie działające światła zostały przeprogramowane na rytm dnia i nocy. Na drzwiach wypisano kredą numery domów. Mieszkańcy rozmawiali oparci o framugę, a dzieci biegały i bawiły się nawet o takich godzinach, gdy powinny już spać. Ambasadoria weszła do środka.

Ez, oszołomiony i rozkliwiony, zaczął obgadywać swojego bliźniaka.

— Ten chudy gnojek — mrucał, gdy szliśmy za nim przez na wpół autonomiczne tereny strzeżone przez własnych, niekompetentnych konstabli. — Ciągle mnie podpuszcza, a potem udaje, że co to nie on. — Ra jako jedyny w Ambasadzie używał tych samych kolokwializmów.

— Nie widzicie, co robi? Łatwo mu udawać grzecznego chłopczyka, skoro... skoro może... — Tanie lampy zamrugały nam nad głowami, jak nowe gwiazdy. — Nie powinienem... Jestem zmęczony, chcę, żeby to się już skończyło. I żeby Ra dał mi już spokój.

— Ez, chyba nie rozumiem, co masz na myśli — powiedziałam w końcu.

— Nie mów tak do mnie! Kurwa, co za głupi, głupi... To wszystko takie...

Znałam jego dawne imię — kiedyś nazywał się Joel Ru-kowski. Zatrzymałam się pośrodku zaśmieconego korytarza. Nie mogłabym zwrócić się do niego „Rukowski” ani „Joel”, a gdy powtórzyłam „Ez”, mężczyzna po prostu zgarbił się i już nic nie powiedział.

Wraz z Simmonem czasem musieliśmy ratować go z bójek, które sam wszczywał. W końcu nadszedł czas na przemowę o świcie, pierwszą tego dnia. Ez obraził nas po kolei, gdy prowadziliśmy go z powrotem poprzez zrujnowany budynek, poprzez nowe lenna i embriony slumsów, gdzie rozkwitało nowe życie. Gdy doszliśmy do komnat, Ez zatrzymał mnie, dotykając mojej ręki, i poprosił o krótką przerwę. Po raz pierwszy w ciągu całej tej nocy okazał mi coś prócz pogardy. Zamknął oczy. Westchnął, a potem znów wrócił do poprzedniej pozy: był pijany i uparty.

— No dalej, ty draniu! — zawołał i otworzył drzwi.

Ra i MagDa pospiesznie odsunęli się od siebie. Ez szydził.

Obserwowaliśmy ich kłótnię. Gdy Ez pozwolił sobie na jakąś lubieżną uwagę wobec Ambasadorki, Ra odpowiedział krzykiem.

— Za kogo ty się uważasz? — roześmiał się Ez. — Jak ci się wydaje, co to jest? „Nie mieszaj jej w to”? Poważnie?

Ugryzłam się w język, by się nie roześmiać. Ez bardzo zręcznie udawał swojego bliźniaka, nawet Ra zdawał się trochę zawstydzony.

— Masz — powiedział później, gdy dźwiękowcy i biody-fikatorzy przygotowywali ich do audycji. Ra przebiegł wzrokiem treść wystąpienia.

— Nie wykorzystasz tego, co mówiliśmy wczoraj? — zapytał Ra. Jego głos niespodziewanie stał się zupełnie neutralny.

— Nie. Chcę kontynuować. Przerwałem w ciekawym momencie.

Miałam ochotę krzyknąć: „Nic ich to nie obchodzi! Mógłbyś opisać pieprzony dywan, a efekt byłby dokładnie ten sam”.

Ra zadał kilka pytań na temat tonu i czasu trwania, zrobił jakieś notatki na marginesie. Ez nie miał własnej kopii — pamiętał, co chce powiedzieć. Gdy przemówili, nie patrzyłam na nich, lecz na miasto, które zadrżało, gdy nadeszły pierwsze dźwięki. EzRa kontynuowali opowieść o młodości Eza.

Kim właściwie byliśmy? Nie było nas wielu — ot, przypadkowa zbieranina zer, flokerów, dysydentów z Personelu i kilku cennych Ambasadorów. Ale nasze szeregi wciąż rosły, a nasze edykty nie przechodziły całkiem bez echa. Ambasadorianie zaczęli się stosować do naszych sugestii, próśb i rozkazów.

Wszyscy, a zwłaszcza MagDa, dokładaliśmy wszelkich starań, by utrzymać współpracę z naszymi kontaktami u Ariekenów. Pracowaliśmy ciężko, zbyt ciężko, bym mogła zorientować się w sytuacji. W końcu pewnie bym się tego domyśliła, z zachowania Eza, z listu do EhRsul. MagDa namówiły nawet kilku najbardziej opanowanych i trzeźwych Ariekenów na przybycie do Ambasady. Tym razem nie była to pielgrzymka do EzRy, lecz negocjacje handlowe. Obiecała ich wynagrodzić urywkami nieznanymi nagrań, naszych cennych znalezisk zdobytych dzięki okazjonalnym podsłuchom.

— Część z nich zdaje sobie sprawę, że problem istnieje — stwierdziła Mag. — To widać.

— Niektórzy z nich... — dodała Da.

— Toczy się jakaś dyskusja...

— Niektórzy z nich chcą się wyleczyć.

Nowe plotki pojawiały się jak grzyby po deszczu. Nasze widy wciąż krążyły po mieście. Niektóre z nich zostawały schwyte przez przeciwności wytwarzane przez domy. Jednak gdy po szybkich oględzinach upewniały się, że widy nie są dla nich zagrożeniem, wypuszczały je, nieuszkodzone. Dzięki tym nagraniom dowiedzieliśmy się na temat miasta więcej niż kiedykolwiek przedtem, niestety za późno. Wszystkie na wół uchwycone ruchy, wszystko, co widzieliśmy, ale nie umieliśmy zidentyfikować, podsycało teorie o zaginionych tajemnicach, piątych kolumnach, wygnańcach z Ambasady i dawnych zatargach.

Pola rodziły wielkie stada biodyfikatów, ale żniwa były nieregularne. Żywność i technika nadchodziły do nas tymi samymi kanałami, a z miasta wolno płynęła chemia uzależnienia, docierając do ariekęńskich pasterzy i wieśniaków. Zaczynali zaniedbywać swoje stada i przybywać do miasta w poszukiwaniu dźwięku, którego nagle zaczęli pożądać, choć w życiu go nie słyszeli. Ich opuszczone posiadłości chorowały, rzęziły i głodowały. Stada Modyfikowanego sprzętu medycznego i budowlanego, wzmacniane syntezatory protein i polimerów, wszystkie zdziczały.

Gdy pasterze dotarli do miasta, nikt nie wyszedł im na spotkanie. Wiejscy Ariekeni zobaczyli swych najciężej uzależnionych współbraci leżących przy głośnikach na ziemi, umierających z głodu, czekających na kolejne zdanie. Ich ciała leżały porzucone. Jeśli otaczające ich budynki miały jeszcze dość sił, ich zwierzęce wypustki wielkości psów systematycznie rozkładały trupy. Jeśli nie, powolny proces gnicia wtapiał ich w powierzchnię drogi.

Często wybuchały walki. Głód wywoływał agresję. Nałogowcy demolowali wszystko na drodze, desperacko szukając głosu EzRy. Mniej uzależnieni, zazwyczaj przybysze ze wsi, falowali wachlokrzydłem w wyrazie oburzenia, ale narkomani nie zawracali sobie głowy tradycyjnymi gestami i po prostu rzucali się na zaskoczonych przeciwników z kopytami i darskrzydłami. Widziałam kiedyś nagranie, gdzie audycja EzRy zaczęła się podczas takiej bójki. Walczący natychmiast osunęli się na ziemię i objęli, jakby z czułością, wciąż krwawiąc z odniesionych ran.

— Robi się coraz gorzej — stwierdziła Da. — Niedługo zainfekujemy tym całą planetę.
— A to jeszcze nie wszystko — dodał jakiś głos.

W drzwiach stał Bren. Przybrał podejrzenie idealną pozę, jakby czekał na oprawienie w ramki.

— Witaj, Avice Benner Cho.

Wstałam, potrząsając głową.

— Ty marnotrawny gnoju.

— Marnotrawny?

— Gdzieś ty był?

— Marnotrawny w sensie rozrzutny? Czy skruszony? — upewnił się, a potem uśmiechnął ostrożnie. Z początku nie zareagowałam, ale wytrzymałam tylko krótką chwilę.

* * *

— Jak tu wszedłeś? — spytał ktoś. Najwyraźniej awansował na swoje stanowisko dopiero niedawno, bo dodał: — Kim jesteś? — Wywołał tym syki oburzenia.

Ra uścisnął Brenowi dłoń i próbował go powitać. Bren uciszył go machnięciem ręki.

— Teraz mamy na głowie nie tylko ariekeńskich uchodźców, choć ich obecność, oczywiście, komplikuje sprawę. — Mówił monotonnym, nieznośnym sprzeciwu głosem. — Są też inne problemy.

Sam oczywiście nie władał Językiem, odkąd zmarł jego dubel, ale niektórzy z Ariekenów — ktoś sentymentalny mógłby ich określić mianem starych przyjaciół, choć byłoby to pewne nadużycie — odwiedzali go czasem i opowiadali różne rzeczy.

— Myślicie, że oni nie chcą tego zmienić? — spytał Bren.

— Wiemy, że chcą — odparła Mag, ale on ciągnął dalej:

— Myślicie, że Gospodarze nie są tym przerażeni? To prawda, że myślenie przychodzi im teraz z trudem, ale niektórzy z nich wciąż myślą. Wicie, jak nazywają EzRę? „Boski towar”.

— To peryfraz — stwierdziłam po chwili ciszy.

— Nie — odparł Bren. Rozejrzał się po pokoju, próbując ocenić, kto zna ten literacki termin. — To nie jest zwykły środek stylistyczny, jak „kościanny dom” czy coś w tym stylu. — Uderzył się w pierś, swójkościanny dom. — To bardziej prostolinijne. To prawda.

— Hm — powiedział ktoś drżącym głosem. — Tak właśnie działa religia...

— Nieprawda — uciął Bren. — Bogowie to bogowie, a towar to towar, ale tutaj mamy całe miasto nie tylko uzależnionych. .. ale i na swój sposób wiernych.

— Oni nie znają bogów — stwierdziłam. — Jak to możliwe...

— Znają ich, odkąd tu przybyliśmy i powiedzieliśmy im, czym są. Zanim przybyliśmy, nie mówili też o próżniokrętach i spodniach, ale teraz już potrafią. I jest wśród nich pewna grupa, która nie cofnie się przed niczym, byle powstrzymać tę zarazę. Na razie nic nam z ich strony nie grozi, póki nie uwolnią się na tyle, by próbować czegoś więcej. Ale jeśli im się uda... Cóż, zakończą tę sprawę, jak tylko się da. Powinniście rozważyć wszystkie metody, za pomocą których kilku zdeterminowanych Ariekenów może próbować... uwolnić swoich uzależnionych współbraci.

Tej nocy dołączył do mnie prywatnie, w moim pokoju. Zapytał, gdzie jest moja przyjaciółka Ehrsul, a ja odpowiedziałam, że nie wiem. Nie powiedziałam tej nocy już prawie nic więcej. Bren także nie miał wiele do powiedzenia, ale przyszedł do mnie i siedzieliśmy razem, gdy to mówił.

* * *

Trzy razy opuściłam miasto.

Widok obcych Ariekenów podsunął nam pewne pomysły. Niektórzy z Gospodarzy nie opuścili jeszcze swoich siedzib, ale zaczęli już pożądać przemówień EzRy. Udaliśmy się do nich.

Nasz statek miał otwory, przez które mogłam wystawić głowę podczas lotu. Jego brzuch-mostek wyrzucał strumień powietrza pod ciśnieniem, na tyle dużym, by atmosfera z zewnątrz nie dostała się do środka. Nabierałam tchu, po czym wystawiałam głowę, by rozejrzeć się wokół.

Kilometr pod nami rozciągało się miasto Gospodarzy. Równiny, pola uprawne i masywne skały pokryte siatką pęknięć wypełnionych czarnymi chwastami. Łąki przecięte torami i nakrapiane domami. Kolejne organiczne budynki; pokoje unoszone przez pęcherze gazowe patrzyły, jak przelatujemy obok, śledząc nas prymitywnymi oczami.

Opuśczenie Ambasadorii, a potem miasta okazało się równie dramatyczne co wejście w nurt. Mogłoby być nawet piękne. Farmy wciąż przemierzały pola kołyszącym krokiem, podążając za swymi pasterzami — jeśli jeszcze ich miały — albo nawet same. Symbionty czyściły futro. Farmy rodziły komponenty albo biomaszyny okryte mokrymi czepkami.

Sady pełne porostów przecinały krzyżujące się rurownętrz-ności biegnące z miasta; gdzieniegdzie wciąż doglądali ich najbardziej wytrwali konserwatorzy. Daleko na horyzoncie ciągnęły się stepy; biegały po nich na wpol zdziczałe fabryki, które ariekęnsy kowboje dwa razy w roku zaganiali do zagród. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się spotkać kilku z tych biodyfikatorów i kupić od nich trochę młodych maszyn.

W skład ekspedycji, prócz mnie, wchodził także Henrych, który wcześniej prowadził stragan, a niedawno dołączył do „owo sformowanego komitetu”, Sarah, która miała na tyle naukowej wiedzy, by się na coś przydać, i BenTham, Ambasador. Ci dwaj byli najbardziej z nas zaniedbani, oszołomieni i opryskliwi. W przeciwieństwie do swych kolegów po fachu, oni wciąż mieli na tyle przyzwoitości, by utrzymywać identyczny stan zapuszczenia.

Wyładowaliśmy, a ze wzgórza dobiegł rozpaczliwy zew trawy, gdy nasze pojazdy zaczęły się nią paść. Wyposażeni w maski aeoli, zebraliśmy sprzęt, rozbiliśmy obóz, połączyliśmy się z Ambasadorią i ustaliliśmy harmonogram.

— To plemię chyba nie ma zbyt wielu młodych reaktorów na wymianę — powiedziałam do komunikatora. — Porozmawiajcie z KelSeyem. Są u hodowców z mokradeł, prawda? Tam je dostaniecie, może też trochę pieców do spalania śmieci. — I tak dalej.

Rozdzieliliśmy obowiązki łowieckie pomiędzy kilka grup, które wyjechały z miasta.

Nasze przęsłowózki zachowywały się nerwowo, przednie części przeciągały się z drzeniem, falując jak gąsienice. Załadowaliśmy je datachipami pełnymi nagrań. Niektóre ukradziono, inne wykonano z niechętnym przyzwoleniem Eza.

W tamtym okresie nie byłam wcale tak opanowana, jak sugeruje to niniejsza relacja. Patrzyłam na powierzchnię kraju, w którym się urodziłam i wychowałam, do którego powróciłam i odtąd uważałam za dom. Ten widok, widok równin ciągnących się daleko poza Ambasadorią... aż do tej chwili nie próbowałam go sobie nawet wyobrazić. Z jednej strony było to zupełnie nowe doświadczenie, z drugiej znałam też stawki i wagę tej rozgrywki. Spoglądałam na zupełnie nieznaną sobie ziemię i porę roku. Byłam na zewnątrz, ale to moja własna planeta okazała się najbardziej obcym miejscem, jakie odwiedziłam w życiu.

Istoty przypominające skrzyżowanie ciem z anemonami zamierały, gdy przelatywaliśmy obok, i machały czuciowymi kończynami. Nasz wóz toczył się w kierunku osad; wokół, w gorącym powietrzu unosiły się jakieś zwierzęta przypominające skrawki papieru. Farma znajdująca się na końcu grubych przewodów sieci — dopływów głównej — była również

niespokojna jak reszta budynków. Wijąca się wieża składała jaja pełne młodych maszyn. Papierowe ptaki wydziobywały z nich pasożyty. Na nasz widok hodowcy aż drgnęli z zaskoczenia i pogalopowali w naszą stronę. Farma pochyliła się niżej.

Im dalej od miasta, tym uzależnienie zdawało się słabsze albo inne. BenTham potrafili dogadać się z miejscowymi, przekazać im nasze prośby i zrozumieć ich. Wiedzieli, że mamy coś do słuchania, i głośno domagali się chipów, nie-zaspokojeni rozcieńczonymi resztkami działek spływających arteriami z miasta, na wpuł usłyszanych z najbliższych głośników albo oferowanych przez poprzednią delegację.

Pokazaliśmy towary i *voilà!* wzbudziliśmy sensację jak obwoźni handlarze w starych książkach. Odtworzyłam jeden z datachipów i rozległ się głos EzRy: „Gdy umarł mój ojciec, poczułem smutek, ale wiedziałem, że jest w tym także wolność”. Gospodarze stanęli dęba i coś wykrzyknęli.

— Ten już mają — powiedział BenTham. Odtworzyli go wcześniej wielokrotnie i zupełnie już na nich nie działał. Teraz dopiero usłyszeli jego treść, ale los ojca Eza wcale ich nie interesował.

Zaproponowaliśmy inne fragmenty: dyplomatyczne formułki, oderwane spostrzeżenia, prognozy pogody. Zaoferowaliśmy darmową próbkę „Bardzo cieszy nas rozwój kolejnych możliwości w zakresie współpracy technicznej” i próbowaliśmy skusić ich pierwszymi fonemami „Złamałem nogę, kiedy spadłem z drzewa”.

— Pytają, czy mamy to wystąpienie o niedopuszczalnym poziomie zanieczyszczeń w przemyśle rafinacyjnym — przetłumaczył Ben lub Tham. — Słyszeli o nim od sąsiadów.

Negocjując ostrożnie, przekazaliśmy im dość nagrań, by wystarczyło na biodyfikaty oraz instrukcje. Wiedzieliśmy, że w ten sposób przyczyniamy się do szerzenia uzależnienia. Przynieśliśmy im czysty towar.

Potem odbyłam taką podróż jeszcze dwukrotnie. Niedługo później jeden z naszych organicznych sterowców nie powrócił.

Gdy w końcu odnalazły go nasze vidy, napłynęły do nas nagrania i tridy martwej, nadpalonej maszyny; jej śliskie wnętrzości rozwleczone po ziemi. We wraku leżały martwe ciała załogi: Ambasadora, nawigatora, technika i Personelu.

Znałam Ambasador LeNę głównie z widzenia, ale przyjaźniłam się z jednym z członków załogi. Przycisnęłam ręce do ust. Sprowadziliśmy ciała do Ambasadorii i pochowaliśmy jak najlepiej, według nowych ceremonii. Ekipa techników przeszukała gnijący wrak.

— Statek nie był chory — zeznał jeden z nich przed komisją. — Nie wiem, co się stało.

* * *

Ambasada robiła, co mogła, by nie utracić kontroli na rzecz gangów, ale jako mała grupka samozwańczych organizatorów mogliśmy jedynie spowolnić degrengoladę. Dołączało do nas coraz więcej Ambasadorów, przerażonych szalejącym bezprawiem lub przekonanych przez MagDę. Z pozostałych nadal nie było pożytku. Kolejnych dwoje popełniło samobójstwo. Niektórzy odcięli łącza.

Gdy znów nadzorowałam Eza, wydał mi się... może nie tyle spokojniejszy, ile bardziej załamany. Gdy w końcu przyprowadziłam go do Ry, znów się pokłócili, może nawet bardziej zajadle niż kiedykolwiek.

— Mogę ci bardzo utrudnić życie! — krzyczał Ez. — Wystarczy, że coś powiem!

Wchodząc do miasta, mijaliśmy trupy domów i Gospodarzy. Rozkład biodykatorów zaprojektowanych jako nieśmiertelne wydzieliał nieznanne toksyczne gazy. Wokół głośników toczyły się walki. Niektórzy z Ariekenów zginęli z ręki współpracowników, inni z głodu narkotycznego.

Zdarzały się także bardziej zorganizowane akty przemocy. Ich organizatorzy chciwie zagarniali datachipy, które przekazywaliśmy im w nagrodę za opanowanie sytuacji. Okrutnymi, prymitywnymi metodami wspólnie utrzymywaliśmy chwiejną równowagę.

Któregoś wieczoru, gdy wracaliśmy do Ambasadorii, zostałam trochę z tyłu, by otrzepać z butów resztki gnijącego mostu. Spojrzałam za siebie w stronę miasta i dostrzegłam dwie ludzkie kobiety.

Widziałam je tylko przez chwilę. Stały po obu stronach zaułka, kilka metrów dalej, spoglądając na mnie poważnie; potem zniknęły. Nie byłabym w stanie ich opisać, pewnie nawet nie rozpoznałabym ich przy następnym spotkaniu, ale wiedziałam, że miały identyczne twarze.

* * *

Dopiero później, gdy wszystko znów się posypało, a nowe procedury stały się bezużyteczne, zdałam sobie sprawę, że zamierzałam dotrzeć aż do przybycia statku, który mógłby nas stąd zabrać.

Któregoś wieczoru w porze audycji nie mogliśmy nigdzie znaleźć żadnej z połówek EzRy. Żaden nie odpowiadał na dzwonki. Wprawdzie było to typowe dla Eza, ale bardzo niepodobne do Ry.

Eza nie było w żadnym z jego ulubionych miejsc. Przeszukaliśmy zatłoczone korytarze Ambasady — nikt go nie widział. Próbowaliśmy zadzwonić do Mag albo Dy, które często spędzały czas w towarzystwie Ry, ale one też nie odpowiadały.

Znaleźliśmy całą czwórkę w nowych pokojach MagDy, na jednym z najwyższych pięter. Na ostatnim odcinku korytarza dostrzegliśmy jakąś postać skuloną przy drzwiach. Wycelowaliśmy w nią broń, ale nawet się nie poruszyła.

To była Da. Przez chwilę myślałam, że nie żyje, ale potem spojrzała na nas z rozpaczą.

W środku powitał nas straszliwy widok. Mag leżała na łóżku, nieruchomo jak diorama, skulona identycznie jak Da na zewnątrz, pomimo dzielącej je ściany. Uniosła wzrok, a potem spojrzała na trupa leżącego z nią w łóżku. To był Ra, cały zalany krwią. Rękojeść sterczała mu z piersi niczym dźwignia.

Kawałek dalej siedział Ez, pocierając twarz, rozmazując krew i bełkocząc bez składu:

— Nie chciałem, próbowałem tylko... O Boże, to tylko, posłuchaj, przepraszam, ja tylko... — i tak dalej.

Gdy nas zobaczył, na jego twarzy odbiło się jeszcze inne uczucie, silniejsze niż wstyd za to przypadkowe morderstwo: wiedział, na co skazał nas wszystkich. Odruchowo wyciągnęłam rękę, jakbym chciała wyjąć ostrze z piersi Ry.

Później dowiedzieliśmy się, że kłótnia z początku dotyczyła MagDy, ale szybko zeszła na głębiej skrywane urazy. Szczegóły nie miały znaczenia; nie poszło przecież wcale o to, co obaj wykrzykiwali, wygrażając sobie pięściami, aż w końcu sprawy wymknęły się spod kontroli.

Nie byliśmy przyzwyczajeni do morderstw. To nie ja zniknęłam Rze oczy, ale potem wzięłam Mag za rękę i wyprowadziłam ją z pokoju. Nie mieliśmy czasu na rozpacz — implikacje sytuacji były jasne. Z paniką pomyślałam o maleńkim zapasie nagrań EzRy.

Gdy wróciłam, pozostali wywlekali właśnie Eza, ktoś zaprowadził Dę do jej siostry. Zabezpieczyłam miejsce zbrodni. Przez dłuższą chwilę byłam sam na sam z trupem Ry.

— Naprawdę musiałeś? — spytałam. Chyba wyszeptałam to na głos. Bardzo starałam się opanować i chyba mi się udało. — Nie mogłeś się wycofać? — Dotknęłam jego twarzy. Spojrzałam na zmarłego, potrząsnęłam głową i wiedziałam, że teraz już wszyscy zginiemy.

Część piąta

NOTATKI

Ukrywaliśmy tę śmierć przez wiele dni, udęczeni nadmiarem tajemnic. Przeczuliśmy, że gdy Ambasadoria się o tym dowie, wybuchnie panika. Nie miałam pewności, czy panika za trzy dni będzie choć trochę lepsza niż panika natychmiast, ale ukrywaliśmy, co się dało.

Dysponowaliśmy tylko kilkoma nagraniami głosu EzRy — Ez był bardzo ostrożny. Raz zaryzykowaliśmy powtórzenie audycji, którą Ariekeńi słyszeli już wcześniej, ale nagrania bójek, które wybuchły wśród rozwścieczonych słuchaczy, tak nas przeraziły, że nie próbowaliśmy tego więcej. Mieliśmy w sumie audycji na jakieś dwadzieścia dni. Racjonowaliśmy je tak bardzo, jak tylko się odważyliśmy.

W społeczności Gospodarzy pojawiały się jakieś nowe hierarchie. Nie rozumieliśmy, o co w nich chodzi.

Po śmierci Ry MagDa znów się ujednociliły, po raz pierwszy od wielu dni. Wkroczyły do sali obrad, ubrane elegancko, poważne i identyczne. Nie miałam pojęcia, czy to dobry, czy zły znak.

Przyjęły kondolencje. Nie straciły autorytetu, de facto pozostały naszym przywódcą. Słuchały, dyskutowały, wygłaszały spostrzeżenia i prawie rozkazy. Trochę na polecenie MagDy, a trochę z jakiejś dziwnej perwersji zostałam strażniczką Eza.

Chciał ze mną porozmawiać. Lawirował od samousprawiedliwienia, poprzez poczucie winy, aż do żalu i wściekłości. Siedziałam z nim w pokoju i słuchałam. Z początku próbowałam poznać szczegóły całej sprawy.

— Co się stało? — zapytałam kiedyś MagDę.

Spojrzały na mnie zmęczonym wzrokiem. Jedna z nich potrząsnęła głową, a druga powiedziała:

— To nie ma znaczenia.

— Już od dawna się na to zanosilo.

Niektórzy z komitetu domagali się, by po prostu stracić Eza. Ja i kilku innych sprzeciwialiśmy się temu, a MagDa wzięły naszą stronę, co ostatecznie przesądziło sprawę. Ambasador uznały, że nadmiar łaski w ostatecznym rozrachunku sprawdzi się lepiej niż mściwość. Żadne z nas nie wierzyło, że mamy przed sobą jakąś przyszłość, ale MagDa i tak ją planowały.

Było mi żal Eza, choć, oczywiście, żywiłam dla niego też pogardę. Mimo wszystko uważałam, że tak straszny czyn nigdy nie pozostaje bez wpływu na sprawcę, że może uczynić go lepszym człowiekiem albo zupełnym potworem. To, że Ez mógł zabić własnego dubla i pozostać tym samym żalonym dupkiem, było dla mnie wprost niewyobrażalne. Był pełen pretensji do całego świata, na wszystkie pytania reagował dziecinną pyskówką. Chciał dalej opowiadać mi o swoim życiu, tak jak wcześniej z Rą, w Języku. Podjął przerwany wątek tam, gdzie ostatnio skończył.

Nie opowiedział nam zbyt wiele o swojej misji. Nie wiedzieliśmy, na czym polegało jego zadanie i jaką rolę miał odegrać w podważeniu autorytetu Ambasady. Nie wiem, co zdecydowało o tym, że nadal postanowił ukrywać te informacje — jego pobudki były niejasne, ale tak jest zawsze.

Nie wiem, jak rozeszła się wiadomość, że Ra — który, technicznie rzecz biorąc, stał się teraz Ra — nie żyje, ale w końcu rozniosła się po mieście. Może był to strażnik, może jakiś

zabłąkany vid, a może ktoś z Ambasadorów wspomniał o tym przypadkowemu partnerowi, bo nie mógł tego dłużej znieść. Czwartego dnia po śmierci Ry obudził mnie dźwięk kościelnych dzwonów. Sekty zwoływały swoich wiernych. Wiedziałam, że świadomość naszej bezsilności nie powstrzyma tłumów — już wkrótce przymaszerują pod Ambasadę i zażądają, by coś z tym zrobić.

Ambasada upadnie, może nawet przed nadejściem wygłodniałych Ariekenów. W tym krótkim czasie, który mi pozostał, wiedziona nagłym impulsem, podejrzeniem, że on ze swej dziwnej perspektywy może dostrzec coś ważnego albo zgodzić się pomóc, znów zaczęłam szukać Scile'a.

Po tym, co zrobili przy jego pomocy Calvin, próbowałam nie wnikać, kto z

surl
tesh-echer

Ambasadorów mógł przyłożyć rękę do egzekucji. Nie mam pojęcia, czy był to wyraz tchórzostwa, czy pragmatyzmu. W późniejszym okresie ignorancja przynosiła ulgę: samo życie w Ambasadorii było wystarczająco trudne; nie chciałam jeszcze postrzegać swych kolegów przez pryzmat tego morderstwa. W końcu spotkałam CalVina na jakimś zebraniu Ambasadorów; byli tam zarówno członkowie komitetu MagDy, jak i pozostali, zbyt leniwi lub wystraszeni, by do niego dołączyć. Podeszłam prosto do nich.

— Gdzie on jest? — spytałam Vina. — Wiesz, o kim mówię.

Tym razem nie pomyliłam go z jego dublem, ale żaden nie odpowiedział.

* * *

Zadzwonił do mnie Bren.

— Atakują ludzi. W Carib Alley.

Wraz z MagDą i oddziałem konstabli poleciałam corvusem do zaznaczonego punktu na obrzeżach Ambasadorii. Bren już tam był; stał na ziemi i machał pochodnią, bo zapadła noc. Tłum Ariekenów oblegał z wrzaskiem jakiś budynek. W środku chowała się grupka Ziemian, którzy odmówili ewakuacji z tej dzielnicy.

— Co za idioci — powiedział ktoś za mną.

Ariekeni rzucali w budynek śmieciami, cegłami i szkłem. Po kolei chwyтали za klamkę u drzwi, nie mogąc zrozumieć działania ich mechanizmu. Krzyczeli w Języku:

Głos EzRy! Gdzie on jest?

— To najślabi spośród nich — wyjaśnił Bren. — Są zbyt uzależnieni, by wystarczyło im to, co teraz nadajecie. — Dawkowaliśmy boski towar coraz bardziej oszczędnie. — Wiedzą, że w środku są Ziemianie, więc uznali, że muszą mieć głos EzRy zapisany na datachipie. Nie patrz tak na mnie. Nie rozumują logicznie, są zdesperowani.

Wokół zleciały się osawidy. Obserwowaliśmy transmisję. Co można czuć, patrząc na koniec świata? W moim przypadku nie była to rozpacz, ale niedowierzenie i szok. Zawsze to samo. W czerwonym błocie zdeptane kopytami Ariekenów leżały ludzkie zwłoki. Nie tylko ja krzyknęłam na ten widok.

Vidy podleciały bliżej. Jeden z nich został strącony niecierpliwym ruchem darskrzydła. Konstabile sięgnęły po broń, ale co mieli zrobić? Zaatakować Ariekenów? Nie wiedzieliśmy, czym to może grozić.

Funkcjonariusze dotarli na tyły budynków, niespostrzeżenie weszli do środka i wyprowadzili z nich przerażonych mieszkańców. Oglądaliśmy dwie sceny jednocześnie: ewakuację ofiar i Gospodarzy z wrzaskiem atakujących budynek. Potem zrobiło się jakies

poruszenie. Nadeszło więcej Ariekenów.

— Patrzcie — powiedział Bren. Nie wyglądał na zaskoczonego.

Było ich czterech czy pięciu. Sądziłam, że przybyli dołączyć do ataku, ale ku mojemu zdumieniu wepchnęli się w tłum, smagając innych darskrzydłami. Wspięli się na tylne nogi, uderzając kopytami swych współbraci, miażdżąc i tratując pancerze. Walka była szybka i brutalna.

Trysnęła błotnista krew, rozległy się okrzyki bólu. Śmignęły vidy i za chwilę zobaczyłam atakujących z bliska.

— Widzicie?

Nie mieli wachloskrzydeł — jedynie kikuty i resztki tkanki. Bren syknął.

Mieszkańcy dotarli do naszego pojazdu i teraz oglądali walkę wraz z nami. Napastnicy zabili jednego z Ariekenów. Patrząc na niego, odruchowo pomyślałam o Ulu. Gospodarz leżał na ziemi, pokryty czerwonymi odciskami kopyt — napastnik wdepnął w szczątki Ziemianina.

— To znaczy, że mamy teraz obrońców wśród Ariekenów? — spytałam.

— Nie — odparł Bren. — Nie o to chodziło.

* * *

Przetransportowaliśmy ostatnich mieszkańców z obrzeży Ambasadorii do bloków strzeżonych przez konstabli i straż obywatelską. Niektórych trzeba było wyrzucać siłą. Ariekeni zgromadzili się u wylotu ulicy, patrząc na odchodzących sąsiadów. Wyemitowaliśmy audycję EzRy, by odciągnąć ich uwagę — na sam dźwięk podwójnego głosu Ariekeni zatoczyli się i pognali w stronę głośników, zostawiając nas w spokoju.

Pomiędzy zrujnowanym miastem a centrum Ambasadorii ciągnęła się opuszczona strefa. Ludzkie budynki i domy pozbawione mieszkańców, ogołocone ze wszystkiego, co cenne. Pomagałam nadzorować ten exodus. Potem, otoczona rzadkim powietrzem aeoli, spacerowałam po opustoszałych pokojach.

Wciąż było zasilanie. W niektórych mieszkaniach zostawiono włączone infostacje. Z ekranów spoglądali na mnie dziennikarze, opisując ewakuację, ktoś przeprowadzał wywiady z MagDą, które przytakiwały surowo i zapewniały, że to tylko tymczasowe środki ostrożności. Siedziałam w pustych domach i patrzyłam, jak moi koledzy rozchodzą się w różne strony. Brałam do ręki książki i błyskotki i odkładałam z powrotem.

W tej części miasta znajdowały się pokoje Ehrsul. Stałam przed jej drzwiami i po długim wahaniu zadzwoniłam, po raz pierwszy od bardzo dawna. Zapukałam do drzwi. Nie odpowiedziała.

Ariekeni zaczęli wypełniać opustoszałe ulice, była to przednia straż największych desperatów. Otoczeni przez popiskujące baterijko-zwierzęta i śledzeni przez padlinożerców, których kiedyś zabiliby jako szkodniki, Gospodarze przeszukiwali domy. Bez zrozumienia, na ślepo naciskali guziki komputerów, uruchamiając gry, programy do księgowości albo harmonogramy nieobecnych mieszkańców. Jednak nigdzie nie znaleźli Języka, którego mogliby posłuchać. Brak narkotyku nie przywracał im świadomości — nie było efektu „zupełnej odstawki”. Mowa EzRy uwarunkowała ich zbyt głęboko. Najślabi zaczęli umierać. Po stronie Ziemian Ambasador SidNey popełnili samobójstwo.

Potem zadzwonił do mnie Bren.

— Avice — poprosił. — Możesz tutaj przyjść?

* * *

Czekał na mnie w towarzystwie dwóch kobiet. Były starsze ode mnie, ale nie stare. Jedna

stała przy oknie, druga — obok krzesła Brena. Patrzyły na mnie, gdy wchodziłam. Żadna się nie odezwała.

Wyglądały identycznie, nie widziałam żadnych, nawet najmniejszych różnic. Musiały być dubelkami, do tego starannie ujednoliconymi. Patrzyłam na Ambasadorkę, której nie znałam nawet z widzenia. Wiedziałam, że to niemożliwe.

— Tak — powiedział z uśmiechem Bren, jakby czytając mi w myślach. — Muszę z tobą porozmawiać. Ale najpierw obiecaj, że dochowasz tajemnicy... sama widzisz jakiej.

Jedna z kobiet podeszła do mnie, wyciągając rękę.

— Avice Benner Cho? Witaj.

— Wiem, że to pewnie szok — dodała druga.

— Szok? — powiedziałam w końcu. — Ależ nic podobnego.

— Avice — rzekł Bren. — To jest II. A to Syb. — Później dowiedziałam się, jak zapisać to imię.

Dubelki miały identyczne twarze — ciężkie rysy, przenikliwe spojrzenie — ale były różnie ubrane, II w czerwień, a Syb w szarości. Potrząsnęłam głową. Obie nosiły ze sobą mały zestaw aeoli, choć w Ambasadorii z niego nie korzystały.

— Widziałam was — przypomniałam sobie w końcu. — Kiedyś, w... — Wskazałam w stronę miasta.

— Prawdopodobnie — zgodziła się Syb.

— Nie pamiętam — powiedziała II.

— Avice — zaczął Bren. — II Syb przyszy tu, żeby... To dzięki nim wiem, co się dzieje.

II Syb — okropne imię. Od razu domyśliłam się, że kiedyś nazywały się Ambasador Sybil i ten szyk przestawny stanowił część ich buntu.

— II Syb mieszkają w mieście — dodał łagodnie.

Jasne. Już kiedyś dawał mi do zrozumienia, że ma takie źródła. Potem zdałam sobie sprawę, że powtarza moje imię.

— Avice? Avice.

— Dlaczego ja? — powiedziałam w końcu. Powiedziałam to na tyle cicho, by wypadło niemal intymnie, choć II i Syb wciąż mnie słyszały. — Czemu mnie tu sprowadziłeś? Gdzie są MagDa, gdzie pozostali?

— Nie — odparł zdecydowanie. II i Syb spojrzały po sobie. — Za dużo złej krwi. Stare zatargi. II Syb i tamci przez długi czas stali po przeciwnych stronach barykady. Pewne rzeczy się nie zmieniają. Ale ty jesteś inna. Potrzebujemy twojej pomocy.

Wpatrywałam się w ziejącą otchłań. Pęknięcia, renegaci, zakonspirowani Ambasadorzy, niespokojni rozszczępieńcy. Co jeszcze kryło się w tym mieście? I kto? Scile? Mikołaj zmianowy? W mgnieniu oka przypomniałam sobie wszystkie te idiotyczne opowieści, które teraz wcale nie wydawały mi się takie głupie. Pytania bez odpowiedzi. Zastanawiałam się, kto jeszcze odszedł z Ambasadorii, kto odwrócił się do niej plecami i dlaczego to zrobił.

— Ambasadoria ginie — powiedziała II. Wskazała na okno, a Syb — na milczący ekran. Nadchodzili najgorsi, najbardziej wygłodniali Ariekeni. Brnęli ulicami w nienaturalnych zrywach, jak zabawki. Siły umierającego wroga, rozpadające się po drodze, nieświadomie zdobywające nasze ulice, gnane jedynie rozpaczą, ale i tak siejące zniszczenie zarówno w naszych, jak i we własnych szeregach. Nie dało się już bezpiecznie chodzić po obrzeżach — zdarzało się tam zbyt wiele ataków.

Vidy ukazywały Gospodarzy w ostatnim stadium życia, włóczących się bez celu po ulicach, kołyszących wielkimi brzuszyskami. Niektórzy docierali aż do Ambasadorii. Nikt z pobratymców nie próbował się nimi zająć. Krążyły plotki, że pomiędzy narkotycznymi

odjazdami niektórzy z Ariekenów zjadają tych bezbronnych staruszków — zgodnie z nakazem ewolucji, ale wbrew własnej kulturze.

Nawet patrząc na ten obraz zniszczenia, miałam desperacką ochotę zapytać IISyb, gdzie były, co się z nimi działo i co robiły od czasu odejścia. Mieszkały tak blisko. Może w jakimś biondyfikowanym siedlisku wytwarzającym powietrze? Czy współpracowały z Ariekenami? Były niezależne? Handlowały informacjami, służyły jako pośrednik w nieformalnych negocjacjach, o których w życiu nie słyszałam? Niemożliwe, by taki przyczółek przetrwał bez pomocy kogoś z Ambasadorii.

— Ci szaleni Ariekeni, którzy zaatakowali swoich współpracowników — powiedziałam w końcu. — Mówiłeś wtedy, że wcale nie przyszli nam z pomocą?

— Bo to prawda.

— W mieście pojawiają się walczące frakcje — dodał IISyb. — Niektórzy z Ariekenów nie są już w stanie myśleć.

— Umierają.

— To oni demolują przedmieścia.

— Ale niektórzy starają się zachować jakiś porządek. Przystawiają się na nowy sposób funkcjonowania.

— Przewyciężyć uzależnienie.

— Próbuje wszystko. Są zdesperowani.

— Powtarzają frazy zasłyszane od EzRy, by zobaczyć, czy zdołają tym zaspokoić siebie nawzajem.

— Próbuje wprowadzić porządek w swoich dzielnicach.

— Racjonować audycje EzRy.

— Zorganizować dla słuchaczy system zmianowy, żeby wszystko było lepiej...

— ...zorganizowane.

— Są też dysydenci, którzy chcą wszystko zmienić.

— Zawsze mieliśmy jakieś sekty — podsumował Bren. — Teraz oni też mają. Ale to nie są sekty czczące jakiegokolwiek boga. Oni go nienawidzą.

— Wiedzą, że świat się kończy — dodał IISyb.

— Niektórzy z nich chcą sprowadzić nowy.

— Gardzą pozostałymi Ariekenami.

— Nazywają ich... — razem powiedziały coś w Języku. — To znaczy, kiedyś ich tak nazywali. Teraz już nie mogą.

— To znaczy „słaby”. Albo „chory”. „Ociężały”. „Zjadacz lotosów”.

— Wprowadzą nowy porządek.

— Jak?... — zaczęłam, ale potem przypomniałam sobie odcięte wachlooskrzydła. „Teraz już nie mogą”, ponieważ nie słyszą i nie mówią, nie mają Języka. — Och — wykrztusiłam. — O Boże. Sami to sobie zrobili...

— By wyeliminować pokusę — wyjaśnił Bren. — To okrutne lekarstwo, ale skuteczne. Ich ciała, pozbawione słuchu, przestają pożądać narkotyku. Teraz kieruje nimi głównie nienawiść do ich uzależnionych braci, a przede wszystkim do samego nałogu.

— Czyli, krótko mówiąc, do nas — dodał IISyb.

— Gdyby cię znaleźli...

— ...zabiliby cię szybciej niż swoich nałogowców.

— Nie ma ich zbyt wielu — podjął Bren. — Jeszcze nie. Ale teraz, gdy skończyły się przemowy EzRy, tylko oni spośród wszystkich Ariekenów mają jakiś plan.

— Tylko oni spośród Ariekenów — powtórzyła Syb. — Ale my też go mamy.

— Mamy plan.

Dopiero na zewnątrz zrozumiałam, że Ambasada wcale nie jest taka wielka. W wielu krajach na innych planetach widziałam większe budynki: wyższe, bardziej rozbudowane, podtrzymywane przez dźwigi grawitacyjne. Ale i tak była całkiem spora. Poczułam tylko lekkie zaskoczenie, widząc, że znajdowały się tam korytarze i całe piętra, których nie tylko nigdy nie odwiedziłam, ale nawet nie podejrzewałam ich istnienia.

— Wiecie, co trzeba zrobić — zakończyły IISyb. — Potrzebujecie zamiennika. Otwórzcie izbę chorych.

Na tym właśnie polegał ich plan, który Bren przedstawił na komisji MagDy, jakby wymyślił go sam. Nie byłam pewna, dlaczego postanowił przedstawić mnie IISyb, ale miał rację, że mi zaufał. Nieopodal szczytu Ambasady pośród głęboko ukrytych pokoi znajdował się oddzielny sektor. Poszłam śladem bywalców.

Ambasadorzy i Personel byli zszokowani propozycją Brena. Mężczyzna nalegał, uciekając się do argumentów zupełnie niezrozumiałych dla tych z nas, którzy nie mieli pojęcia o istnieniu izby. Udawałam, że należę do tego kręgu.

— Niektórzy z nich na pewno się nadadzą — zakończył.

— A skąd mamy to wiedzieć? — zapytała z przekąsem Da.

— Cóż, to nie będzie łatwe — przyznał Bren. — Trzeba przeprowadzić testy.

* * *

Zaledwie kilka przecznic dalej anarchia zdesperowanych Ariekenów przybierała na sile; kolejne domy padały pod naporem. Ambasadorianie, którzy wciąż nie nabrali dość rozsądku, by wyprowadzić się z przedmieścia, co jakiś czas stawali twarzą w twarz z wygłodzonymi istotami, które niespodziewanie wynurzały się zza rogu, błagając ich w Języku, by mówili tak jak EzRa. Gdy nie mogli spełnić tych żądań, Ariekeni chwytali ich i otwierali. Może z wściekłości, a może w nadziei, że z powstałych otworów dobiegną upragnione dźwięki.

Sama nie do końca wierzyłam w nasz plan. Poszliśmy piechotą do miasta jako silna ekipa łowiecka. W górze kłębiły się ptaki i pióropusze dymu. W Ambasadorii zapanowała mikro-polityka — grupy uzbrojonych kobiet i mężczyzn kontrolowały niewielkie terytoria obejmujące dwie-trzy przecznice, przechadzali się uzbrojeni w klucze, pistolety lub biobroń, której nigdy nie powinni używać. Rękojeści trzymały ich za mocno, aż krew ciekła z zaciśniętych dłoni.

— Gdzie jest EzRa, wy skurwiele? — wykrzykiwali na nasz widok. — Panujecie nad sytuacją, co?

Niektórzy z tych samozwańczych szeryfów zapowiadali też, że zabiją wszystkich Gospodarzy, którzy się tu zjawią. Możliwe, że udałoby im się powalić jednego czy dwóch najsłabszych, ale w starciu z agresywnymi, samookaleczonymi fanatykami nie mieli żadnych szans.

Wkroczyliśmy do strefy, gdzie już przegraliśmy; po tym pasie krążyli Ariekeni, za którymi podążały oswojone chwasty. Niczym skorupa okrywały budynki, które jeszcze do niedawna służyły nam za domy. Powietrze zanieczyszczały ślady ich atmosfery.

Trzymaliśmy broń w pogotowiu. Już wkrótce zauważyli nas Ariekeni i teraz to oni rzucili

się na nas z krzykiem.

— Nie zabijajcie, chyba że w ostateczności — ostrzegła Da.

W zaułku znaleźliśmy samotnego Ariekena, wijącego się na ziemi, spragnionego słów.

Chodź z nami — poleciły MagDa.

EzRa — powtarzał Arieken.

Chodź z nami — powtórzyła Ambasadorka — *chodź, a usłyszysz EzRę*.

Wezwaliśmy corvusa. Był to starożytny pojazd: metal, krzem i polimery — całkowicie złożony z ziemtechu. Nie odważyliśmy się użyć bardziej zaawansowanych maszyn — zbudowano je z połączenia tradycyjnych technologii i miejscowych biodyfikatów; wraz z rozprzestrzenianiem się uzależnienia same mogły stać się nosicielami. Mogły przenosić tę epidemię, wyrzucając ją z rur wydechowych, a może nawet w dźwięku silników.

* * *

shoash
to-tuan

Arieken, którego schwytaliśmy, nazywał się . Był zdezorientowany i chory z odstawienia. Poza tym praktycznie umierał z głodu, ale najwyraźniej nie był tego świadomy. Nakarmiliśmy go, a on poszedł za nami, bo obiecaliśmy mu głos EzRy. Zabraliśmy go do izby chorych. Z zadowoleniem odkryłam, że jestem tu jedyną przedstawicielką motłochu, który wcześniej nie zdawał sobie sprawy z istnienia takiej instytucji. Pokonawszy serię nieintuicyjnych zakrętów i klatek schodowych, w końcu dotarliśmy do ciężkich drzwi. Stał tam nawet strażnik. Cóż za dbałość o bezpieczeństwo — i to w takiej chwili, gdy wszyscy funkcjonariusze byli potrzebni gdzie indziej.

— Dostałem waszą wiadomość, Ambasadorko — zwrócił się do MagDy. — Nie jestem pewien, czy mogę... czy powinienem... — Spojrzał na nas. Zobaczył potulnego Ariekena.

— Mamy tu stan wojenny, funkcjonariuszu — przypomniały MagDa. — Chyba nie sądzi pan...

— ...że stare zasady nadal obowiązują?

— Proszę nas wpuścić.

W środku powitał nas umundurowany personel. Ich zdenerwowanie było prawie namacalne, ale i tak nie umywało się do naszego. Zdawało się, że w tej tajnej części Ambasady panuje względna normalność — było to jedyne miejsce, które nie wyglądało na całkowicie ogarnięte kryzysem.

Opiekunowie chodzili z pokoju do pokoju, niosąc leki i karty pacjentów. Miałam wrażenie, że ta ekipa będzie kontynuować swoje codzienne obowiązki, póki wygłodzeni Ariekeni nie wpadną do środka razem z drzwiami. W całej Ambasadorii było prawdopodobnie więcej instytucji, które zachowały swoją codzienną dynamikę — szpitale, może szkoły czy domy opieki, w których rodzice zmianowi naprawdę troszczyli się o dzieci. W każdym umierającym społeczeństwie zdarzają się bohaterowie, walczący o to, by nic się nie zmieniło.

Izba był jednocześnie kliniką i więzieniem dla nieudanych Ambasadorów.

— Myślałaś, że łączenie dwóch ludzi w jedno za każdym razem się udaje? — szepnęła z pogardą Bren.

Ambasadorów hodowano seriami: mijaliśmy sale pełne mężczyzn i kobiet sklonowanych w tym samym okresie. Najpierw korytarz więźniów w średnim wieku — ponad pół Mé-gagodziny — wpatrujących się tępo w vidy i ukrywające nas weneckie lustro. Widziałam dubli umieszczonych w osobnych pokojach, pozbawionych łączy albo rozłączonych na tyle, by

dzielący ich mur nie stanowił dla nich dyskomfortu. Zaglądając do kolejnych sal, dostrzegałam wciąż te same twarze. Widziałam podwójnie.

Niektóre z cel były puste i pozbawione okien, inne zaś bogato urządzone, pełne ozdobnych mebli, z oknami wychodzącymi na Ambasadorię i miasto. Niektórzy z więźniów zostali wyposażeni w elektroniczne obroże albo nawet przypięci pasami. Większość pacjentów — jak nazywał ich towarzyszący nam lekarz — milczała, ale jedna z kobiet szarpnęła się w pasach i obrzuciła nas barwnymi wyzwiskami. Skąd wiedziała, że właśnie przechodzimy za szkłem — nie mam pojęcia. Zobaczyliśmy, jak poruszają się jej usta, a wtedy lekarz wcisnęła jakiś guzik i przez kilka sekund słyszeliśmy, co się dzieje w sali. Poczułam do niego gwałtowną antypatię.

Wszystko było bardzo czyste, na stolikach stały kwiaty. Na drzwiach podwójnych pokoi zawieszono tabliczki z imionami pacjentów, łącznie z ich tytułem grzecznościowym: *Ambasador HerOt*, *Ambasador JusTin*, *Ambasador DagNey*.

Niektórzy z nich mieli zbyt mało empatii, by udawać wspólny umysł — pomimo treningów, leków, łącz i nacisków pozostali po prostu parą identycznie wyglądających ludzi. Wielu cierpiało na choroby psychiczne, w różnym nasileniu. Nawet jeśli zdołali opanować Język, ich zachowanie pozostało zbyt nieprzewidywalne, mieli skłonność do agresji lub melancholii. Bywali niebezpieczni. Niektórzy popadli w szaleństwo na skutek rozszczenia — w przeciwieństwie do Brena nie przetrwali śmierci swego dubla.

Nieudanych egzemplarzy było znacznie więcej niż samych *Ambasadorów*. Patrzyłam na to z przerażeniem, powtarzając sobie: „Nic o tym nie wiedziałam”. Byliśmy zbyt cywilizowani, by po prostu ich zlikwidować, stąd to grzeczne więzienie, gdzie oczekiwali na śmierć. Znałam na tyle historię Ziemi, by wiedzieć, że część więźniów mogła tu trafić z powodów politycznych. Czytałam każdą mijaną tabliczkę i nagle zdałam sobie sprawę, że szukam na nich znajomych imion — na przykład *DaTona* — *Ambasadorów* dysydemtów, o których wspominali tylko nieposłuszni obywatele. Nie znalazłam ich nigdzie.

Minęliśmy sektor ekstremalny pełen mężczyzn i kobiet starszych od moich rodziców zmianowych — jedni wyli jak zwierzęta, inni grzecznie rozmawiali przez komunikatory z opiekunami albo z nikim.

— *Chryste* — wyszeptałam w końcu. — *Chryste Pharo-tektonie*.

shoash
to-tuan

był tak ogarnięty głodem, że nie panował nad odruchami i zdefekował na podłogę. Powiedział coś ze wstydem — czynność wypróżniania stanowiła u nich tabu, tak samo jak u nas.

Miałam wrażenie, że lekarze specjalnie prowadzą nas okrężną drogą. Zanim dotarliśmy do sali przesłuchań, musieliśmy minąć kilkadziesiąt różnych pomieszczeń. Mijaliśmy ściany pomalowane w żywe kolory, zawieszane ekranami, na które załadowano zabawoprog. Ich estetyka była tak różna od wszystkiego wokół, że dopiero po chwili zrozumiałam, do czego służą. Przyprawiano tu najmłodszych *Ambasadorów*, niektórzy z nich mieli zaledwie pięćdziesiąt godzin. Nie zaglądałam do tych sal. Nie widziałam żadnych nienaprawialnych dzieci.

* * *

shoash
to-tuan

Gdy w końcu znaleźliśmy się w dużym pokoju, poprosiliśmy *shoash to-tuan*, by słuchał

uważnie. Lekarze przyprowadzali nam kolejnych pacjentów, których uznano za najlepszych kandydatów.

Ci, którzy nie opanowali Języka, nie nadawali się do niczego, podobnie jak ci zbyt nieprzewidywalni. Jednak niektórzy wydawali się prawie normalni, a jednak przetrzymywano ich tu przez całe życie, ponieważ w ich Języku brakowało jakiegoś elementu, komponentu, którego sami nie dostrzegaliśmy. Wielu z nich wciąż zachowało zadziwiający poziom zdrowia psychicznego. Od nich zaczęliśmy.

Na początku stanęła przed nami starsza dwójka, dwóch mężczyzn bez śladu swobodnej arogancji, tak typowej dla Ambasadorów. Zdawali się zakłopotani okazywanym im szacunkiem. Nazywali się KserKses. Wyraźnie zafascynowała ich obecność Ariekena — już od lat nie widzieli żadnych Gospodarzy.

— Kiedyś potrafili mówić w Języku — powiedział lekarz. — Potem nagle stracili tę umiejętność. Nie wiadomo dlaczego.

KserKses stali w milczeniu, grzeczni i pozbawieni naturalnej ciekawości.

— Potraficie mówić w Języku, Ambasadorze KserKses? — zapytała Da.

— Co za pytanie!

— Co za pytanie! — odparli KserKses.

— Jesteśmy Ambasadorem!

— Jesteśmy Ambasadorem!

— Czy możecie powitać naszego gościa?

Wyjrzeli przez okno. Całe dzielnice miasta były obojętne i bezbarwne, odbarwione z głodu, pokryte torbielami.

— Powitać?

— Powitać?

Zamruczeli coś razem. Przez dłuższą chwilę przygotowywali się do wystąpienia, szepcząc i kiwając głowami. Zaczęliśmy się niecierpliwić. Potem przemówili, wygłaszając klasyczną formułkę, którą nawet ja rozpoznałam.

su hail kail shu

— *shura su hail* — powiedzieli. *Miło nam cię powitać, cieszymy się, że tu jesteś.*

Arieken gwałtownie wyprostował szypułki oczu. Przez chwilę wydawało mi się — bardzo chciałam w to wierzyć — że był to ten sam ruch, który towarzyszył wystąpieniom EzRy.

shoash
to-tuan

powoli rozejrzał się po pokoju.

Jak się okazało, zrobił to tylko dlatego, że w pobliżu rozległ się nowy odgłos. Zareagowałby tak samo, gdybym upuściła szklankę. Potem stracił zainteresowanie. KserKses znów przemówili, pytając: *Czy zgodzisz się z nami teraz porozmawiać?* Arieken nie zwrócił na nich uwagi. KserKses spróbowali znowu, a potem ich głos rozpadł się na części, skręt i skrót wypowiadały połowy całkiem różnych zdań. Efekt był straszny.

Nie sądzę, by w tym galimatiasie w ogóle nie było Języka — myślę, że musiały w nim tkwić jakieś pozostałości, które usłyszał Arieken. Przypomniałam sobie, co wtedy zrobił, jak się poruszył, i nie wydaje mi się, by zareagował tak samo na przypadkowy hałas. Oczywiście ta odrobina okazała się dalece niewystarczająca, ale jednak w mowie KserKsesa i być może wielu innych widać było cień Języka.

Opiekunowie odprowadzili Ambasadora do ich pokoi. Mężczyźni udali się za nimi potulnie, jeden z nich spojrzał na mnie i mogłabym przysiąc, że w jego wzroku widać było poczucie winy.

Potem nadeszli inni: najpierw starsi, potem młodsi, a w końcu dwie pary podlotków, desperacko próbujących nas zadowolić. Niektórzy byli ujednoczeni i jednakowo ubrani, inni nie. Para pacjentów w moim wieku — przedstawiona jako FeyRis — jako jedyna próbowała się

shoash
to-tuan

buntować, choć na naszą prośbę w końcu przemówili w Języku. spojrział na nich, jakby coś rozpoznał, ale to nie wystarczyło. FeyRis jako pierwsi z kandydatów obrzucili nas wyzwiskami, gdy wywlekano ich z sali.

Spojrzałam na MagDę. Lubiłam je, nawet podziwiałam. A przecież od początku musiały wiedzieć o istnieniu tego miejsca.

* * *

Przetestowaliśmy siedemnastu Ambasadorów. Na moje oko dwunastu mówiło poprawnie. Dziewięciu wywarło jakiś wpływ na naszego Ariekena. Trzy razy już myślałam, że znaleźliśmy to, na co tak liczyły IISyb — kogoś, kto zajmie miejsce EzRy i utrzyma Ambasadorię przy życiu. Jednak to nie wystarczyło.

Jeśli Język EzRy był narkotykiem, to inny Ambasadorka, któregoś dnia, mógłby okazać się

shoash
to-tuan

trucizną. Odegraliśmy jeden z ostatnich datachipów. Arieken osunął się i zadrzał, słuchając opowieści EzRy o największym drzewie, na jakie Ez się kiedykolwiek wspiął. W szpitalu nie było niczego, co mogłoby nam pomóc.

— Tego nie można zduplikować — stwierdził lekarz. — Oni... — wskazał na uwięzionych pacjentów — oni są niedoskonalni. Efekt EzRy zasadzał się na czymś innym. Dwoje różnych ludzi nie powinno być w stanie opanować Języka. Tutaj nie znajdziecie nic podobnego. Samo pojawienie się EzRy było niemożliwe już za pierwszym razem. Jak chcecie dokonać niemożliwego dwa razy?

* * *

Nic dziwnego, że EzRa nie przeżyli — wszechświat musiał naprawić tę pomyłkę. Zwołaliśmy zebranie komitetu.

— Trzeba zamknąć to miejsce — oznajmiłam.

— Nie teraz, Avice — odparły MagDa.

— To potworne!

— Nie teraz, na rany Chrystusa!

— Niedługo nie będzie już czego zamykać...

— ...ani komu zamykać, jeśli czegoś nie wymyślimy!

Zapadła cisza. Co jakiś czas ktoś rozglądał się wokół, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale ostatecznie milczał. Ktoś pociągał nosem, jakby miał się rozpłakać.

W końcu MagDa poszeptały coś do siebie.

— Ściągnijcie tu wszystkich badaczy, jakich zdołacie znaleźć.

— Inżynierów, Modyfikatorów, medyków, lingwistów...

— Wszystkich.

— Ten Arieken...

shoash

— to-tuan

Spojrzały na siebie.

— Róbcie wszystko, co konieczne.

— Przebadajcie go.

— Rozbierzcie na kawałki.

Czekały na słowa sprzeciwu. Nikt nie zaprotestował.

— Rozbierzcie go i zobaczcie, czy zdołacie prześledzić, jak zachodzi ten proces.

— W środku. W jego „kościowym domu”. — Spojrzały na Brena i na mnie.

— W chwili, gdy słyszy EzRę.

— Zobaczcie, czy uda się coś ustalić.

— Może dzięki temu zdołamy zsyntetyzować narkotyki.

A zatem pod ich przywództwem mieliśmy zamordować Gospodarza. Nie w samoobronie, ale z zimną krwią. Amba-sadoria zmieniła się w coś nowego. Podziwiałam MagDę za tę odwagę. Była to naprawdę straszna rzecz, a MagDa wiedziały, że tylko one mogą wydać takie polecenie.

Chyba nikt z nas tak naprawdę nie wierzył, że odkryjemy tajemnicę nałogu we wnętrznościach Ariekena, ale musieliśmy spróbować. Poza tym już niedługo wszyscy mieliśmy umrzeć. Nadszedł czas na nowe wzorce działania, a MagDa postanowiły nam je dać. Wziąć na siebie tę niewdzięczną rolę i pokazać nam wszystkim, co naprawdę oznacza wojna. Dały nam brudną, obrzydliwą nadzieję. Chyba nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie bezinteresownego.

Wiwisekcja przeprowadzona na uzależnionym Ariekenie nie dała żadnych rezultatów.

W ciągu kilku dni Ambasadoria dowiedziała się, że komitet MagDy próbował odwlec nieuniknione — stworzyć nowego EzRę — i poniósł porażkę. Plotki rozniosły się po okolicy, jak to mają w zwyczaju. Opowieści i tajemnice toczą ze sobą nieustanną walkę, aż w końcu opowieści wygrywają, tworzą nowe tajemnice, walczące z nowymi opowieściami i tak dalej.

Mag i Da poprowadziły nas na wojnę — niestety zbyt późno. Teraz nawet najwięksi optymiści wznosili barykady. Poddaliśmy obrzeża Ambasadorii. Wywlekaliśmy na ulice zawartość opuszczonych domów, łamaliśmy meble i rozrzucaliśmy w poprzek drogi. Koparki ryły okopy, usypując wały z nawierzchni naszych ulic i ariekeńskiej ziemi, tworząc bariery. Utwardzaliśmy je plastyną i betonem. Rozstawiliśmy strzelców, by bronili resztek naszego miasta przed wygłodzonymi Ariekenami.

Budynki zmieniły się w wieżyczki strzelnicze. Zawsze mieliśmy do dyspozycji trochę broni, teraz dorzuciliśmy do tego zawartość bremeńskich skrytek, a inżynierowie i modyfikatorzy pracowali nad nową artylerią. Sprawdziliśmy cały swój sprzęt pod kątem użycia biokomponentów i zniszczyliśmy przy pierwszych objawach uzależnienia. Spaliliśmy zainfekowane, piszczące maszyny, niczym inkwizycja likwidująca heretyckie wynalazki.

Mimo wszystko wiedzieliśmy, że jest już za późno. Po kilku dniach powiesili się Ambasador EdGar. Należeli do naszego komitetu, a ich samobójstwo znów nami wstrząsnęło. Ambasadorzy stanowili awangardę samobójców, a reszta Ambasadorian szła za ich przykładem.

Mężczyźni i kobiety wkładali kombinezony i stawali przy barierach na granicy naszej osady, wyposażeni w sprzęt aeoli, w rękach ściskali noże, maczugi lub pistolety, własnoręcznie zrobione lub wyhodowane. Przekraczali te fortyfikacje, wchodząc na terytorium, które jeszcze niedawno było zwykłą ulicą, a obecnie zmieniło się w pustkowie. Posuwali się ostrożnie, obracając się na boki przy każdym skrzyżowaniu, naśladując manewry naszych konstabli i bohaterów seriali policyjnych importowanych wiabami z Charo. Na skraju pola widzenia dostrzegaliśmy czasem Ariekeniów czekających na nich w cieniu chorych budynków.

Nie usiłowaliśmy zatrzymywać tych wędrowców w jedną stronę. Wątpię, by próbowali uciec przed śmiercią, wkraczając w złe powietrze, w zrujnowane pozaziemskie miasto. Chyba po prostu chcieli czegoś dokonać. Nazywaliśmy ich „mori-turi”. Po pierwszych takich ekspedycjach pojawiły się małe grupki wiwatujące odchodzącym.

Ariekeni wyglądali teraz strasznie. Wszyscy byli chorzy i zagłodzeni; albo straszliwie chudzi, albo rozdęci puchliną głodową. Ich oczy nabierały nieznanych kolorów, wpadali w niekontrolowane drgawki albo wlekli za sobą bezwładne kończyny. Ich wachloskrzydła drżały. Niektórzy wciąż próbowali z nami współpracować i przezwyciężyć swoje uzależnienie. Zbierali się u podnóża barier, demonstracyjnie nie próbując ich przekroczyć. Wołali do nas. Wtedy sprowadzaliśmy MagDę, RanDolpha albo innego Ambasadora z komitetu, by z nimi negocjowali.

Czasem Gospodarze zostawiali nam paliwo albo biodyfi. katy — jakimś cudem nieskażone uzależnieniem. W zamian dawaliśmy im żywność lub leki, których sami nie mogli już wyprodukować. Obiecywaliśmy im głos EzRy, ponieważ tylko o to błagali. Nie wiem, czy ich ograniczona wiedza na temat natury kłamstwa nie kazała im traktować tych obietnic z pewną

podejrzliwością, ale jeśli tak, to nie dawali nic po sobie poznać. Czekali bez końca, rozbiegając się tylko pod naporem swych mniej opanowanych pobratymców.

Najbardziej zdesperowani oracjenci, niezdolni do planowania, uderzali w barykady z całą siłą, wskakiwali na górę, chwyтали ludzi darskrzydłami, wykrzykiwali coś w Języku. Odpieraliśmy ich, czasem nawet zabijaliśmy. Widziałam Ariekenów zastrzelonych, rozerwanych pociskami wybuchowymi, spalonych żrącą plwociną biodyfikatów, rozciętych ostrzami. Po zabiciu pierwszego Ariekena ludzie wpadali w szok; wyuczony szacunek dla obcych, wpajany im przez całe życie, nagle walił się w gruzy i strzelcy płakali. Za drugim razem już nie.

* * *

Na opuszczone ulice wprowadziły się zwierzęta. Altbor-suki, lisy i mały powoli, z ciekawością obwąchiwały koleiny. Rwacze wspinały się po rynnach i skrobały uchylające się ramy okien. Od czasu do czasu jakiś podłamany strażnik strzelał do któregoś z nich i wszystkie rozbiegały się na boki, ale wkrótce uznano, że zabicie ziemskiego zwierzęcia przynosi pecha. Z drugiej strony, mierzenie do trzepoczących, chwiejnych i dziwnie chodzących zwierząt ariekieńskich szybko stało się popularnym sportem. Nikt nie był pewien, czy rwacze, które nie były ani ziemskie, ani miejscowe, też liczą się jako cel. Na wszelki wypadek zostawiono je w spokoju.

Usiłowaliśmy nie myśleć o kurczących się zapasach żywności, energii oraz innych potrzebnych rzeczy. Barykady ze śmieci i opór przeciw atakującym hordom bardzo podniósł morale. Wieczorami ludzie zbierali się w naszych osiedlach. Nie mogłam się nadziwić, jak niespodziewane rzeczy przynosiły nam wtedy ulgę. Artyści szperali w archiwach, uprawiając cyfrową archeologię, wygrzebując przedmioty sprzed milionów godzin, z czasów przeddiasporowych. Wyciągali stare, skorodowane filmy.

— Te są z epoki georgiańskiej albo rzymskiej — powiedział mi jeden z organizatorów. — Ale mówią w nich wczesnym angielskim.

Mężczyźni i kobiety, pozbawieni koloru, chyba dla lepszej symboliki, zabarykadowali się we wnętrzu domu, odpierając atak obrzydliwych, wyraźnie chorych postaci. Potem kolory wróciły, a bohaterowie znaleźli się w budynku pełnym produktów, odpierając atak jeszcze obrzydliwszych napastników, nacierających na nich bezlitośnie. Oczywiście dopatrywaliśmy się w tym swojej własnej historii.

* * *

Wiedzieliśmy, że Ariekeni w końcu przełamią naszą obronę. Wkraczali do domów na skraju naszej strefy, znajdowali kuchenne drzwi, duże okna i dziury. Niektórzy wychodzili na ulice frontowymi drzwiami i rozszarpywali wszystko, co stało im na drodze. Ci, którzy zachowali jeszcze resztki wspomnień, próbowali dotrzeć do Ambasady. Nadchodzili w nocy. Niczym potwory z ciemności, jak złoczyńcy z książeczek dla dzieci.

Poza tym były też inne zagrożenia — ludzcy bandyci. Krążyła plotka o wielorasowym gangu złożonym z Kedisów, Shura-si i Ziemian. Nie było na to żadnych dowodów. Jednak gdy przy jednej z naszych barykad znaleziono Shur’asi, ewidentnie zabitego ludzką ręką, próbowano to wyjaśnić, twierdząc, że zmarły należał do tej szajki. Shur’asi umierali jedynie na skutek przemocy lub wypadku — z punktu widzenia ich rasy każda śmierć Shur’asi była abominacją, tak epicką jak upadek pierwszych ludzi.

Nie wszystkie trupy Ariekenów, które sprzątaaliśmy z ulic, stanowiły nasze dzieło. Niektóre padły ofiarą agresji nałogowców. Inne jednak zniszczono w akcie wyraźnie wykalkulowanej obcej brutalności.

— To ci, których widzieliśmy wcześniej — stwierdził Bren. — Ci bez wachloskrzydeł. Martwimy się o nałogowców, ale o nich też trzeba pamiętać.

— Gdzie są IISyb? — spytałam.

— Nie są głupie. Istnieją pewne sposoby pozwalające przebywać w mieście. II, Syb... i inni. Wiesz, że ambasadorstwo nie zawsze się przyjmuje.

— To miejsce trzeba zamknąć. Bren, na rany Chrystusa, nie można tak traktować ludzi.

— Wiem.

Po raz drugi spędziłam z nim noc. Rozmawialiśmy jeszcze mniej niż za pierwszym razem, ale poza tym było dobrze, a przynajmniej tak dobrze, jak to tylko możliwe.

— Myślisz, że istnieją języki złożone z trzech głosów? — spytałam w pewnym momencie.

— Zewnętrznie jest duże — odpowiedział. — Myślę, że tak. I czterech, i pięciu.

— I miejsca, gdzie pozaziemowicie mówią po angielsku tak dziwnie, że ich głos miesza ludziom w głowach.

Staliśmy nago przy oknie. On obejmował mnie za ramiona, ja obejmowałam go w pasie. Razem nasłuchiwaliliśmy ogni, krzyków i trzasków.

* * *

Wczesnym rankiem ktoś zadzwonił do Brena, ale wbrew moim naleganiom nie chciał powiedzieć, kto to. Oboje popędziliśmy w stronę granicy. Nadchodziła falanga Ariekenów. Galopowali w stronę barykad wielką falą; inwazja zorganizowana w ostatnim porywie świadomości.

Muszę bardzo stanowczo podkreślić, że chcielibyśmy usłyszeć głos EzRy, proszę — wołali obcy, nadchodząc, by nas zabić. — Czy istnieje możliwość, byśmy posłuchali EzRy?

Strażnicy wezwali posiłki; wkrótce na miejscu zjawily się MagDa, członkowie komitetu i Personel. Z pomocą zwierząt --broni wyhodowanych bez uszu, nabitych mechanicznymi pociskami, pałek i polimerowych kusz strzelających belta-mi z przetopionych prętów odparliśmy atak wygłodzonych Gospodarzy. Ariekeni eksplodowali, wykrzykując grzeczne prośby. *Unizienie prosimy o widzenie z Ambasadorem.* Zelle wspinały się na barykady — strzelaliśmy także do nich. Dołączyli do nas Kedisowie. Shur'asi miotali druty pod napięciem. Zobaczyłam Simmona celującego precyzyjnie z kończyny, która kiedyś była jego ręką.

Przy odrobinie organizacji Ariekeni mogliby nas zmiażdżyć, na szczęście byli oszołomieni i niekompetentni. Uciekali, brnąc przez sterty trupów. Potem nadeszli padlinożercy — zdziczałe przeciwciała domów. Nasze ptaki posmakowały powietrza nad pobojuwiskiem i szybko odleciały. Oczy szczypały mnie od kwaśnego odoru bijącego z wnętrzości Ariekenów. W bocznej uliczce rozpętało się jakieś zbiegowisko. Coś uderzało w Gospodarzy. Krzyknęłam, żeby zwrócić uwagę Brena. Była to grupa samookaleczonych Ariekenów. Przybyli tu pod osłoną tłumy, niczym piąta kolumna. Bren spoglądał na nich martwym wzrokiem, reszta z przerażeniem patrzyła, jak ariekeńska straż masakruje atakujących ćpunów.

— Bren był tu pierwszy — zauważyła Da. Spojrzała na Mag, rozmawiającą teraz z rozszczępięciem. — Zawołał cię. Wiedział, że zaatakują, prawda? Skąd?

Potrząsnęłam głową.

— Ma różne dojścia.

— A ty?

Nie miałam zamiaru wspominać o IISyb. Da nie była głupia — nie zdziwiłabym się, gdyby wiedziała wszystko, łącznie z imionami samych zainteresowanych.

— Daj spokój.

— Co o tym wiesz, Avice?

Nie odpowiedziałam, ale spojrzałam jej w oczy, pilnując, by nie zdradzać zakłopotania ani zawstydzienia. Jeśli domyśliła się, że coś ukrywam, to tylko dlatego, że okazałam szacunek. Wtedy ktoś do mnie zadzwonił, nie rozpoznałam identyfikatora. Tylko fonia, żadnego tridu ani płasku. Głos mojego rozmówcy był głuchy i zniekształcony.

— Powtórz — zawołałam. — Kto tam? Nie słyszę.

Mój rozmówca powtórzył i tym razem usłyszałam go dobrze. Wstrzymałam oddech i przez chwilę miałam nadzieję, że się mylę. Przełączyłam na głośniki, by usłyszeli to też Mag i Da, i Bren. Ale miałam rację. Słowa zabrzmiały tak samo, tylko znacznie wyraźniej.

— Calvin nie żyją.

* * *

W ich pokojach znaleźliśmy jedynie śmieci, pozostałości po alkoholu i seksie. Dzwonek nie odpowiadał. Przeszliśmy się po klubach, które lubili odwiedzać, gdzie, ku mojemu obrzydzeniu, wciąż siedziały grupki ludzi usilnie próbujących zapomnieć o końcu świata. Powiedzieli nam, że już od dawna nie widzieli CalVina. Ostatnim razem towarzyszył im jakiś niepozorny mężczyzna.

Zaliczaliśmy kolejne bary i wciąż nie było ich ani śladu. Nagle domyśliłam się, kto mógł ostatnio towarzyszyć Calvinowi. Poszliśmy do miejsca, gdzie kiedyś mieszkałam ze Scile'em. Po mojej wyprowadzce wprowadził się tam znowu. Klucz wciąż pasował do zamka. Rzeczy Scile'a wały się wszędzie — mieszkanie należało teraz do niego — ale nigdzie go nie widziałam. Na łóżku — naszym łóżku — leżała wiadomość, najwyraźniej ktoś już ją wcześniej otworzył. Rozchyliłam ją na tyle, by dostrzec jedno słowo: „pożegnać”, i przerwałam.

W pokoju obok znaleźliśmy CalVina. Wiadomość wprowadziła nas w błąd. To Vin nie żył. Kołysał się pod sufitem, a Cal śledził go wzrokiem. Na materacu dostrzegłam kolejną kartkę.

Cal spojrzał na mnie. Bóg jeden wie, co wyczytał wtedy z mojej twarzy.

— Nic nie poczułem — powiedział. — Nie wiedziałem. Wcześniej... — Dotknął szyi i złącza. — Wcześniej tak, ale potem włączyliśmy je znowu. Powinienem być wiedzieć. Nie wiedziałem. Jak to możliwe...?

Wyglądał, jakby oszalał z rozpacz.

— Jak to się stało? — wykrzyknął. — Kto to jest? — Wskazał oskarżycielsko na swojego martwego dubla, tak samotnego i w niewytłumaczalny sposób martwego.

Część szósta

NOWI KROLOWIE

Przez wiele godzin trzymałam w ręku list Scile'a i chyba nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. To ja zostałam sam na sam z Cal'em, gdy już zaprowadziliśmy go do Ambasady i daliśmy mu coś na uspokojenie.

— Odcięli go? — zapytał.

— Zajęliśmy się nim.

— Czemu tu jesteś? — zapytał, patrząc na krążących w pobliżu ludzi.

— Zaraz przyjdą MagDa — odparłam. — Muszą tylko załatwić...

— Nie o to mi... — Przez dłuższą chwilę milczał. — To nie była skarga, Avice. Vin nie żyje... Dlaczego siedzisz tu ze mną? — Nawet teraz trudno było mówić o czymś, o czym wiedzieliśmy już od wielu miesięcy: o rozbieżności pomiędzy ich dwójką. Nie wiedziałam, co powiedzieć, aż w końcu wzruszyłam ramionami. — Po prostu nie wiedziałem — powtórzył oszołomiony. — Musiałem... Czasem się rozdzielaliśmy, musieliśmy, chociaż na trochę. I byłem... On i Scile pracowali nad czymś razem, myślałem, że...

Położył na łóżku list od swojego dubla. Nie zaprotestował, gdy go podniosłam. Członkowie Personelu przynieśli coś do jedzenia, mrużąc kondolencje. Podczas gdy my walczyliśmy o bezpieczeństwo Ambasadorii, CalVin szybko osunęli się w otchłań hedonizmu, jednak wcześniej pełnili na tyle Ważną funkcję, by wciąż zachować nieco autorytetu. Plotki głosiły, że zostaną głową Ambasady, gdy JoaQuin odejdą na emeryturę. Wielu członków komitetu traktowało ich stan jak chorobę, a to właśnie był efekt jej wyniszczającego działania. Rozłożyłam list Vina.

Niejestem taki jak ty. Wybacz.

Powiedz jej coś ode mnie.

Proszę, wybacz mi. Nie mam już siły. Nie wytrzymam dłużej.

Możliwe, że spodziewałam się czegoś w stylu tej drugiej linijki.

— Widzisz, co mi rozkazał — stwierdził Cal. — Co mam ci powiedzieć?

Bardzo się starał, by zabrzmiało to cynicznie i nieprzyjemnie, ale głos mu się załamał.

Spojrzałam na drugi arkusik, list od Scile'a.

— Myślę, że... Vin musiał to znaleźć tuż zanim... — wykrztusił Cal.

Nie słyszałam, jak do pokoju wchodzi Bren i MagDa. Zrozumiałam, że nie jesteśmy sami, dopiero gdy Cal powiedział coś w rodzaju:

— Właśnie porównujemy z Avice nasze listy pożegnalne.

Najdroższa Avice

Piszę ten list, by się pożegnać. Odchodzę. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale nie mogę tu zostać. Nie dam rady tu dłużej żyć...

Przerwałam i znów złożyłam liścik. Nawet Cal spojrzał na mnie z odrobiną współczucia.

— Kiedyś naprawdę był kimś — powiedziałam. — Nie będę czytać tych bredni.

Mogłam jeszcze dodać: „To nie ten człowiek, którego kiedyś poślubiłam”, ale zaskoczyłam wszystkich, wybuchając zimnym śmiechem. Wyobraziłam sobie swego ukochanego entuzjastę-wizjonera, jak włóczy się po mieście, szukając właściwego miejsca, by ze sobą skończyć.

MagDa wyjęły mi list z ręki. Da przeczytała go i oddała Mag.

— Powinnaś to przeczytać — powiedziała.

— Nie mam zamiaru.

— Wyjaśnia w nim różne rzeczy. Swoje... teorie.

— Jezu Chryste Pierdolony Pharotektonie... MagDa, nie zamierzam tego czytać. Wybrał Drogę Oatesa. Odszedł. Nie obchodzi mnie jego pieprzona teologia. Nawet bez czytania mogę wam powiedzieć, co tam jest. Język Ariekenów jest językiem Boga. Ariekeni to anioły. Scile to pewnie ich wysłannik. A teraz nastąpił upadek. Nasze kłamstwa ich zrujnowały?

Bren wpatrywał się we mnie nieprzeniknionym wzrokiem. MagDa poruszyły się niespokojnie — nie mogły zaprzeczyć.

— Myślisz, że ty jedna kogoś straciłaś? — powiedziały w końcu. — Opanuj się, Avice.

— To po przeczytaniu tego listu... — Mag potrząsnęła kartką — Vin się zabił, rozumiesz?

— Co oni tam robili? Co Vin sobie myślał? Co napisał Scile? — zapytałam w końcu, choć od razu tego pożałowałam.

— Napisał, że nie może tu dłużej żyć — powiedział Bren. — A zatem odchodzi. Podał też powody. Dokładnie te, które wymieniłaś.

* * *

Okaleczeni Ariekeni mordowali coraz więcej swych sąsiadów. Bren rozesłał po mieście osawidy. Wypełniał jakieś niejasne instrukcje, zapewne otrzymane od IISyb i innych kontaktów. Oglądaliśmy ataki ogłuszonych Ariekenów, roje widów wdzierały się do wnętrza martwych domów i dziur, z których budynki się wykorzeniły lub sublimowały. Nie wiedziałam, czego szukamy. Scile nie powiedział, dokąd odchodzi, i wciąż oczekiwałam, że któraś z soczewek znajdzie jego ciało. Ale nie znalazły.

Nowy gatunek obcych, pozbawionych wachloskrzydeł, krył się w ruinach budynków; dotykali nawzajem swojej skóry i wypatrywali zagrożeń. Niszczyli nasze vidy i polowali na oracjentów.

Niektórzy z Ariekenów wciąż pozostali przytomniejsi niż zatwardziali nałogowcy — żyjące trupy — i nie tak ogarnięci szalem jak okaleczeni maruderzy. Znajdowaliśmy ich w żłobkach biodyfikacyjnych — lub ich szkieletach — a oni próbowali się z nami porozumieć, wykrzykując coś gorączkowo w Języku, tak szybko, że nawet Bren nie mógł za nimi nadążyć.

— Nigdy nie słyszałem, by tak mówili — stwierdził. — Wszystko się zmienia.

Próbowali utrzymać się przy życiu. Błagali o głos EzRy i budowali obozowiska wokół głośników, milczących już od wielu dni. Czyścili je i polerowali niczym totemy. Opiekowali się nielicznymi stadkami młodych, które przetrwały tę katastrofę, i chronili postrozumnych staruszków, którzy również byli uzależnieni, choć nie zdawali sobie z tego sprawy. Dochodziło nawet do starć pomiędzy małą grupką tych ocalańców, zachowujących resztki cywilizowanych odruchów, a chodzącymi wrakami, które spoglądały na bezrozumnych starców, otwierając zachłannie usta.

Próbowалам śledzić wydarzenia na własną rękę. Grzebiąc w nagraniach z widów na pograniczu, zapisanych tamtej nocy, gdy znaleźliśmy Vina, znalazłam w końcu to, czego szukałam. Zobaczyłam swojego męża, jak odchodzi z Ambasadorii. Jeszcze jedna zmiana perspektywy i patrzyłam, jak schodzi w dół po jednej z niższych barykad.

Przez moment patrzył w górę, prawdopodobnie na vid, którego nagrania nie znalazłam. Nie mogłam spojrzeć mu w twarz, ale wiedziałam, że to Scile. Szedł równym krokiem, ani zbyt wolno, ani desperacko. Wkroczył w niebezpieczną ulicę niczym badacz; zobaczyłam z tego tylko kilka sekund, na chwilę coś zakłóciło sygnał, a potem była już tylko pusta ulica. Scile zniknął.

* * *

Przez cały czas pobytu w więzieniu Wyatt, niepotrzebny już nikomu agent Bremen, bez przerwy domagał się spotkania z nami. Z początku komitet powodowany jakimś niejasnym poczuciem obowiązku przychylił się do jego żądań. Okazało się, że więzień zamierzał nas jedynie oskarżać i rzucać gorączkowe groźby. Przestaliśmy przychodzić.

Niektórzy podejrzewali, że zdołał wysłać awaryjną flarę do Bremen. Nawet jeśli tak, nawet jeśli została poprawnie zaprogramowana, to i tak miały minąć całe miesiące, nim jego mocodawcy wyślą jakąś odpowiedź poprzez nurt. Zbyt późno, by nas ocalić, nawet jako buntowników.

Gdy MagDa oznajmiły, że Wyatt znów chce nas widzieć, z początku nie przejęłam się tym specjalnie. Trzymaliśmy go w zamknięciu, z obawy przed innymi agentami, którym mógłby przekazać instrukcje.

— W końcu dowiedział się o Rze — dodała Mag.

Może i był odizolowany od świata, ale i tak zdziwiłam się, że wieści dotarły do niego dopiero tak późno.

— Posłuchaj tego. — Wyjęła komunikator i razem obejrzałyśmy nagranie z celi Wyatta.

— Posłuchajcie! — Ostrożnie zwrócił się do vidu. — Mogę to naprawić. Posłuchajcie! He czasu minęło od śmierci Ry, wy durnie? Jak mogę wam pomóc, skoro nic mi nie mówicie? Zaprowadźcie mnie do Eza. Chcecie się sami rządzić? To rządzcie. Chcecie być republiką? Proszę bardzo, gównu mnie to obchodzi. Wszystko jedno. Róbcie, co uważacie, ale jeśli chcecie, żeby istniała tu jakaś Ambasadoria, to, na litość boską, wypuśćcie mnie z tej celi. Wiem, co zrobić. Zaprowadźcie mnie do Eza.

Wcześniej próbował nam pochlebiać i blefować, ale to było coś nowego.

Na granicy naszej osady oracjenci i ich wrodzy pobratymcy atakowali nas bezustannie. W początkach naszej ostatniej kampanii obronnej MagDa, Bren, najlepsi członkowie komitetu i ja poszliśmy odwiedzić Wyatta.

* * *

Więzienie w Ambasadorii nadal było obsadzone kilkoma strażnikami, którzy — zarówno z poczucia obowiązku, jak i z bezradności — wciąż jeszcze nie uciekli. Wyatt odmawiał wszelkich wyjaśnień, póki — pod strażą — nie zaprowadziliśmy go do Eza. Patrzyliśmy na pół-Ambasadora siedzącego w celi, w brudnym mundurze więziennym.

— Co właściwie sobie myśleliście? — Wyatt mówił do nas, ale nie spuszczał wzroku z Eza. — Jak to waszym zdaniem działało? — Potem skinął głową i dodał: — Witaj, Avice.

— Cześć — odparłam. Nie miałam pojęcia, dlaczego mnie tak wyróżnił.

— Dwóch obcych ludzi, dwóch przyjaciół, czystym przypadkiem zdobywa taki wynik na teście Stadta? Chryste Transferowany, naprawdę jesteście tacy głupi? — Potrząsnął głową i uniósł dłonie, jakby przeproszał; w gruncie rzeczy nie szukał zaczepki. — Posłuchajcie. To nie wyszło przypadkiem, to było celowe. Rozumiecie? — Wskazał na Eza. — Przeskanujcie mu głowę.

Zasugerował, że rozwiązanie tej zagadki może coś zmienić, dać nam promyk nadziei. Jeśli to prawda, Ez także musiał o tym wiedzieć, ale nie powiedział ani słowa. Zmarnował nawet szansę na własny ratunek.

— Przeskanujcie — powtórzył Wyatt. — Wtedy zobaczycie. Ten człowiek został zaprojektowany. To miała być informacja tylko do mojej wiadomości. Jeśli nie zniszczyliście mojej datasfery, to wciąż możecie odczytać rozkazy. „Ez”. Funkcjonariusz Joel Rukowski. Podam wam hasła.

Rukowski miał pewną cechę — wyjątkową predyspozycję do nawiązania połączeń

mentalnych nieosiągalnych dla większości ludzi — jednak ta zdolność nie była ukierunkowana w żaden szczególny sposób. Nie miał brata bliźniaka ani bliskich przyjaciół, z którymi mógłby nawiązać intuicyjną więź. Nie byli w stanie nadać tej zdolności odpowiedniej nazwy, więc zdecydowali się na nieco mylące określenie „empatia”. Rukowski nie współodczuwał z innymi — jego talent manifestował się w postaci dość parszywych sztuczek.

Był oficerem śledczym. Mistrzem w swoim fachu — wiedział dokładnie, kiedy przesłuchiwany się załamał, gdzie należy naciskać, co obiecać, jak poznać, czy ofiara kłamie, i co zrobić, by przestała. Zwerbowali go w bardzo młodym wieku i wyszlifowali jego dziwne zdolności za pomocą ćwiczeń, technik koncentracji i innych, bardziej inwazyjnych metod. Zmienili go.

Ktoś z naszej grupki zaczął coś mamrotać, przerywając Wyattowi. Strzeliłam palcami, by go uciszyć.

— Co? — powiedziałam i machnęłam ręką, jakby dodając «Kontynuuj». — Zaprojektowali go... jako co? Telepatę?

Ez wciąż siedział ze zwieszoną głową. Miałam nadzieję, że ktoś ze strażników go uderzy.

— Oczywiście, że nie — odparł Wyatt. — Telepatia nie istnieje. Ale za pomocą odpowiednich preparatów, implantów i odbiorników można wprowadzić mózgi w odpowiednią fazę. Na tyle, by wystarczyło. Mają do dyspozycji takiego wrażliwca... — Skrzywiłam się szyderczo. Wyatt na chwilę przerwał. — Wiesz, co mam na myśli. Nie ma ich wielu, ale ktoś taki, poddany odpowiednim procedurom i wyszkolony wraz z drugą osobą, wyposażoną w odpowiedni sprzęt... — Postukał się w skroń. — „Ez” może nastroić się do tej osoby. — Zafalował rękami, jakby kreślił sinusoidę. — Ten sam sygnał na wyjściu. Działa to podobnie do technologii łącza, ale jest znacznie silniejsze, działa nawet na dwa umysły kompletnie do siebie niepodobne, pod warunkiem że jedna z tych osób jest... otworzyć cudzysłów... wrażliwcem... zamknąć cudzysłów.

Z początku myśleli o czymś zupełnie innym. Kamuflaż oszukujący weryfikator ID, szmuglowanie agentów poprzez skany, naśladowanie fal mózgowych i co tam jeszcze. Ale potem wpadli na pewien pomysł. No wiesz — ciągnął powoli. — Załóżmy, że próbowali kiedyś hodować własnych dubli. W Charo. W pierwszych dniach istnienia kolonii. — Potrząsnął głową. — Nie wyszło. Plotki mówią, że zmarnowali na to całe lata. Nie mieli żadnych Ariekenów, na których mogliby poćwiczyć, a wiaby chodziły wtedy jeszcze rzadziej. W efekcie otrzymywali pary ludzi, którzy w Bremen byli praktycznie dysfunkcjonalni. I nie do użytku.

Ale potem zjawił się Rukowski. Uznano, że to doskonale rozwiązanie pewnego starego problemu.

Zagadka dotycząca tego, co Gospodarze tak naprawdę słyszeli w głosie naszych Ambasadorów, pozostała nierozwiązana. W Charo zdołano tylko ustalić, że za pomocą implantów, cyzeli, preparatów chemicznych i setek godzin szkolenia Joel Rukowski i inny agent, lingwista Coley Wren o pseudonimie Ra, uzyskali zaskakująco wysoki wynik na skali Stadta.

Nikt nie wiedział, czy Ariekeni dopatrzą się w tym Języka, ale test Stadta to jedyne kryterium, jakim dysponowali. Gdyby cały eksperyment, zgodnie z przewidywaniami bremeńskich mocodawców, zakończył się porażką; gdyby EzRa przemówili do Ariekenów i wywołali jedynie grzeczną konsternację, nic by się nie stało. Dwóm agentom przydzielono by jakąś monotonną i nieciekawą pracę aż do przybycia następnego transportu do Bremen. Ale gdyby się udało?

— Nikt z was nie jest głupi — stwierdził Wyatt. — A zatem dlaczego uważacie nas za idiotów? Myślicie, że nie zauważyliśmy waszych prowokacji, waszych fałszywych zebrań, tajnych agend, oszustw podatkowych, majstrowania przy budyfikacjach, tego, że zatrzymujecie

najlepsze rozwiązania dla siebie albo przeprogramujecie je tak, by nie mógł ich użyć nikt poza wami? Myślicie, że nikt tego nie widział? Na rany boskie, już od setek tysięcy godzin wiemy, że próbujecie się wybić na niepodległość.

Cisza, która potem zapadła, jeszcze niedawno oznaczałaby wypowiedzenie wojny. W tych dziwnych nowych czasach była tylko ciszą. Tyrada Wyatta już nie wydała się nam żadną rewelacją, tylko zwykłym nietaktem. Szpieg przetaił oczy.

— Zresztą to zwykły bieg historii. Jak okres dojrzewania. Wszystkie kolonie przez to przechodzą. Moglibyśmy, kurwa, nastawiać według was zegarki. To moja piąta placówka, wcześniej byłem w Chao Polis, na Dracosi i na Berit Blue. Czy te nazwy wam coś mówią? Jezu, czy wy nic nie czytacie? W ogóle ładujecie te dane, które przychodzą do was wiadomymi? Jestem specjalistą. Wysyłają mnie na przyczółki, które szykują się do walki.

— Żeby zdławić powstanie? — spytał Bren.

— Boże, nie — odparł odruchowo Wyatt. — Posłuchaj, może i jesteś miejscowym mędrcom, ale ja jestem z zewnątrz, przede mną nie ukryjesz swojej ignorancji. Berit Blue odłączyło się od Bremen po bardzo niewielkiej wojnie. — Rozsunął lekko kciuk i palec wskazujący. — Dracosi odłączyło się zupełnie pokojowo. Chao Polis jest w połowie realizacji planu uzyskania miejscowej autonomii. Masz nas za barbarzyńców, Brenie? Teraz są wolni... i są nasi. — Pozwolił tym słowom rozpląnąć się w powietrzu.

Ale są wyjątki. Wy jesteście za daleko od Bremen, za trudno tu dotrzeć, ciężko wami zarządzać. I nie jesteście gotowi. Dlatego jeszcze przez jakiś czas nie mogliście liczyć na żadną niezależność. To wszystko wina Języka: zaszczepił wam niewłaściwe wyobrażenia. Uważacie się za arystokrację... a może powinienem powiedzieć „uważaliście”. A ta kolonia była waszą posiadłością. I mieliście w tym nawet trochę racji: w przeciwieństwie do wszystkich innych arystokracji, jakie w życiu widziałem, wy naprawdę jesteście niezastąpieni. Byliście. A zatem sami wybieraliście sobie kolejnych spadkobierców. Gratulacje. Wynaleźliście władzę dziedziczną.

Ale każdy z was, każdy Ambasador i każdy urzędnik, każdy członek Personelu w Ambasadorii jest pracownikiem Bremen. Dlatego nazywają was „Ambasadorami”, jasne? Jak wam się wydaje: w którym imieniu przemawiacie? Możemy was zatrudnić i zwolnić. Albo zastąpić.

* * *

Przysłanie EzRy stanowiło test — była to część operacji mającej odebrać władzę Ambasadorom i osłabić nasz *samorząd*. Gdyby odnieśli sukces, wszystko uległoby zmianie. Za jakieś dwie-trzy zmiany cały system społeczny tej kolonii stanąłby na głowie. Gdyby okazało się, że nie tylko Ambasadorzy potrafią władać Językiem, z Bremen zaczęto by przysyłać odpowiednio wyszkolonych aparatczyków, dyplomatów i lojalistów i już za parę miejscowych lat bylibyśmy zależni od Bremen. Nasi Ambasadorzy wymarliby powoli, połowa po połowie, dubel po dublu. Opłakiwano by ich z pompą, ale nie zastępowano nowymi. Zamknięto by żłobek. Izba chorych opustoszałaby w miarę odchodzenia nieudanych egzemplarzy, a nowe nie miałyby skąd przybyć.

Byłby to bezkrwawy, elegancki i powolny zamach stanu. Jak moglibyśmy żądać niepodległości w sytuacji, gdy nasze kontakty z Gospodarzami zapewniającymi nam środki do życia zależałyby od bremeńskich służb? Naszym jedynym atutem był monopol na Język, a Bremen — przy pomocy EzRy — próbowało go przełamać.

Ich błąd rozpoczął koniec świata. Nie byli głupi, po prostu mieli pecha. Dziwny zbieg okoliczności, rezonans psychiki i fonetyki. Z ich punktu widzenia zdecydowanie należało

spróbować. Byłby to elegancki, imperialny manewr. Kontrrewolucja przy użyciu biurokracji i metodyki języka.

— Biodyfikaty... są dość dobre — powiedziały w końcu MagDa.

— Są bezcenne.

— Mamy tu też złoża minerałów i parę innych wartościowych rzeczy.

— Ale mimo wszystko.

— Po co tyle zachodu?

Tak naprawdę miały na myśli, że jesteśmy zwykłym zadupiem. Nie było w tym żadnej fałszywej skromności. Większość z nas zastanawiała się po cichu, dlaczego Bremeńczycy po prostu nie pozwolą Ambasadorii umrzeć.

— No cóż. Sądziłem, że przynajmniej niektórzy z was domyślą się, o co chodzi. —

Uniósł wzrok i spojrzał prosto na mnie.

Skrzyżowałam ręce na piersiach, patrząc na niego z góry. Pozostali nie spuszczaali ze mnie wzroku. W końcu powiedziałam krótko:

— Nurt.

Bywałam już w miastach zbudowanych na wydrążonych skałach, na planecie pokrytej liniowymi miastami, niczym filigranową siecią, na pustyniach, gdzie powietrze nie nadawało się do oddychania, i w miejscach, o których nie potrafię powiedzieć nic szczególnego. Niektóre z nich były niezależne, inne — wolne lub nie — należały do Bremen.

— Nigdy nie pozwalają na upadek kolonii — powiedziałam. — Nigdy.

Nawet jeśli koszty transportu przekraczały wartość świecidełek czy informacji przewożonych z powrotem. Nie zamierzali opuścić tego miasta, póki tylko należało do nich.

Moi towarzysze z wolna pokiwali głowami, ale Wyatt nie.

— Jezu, Avice. Co ty opowiadasz? „Podstawą naszej państwowości jest poczucie...” — zacytował ze złośliwą radością, jakby rozkoszował się absurdalnością tej kwestii, którą wygłaszał tak wiele razy. — Wiecie, ile kolonii zostało odciętych? Widzieliście mapy, symbole grobów w nurcie?

Słyszałam opowieści o planetach pokrytych ruinami budynków, ludzkich lub pozaziemskich, gdzie wieżowce powoli tonęły w obcym bagnie. Widziałam spustoszone okolice, opuszczone celowo, na skutek porażki albo — w dwóch przypadkach — z zupełnie nieznanymi powodów. Stanowiły zanurzacką legendę. Czułam się, jakby te opuszczone budynki robiły mi milczący wyrzut — wiedziałam o ich istnieniu, a mimo to powtarzałam rządową propagandę.

— Gdyby leżało to w interesie Bremen, puściliby was wolno i wysłali mnie, żebym tego dopilnował. Nie zadaliśmy sobie tyle trudu tylko dlatego, że „nie opuszczamy swoich kolonii”. — Spojrzał na mnie wyczekująco, jakby mówił: „Spróbuj jeszcze raz”.

Wyobraziłam sobie mapy. Popatrzyłam w górę, jakby próbując dojrzeć Wrak poprzez sufit. Na temat nurtu wiedziałam więcej niż ktokolwiek w tym pokoju, łącznie z samym Wyattem. Przypomniałam sobie nasze rozmowy, nieśmiały entuzjazm sternika, nieświadomego, że wyjawia jakieś tajemnice.

— Jesteśmy na skraju — powiedziałam w końcu. — Na skraju nurtu. Bremen zamierzało prowadzić wyprawy badawcze. Ambasadoria miała być przyczółkiem.

— Wszystkie te biodyfikaty i inne takie... — Wyatt wzruszył ramionami. — Miła rzecz. Przydatna. Ale Avice Benner Cho ma rację. Poświęciliśmy wam więcej uwagi, niż to zwykle przewidziane.

Nikt z nas nie spojrzał na Mag ani na Dę. Teraz ostatecznie zyskaliśmy potwierdzenie swoich podejrzeń — ich kochanek, Ra, był agentem Bremen. Zdradził i je, i nas wszystkich. To, że wysłano go tu z jakąś misją, było dla mnie jasne od początku, zszokowała mnie dopiero

świadomość, że miał tak wrogie zamiary wobec Ambasadorii. I że Ra, nawet pośród szalejącego kryzysu, gdy wszystko uległo zmianie, wciąż nie powiedział ani słowa. Ale nie miałam pojęcia, ile dokładnie wiedzą o tym MagDa.

Tęskniłam za nurtem. Za szumem, który wyobrażałam sobie, gdy jego bezładna masa opływała statek podążający do niemożliwie odległych miejsc w codziennym wszechświecie zanurzony w tym nieskończenie starszym niemiejscu. Wyobrażałam sobie, że jestem badaczem na statku pionierskim, topornym, ale solidnym, miotanym prądami, otoczonym przez nurtrekinę, odpierającym przypadkowe lub celowe ataki. Nie wierzyłam we wrodzoną szlachetność badaczy, ale porywała mnie sama ta idea.

— Musieliby wybudować stacje paliwowe — stwierdziłam. — Poza tym trudno się tu wynurzyć. Musieliby postawić więcej znaków. — Boje na wpół tkwiące w nurcie, na wpół w codziennej próżni, mrugając światłami i nurtowymi odpowiednikami świateł, by skierować przybyszów na odpowiednią drogę. Nocą nad Ambasadorią musiałyby rozbrzysnąć nie tylko Wrak. Niebo zostałoby upstrzone kolorowymi rozbryskami. Statki dokowałyby tu, by uzupełnić paliwo, żywność, surowce, chemikalia do systemów podtrzymania życia, a także załadować najnowsze dane i nurtoprogi. Ich załogi tymczasem odpoczywałyby i zabawiały się w Ambasadorii. — Chcieli przerobić nas na miasto portowe.

— Ostatni port przed wejściem w mrok — zgodził się Wyatt.

Ambasadoria mogłaby zmienić się w kilometrową aglomerację pełną burdeli, spelunek i innych przybytków tak chętnie odwiedzanych przez podróżnych. Może nawet dorobiliśmy się uliczników, poszukujących jedzenia i mutujących śmieci na wysypiskach. Nie byłoby to nieuniknione. Można oferować usługi portowe, nie doprowadzając jednocześnie do krachu cywilizacji. Kilka razy bywałam w bardzo porządnym portach. Ale byłaby to ciężka walka.

Zachowanie kontroli nad źródłem eleganckich, na wpół żywych technologii, ciekawostek i metali szlachetnych o niemal unikatowej strukturze molekularnej mogłoby być kuszące. Zachowanie kontroli nad ostatnim przyczółkiem, tu, przy rozszerzającej się granicy, było niezbędne.

— Co tam właściwie jest? — spytałam.

Wyatt tylko potrząsnął głową.

— Nie wiem. Ty mogłabyś wiedzieć, zanurzaczkę, ale też nie masz pojęcia. Ale coś na pewno. W nurcie zawsze coś było. Dlaczego stoi tu ten pharos? Nie umieszcza się latarni w miejscu, do którego nikt nie pływa. Takie znaki stawia się w niebezpiecznych miejscach, do których trzeba przybić. W tym kwadrancie należy zachować ostrożność, to prawda, ale jest też wiele powodów, by tu przybić... choćby zmierzając gdzie indziej.

— W końcu tu przybędą — powiedziały MagDa.

— Bremen.

— Żeby sprawdzić, jak im idzie.

— Ezowi i Rze. Będą chcieli ich sprawdzić. — Spojrzały na siebie.

— Może wcale nie będzie trzeba tak długo czekać.

— W obecnej chwili pięć dni to już byłoby za długo — powiedział ktoś. — To koniec.

— Tak, ale...

— A co, jeśli...

Wyatt był inteligentnym człowiekiem. Wykonał nieprzemyślany ruch i teraz próbował ocalić to, co najważniejsze — przynajmniej własne życie. Powiedział nam wszystko i nie z rozpacz, ale w ramach gambitu, strategii. Spojrzeliśmy poprzez szkło oddzielające nas od Eza. Więzień uniósł wzrok, jakby wyczuł, że na niego patrzymy.

Ariekeni wyszli na dachy swoich budowli, przemykali się pomiędzy martwymi budynkami albo poruszali w uzbrojonych grupach; wszystko byle tylko uchronić się przed okaleczonymi szaleńcami. Wszędzie walały się trupy Ariekeniów, a miejscami także szczątki Kedisów, Shur'asi i Ziemian, wleczone przez morderców z zupełnie niezrozumiałych powodów. Po mieście włóczyły się stada zelli, głodnych i spragnionych głosu EzRy, opuszczonych przez właścicieli i częściowo zdziczałych.

Właściwie nie było to już miasto, lecz zbiór zniszczonych miejsc rozdzielonych wojną pozbawioną polityki czy celów łupieżczych — czyli w zasadzie wcale nie wojną, lecz czymś bardziej patologicznym. W każdej z tych kryjówek schroniło się kilku Ariekeniów wciąż próbujących oddawać się dawnym zajęciom. Jednak byli w stanie skupić się co najwyżej przez kilka godzin, zanim wpadali w odpowiednik delirium tremens. Ich towarzysze szeptali do nich słowa wymówione wcześniej przez EzRę, próbując udawać tembr jego głosu. Były to tylko słowa, oderwane frazy. Czasem drgawki ustępowały, a chorzy powracali do przytomności, na tyle długo, by przypomnieć sobie, że trzeba coś odbudować.

Pomiędzy tymi osadami włóczyli się bezrozumni nałogowcy, którzy nie zdawali sobie nawet sprawy z nadchodzących ataków choroby; zajęci jedynie poszukiwaniem żywności i głosu EzRy czasem padali ofiarami swoich pobratymców. Okaleczonych widać było jakby rzadziej. Zastanawiałam się, co to oznacza. Czyżby wymierali?

W niektórych punktach musieliśmy przesunąć barykady w tył i oddać oracjentom część Ambasadorii. Jednocześnie nastąpił niespodziewany exodus Gospodarzy z miasta — wciąż określaliśmy ich tym mianem, choć czasem miało to posmak czarnego humoru. Ariekeni odnajdowali usta i otwory, gdzie przemysłowe wnętrzości łączyły miasto z łąkami budyfi-katów i dzikim pustkowiem. Potem udawali się ich śladem.

— Czyżby wierzyli, że znajdą tam EzRę? — Nie wiedzieliśmy, dokąd idą ani dlaczego. Przypuszczałam, że nie są już w stanie znieść życia w tej rzeźni budynków, pośród cieni swych pobratymców. Może potrzeba spokojnej śmierci była silniejsza niż głód głosu EzRy. Patrząc na odchodzących Ariekeniów, starałam się nie odczuwać zbyt wielkiej ulgi czy nawet nadziei, a jednak odczuwałam.

* * *

Ekshumowano zwłoki Ry. Nie było mnie przy tym.

Dziękowaliśmy Chrystusowi, że nie został wcześniej skremowany ani przerobiony na biomasę. To MagDa ocaliły jego ciało. Ra nie był religijny, ale jego rodzina wychowała się w tradycji szalomicko-unitariańskiej, która nie dopuszczała naszych lokalnych metod pochówku. Jako wyraz szacunku MagDa złożyły go na małym cmentarzu zarezerwowanym dla wyznawców takich herezji.

Czekaliśmy na korytarzu, niczym przyszli rodzice, podczas gdy lekarze rozpracowywali schematy dostarczone przez Wyatta. Usunęli implant z głowy Ry i wyjęli z jego niepozornego łącza ukryty wzmacniacz sygnału. Był wielkości mojego kciuka, okryty materia organiczną, choć w całości wyprodukowano go z ziemtechu. Zastanawiałam się, czy jeśli bremeńscy projektanci korzystają z ariekeńskich budyfikatów, to wyprodukowane przez nich implanty mogą zostać

zainfekowane i czy urządzenie, które pozwoliło Ezowi i Rze zmienić się w EzRę, mogło się uzależnić od ich własnego głosu. Cóż to byłoby za wspaniały przypadek teologii: bóg oddający cześć samemu sobie, narkotyki uzależniony od siebie.

* * *

Komitet ściągnął naukowców, skąd tylko mógł — z okrojonych szpitali, patroli ulicznych i, oczywiście, z izby chorych. Błaganiem i groźbami zmusiliśmy ich do pracy. Southel, nasza komisarz do spraw nauki, zorganizowała badania. Działali bardzo szybko.

Mam wrażenie, że Joel Rukowski, Ez, uważał się za wytrawnego gracza. Prawdopodobnie wmawiał sobie, że jego żalosny wygląd to tylko fasada. Spytałiśmy go, dlaczego nie powiedział nic o tej ukrytej technologii, dlaczego zamierzał zginąć wraz z nami, zamiast ujawnić informacje, które mogłyby nas ocalić. Zasugerował wprawdzie, że miał jakiś ukryty cel, ale chyba sam nie znał odpowiedzi. Został pożarty przez własne sekrety.

Nie znał zasad działania mechanizmu, potrafił jedynie opisać, jak to wyglądało z jego punktu widzenia. Spojrzał na implant wyciągnięty z ciała Ry, ogrzany ciepłem mojej ręki.

— Nic nie czuję — powiedział. — Zwykle po prostu wiedziałem.. . co on odczuwa albo co chce powiedzieć. Nie wiem, czy ta rzecz jakoś w tym pomagała.

Badacze rozebrali na części filigrany łączące implant z mózgiem Ry, używając techzymów rozplątujących. Ich nanowici zwisały z niego jak cienkie włosy, drgały mi w rękę, poszukując neuromaterii. Naśladowały fale teta, beta, alfa, delta i inne fale odbierane z analogicznego urządzenia w czasce Joela Rukowskiego, koordynowały dwa strumienie danych w jedną niemożliwą fazę. Niezależnie od pracy obu mózgow, dane na wyjściu były wspólne.

— Służy też jako wzmacniacz — powiedziała Southel. — Stymulator mózgu. Pobudza przednią część wyspy i zakrętu obręczy. Ośrodki impulsu elektromagnetycznego. — Wydłubała implant z ciała Ry i rozłożyła go na części, by zrozumieć, jak działa, i zbudować nowy. MagDa spędzały z nią całe godziny, całkowicie pochłonięte tym projektem.

— Coś tam knują — stwierdził Bren. — MagDa. Widać, że mają jakiś plan.

Ez nigdy nie obiecywał, że nam pomoże, ale nie daliśmy mu wyboru. Opór mógł wyrażać jedynie poprzez dąsy. Musiał być posłuszny.

— Zrobisz to? — spytałam tej nocy Brena. Mówiłam bardzo cicho. Odwrócił wzrok. W takich chwilach mogliśmy rozmawiać: gdy on był nago, a ja patrzyłam, jak światła miasta, karnawałowy kalejdoskop bioogni, oświetlają jego starzejące się, atletyczne ciało.

— Nie — odparł w końcu. — Nie chcę. Jestem za stary, za bardzo przyzwyczajony do obecnego stanu rzeczy. Chyba nawet nie dałbym rady. Pewnie nie nadałbym się do tego, powiedziałbym nie to, co trzeba, w niewłaściwej chwili. Ten, kto to robi, musi bardzo pragnąć żyć, a ja nie chcę, w każdym razie niedostatecznie. Nie obraż się. Nie pragnę śmierci, ale nie mam dość... werwy.

— Wiem. Ezjest skrótem, więc potrzebujemy skręta. Cóż, zawsze możemy pójść z tym do Ambasadorów i znaleźć kogoś na tyle zdesperowanego, by dał się odciąć od swojego dubla. To może okazać się wcale nietrudne. Założę się o pieniądze... — Zabrzmiało to tak absurdalnie, że Bren aż się zaśmiał. — Założę się, że przybyło już paru nowych rozszczepieńców, z których można by wybierać. Któryś z nich na pewno jest skrętem.

— Ale i tak wiesz, kogo wybierzemy. — Odwrócił się do mnie. — To musi być Cal. Przez chwilę żadne z nas się nie odezwało. Nawet nie spojrzałam mu w oczy.

— Co wiadomo na temat Eza i Ry? Nie byli dublami, to jasne. Ale jednak łączyło ich coś ważnego. Nienawiść. Nie szkolimy tu nowego Ambasadora, destylujemy narkotyki. Musimy zreplikować każdy znany składnik. Skręt musi nienawidzić skróta. Głos, który rozrywa sam

siebie. Ez przyleciał tu i zniszczył nasz świat. Każdy Ambasador ma powód, by go nienawidzić, prawda? Może nawet ja? — Uśmiechnął się pięknie. — Ale ja mam już dość tego miejsca i za mało nienawidzę Joela Rukowsiego. Potrzebujemy kogoś innego. Cal stracił nie tylko swój świat, stracił swojego dubla. Jego nienawiść będzie wystarczająca. Ze mnie wyszłaby tylko słaba herbata. Pytanie brzmi: czy Cal już wie, że się zgodzi?

„Prawdopodobnie tak” — pomyślałam. Musiał się już domyślać, jaka rola przypadnie mu w udziale — stworzyć symbiont z człowiekiem, który zniszczył jego życie, jego przyszłość i jego brata.

* * *

Zanim Cal wszedł do sali operacyjnej, członkowie komitetu przybyli, by z nim porozmawiać. Wszyscy wiedzieliśmy, że to swego rodzaju pożegnanie, na wypadek gdyby się jednak nie udało. Cal zachowywał się jak rozdrażniony solenizant. Odszukał mnie w tłumie.

— Masz — powiedział. Podeszedł za blisko, próbowałam się cofnąć i powiedzieć coś neutralnego, ale on wepchnął mi coś do ręki.

— Powinnaś... to wziąć — dodał. Czasem robił pauzy w środku zdania, jakby podświadomie czekał, że Vin je dokończy. Wręczył mi jego list pożegnalny. — Czytałaś go. Wiesz, ile dla niego znaczyłaś. To dla ciebie, nie dla mnie.

Chyba miałam ochotę ukarać go za różne rzeczy, bo przyjął ten podarek.

— Coś ty właściwie robił ze Scile'em przez ten cały czas? — spytałam.

— Teraz o to pytasz?

— Nie wtedy — poprawiłam zimno, krzyżując ramiona. — Nie podczas Festiwalu Kłamstw. Doskonale wiem, co wtedy robiłeś, Cal.

— Nie masz bladego pojęcia — powiedział wolno. — Nie wiesz, dlaczego należało to zrobić. Zostaliśmy zmuszeni...

— Och, Pharotektonie, oszczędź mi tych bredni! — przerwałam kategorycznie. — Chyba całkiem nieźle się, kurwa, domyślam, dlaczego musieliście. Jeśli nie wiadomo, co się stanie z Językiem, to któż może przewidzieć, co się stanie z Ambasadorami, prawda? Ale nawet jeśli na tym nie koniec, to i tak nie chcę znać szczegółów. Nie, nie mam na myśli „wtedy”, mam na myśli „teraz”. Odkąd to wszystko się zaczęło. Surl Tesh-echer już nie żył, ale ty nadal prowadziłaś się ze Scile'em, od czasu, gdy przybyli tu EzRa. A potem wszystko się... Coście robili? Ty i... i Vin?

— Scile zawsze miał mnóstwo pomysłów — odpowiedział w końcu. — Dużo planowaliśmy. On i ja. Vin... on miał z tego co innego. — Przerwał i zmierzył mnie wzrokiem. Vin odebrał sobie życie po przeczytaniu listu Scile'a. Niezależnie od tego, kim Scile był osobiście i do czego zmierzał, Vin znalazł w nim pokrewną duszę — ukojenie jakiegoś żalu, rozpacz czy straty. Braterstwo ludzi, którzy mnie kiedyś kochali... kiedyś, a może nadal? Serce mi się ścisnęło.

* * *

Gdy Cal leżał już znieczulony na łóżku operacyjnym, Ez wpadł w panikę i zaczął się upierać, że nic nie robi, że w niczym nam nie pomoże i że to wszystko nie ma sensu. Jeden ze strażników opowiedział mi, że w trakcie tego wybuchu niespodziewanie nadeszły MagDa. Mag stanęła przy drzwiach, a Da podeszła do pryczy, pochyliła się nad Ezem i uderzyła go pięścią w twarz. Obtarła sobie kostki palców.

— Przytrzymajcie go — zwróciła się do strażników i znów wymierzyła mu cios skaleczoną ręką.

Ez wrzeszczał i szamotał się w uścisku, głowa z trzaskiem latała mu na boki. W końcu

spojrzał na Mag i Dę z całkowitym zaskoczeniem, jęcząc z bólu.

— Oczywiście, że przemówisz razem z Calem. — Głos Mag był obojętny i bardzo spokojny. — Nauczysz się tego i zrobisz to bardzo szybko. I już nigdy więcej nie będziesz się sprzeciwiał ani mnie, ani członkom komitetu, ani nikomu z Personelu.

Nie byłam przy tym, ale podobno tak to wyglądało.

Bezladne ataki na barykady nie ustawały. Granice naszej enklawy zaczęły cuchnąć ariekęńskimi trupami. Ulice zaścieniały gruzy budynków. Biodyfikowane bronie były głodne i umierające. Ziemskie zaczynały się psuć. Wyglądało na to, że już za kilka dni przyjdzie nam walczyć pięściami przeciw dar-skrzydłom.

Dobijało nas przekleństwo wszystkich oblężeń — brak zasobów. Z pęt okrężnicy łączącej Ambasadorię z farmami dostawców nie przychodziła już żadna żywność, a nasze zapasy nie były nieograniczone. Ariekęńskie elektrownie nie dostarczały energii, a rezerwy kurczyły się w zastraszającym tempie.

Nigdy nie potrafiłam do końca uwierzyć w nieszkodliwość nostalgii, ale i tak nie mogłam się jej oprzeć. W takich chwilach, spoglądając na ulice, wijące się lub zakończone w dziwny sposób — zabawnie obcy, igrający z naszymi teleologiami — nie mogłam powstrzymać napływu wspomnień; tamtych chwil, gdy patrzyłam na te same ulice we wczesnym dzieciństwie i systematycznie napełniałam to nieznanne miasto różnymi fantazjami. Potem następował szybki przegląd wszystkiego. Nauka, seks, przyjaciele, praca. Nigdy nie rozumiałam zwyczajowego przymusu, by niczego w życiu nie żałować — uważałam, że to zwykłe tchórzostwo — ale wtedy zdałam sobie sprawę, że nie żałuję nie tylko wypadu na zewnątrz, ale także powrotu. Nawet Scile'a. Pozwalając myślom błądzić po tych nieosiągalnych ulicach — które wcześniej służyły mi za jantry wspomnień — przywoływałam w duszy jego obraz. Nie miałam o nim zbyt dobrego zdania, ale w takich chwilach przypominałam sobie, co najbardziej w nim kochałam.

Byłam w tym bardzo oszczędna, racjonowałam sobie te wspomnienia, tak jak konserwowaliśmy swoje aeoli. Biedne stworzenia zostały przemieszczone, a ich mięsiste pęta — przecięte i przypalone. Zrobiliśmy to z jak największą ostrożnością, ale i tak cierpiały. Nie mieliśmy żadnego ziemtechu, który mógłby je zastąpić. Nasi ogrodnicy gorączkowo starali się chronić aeoli i rosnące przy nich symbionty, kształtujące prądy powietrza, które tworzyły kopułę naszej atmosfery. Próbowali je osłaniać, chronić przed dźwiękami, ładować za pomocą beznalogowych technologii i nie dopuszczać do konta-minacji, ale pomimo wszystkich tych wysiłków wiedzieliśmy, że najprawdopodobniej nie uda się ocalić naszych maszyn powietrznych przed uzależnieniem i chorobą. Gospodarze nie mogli nam już pomóc.

Wiedzieliśmy, że gdy aeoli obumrą, my wkrótce podążymy ich śladem — Ariekeni przerwą naszą obronę i wkroczą do środka. Gdy już z nami skończą, będziemy leżeć w apatii tak charakterystycznej dla zmarłych, a obcy będą nas trącać kopytami i bezskutecznie prosić, byśmy przemówili jak EzRa. Może w końcu wszyscy wymrą, a nowe pokolenia narodzą się zdrowe i od nowa zbudują swoją kulturę. Może będą odprawiać jakieś rytuały wokół naszych kości.

Wszyscy miewaliśmy wtedy złe sny. I właśnie w takim klimacie powstał nowy boski towar — EzCal.

* * *

Zostawiłam Brena, MagDę i pozostałych, by niańczyli i urabiali naszą nową nadzieję. Wołałam się skupić na innych zadaniach — transporcie zaopatrzenia i broni. Wiedziałam, że Cal właśnie się budzi, że dostrajają go do Eza, że razem podejmują pierwsze próby i że podchodzą do testu Stadta, ale nie spytałam, jak im idzie. Unikałam nawet Brena.

Po Ambasadorii rozeszły się nowe plotki — że komitet coś planuje, że wynaleziono automa mówiącego w Języku, że Ambasadorzy przygotowują wiaba i że zaryzykują wejście w nurt, byle tylko stąd uciec. Nie rozgłaszaliśmy prawdy, ponieważ sami nie do końca wierzyliśmy w powodzenie misji. Gdy EzCal w końcu zjawił się w naszym mieście koszmarów, zrozumiałam, że istniał jeszcze jeden powód tej konspiracji: dla lepszego efektu. Spełniona przepowiednia to bardzo klasyczny motyw, ale każda przepowiednia oznaczała brak niespodzianki. O ileż bardziej widowiskowe bywa nieoczekiwane zbawienie?

Nie mogłam całkowicie uniknąć wieści o tym, kiedy obudził się Cal i kiedy wyzdrowiał. Unikałam ich, jak mogłam, ale jeszcze przed ich pierwszym wystąpieniem na placu Ambasady wiedziałam, że się tam zjawią, i byłam gotowa. Miałam wrażenie, że zjawili się też wszyscy z całej Ambasadorii, nawet Kedisowie i Shur’asi. Zobaczyłam Wyatta otoczonego przez ochronę. Przyszły też automy; ich turingprogi nawalały i niektóre prezentowały nietaktownie dobry humor. Nigdzie nie widziałam Ehrsul i z pewnym rozczarowaniem przyłapałam się na tym, że szukam jej w tłumie.

Znajdowaliśmy się na tyle blisko granic naszego skurczonego miasta, że słyszeliśmy odgłos Ariekenów atakujących bariery, świst pocisków i trzask wyładowań. Funkcjonariusze odpychali mieszkańców od wejścia do budynku. Wtedy zdałam sobie sprawę, że celowo unikałam wieści ze szpitala, by móc przeżyć tę chwilę jak ktoś z ulicy. Unosząc wzrok, zobaczyłam, jak członkowie komitetu rozstępują się na boki, by przepuścić Cala oraz idącego za nim Eza.

— EzCal! — zawołał jeden z oficjeli, a, Chryste dopomóż, ktoś z zebranych powtórzył okrzyk i przez chwilę tłum skandował to nowe imię.

Cal wyglądał strasznie, zwłaszcza w jaskrawym świetle lamp. Głowę miał ogoloną, czaszkę jeszcze bledszą niż jego zwykle blada skóra, łącze na szyi migotało. Prawdopodobnie pobudzono go jakąś mieszkanką narkotyków, bo poruszał się krótkimi, owadziemi ruchami. Jego czaszkę pokrywała ciemna siatka szwów — podobno była to konieczność, wymuszona przez kurczące się zasoby preparatów nanzymatycznych, ale efekt wyglądał tak piorunująco, że zastanawiałam się, czy na pewno było to konieczne. Cal wpatrywał się w tłum. Przez moment patrzył prosto na mnie, ale jestem prawie pewna, że mnie nie widział.

Joel Rukowski znowu był Ezem. Fizycznie w ogóle się nie zmienił, ale z nich dwóch to Cal wydawał się bardziej żywotny. Powiedział coś szorstko — nie dosłyszałam słów. To Ez był empatą, to on odpowiadał za końcowy efekt.

— A zatem straciłem wszystko — powiedział w końcu Cal. Głośniki poniosły jego słowa ponad placem i wszyscy zamilkli. — Straciłem wszystko i zagubiłem się w tym strasznym miejscu, a potem wróciłem, bo zdałem sobie sprawę, że Ambasadoria wciąż mnie potrzebuje. Że potrzebuje nas obu i wtedy... — Potem urwał, aja wstrzymałam oddech, lecz Ez wystąpił naprzód i głosem, który w przeciwieństwie do jego miny był silny i pewny, dokończył: — ..wróciliśmy.

Aplauz. Ez znów spuścił wzrok. Cal oblizał usta. Nawet miejscowe ptaki jakby zawisły nad placem w oczekiwaniu.

— Wróciliśmy — ciągnął Cal. — A teraz pokażę wam... — po długiej, przerażającej pauzie Ez wymruczał: — ...co zrobimy.

Spojrzeli na siebie i nagle zobaczyłam echa wielu godzin przygotowań. Patrzyli sobie w oczy i coś przepłynęło między nimi. Wyobraziłam sobie impulsy mechanizmów synchronizujących ich ze sobą w locie, emitujących w świat kłamstwo, że obaj są jednym i tym samym.

Ez-Skrót i Cal-Skręt zmierzli się wzrokiem, otworzyli usta i przemówili w Języku.

Gdy to usłyszeliśmy, nawet ludzie westchnęli z wrażenia.

a sohrash kolta qesesh
burh lovish sath

Odszedłem na jakiś czas, a teraz wróciłem.

* * *

Miasto wyrwało się z transu. Nawet martwe części zadrżały. Wszyscy rozwinęliśmy się niczym kwiaty.

Poprzez kable pociągnięte pod powierzchnią ulic, mijając baraki i barykady z prędkością prądu mknącego pod ceglami i asfaltowymi drogami, opuszczonymi przez Ziemiań i teraz rojącymi się od Ariekenów, nagle znieruchomiały, poprzez kilometry gnijącej zabudowy, gdzie leżały domozwierzęta czekające na śmierć, i w końcu do głośników i w miasto. Z dziesiątków

głośników dobiegł głos nowego boga, *ez*
cal, a miasto wyrwało się z nieszczęsnego głodu, prosto w nowy haj.

Tysiące koralowych oczu wyciągnęło się w górę, zwiotczałe wachloskrzydła nagle strzepnęły się i naprężyły, chciwie łowiąc wibracje, otworzyły się podwójne usta. Kondygnacje chitynowych schodów uniosły się ostrożnie, nabierając sił w miarę napływania substancji chemicznych wydzielanych przy każdym dźwięku. *Odszedłem na jakiś czas, a teraz wróciłem.* I nagle usłyszeliśmy trzask naprężającej się skóry, jędrniejącego ciała. Organizmy o metabolizmie znacznie szybszym od naszego wsysały energię wytwarzaną na skutek dysonansu w języku EzCala. Całe miasto, aż po horyzont, jego mieszkańcy i zelle wstali i rozejrzeli się wokół, próbując dojść, gdzie zawiodły ich kroki podczas narkotycznego otępienia.

Ariekęskie wieże i gazowe domiszcza na skraju Ambasadorii ocknęły się z letargu i spojrzały na nas, otworzyły uszy i słuchały. Uzależnione miasto wychodziło z odstawiennej śpiączki. Strażnicy i strzelcy krzyczeli. Nie mieli pojęcia, co się dzieje. Ich cele — oracjenci — nagle znieruchomiały, nasłuchując.

Było jasne, że nie padnie już ani jedno słowo o życiu Jo-ela Rukowsiego. Teraz realizowali scenariusz Cala. Lekko zmieniając szyk zdań, by Język nie stracił na efektywności, kilkakrotnie powtórzyli, że EzCal przybyli, by przemówić. Ambasadorianie płakali. Zrozumieliśmy, że jeszcze możemy przeżyć.

Musielśmy opracować nowe metody komunikacji i wymiany z Ariekenami. Gdzieś w głębi miasta, powoli budzącego się z letargu, musieli być ci Gospodarze, z którymi zawarliśmy porozumienie. Teraz być może uda im się znów przejąć kontrolę. Nie będzie to zdrowy model społeczeństwa. Tych kilku nielicznych, którzy zdołali opanować swe uzależnienie, miało teraz zapanować nad pozostałymi: językowa narkokracja. A my musieliśmy zmienić się w ostrożnych dilerów.

Bren stał na schodach; zamachałam do niego i przepchnęłam się przez tłum. Pocałowaliśmy się, wierząc, że jeszcze nie umrzemy. EzCal milczeli. Gdzieś daleko setki tysięcy Ariekenów gapiło się na siebie — byli naćpani, ale po raz pierwszy od dawna odzyskali jasność umysłu.

— Gospodarze! — Dobiegł nas okrzyk z barykad. Minęło zaledwie kilka chwil, nim zaczęli się zbierać, by uprzętać zwłoki.

Przez jedną chwilę we wszystkich dzielnicach każdy z Ariekenów nasłuchiwał, a ich ożywające pokoje znów zeszywniały, jakby ogarnięte wtórnym wstrząsem upojenia.

Zobaczyłam to później, na nagraniach z vidów. Stało się to w chwili, gdy, nie patrząc na siebie, wiedzeni jakimś niezrozumiałym impulsem, Cal i Ez pochyłili się naprzód, idealnie zgrani i w staccato wyrzucili z siebie słowo oznaczające w Języku: *tak*.

Część siódma

BEZJĘZYKOWI

Znów zostałam handlarzem. Wraz z innymi udałam się cor-vusem na wieś. Interesy. Teraz, pod panowaniem EzCala, boskiego towaru II, znów mogliśmy opuścić swoją enklawę.

Podczas tej wyprawy towarzyszyły nam MayBel. Tylko one potrafiły wymówić to nowe

imię: $\frac{ez}{cal}$.

W ciągu ostatnich kilku tygodni krajobraz zmienił się drastycznie. Koło skupiska wystających skał wałyły się szkielety zdechłych budyfikatów. Łąki były poryte śladami galopujących maszyn, znaczącymi szlak uchodźców zmierzających do miasta w poszukiwaniu boskiego towaru, a potem odchodzących, wciąż nie wiadomo dokąd. Miasto opustoszało, nie tylko za sprawą umarłych.

Wylądowaliśmy nieopodal farm, które znowu działały. Powoli formowało się odrodzone społeczeństwo. Nie było zbyt silne. Farmerzy uzależnili się od nowego towaru, ale i tak wyglądali lepiej niż bezrozumne głodomory, które widzieliśmy wcześniej. Nie mieliśmy wyboru — musieliśmy zostać dilerami.

Polecieliśmy ze swoimi chipami daleko, poza zasięg głośników. Znaleźliśmy Ariekenów przekonanych, że to EzRa wciąż są władcą i głosem Ambasadorii, tylko z niewyjaśnionych powodów milczeli przez ostatnich kilka dni. Mimo tłumaczeń MayBel nie byliśmy pewni, czy rozumieją, co zaszło, póki chciwymi darpalcami nie chwycili chipów, by odtworzyć pliki i usłyszeć głos EzCala.

Chciałbym więcej tego drugiego — powiedział jeden z farmerów. Próbował przypomnieć sobie, jak należy handlować. Kiedyś nauczyli się targowania od naszych przodków. Niezręcznie zaoferował nam więcej budyfikatów medycznych w zamian za kolejny chip EzRy. Wyjaśniliśmy, że już ich nie mamy. Za to jego sąsiad wolał nowego Ambasadora. Wskazał na swoje przeżuwacze wydalające paliwo i komponenty, obiecując dać nam więcej niż kiedykolwiek w zamian za dodatkową dawkę EzCala.

Czy Ariekeni, którzy woleli EzCala, byli bardziej zrównoważeni? Czyżby cechował ich większy spokój — przynajmniej w porównaniu z gorączkową aurą otaczającą tych, którzy wciąż pragnęli głosu EzRy? Odkryliśmy, że pomiędzy działkami, po ustąpieniu początkowej ekstazy i przed nadejściem objawów odstawiennych, kontakt z Ariekenami był łatwiejszy niż wcześniej. Produkt EzCala pozwalał Ariekenom na chwilę odzyskać jasność umysłu, wtedy wyglądali prawie jak Gospodarze, których znaliśmy wcześniej.

Próbowaliśmy interweniować, kształtując te świeżo wyłonione struktury. Staraliśmy się udroźnić przewody i wznowić przepływ mediów, dla naszego własnego dobra. Co chwila zdawało mi się, że dostrzegam gdzieś martwe ciało Scile'a — tuż za granicą Ambasadorii, gdzie zabrakło mu powietrza aeoli, albo na zboczach trawiastych wzgórz poza miastem.

Przelecieliśmy nad ruinami opuszczonych farm, kadziami, w których zgodnie z umową produkowano kiedyś naszą żywność, bogatą w składniki odżywcze paszę, zboża hodowane pod kopułami wypełnionymi ziemskim powietrzem, zwierzęta rzeźne i mięsne połacie. Farmy były zaniedbane i podupadłe, ale część dało się odratować. Nasze załogi zrobiły, co mogły — napompowały komory powietrzem, odrestaurowały wycieńczone rodozagrody. Odnaleźliśmy

miejscowych zarządców, za pomocą fragmentów przemówień EzCala przywróciliśmy im przytomność i namówiliśmy ich, by wrócili z nami na farmy. Gospodarze zadbali o budynki i przywrócili przepływ pokarmu do miasta. Porcje żywności przesuwały się w przewodach niczym ciałka krwi, wędrując w stronę Ambasadorii.

Po przywróceniu importu mogliśmy sobie pozwolić, by chwilowo zignorować miasto — jego mieszkańcy nie próbowali już atakować. Oczywiście mogliśmy po prostu odtworzyć komunikaty bóstwa z głośników w okolicznych gminach, by skłonić ich mieszkańców do współpracy. Oczywiście nie zrobiliśmy nic takiego. Większość z nas odczuwała troskę — może nawet odpowiedzialność za biopolis. Mimo wszystko nie spodziewaliśmy się tak energicznej interwencji ze strony EzCala, a właściwie Cala. Cal i druga połowa bóstwa nie ograniczali się do wystąpień albo ostrożnych wypadów do miasta, by namierzyć nowy rząd Ariekenów. EzCal paradowali.

Komitet starał się temu zapobiec. Ez wciąż był naszym więźniem. Za każdym razem, gdy próbował realizować własne plany albo obrócić sytuację na swoją korzyść, przycinaliśmy go równo z trawą. Z początku był nam posłuszny, jednak z upływem czasu coraz bardziej podporządkowywał się poleceniom Cala. Trochę niepokoiła mnie ta jego aura ważności. Uznaliśmy, że to nasz człowiek, że wykonuje nasze polecenia, a Ez wraz z nim, i przez kilka dni nawet była to prawda, póki Cal nie przypomniał sobie, jak to jest być u władzy.

— Nie ma sensu działać tak powoli — powiedział do nas, a właściwie do mnie, gdy zauważyłam, że miasto wciąż jest groźne i przy obecnych zabezpieczeniach może nie należy wchodzić tam osobiście. — Oczywiście, że należy — rzekł stanowczo.

Wystąpienia EzCala zupełnie nie przypominały przemówień EzRy. Cal ustawił transmitter przed Ambasadą tak, by było go widać, gdy przemawiał. Najczęściej zjawiał się przed czasem i czekał, krzyżując ręce na piersiach albo opierając na biodrach i spoglądając na plac, i, ku naszemu zdumieniu, nie on jeden tak robił. Ez mu towarzyszył. Prawie się nie odzywał, nie licząc przemówień w Języku, odpowiadał pomrukami i monosylabami, jakby nie do końca wiedział, co się wokół dzieje. Ale nigdy nie kazał Calowi czekać.

Cal nigdy na niego nie patrzył, chyba że naprawdę musiał. Od razu było widać, że go nienawidzi. Jakoś jednak wpasował się w tę nową sytuację, wykorzystując Eza w charakterze narzędzia.

ez
cal

Wy wszyscy, którzy mnie słuchacie — powiedzieli . Był trzeci utudzień trzeciego miesiączka października. Nie oglądałam transmisji, ale wiedziałam, co bym zobaczyła: grupki Ariekenów ciasno otaczających głośniki i tulących się do siebie. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że słucham mowy EzCala, póki nie wpałam w szok, słysząc obietnicę, przetłumaczoną kompletnie nieświadomie.

Jutro przyjdę i będę chodził pośród was — oznajmili EzCal. Przysięgam, że usłyszałam zgiełk dobiegający od strony miasta poprzez cienkie membrany ścian. Sama ta reakcja była na swój sposób przełomowa. Nigdy nie widziałam, by któryś z Ariekenów przykładał wagę do treści przemówień — głos EzRy był dla nich wyłącznie środkiem odurzającym. Zdarzało się, że słuchacze woleli pewne banalne czy idiotyczne frazy bardziej od innych, podobnych, ale były to zupełnie abstrakcyjne skłonności, jak preferencje kolorystyczne. Tym razem zobaczyliśmy coś innego. Niektórzy w mieście, nawet po uszy naćpani głosem EzCala, zrozumieli znaczenie tych słów. Żałowałam, że nie ma ze mną Brena.

— Co ty, do cholery, robisz? — zapytałam Cala. Z początku wyglądał, jakby mnie nie

widział. W ciągu sekundy wyraz jego twarz przeszedł od zdziwienia poprzez irytację aż po znużenie. Potem odszedł. Za nim podążył Ez i jego strażnicy.

* * *

Niczym król z baśni, EzCał wspięli się na barykadę i zeszli na ulicę — kiedyś należąca do nas — prosto w tłum czekających Ariekenów. Byli milczący i nieruchomi. Schodzili EzCa-Iowi z drogi, stawiając drobne kroczki.

Świta Ambasadora, złożona z kilkudziesięciu nerwowych osób, pospiesznie wspięła się na stos plastynowych mebli i zbiegła na rumowisko. Tym razem publiczność nas nie przepuściła — bardzo ostrożnie kluczyliśmy pomiędzy czekającymi Gospodarzami. Było nas mnóstwo — duża grupa oficjeli, upierających się przy udziale w uroczystości, ja i Mag-Da, i inni z komitetu. Miałam dziwne przeczucie, że EzCał, a w szczególności Cał, dobrze wiedzieli, że ich słowa mogą nie tylko zaspokajać Ariekenów, ale też przekazywać informacje.

Robili to wszystko zupełnie bez wysiłku. Publiczność EzRy reagowała równie żywiołowo na sprawozdania rolnicze jak na historie z życia, które, zdaniem Eza, tak ich wciągnęły. Ariekeni stali z rozłożonymi wachlokrzydłami i nasłuchiwali uważnie. Cał i Ez szli tak, jakby zamierzali obejść skraj historycznej Ambasadorii i wkroczyć do miasta. Nie mieli aeoli, więc był to czysty spektakl.

Sluchacze — powiedzieli EzCał; ich głos został spotęgowany przez maleńkie mikrofony przypięte do ubrań. Byłam się w stanie założyć, że Cał nie patrzył na Eza, ale przemówili w idealnej synchronizacji. Potem przerwali. Zaczęłam już podejrzewać, że czekają, aż minie efekt narkotyczny. Wymówili tylko jedno słowo — nie była to nawet fraza złożona według konstrukcji gramatycznych szczególnie lubianych przez Ariekenów. Ale czekali.

Sluchacze — powtórzyli EzCał. — *Rozumiecie mnie?*

Ariekeni odpowiedzieli, że tak.

Unieście darskrzydła — polecili EzCał, a publiczność natychmiast usłuchała. —

Potrząśnijcie nimi — dodali, a Ariekeni wykonali polecenie.

Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam nic podobnego. Wszyscy obecni Ziemianie wyglądali na całkowicie oszołomionych. Jeśli Ez był zaskoczony lub uradowany, to nie dał nic po sobie poznać. Po prostu patrzył na posłusznych nałogowców.

Unieście darskrzydła i słuchajcie — powiedzieli EzCał — *Słuchajcie.*

Powiedzieli, że miasto choruje i że trzeba je uleczyć. Że mamy dużo do zrobienia i że w mieście wciąż żyje wielu słuchaczy, którzy mogą być niebezpieczni albo zagrożeni, albo jedno i drugie, ale teraz wszystko się zmienia na lepsze. Dla Ariekenów te polityczne komunały mogły zabrzmieć wprost rewolucyjnie. Słuchali jak urzeczeni.

Nie widziałam na twarzy Cała ani odrobiny radości. Ponury grymas, ściągnięte rysy — wyglądał jak ktoś, kto już nie ma wyboru.

Słuchajcie — powiedzieli EzCał, a Ariekeni słuchali coraz uważniej. Ściany się naprężyły. Okna westchnęły.

* * *

Ariekeni zmienili odrastające miasto. W tej nowej, zaktualizowanej wersji domy podzieliły się na mniejsze siedziby i były podparte kolumnami przypominającymi spoczone drzewa. Oczywiście wciąż były tam wieże, fabryki i hangary do hodowli młodych i biodyfikatów, kadzie do przetwarzania chemikaliów, które Ariekeni i ich budynki wydzielali podczas słuchania EzCała. Ale krajobraz miasta zmienił się wyraźnie, wyglądało teraz bardziej bezładnie. Ulice zdawały się bardziej strome i bardziej kręte, chitynowe facjatki, zaokrąglone jak

helmy konkwistadorów, bardziej filigranowe.

Stare sale ocalały — budynki, wzmocnione głosem EzCala, nie skonały, ale nie odzyskały dość sił, by się podnieść. Połacie podupadłego miasta pomiędzy nowymi osiedlami wciąż były niebezpieczne. Włóczyły się po nich zwierzęta i Ariekeni tak zdegenerowani, że już nigdy nie ocknęli się w pełni. Skupiali się wokół głośników podczas transmisji. Narkotyczny głos wprawdzie zaspokajał agresywny głód, ale nie przywracał przytomności.

— Oczyszczymy te miejsca, to tylko kwestia czasu — zapewniał Cal.

Tymczasem miasto rozpadło się na oddzielne lenna i z każdym usiłowaliśmy jakoś nawiązać kontakt. O każdym próbowałam się czegoś dowiedzieć.

— Ten obszar jest rządzony przez małą koalicję słabo uzależnionych, a na tamten lepiej nie wchodzić, na razie to zbyt niebezpieczne. Na tym osiedlu koło minaretu rządzi Arieken, który przed upadkiem był funkcjonariuszem... — Otrzymywałam te informacje od Brena, a on zdobywał je od IISyb.

— MagDa nie będą na ciebie naciskać — powiedział któregoś dnia. — Ale... — Zobaczył moją minę. — Chyba widzisz, co się dzieje. To nie one teraz tu rządzą, nie mają dość autorytetu, by zamknąć izbę chorych.

— Myślisz, że zrobiłyby to, gdyby mogły?

— Nie wiem i niewiele mnie to obchodzi. Cal na pewno tego nie robi. Widziałaś, co się stało, gdy EzCal przemawiali. Jeśli MagDa będą potrzebować jakichś informacji, to, proszę, powiedz im wszystko. Musimy je wtajemniczyć. Są bystre, pewnie wiedzą, skąd bierzesz takie informacje, ale nie będą pytać. Mają jakiś plan. Dużo czasu spędzają w laboratorium Southel. Byłaś kiedyś przy ich rozmowach?

Gdy wróciłam do miasta, nie była to oficjalna wizyta. Poszłam tam z Brenem, by spotkać się z jego przyjaciółkami IISyb — tajemniczą, niepokorną Ambasadorką.

* * *

Aerodyfikacja była już na tyle słaba, że musieliśmy teraz nosić aeoli nawet na ulicach, które jeszcze niedawno należały do Ambasadorii. Wraz z Brenem lawirowaliśmy ostrożnie, by uniknąć osawidów, choć wiedziałam, że nawet jeśli nas zobaczą, będzie z tego zaledwie kolejna plotka. Przystanęliśmy w ruinach. Z balkonu w budynku opieki (w środku wałały się szczątki zabawek) patrzyliśmy, jak EzCal znów idą przez tłum Ariekenów, którzy wykonywali każde ich polecenie.

— Następnym razem wejdą do miasta — powiedziała Syb. Nie słyszałam, kiedy weszły.

— A zatem... — Syb wskazała okno.

— Język działa u nich inaczej.

— Zamiast EzCal powinniśmy ich nazwać OgMa — stwierdził Bren. Spojrzałyśmy na niego pytająco. — Taki bożek. Robił coś podobnego.

IISyb nosiły u pasków biodyfikowane pistolety. Bren i ja przynieśliśmy bardziej prymitywną broń. IISyb poruszały się po okolicy znacznie swobodniej niż miastonauci, z którymi wcześniej zapuszczałam się na te tereny. Nie zawahały się w miejscu, gdzie cegły przeszły w materię organiczną. Powietrze zmieniło się już przy wyjściu. Prądy powietrzne obmywały mnie zupełnie inaczej niż wiatr w Ambasadorii. Znaleźliśmy się w miejscu pełnym nowych dźwięków. Po ziemi przemykały drobne zwierzęta. Ariekeni na ulicach nie zatrzymywali się na nasz widok, choć niektórzy unosili koralowe oczy i gapili się otwarcie. Gdzieniedzie widać było stawy, nad którymi zwisały polipy podobne do morszczyków; skapywał z nich jakiś płyn. Zastanawiałam się, czy właśnie obserwujemy kładzenie fundamentów pod nową zabudowę.

Spojrzałam wzdłuż alei obrzeżonej szkieletami drzew w stronę Ambasadorii. Jakiś

przechodzący Arieken zaczął się dopytywać, co tu robimy Uniosłam broń, ale IISyb szybko przemówiły.

Jestem $\frac{il}{syb}$ — powiedziały. *To są* — wymówiła coś, co wcale nie przypominało

koh taikoh
uresh

naszych imion. *Są ze mną. Idę do domu.* — powiedziały z naciskiem, by zabrzmiało to osobiście. *Jestem powracająca do domu.*

Zastanawiałam się, czy powrót do domu dla Ariekenów też jest ważnym symbolem.

— Znają nas — wyjaśniła II. — Większość jest teraz zbyt oszołomiona, by o tym pamiętać, ale jeśli tylko będą w stanie z nami porozmawiać, to nic się nie stanie.

— Chociaż — dodała Syb — obecnie formują się nowe sojusze. Niektórzy z nich mogą mieć interes...

— ...w tym, by nas nie przepuścić.

Urywki zdań, które dolatywały nas z różnych stron, zazwyczaj nie miały żadnego sensu. Oderwane frazy mamrotane przez ariekieńskie wraki wiedzione czystą nostalgią za ich znaczeniem. IISyb wyprowadziły nas w końcu na pusty plac. Zatkąło mnie z wrażenia. Czekał na nas jakiś człowiek. Opierał się o metalową kolumnę zakrzywiającą się w górze jak ziemskie latarnia. Wyglądał, jakby żywcem przeniesiono go ze starego obrazu jakiegoś ziemskiego miasta.

Skinął głową i mruknął coś do II, Syb i Brena. Bardzo pilnowali, żebym nic nie usłyszała. Mężczyzna nie przypominał nikogo znajomego, był niepozorny, miał ciemną skórę, znoszone ubranie i jakiś sprzęt aeoli. Nie byłam w stanie powiedzieć o nim nic konkretnego. Po chwili odszedł wraz z IISyb, a wtedy Bren wrócił do mnie.

— Kto to, do cholery, był? — spytałam. — Jakiś rozszcze-pieniec?

— Nie — odparł Bren i wzruszył ramionami. — Nie sądzę. Może jego brat umarł, ale raczej nie. Po prostu nigdy za sobą nie przepadali.

Teraz wiedziałam już, że istnieje cały ukryty świat wygnańców — zwolnionego Personelu, niepokornych rozszczeńców i Ambasadorów renegatów, ale za każdym razem wprawiało mnie to w zdumienie. Jak sobie radzili przed upadkiem, przed nadejściem boskiego towaru II?

— Masz jakiś kontakt z innymi porównaniami? — zapytał Bren.

— Jezu. A po co? Nie, nie mam. Widziałam Dariusa w ba-rze, całe wieki temu. Oboje uznaliśmy, że to niezręczne. Am-basadoria nie jest duża i czasem na nich wpadam, ale nie rozmawiamy ze sobą.

— Wiesz, co teraz robią?

— Chyba trudno tu mówić o jednej grupie. Wszystko trochę się... rozpełzło. Może niektórzy nadal się spotykają. Ale towarzystwo zupełnie się posypało po... po Hasserze. Jak muszą się teraz czuć? Nikogo już nie obchodzą, nawet swoich użytkowników. Język... — zaśmiałam się. — To już nie ten Język co dawniej.

IISyb wróciły, otrzepując z ubrania resztki gnijącego miasta.

— To prawda — odparł Bren. — Ale nie do końca masz rację. Niektórych wciąż to obchodzi. Nie wiesz jeszcze, po co tu przyszliśmy. Poproszono o twoje przybycie.

— Co takiego? — Nie przyszło mi do głowy, że cała ta infiltracja mogła zajść z mojego powodu. IISyb poprowadziły mnie do jakiejś piwnicy i wepchnęły do środka, prosto w objęcia Ariekenów opromienionych słabym blaskiem bioświatła.

— Oto Avice Benner Cho — powiedziały IISyb. Wymówiły moje imiona jednocześnie, tym samym tonem, aż ich dwa głosy zabrzmiały w moich uszach jak jeden.

Pomieszczenie pachniało Ariekenami. Było ich kilku. Wydawali jakieś dźwięki i pomruki. Jeden z nich wystąpił z półmroku i wypowiedział słowa powitania. IISyb przekazała mi jego imię. Spojrzałam na wachlo-skrzydło.

— O Chryste — wyszeptalam. — My się znamy.

Był to bliski przyjaciel Surl Tesh-echera, *surl*
tesh-echer, najlepszego kłamcy w ariekęńskiej historii. Arieken, którego przezwałam Tancerką.

— Czy on pamięta?...

— Oczywiście, że tak, Avice — odparł Bren. — Jak sądzisz. .. dlaczego tu jesteś?

* * *

IISyb wręczyły Ariekenom garść chipów. Chwycili je zachłannie, kończyny aż drżały im z podniecenia.

— Czy EzCał wie, że ich nagrywacie?

— Mam nadzieję, że nie. Widziałas? Próbują robić to samo co Ez, gdy był częścią EzRy: nie pozwalają nam zgromadzić zapasów.

— Ale zgromadziliście.

— To tylko publiczne wystąpienia. Nie mogą zabronić ich nagrywania. Uważają, że to bez znaczenia. Wszystko, co Gospodarze już słyszeli, i tak się nie przyda.

Przyjrzałam się towarzyszącym nam Ariekenom. Wydawało mi się, że rozpoznaję niektóre ze wzorów na wachlo-skrzydłach.

— Niektórzy z nich należeli do grupy Surl Tesh-echera — stwierdziłam. — To jego przyjaciele.

— Tak — potwierdził Bren. — Oczywiście żaden z nich nie ma w tym takiej wprawy jak on. Surl Tesh-echer był... --Wzruszył ramionami. — Zwiastunem. Stał u progu czegoś nowego.

— Twój mąż miał rację — dodały IISyb. — Na swój sposób. On rzeczywiście próbował wszystko zmienić. — Zapadła cisza. — Potem ta grupa została zdana sama na siebie.

— Robią, co mogą.

Każdy z Ariekenów wziął swój chip i poszedł z nim w inny kraniec pokoju. Zamaszystym, eleganckim ruchem okryli je wachlo-skrzydłami. Rozłożyli membrany. Odpłynęli, zastygli niczym rzeźby, zamienili to miejsce w spelunkę opiumową. Odtworzyli pliki, przy bardzo nisko skreconym dźwięku. Reakcja była natychmiastowa — patrzyłam, jak drżą w spazmach bioekstazy. Widziałam lampki głośników przeświecające przez napiętą skórę wachlo-skrzydła, słyszałam stłumiony świergot odtwarzacza emitującego duszę EzCała czy też jej najbliższy syntetyczny odpowiednik.

— Jakim cudem te nagrania jeszcze działają? — zapytałam szeptem. — Przecież już zostały wysłuchane.

— Ale nie przez nich — odszepnął Bren. — Oni czekają. Mają diabelnie silną wolę. Zwijają skrzydła przed każdą audycją. Robili to już za EzRy. Zmuszają się do tego. Starają się wytrzymać coraz dłużej.

Trudno było uwierzyć, że drżące sylwetki w kątach należały do przedstawicieli ruchu oporu, próbujących zrzucić jarzmo boskiego towaru. A jednak.

— Mogą je teraz wykorzystać. Dla nich to coś nowego — dodały IISyb.

Ariekeni wstawali jeden po drugim. Spojrzeli na mnie. Najwyraźniej podjęli wątek dokładnie tam, gdzie przerwali. Tancerka i jego towarzysze otoczyli mnie kręgiem. Po kolei wymówili zbitkę dźwięków oznaczających moje porównanie. Od dawna nie słyszałam, żeby ktoś mnie wymawiał.

Na początku użyli mnie jako stwierdzenia faktu. *Była kiedyś pewna dziewczynka, skrzywdzona w ciemnościach, która zjadła to, co jej dano.* Potem zaczęli używać mnie jako porównania. *My sami* — powiedział Tancerka — *gdy przyjmujemy to, co daje nam boski towar, jesteśmy jak dziewczynka skrzywdzona w ciemnościach, która zjadła to, co jej dano.* Pozostali odpowiedzieli.

* * *

— Surl Tesh-echer był nie tylko ich najlepszym kłamcą — powiedział później Bren. — Był w awangardzie. Nie chodziło mu jedynie o szpanowanie na festiwalach. Jak myślisz, Avice, czemu tak się tobą zainteresowali? Co wspólnego mają ze sobą kłamstwa i porównania?

Przypomniałam sobie, co powiedział jeden z Ariekenów. Które z rzeczy są takie jak dziewczynka skrzywdzona w ciemnościach, która zjadła to, co jej dano?

— To trudne. Wojna ich rozproszyła — dodał Bren. Wojna wywołana niedostatkami narkotyku. Wojna, w której Ez zabił Rę. Wojna żywych trupów. — Teraz, gdy już się odnaleźli, chcą kontynuować naukę. Nie czcili Surl Tesh-echera, ale był dla nich symbolem.

— Prorokiem — podsunęła Il albo Syb.

— Dlaczego nie powiecie o tym MagDzie albo nawet Cal... — zaczęłam i urwałam. To jasne, że grupa Surl Tesh-echera działała w konspiracji. Próbowali ograniczyć moc boskiego towaru. Cal natychmiast sabotowałby to przedsięwzięcie. Żałowałam, że nie mogę wykluczyć tej wersji. Jakby na potwierdzenie, Bren skinął głową.

— Aha. MagDa to co innego, ale nawet one nie odważą się na takie ryzyko. Chcą stąd uciec i widzą tylko jedną drogę ratunku: wytrzymać aż do nadejścia pomocy. Nie zaryzykują nic innego. Mogą nawet zatopić własny statek.

— Zatopić co? Co właściwie próbujecie osiągnąć?

— Ja nie — zastrzegł Bren.

— Wy wszyscy. Ty i ty — wskazałam na IlSyb. — I ci Gospodarze. Co próbujecie osiągnąć?

— Sposób MagDy nie zadziała — odparł Bren. — Trochę tylko odwlecze katastrofę. Dlatego nie próbuje zdyscyplinować Cala. Nie wystarczy jedynie utrzymywać porządku aż do przybycia statku. Trzeba wszystko zmienić. — Jeszcze gdy mówił, Ariekeni zaczęli przesuwając się w kręgu, niczym szczątki rozbitego statku unoszone na powierzchni wody, i wymawiali moją frazę, próbując wykorzystać ją do czegoś nowego, wymyślić nowe rzeczy przypominające moje porównanie, moją przeszłość i mnie.

— EzCal nie są tu jedynym zagrożeniem — ciągnął Bren.

— Ale musisz to zachować w tajemnicy.

Przypomniałam sobie Ariekenów rozstępujących się na boki, gdy Hasser przybył zabić

surl
tesh-echer

— Mówisz teraz o innych Ariekenach.

— Już wcześniej uznawano tę frakcję za niebezpieczną. W każdym razie tak uważał Scile i ich... — wzruszył ramionami i potrząsnął głową, bym wiedziała, że będzie to tylko zgrubne

przybliżenie — ...ich rządząca klika. Nie mam pojęcia, gdzie są teraz, ale założę się, że EzCal wiedzą. A już na pewno wie to Cal. Już wcześniej miał z nimi do czynienia. Jak myślisz, dlaczego tak bardzo zależy mu na tym, by dostać się do miasta?

Sądziłam, że Cal działa ogarnięty misjonarskim zapałem. Ale przypomniałam sobie, jak podczas Festiwalu Kłamstw obaj wraz z Gruszą spojrzeli w moją stronę.

— Jezusie Pharotektonie. — Scile też na to patrzył. Teraz pewnie pochwaliby metody EzCala. Podobnie jak CalVin, ci dwaj dbali przede wszystkim o władzę i przetrwanie, podczas gdy Scile chciał utrzymać miasto w niezmienionym stanie. Kiedyś sądził, że realizują wspólne cele, ale potem historia go oszukała. Stąd jego rozpaczliwy marsz.

— Możliwe, że Cal odnalazł już swoich przyjaciół — ciągnął Bren. — Ci tutaj... — wskazał na pomieszczenie. — Kiedyś byli zagrożeniem. Teraz... — Zaśmiał się. — Wszystko się zmienia. Ale nadal mogą być zagrożeniem. Może trochę innym, ale wcale nie mniejszym. Cal prawdopodobnie nie wie, że ta grupa nadal istnieje... zakładając, że kiedykolwiek wiedział. Ale na pewno wiedzą o nich Ariekeni, z którymi niegdyś pracował. A zatem jeśli kiedyś do nich dotrze, to ta ekipa będzie musiała siedzieć bardzo cicho. My także.

— Zagrożenie? — powtórzyłam. — Jak to możliwe? Nigdy tego nie rozumiałam. Po co w ogóle to robią?

— Trudno to wyjaśnić — odpowiedział Bren z zakłopotaniem. — Nie wiem, jak to opisać.

— Po prostu nie wiesz — podsumowałam bezlitośnie. Bren poruszył głową, jakby mówił „tak i nie”.

— Dobrze znasz Język, Avice? — zapytała jedna z IlSyb. Powiedziały coś do Tancerki, a on odpowiedział. Część zrozumiałam, a gdy potrząsałam głową, Il lub Syb tłumaczyły mi kilka fraz.

To źle, że tacy jesteśmy. Chcemy stać się inni. Jesteśmy jak dziewczynka skrzywdzona w ciemnościach, która zjadła to, co jej dano, ponieważ wchłaniamy to, co daje nam EzCal — Zapadła długa cisza. Wolelibyśmy być jak dziewczynka skrzywdzona w ciemnościach, która zjadła to, co jej dano, ponieważ chcielibyśmy... I znów zapadła cisza. Tancerka potrząsnęła kończynami.

— Próbował użyć twojego porównania dwa razy w sposób sprzeczny ze sobą — wyjaśniła Syb. — Ale nie dał rady.

Teraz — ciągnął Tancerka — jest jeszcze gorzej. Nie spodziewaliśmy się tego. Kiedyś pod wpływem boskiego towaru stawaliśmy się bezradni i oszołomieni, traciliśmy rozum, ale teraz jest inaczej, jeszcze gorzej. Teraz, gdy przemawia boski towar, jesteśmy mu posłuszni.

Jego modulacje głosu nic mi nie mówiły, ale nieważne, jak bardzo różniły się nasze umysły i nasze poczucie własnej tożsamości — od razu zrozumiałam, że ich los musi być straszny. Widziałam tłumy Ariekenów natychmiast wykonujących polecenia EzCala, odartych z własnej woli.

Chcemy sami decydować o tym, czego słuchać, jak żyć, co mówić, jak nadawać znaczenie słowom i czemu być posłusznym. Chcemy, by Język służył nam.

Nienawidzili swoich odruchów głodu i swojej nowo nabytej bezwolności. Podejrzewałam, że ich frakcja nie jest w tym osamotniona. Jednak ten bunt sprzęgał się z tym, co zawsze chcieli osiągnąć — z ich uporczywym dążeniem do kłamstwa, tak by ich Język nabrał znaczenia, które sami mu nadadzą. Ich dawne marzenia sprawiały, że nienawidzili swojego stanu jeszcze bardziej niż inni przytomni Ariekeni.

— Obiecaliśmy, że cię przyprowadzimy — wyjaśnił Bren. — Powiedziałem to jak Gospodarz — dodał i uśmiechnął się, słysząc tę dziecinną przysięgę. — Upierali się, że muszą cię zobaczyć. Teraz lepiej wracajmy, zanim ktoś zauważy twoją nieobecność. USyb mają do

załatwienia jeszcze inne sprawy. Nie tylko ci tutaj próbują znaleźć nową drogę.

Co za niebezpieczna komunikacja, poprzez komórki buntowników w zrujnowanym, odrastającym mieście. Zawsze podkreślałam — bo w rozmowach ze mną też to podkreślano — że sposoby myślenia Ziemiaków i Ariekenów są radykalnie odmienne. Ale dopiero wtedy przypomniałam sobie, od kogo to wszystko słyszałam: od Personelu i Ambasadorów, ludzi utrzymujących monopol na zrozumienie obcych. Ciarki mnie przeszły, gdy nagle samodzielnie zinterpretowałam zachowanie Ariekenów. Zobaczyłam bunt i zrozumiałam, co widzę.

Zobaczyłam tych kłamców oraz ich gorączkowe wysiłki, by zmienić swój język. Bren i IISyb mogli potem przejść do innych, tych, którzy próbowali pozbyć się swego łaknienia i żyć bez Języka; a od nich może do kolejnych, buntujących się przeciw pozornie niewinnym rozkazom EzCala; aż w końcu do badaczy poszukujących chemicznych odtrutek. Nie byłam pełnoprawnym uczestnikiem tej wycieczki. Sam fakt, że to widziałam, dowodził już, jak bardzo Bren mi zaufał. Oczywiście nie przyprowadził mnie tutaj z sympatii — zostałam wezwana jako porównanie, ci dysydenci potrzebowali mnie do celów strategicznych, tak jak żąda się broni, substancji chemicznych albo materiałów wybuchowych.

W Ambasadorii wybuchały gorączkowe nastroje. W ciągu trzech dni mogłabym tam odnaleźć ludzi wierzących, że EzCal, Ez albo Cal jest mesjaszem, szatanem albo jednym i drugim; że Ambasadorzy są aniołami albo demonami, że Ariekeni są jednym albo drugim; że jedyny ratunek to jak najszybciej opuścić planetę, albo że nigdy nie wolno nam stąd odejść. Dlatego w obecności tych Ariekenów poczułam nadzieję i przygnębienie jednocześnie. Język nie pozwalał na opisanie koncepcji potworów i bogów, tak popularnych w innych zakątkach wszechświata, i nagle zaczęłam podejrzewać, że te spotkania to ariekeni odpowiednik kultu cargo. Czy ten obrzęd był ich tańcem ducha? Bren i IISyb pomagali mistykom, milenialistom i desperatom.

Patrzyłam, jak Tancerka stara się mnie wymówić, próbując wyrazić rzeczy, których nigdy przedtem nie oznaczałam, zmusić porównanie, by przybrało nowy kształt.

Jesteśmy jak dziewczynka skrzywdzona w ciemnościach, która zjadła to, co jej dano, ponieważ... ponieważ podobnie jak ona... zostaliśmy... zostaliśmy skrzywdzeni.

Okręzał mnie, mierzył mnie wzrokiem, próbując wynajdować kolejne powody, dla których jest do mnie podobny.

— Dlaczego plan MagDy jest zły? — zapytałam. — Wiem, wiem, ale... po prostu wytłumaczcie mi raz a dobrze: dlaczego nie możemy tego utrzymać aż do przylotu statku?

Bren, Syb i Il spojrzeli po sobie, żeby zobaczyć, kto odezwie się pierwszy.

— Widziałaś, co robią EzCal — powiedziała w końcu Syb. — Myślisz, że to bezpieczne?

— A poza tym — dodał Bren, i mogłabym przysiąc, że w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie — nawet gdyby ten plan wypalił, to przecież widziałaś, co się stało z Ariekenami, gdy zginął Ra i zostali bez swojej... działki. Co będzie, gdy przybędzie tu transport? Gdy odlecimy? — Wskazał na Tancerkę. — Co się stanie z nimi?

Zniknął kolejny lotnik. Zgodnie z rozkazami EzCala robił standardową rundę po farmach położonych najbliżej miasta, prosząc — żądając potrzebnych produktów. Gdyby dostawy nie nadeszły w porę, moglibyśmy bez trudu wyłączyć głośniki i ariekeńscy farmerzy dobrze o tym wiedzieli. Komunikacja urwała się i została nawiązana ponownie. Wypuściliśmy osa-vidy.

Oddziały funkcjonariuszy opanowywały ostatnie niezależne strefy na odizolowanych piętrach Ambasady, gdzie przywódcy squattersów odmówili opuszczenia terenu. Stałam na barykadzie — stosie połamanych mebli, fragmentach domów, niepotrzebnych maszyn spojonych, co ciekawe, nie plastyną, ale szybko tężącym polimerem; żywica oblewająca te śmieci zastygła twarda jak cegła i przezroczysta jak szkło. Pod jej taflą rysowały się szczątki, niczym śmieci unoszące się w wodzie, zastygłe w bezruchu. Nie byliśmy już w stanie wojny, maszyny wycinały więc tor w kształcie klina, posuwając się poprzez barierę z obojętnymi minami, tnąc zarówno przezroczystą skorupę, jak i ukryty pod nią chłam.

Obok stał Simmon i razem wpatrywaliśmy się w chwiejne, skaczące obrazy z osavidów na jednym z odbiorników.

— Co to? — spytałam w pewnej chwili.

Był to najwyraźniej zaginiony corvus. Już nie żył. Ziemia wokół była wypalona, we wraku walały się sterty szmat, które mogły skrywać ludzkie ciała.

* * *

Szybko przybyliśmy na miejsce, uzbrojeni, przemierzając ścieżki wydeptane przez Ariekenów, ich zwierzęta i zelle, a może nawet przez ziemskich banitów, wygnańców z Ambasadorii, żyjących na odległych farmach.

Nie nawiązaliśmy kontaktu ze wszystkimi. Zaskoczyło mnie, jak bardzo nagle zatęskniłam za flokowaniem. Próbowałam sobie wmówić, że to, co teraz robię, to właśnie odmiana tego upartego podążania z prądem, ale sama w to nie wierzyłam.

Statek leżał na ziemi. Wylądowaliśmy na pobojowisku i w końcu zabraliśmy się do pracy. Nasz technik — najbliższy dostępny odpowiednik specjalisty — wziął próbki pogryzień, a może oparzeń, widocznych na wszystkich zwłokach. Całe były nimi pokryte.

— O Boże — wyrwało mu się nagle. We wraku leżał Lo, połowa Ambasadora LoGana. W jego piersi ziała wielka, przypalona dziura. — Te obrażenia nie powstały przy upadku.

Był tam też wezyr Jacques. Krawędź jego rany — tuż przy barku — nie była czysta ani przypalona, lecz poszarpana, jakby ktoś oderwał mu rękę. Umarł w męczarniach, próbując odczołgać się od rzuconej na bok kończyny. Mikroby rozpoczęły już proces rozkładu. Środowisko Ariekenów miało zupełnie odmienny skład chemiczny i nawet zgnilizna nie wyglądała tu tak jak u nas.

Nikt nie przeżył. Jednym z członków ekspedycji był wysoko postawiony funkcjonariusz Kedisów, dorosły onasamiec, którego wcześniej nie widziałam.

— O Jezu, to przecież Gorrin!... — wykrzyknął ktoś. — Teraz Kedisowie...

Powoli obchodziliśmy kolejne zwłoki, zwlekając najdłużej, jak się dało. Wiał zimny wiatr, a my metodycznie oglądaliśmy ciała naszych martwych kolegów. Próbowaliśmy je przenieść — niektóre rozpadały się na kawałki, inne udało się zawinąć i zabrać do domu.

— Patrzcie! — Próbowaliśmy zrekonstruować wydarzenia, idąc śladem zrytej ziemi, odczytując ślady, aż w końcu zmarli zmienili się w hieroglify.

— Zestrzelono ich. — W burtę lotnika uderzyła zębata rakietka.

— Nie ma tu żadnych drapieżników, które... — zaczął ktoś.

— Ale pojazd spadał na tyle wolno, by załoga zdołała się wydostać. — To był mój głos.
— Wydostali się i... złapano ich na zewnątrz.

Znaleźliśmy pozostałości Modyfikowanych jaj z niedawnej wycieczki barterowej; wszędzie widać było smugi żółtka i maszynowe płody. Załoga właśnie wracała do domu. Zestawy aeoli sprawiały, że nasz własny głos brzmiał nam w uszach niezwykle głośno, jakby każdy z nas był sam. Po przeniesieniu zwłok na pokład wystartowaliśmy z wystawionymi karona-dami, szukając gospodarstwa, które ostatnio odwiedzili nasi zmarli koledzy. Na początku zobaczyliśmy dym. Okoliczne budynki zburzono, żłobki zmieciono z powierzchni ziemi. Jedna z klatek najwyraźniej wciąż żyła i miotła się z bólu, ale nikt z nas nie miał pojęcia, jak skrócić jej cierpienia. Nie było żadnych trupów Ariekenów. Kraal był pusty. Miejscowe zwierzęta koloru piasku rozbiegły się na wszystkie strony — odgłos lotnika spłoszył stada efemerycznych padlinożerców, poruszających się niczym rozumnym dymem.

Ktoś strzelił i wszyscy rzuciliśmy się z krzykiem na podłogę. Działo zawyło: był to jeden ze skarbów Ambasadorii, stare wyjcotechowe działo przystosowane do obsługiwanego przez ludzi. Załogant nie strzelał do niczego konkretnego — ot, szybki ruch, przemykająca w dole drobna fauna. Młode Ariekenów, porzucone i pozbawione opieki, unosiły się beładnie w śmiertelnej zupie. Wszędzie leżały ciała starszych, otaczały je odciski kopyt. Ustawiliśmy vidy tak, by podążały za tymi śladami.

Z farmy wychodziły grube arterie, częściowo ukryte w ziemi, i szeroka rura biegnąca ponad skałami w kierunku miasta. Przewód został przerwany, a jego zawartość wylała się na ziemię, tworząc gęstą maź zmieszanego pyłu i wód płodowych.

— Co to jest?

W dziurze tkwiły resztki ciał. Stelaże przypominające rybie ości, gniazdo delikatnych kostek. Resztki wachlokrzydła. Zebraliśmy je niczym trofea. Za plecami rozbrzmiewał rozpaczliwy krzyk ostatniej żyjącej budowli.

* * *

Ustawiliśmy głośniki we wszystkich farmach, z którymi nawiązaliśmy kontakt — stałe dostawy głosu EzCała powinny zagwarantować nam odpowiednie zaopatrzenie, ale już wcześniej zdarzały się z tym problemy. Teraz już wiedzieliśmy dlaczego. Wysłaliśmy ekipy techników z vidami, by obejrzeliby przewody, i znaleźliśmy kolejne pęknięcia. Straciliśmy następny pojazd, a potem ekipę poszukiwawczą wysłaną za nim.

EzCał poszli do centrum miasta, by wygłosić swoją mowę. Ich podróż z Ambasadorii była tak ostentacyjna i pełna przepychu, jak tylko się dało. Naciskali na członków komitetu — teoretycznie organizatorów całego przedsięwzięcia, a praktycznie rzecz biorąc, strażników Eza — by wzięli w niej udział i włożyli eleganckie stroje. Przyszedł nawet Wyatt. W nagrodę za pomoc w stworzeniu EzCała zwrócono mu wolność, wciąż pozostawał pod strażą, ale pozwolono mu dołączyć do komitetu. Był w końcu specjalistą do spraw polityki kryzysowej i nie był już agentem Bremen — a w każdym razie nie tylko tym. Uznaliśmy, że o wszystko, co może stać się później, będziemy się martwić potem.

— Gdyby tylko mógł, załatwiłby sobie pieprzoną lektykę — szepnęłam do MagDy. Boski towar wkroczył do miasta. Ez ponury i wpatrzony w ziemię, a Cał z uniesioną głową; wciąż golił ją gładko; zdjęte szwy zastąpił naśladowującymi je tatuażami. Od czasu do czasu zerkał na Eza z

gorącą nienawiścią. — Kazały się nieść na ramionach.

MagDa nawet się nie uśmiechnęły. Byliśmy w połowie codziennej parady z Ambasadorii, szliśmy tuż za Ezem i Calem, otoczonymi przez Ariekenów, którzy z zapalem wykonywali ich instrukcje i wykrzykiwali coś w rodzaju wiwatów. Mag i Da wyglądały na kompletnie przybite. „Poczekajcie — miałam ochotę powiedzieć. — Wszystko będzie dobrze. Są tu ludzie i Ariekeni, którzy wciąż szukają rozwiązania”. Ale nigdy nie zdradziłabym Brena, a poza tym miał rację; istniało zbyt duże ryzyko, że te plany wcale nie przypadną MagDzie do gustu.

— Nie wiem — powiedziały w końcu Ambasorka. — Nie mam nawet pojęcia, co zrobimy...

— ...gdy przybędzie statek.

— Musimy strzec swoich zasobów — stwierdził po wystąpieniu Cal, patrząc na nagrania zniszczonych farm.

EzCal nalegali na zmniejszenie racji przysługujących Am-basadorianom. Wysłali oddziały konstabli, by patrolowali najbliższe plantacje i farmy dostarczające najpotrzebniejszą strawę. Ataki stawały się coraz częstsze. By umożliwić komunikację z tymi, których zamierzano chronić, każda taka grupa wyruszała z miasta w towarzystwie Ambasadora.

— Wszystko będzie dobrze — zapewniły mnie PorSha.

— Przecież to nie pierwszy raz.

— Jesteśmy przyzwyczajone.

— Już wcześniej musiałyśmy negocjować, prawda?

— Poza miastem.

— To przecież prawie to samo.

Ale w rzeczywistości było to coś całkiem innego. Jeszcze niedawno, gdy Ambasadoria i cały świat popadły w ruinę, to właśnie one i inni, co lepsi z Ambasadorów, utrzymywali nas przy życiu dzięki tym chaotycznym targom. Tym razem wykonywali rozkazy. Z początku wydawało mi się, że Cal, zmuszony sytuacją do przemiany w boski towar II, będzie chciał ograniczyć swoją rolę do minimum. Ale przywykłam już do tego, że często się myliłam.

* * *

EzCal odnaleźli w końcu Gruszę, przywódcę owej, niegdyś potężnej faksji ariekieńskiego rządu. Może Cal miał na usługach własnych wywiadowców. Nie wszyscy Ambasadorianie z miasta dzielali poglądy Il i Syb. Ambasorka już wcześniej wspomniały, że mają wrogów, a niektórzy z nich mogli być agentami EzCala.

Podczas jednego z wystąpień na głównym placu EzCal znaleźli się nagle pośrodku małej grupki Ariekenów wyciągających swoje koralowe oczy. Jednym z nich był Grusza.

Podczas kolejnych wystąpień nie odstępował bóstwa na krok, idąc za nimi przez całą drogę, aż z Ambasadorii. Towarzyszyli mu inni Ariekeni, niektórzy z nich szli bliżej EzCala niż ktokolwiek z ludzi, z Personelu, komitetu czy spośród Ambasadorów. Moje wspomnienia bywały zawodne, ale oglądając tridy — akurat migałam się od obowiązków strażniczych — zaczęłam podejrzewać, że przynajmniej dwóch spośród jego towarzyszy było z nim tamtego dnia, gdy

surl
tesh-echer

Hasser zamordował .Wstrzymałam oddech: oto stałam się stroną w tajnej wojnie.

Tamtego dnia EzCal przez dłuższy czas milczeli. Racjonowali słowa. Gdy w końcu

kora
saygiss — Grusza — zostaje mianowany naczelnikiem tego okręgu miejskiego. Że ten obszar został wybrany spośród wszystkich rozproszonych osad, by

kora
saygiss stać się ośrodkiem EzCala, a zostanie ich regentem. EzCal nie potrafili mówić inaczej niż tylko jako boski towar, a ich słowa zawsze wywoływały kompulsję. Tym razem nie był to chwilowy rozkaz, by unieść darskrzydła — to było oficjalne rozporządzenie, i gdy EzCal

kora
saygiss zamilkli, słuchacze podporządkowali się rządowi . Byli bardzo cicho. Nikt nie narzekał.

kora
saygiss Przepuszczałam, że już wcześniej mógł być naczelnikiem swojego rewiru. Niewykluczone, że słowa EzCala niczego nie zmieniły — prócz oficjalnego zatwierdzenia stanu rzeczy. Tym samym zawiązał się sojusz, przymierze pomiędzy Ambasadorią a tym nowym sercem miasta. Zrozumiałam, że misja Brena, IISyb oraz ich towarzyszy nagle stała się znacznie trudniejsza.

Chyba po prostu unikałam wtedy wszelkich rozważań o tym, kim są i kim byli Cal i EzCal. Niezależnie od tego, czy ich polityka opierała się na jakimś drobiazgowym planie, bufonadzie czy zwykłym szczęściu, wiedziałam, że nie jestem bezpieczna.

* * *

Ariekeni z nowego okręgu założonego przez EzCala opuścili miasto wraz z PorShą, KelSeyem i konstablami. Teraz prowadziliśmy te operacje wspólnie. KelSey wrócili, ale Por-Sha nie.

Umieściliśmy odbiorniki i vidy wokół wszystkich farm. Urządzenia uruchamiały alarm za każdym razem, gdy zarejestrowały coś, co wykraczało poza przewidziane algorytmy. Wszyscy członkowie komitetu natychmiast odebrali sygnał alarmowy i otrzymywali bezpośrednią transmisję ataku.

Wysłano corvusy. Nie miały szans dotrzeć na miejsce w porę, ale i tak musieliśmy zadziałać, nawet jeśli nie miało to sensu. Byłam akurat z Brenem. Jak najszybciej przesuwalimy te chaotyczne obrazy. Sceny pracy na farmie, rozmowy z farmerami. PorSha, dwie wysokie, nieśmiałe kobiety, próbowały przekazać Ariekenom nasze zamówienie. Przewód naprężył się i pęczniał, transportując materiały, by w końcu wydalić je w Ambasadorii. Strzępki rozmów we wszechangielskim. Licznik czasu przeskoczył. Datasfera wariowała.

— Potrzebna nam Ehrrsul — stwierdził Bren. — Czy wy jeszcze...? — Potrząsnęłam głową.

Naprzeciw vidu stała funkcjonariuszka, cała umazana błotem. Nie patrzyła na nas, lecz ponad naszym ramieniem, próbując złożyć raport.

— Sierżant Tracer melduje z... — zaczęła. Rozległ się jakiś hałas. Kobieta spojrzała na coś poza ekranem. — Zaatakowano nas. Liczna grupa... są ich setki, kurwa, całe setki...

Transmisja zakończyła się gwałtownie, obraz zadrgał, a potem zastąpił go widok

uciekającej ziemi, podczas gdy vid mknął do góry. Tracer leżała na plecach, pośród innych trupów. Ostatnim ruchem zamierających rąk ściągnęła maskę aeoli. Obraz zamigotał. Poprzez farmę galopował wielki oddział Ariekenów, poruszając się zupełnie inaczej niż farmerzy. Mknęli przed siebie, wymachując darskrzydłami i bronią zroszoną płynem; zostawiając ślady krwi, wzbijali tumany kurzu. Nikt nic nie mówił, czasem wznosili tylko okrzyki bojowe, krzycząc bez słów, bez Języka.

Zdekapitowali jednego z członków Personelu, z którym kiedyś się przyjaźniłam. Pilnowałam się, by cały czas zaciskać zęby. Jeden z napastników powalił go kopniakiem i chwycił darskrzydłem, drugi zamachnął się ostrzem wykonanym z jakiegoś koralowca. Przynieśli też biodyfikowaną broń i teraz wymierzyli ją w ściany farmy. Jeden z Ariekenów strzelał do naszych z karabinu — władał ziemską bronią z niesłychaną precyzją. Niektórzy mordowali w ogóle bez użycia broni, wbijając kościste wyrostki w brzuchy albo zdzierając maski, by ofiary zadusiły się w podmuchach obcego wiatru.

Bren przewinął nagranie, by oglądać na żywo. Wciąż trwała masakra. Obcy mieli przewagę liczebną. Funkcjonariusze próbowali dotrzeć do corvusa, ale zestrzelono ich bezlitośnie. PorSha krzyczały w Języku do napastników.

Przestańcie, przestańcie, nie róbcie tego — wołały. — *Prosimy was, nie róbcie tego więcej...* Na chwilę straciliśmy łączność, a gdy znów ją nawiązaliśmy, PorSha już nie żyły. Bren zaklął.

Wszystkie głośniki ustawione w pobliżu farmy nagle przemówiły głosem EzCala. Połówki boskiego towaru namierzyły się nawzajem i teraz krzyczały razem.

Przestańcie! — rozkazali i nagle wszystko zamarło. Pochyliłam się, wpatrzona w niewyraźny obraz. Pobojowisko, nieruchomi Ariekeni.

— Jezu — szepnęłam, nie mogąc uwierzyć, że jest ich tak wielu. Uniosłam ręce.

— Co oni robią? — zapytał Bren.

Stańcie bez ruchu! — krzyknął bóg, a jego głos poniósł się wokół. *Podejdźcie naprzód, stańcie przed martwym Ambasadorem.*

Przez chwilę nic się nie działo. Potem z tłumu wystąpił jakiś Arieken i, stawiając ostrożne kroczki, stanął w polu widzenia vidu. Pozostali patrzyli na niego. Rozłożył wachlo-skrzydło na grzbiecie i naprężył je, łowiąc dźwięki dobiegające z głośnika.

W tłumie zabójców nie było widać żadnych wachloskrzydeł

— To farmer — zrozumiałam. — Nie jest jednym z nich.

Wysoki, potężny Arieken klepnął dwóch towarzyszy darskrzydłem i wskazał na oszołomionego słuchacza. Potem wyprężył grzbiet, by ukazać ranę. EzCal wciąż mówił.

— Zobaczyli, że budynki i ten tutaj zaczęli słuchać — domyśliłam się. — Dlatego się zatrzymali. Nie dlatego, że musieli.

Jeden po drugim, a potem wszyscy naraz, ariekieńscy mordercy zaczęli prężyć grzbiety. Zobaczyłam kilkadziesiąt drżących kikutów wachloskrzydeł. Usłyszałam szept Brena.

— O Boże...

Ariekeni zademonstrowali swoje rany. Niektórzy wydawali nieartykułowane dźwięki, zapewne okrzyki triumfu.

— Wiedzą, że ich widzimy.

Posłuszni milczącym gestom swojego przywódcy, okaleczeni Ariekeni otoczyli farmera, który nawet ich nie zauważył, chwycili go darskrzydłami.

Przestańcie! Poluzujcie uchwyt — powiedzieli EzCal.

Farmer uniósł darskrzydło, a potem zaczął zaciskać i rozluźniać kończyny, posłuszny instrukcjom przeznaczonym dla kogoś innego. Ich prawdziwi odbiorcy nawet się nie zawahali.

Wciąż trzymali swą ofiarę.

Potężny Arieken chwycił farmera za wachlokrzydło i szarpnął. Syknęłam na sam widok. Ofiara wrzasnęła, bezskutecznie próbując uciec. Darskrzydło oprawcy poruszało się niczym ludzka ręka wrywająca chwast. W końcu wachlokrzydło puściło: chrząstki i mięśnie pękły i urwały się w fontannie krwi, wlokąc za sobą włókna, wyciągnięte z drżącego ciała.

Wachlokrzydła są przynajmniej tak samo wrażliwe jak ludzkie oczy. Okaleczony Arieken otworzył usta i padł, otępiały z bólu. Odciągnięto go na bok. Ogłuszacz uniósł trofeum niczym groteskowy, kapiący bukiet. Wydał z siebie głośny, nieartykułowany ryk, triumfu albo wściekłości.

Po chwili zdałam sobie sprawę, że EzCal znów przemówili. Wydawali rozkazy, których nikt nie słuchał.

To był początek otwartej wojny. Nazwaliśmy ją Pierwszą Masakrą Farmową, choć była to zaledwie pierwsza, którą widzieliśmy. Dopiero po kilku dniach zrozumieliśmy, co nas czeka.

Te akty okaleczenia, jeden Arieken przeciw drugiemu, stanowiły pierwszy i ostatni etap rekrutacji. Jeśli ofiara zdołała przetrwać szok i ból, stawała się kolejnym żołnierzem nieprzyjaciela.

— W jaki sposób otrzymują rozkazy? — spytałam, ale nikt nie umiał na to odpowiedzieć. Może nie było żadnych rozkazów, jedynie wściekłość nieujęta w słowa. „Czy oni w ogóle myślą? — zastanawiałam się. — Dla Ariekenów myśl i mowa stanowią jedno i to samo. Prawda?”.

Nie wiedzieliśmy, czy należałoby teraz wycofać się z odległych farm, czy umocnić tam swoją obecność, próbowaliśmy więc jednego i drugiego. Pękły kolejne rury. Ta sama scena powtarzała się w różnych miejscach: pośród kępy drzew, w py-listej niecce, w rumowisku głazów — za każdym razem wybuch, rozerwana tkanka i struga zniszczonego towaru. Zapasy kurczyły się coraz bardziej.

Atakowali teraz nie tylko infrastrukturę. Jakiś czas po masakrze farmowej bezskrzydli Ariekeni wdarli się do obozu bronionego przez słyszających — nazwano to Incydem na Skraju. Umieściliśmy tam oddział żołnierzy wyposażonych w broń zewnętrzną, za pomocą której zabili kilku atakujących. Jednak nim napastnicy odeszli, zwabieni jakimś niepojętym sygnałem, zginęła połowa naszego garnizonu. Być może byli wyczuleni na jakieś fale, niewyczuwalne dla nas, podobnie jak stada ptaków, które, krążąc w powietrzu, stają się jednym organizmem.

Mimo upływu czasu nagrania wciąż były szokujące. EzCał zwołał posiedzenie komitetu,

kora
saygiss

na które przyprowadzili Powiedzieli nam, że zamierzają wprowadzić w mieście pewne zmiany administracyjne — tak jakby mogło to coś zmienić. Cał wspomniał też o zawieraniu sojuszu przeciw „bandytom”. Próbowałam go słuchać, by zrozumieć kształt obecnej polityki. Sądząc z pogardliwego grymasu Brena, miasto podzieliło się na strefy wpływów — wszędzie, gdzie nie panowała całkowita anarchia lub podziemny ruch oporu,

kora
saygiss

natychmiast pojawiały się szare eminencje w rodzaju

Zaczęto tworzyć absurdalne łączone patrole. Na rozkaz EzCała nasi konstable patrolowali tereny wokół miasta wraz z Ariekenami zwerbowanymi do lokalnej milicji. Oczywiście towarzyszyli im Ambasadorzy przekazujący instrukcje wsparte boskim autorytetem EzCała. Odbyli szkolenie strzeleckie: urodzeni urzędnicy w pośpiechu próbowali się przekwalifikować.

Misje okazały się kompletnym fiaskiem. Rozkazy przekazywane przez zdezorientowanych Ambasadorów były odmiennie interpretowane przez Ariekenów i Ziemian. Ariekeni nie byli tym nawet oburzeni — a wiedziałam już, że są do tego zdolni — raczej zdezorientowani. Trzy pierwsze patrole nie osiągnęły niczego, a czwarty został zaatakowany. Gdy patrol ratunkowy dotarł na miejsce, zastał tam tylko zwłoki ludzi. Ariekenów uprowadzono i zapewne za pomocą okaleczenia zmieniono w buntowników. Wspólne patrole dobiegły końca.

* * *

— A co, jeśli oni wcale nie chcą walczyć? Nawet po wyrwaniu wachlokrzydła? A co, jeśli woleliby walczyć z tymi, którzy odebrali im skrzydło?

Znów siedziałam w tajnym klubie kłamców — jak zdraj-czyni — by Tancerka i jego poplecznicy mogli wykorzystać mnie do swoich rozmów. Bren przyprowadził mnie tam jak najszybciej, ale sam Tancerka jakoś się nie zjawił.

— Wachlokrzydło to dla nich nie tylko ucho — powiedziała II. Obie spojrzały na mnie uważnie.

— Choć, oczywiście, do tego też służy.

— To drzwi do umysłu.

— Ważniejsze niż wzrok.

— Ich fizjologia jest zupełnie odmienna od naszej.

— Bez wachlokrzydła nie słyszą żadnych dźwięków.

— A bez tego nie są w stanie usłyszeć własnych słów.

— Czyli zwyczajnie nie mówią.

— Nie władają Językiem.

Może po prostu nie istniała dla nich żadna prawda ani myśl. Buntownicy prawdopodobnie tworzyli szczątkowe społeczeństwo, pozbawione komunikacji — jeśli w takiej sytuacji w ogóle był sens mówić o społeczeństwie. Dla Ariekenów Język jest tożsamy ze stanem faktycznym — czym zatem są bez niego? Zbieraniną psychopatów.

— A zatem, nawet jeśli wcześniej nie chcieli przyłączać się do buntu... — myślałam głośno — to po utracie wachlokrzydła...

— Popadają w szaleństwo.

— Coś takiego.

— Może niektórzy rzeczywiście nie biorą w tym udziału.

— Może po prostu płyną z prądem. Zagubieni.

— Może umierają.

— Ale nie są już tacy jak przedtem.

— Nic dziwnego, że większość przyłącza się...

— Do tych bandytów. — II Syb uśmiechnęły się ponuro, słysząc to absurdalne określenie wprowadzone przez EzCala.

— Niemożliwe, żeby wszystkich zwerbowano siłą — stwierdziłam. Dowódcy tej armii musieli należeć do tych, którzy wcześniej ogłuszyli się sami. Rozpaczliwy — i naprawdę szaleńczy — akt buntu mógł zostać popełniony niezależnie przez setki Ariekenów. Może jakieś zgromadzenie ustaliło, że zrobią to wspólnie, i okaleczyli się jednocześnie podczas jakiegoś bezsensownego przemówienia EzRy — teraz bowiem zdaliśmy sobie sprawę, że ci dysydenci atakowali nas jeszcze przed nastaniem boskiego towaru II, choć wcześniej działali bardziej chaotycznie — a teraz zostali sercem całej organizacji. Możliwe, że mieli gdzieś piwnicę pełną gnijących wachlokrzydeł, kolebkę tych milenialnych tłumów.

Każdy z nich uwięziony we własnym umyśle. Bóg jeden wiedział, ilu ich było; siły uderzeniowe uformowane z samotnych i zagubionych. Jakim cudem poruszali się w jednym tempie? Jak koordynowali ataki? Znów pomyślałam, że muszą kierować się instynktem i może jakąś głęboką gramatyką chaosu — nie byli przecież w stanie planować. Może każdy z tych ataków nie był starannie zaplanowaną akcją, ale losowym porywem. Przypomniałam sobie jednak, że podczas pierwszej masakry ogłuszeni dawali sobie jakieś znaki, i znów nie mogłam tego ogarnąć.

— Zaczęli napływać do miasta całymi grupami — powiedziała Syb. Właściwie nie było to już miasto, jedynie zbieranina ćpunów i niewolników wegetujących na miejscu dawnego miasta. — Kiedyś zabijali innych Ariekenów.

— Jeśli o własnych siłach wyrwiesz się spod działania czegoś tak potężnego jak boski towar...

— ...to możesz zacząć pogardzać tymi, którzy wciąż się mu poddają.

Ale teraz już nie zabijali — teraz werbowali. IISyb wykonały szybki gest, jakby coś skubały, jakby wyrywały niewidzialne wachlokrzydła.

Zadrzałam, udając, że tylko potrząsam głową, a potem powiedziałam, że chcę się zobaczyć z Tancerką, jakby chodziło o przyjaciela. Chciałam go zrozumieć, pojąć tę jego dziwną strategię emancypacji. IISyb wyglądały na zadowolone. Zaprowadziły mnie na zacieniony taras pod okapem, dziurawym jak rozłożone palce. Przez dłuższy czas siedziałyśmy w milczeniu.

* * *

Mała osada na przedmieściach, powoli odrastająca po długim głodzie, została nagle zburzona za pomocą Modyfikowanej broni o dużej mocy. Nasz ariekiński informator pracujący dla boskiego towaru powiedział, że nadchodzi coś strasznego.

Wszyscy mieszkańcy miasta i wszyscy Ambasadorianie muszą się przeciwstawić tym

kora
saygiss

atakom — oznajmili EzCal, stojąc u boku . Nieważne, jak bardzo Ariekeni próbowali usłuchać — te słowa były dla nich zbyt niejasne, by cokolwiek znaczyć. EzCal nigdy

kora
saygiss

nie ogłosili rozkazu, polecającego wszystkim Ariekenom słuchać : najwyraźniej sami obawiali się konsekwencji nieposłuszeństwa.

Próbowałam jak najczęściej i jak najdłużej przebywać w towarzystwie kłamców, wciąż

surl
tesh-echer

próbujących zrealizować cel . Sama także zastanawiałam się, jak można to osiągnąć, ale wciąż potrzebowałam pomocy IISyb i Brena. Po ostatnim ataku na miasto Tancerka i inni renegaci byli niespokojni (potrafiłam to rozpoznać). Jeden z nich opuścił grupę.

IISyb słuchały.

— Mówią, że próbowali go przekonać — przetłumaczyły-

— Powiedział...

— Powiedział, że się wstydzi.

Samo upojenie pierwszym boskim towarem było dla nich wystarczająco szokujące, teraz musieli również wykonywać polecenia bóstwa.

— On... och.

— Okaleczył się.

— Nie! — wykrzyknęłam.

To musiało naprawdę zboleć, nie tylko jako utrata — kogo, przyjaciela? — pogrążającego się w dobrowolnym szaleństwie, zdriczeniu nie tylko umysłu, ale i ciała, byle tylko nie słyszeć i nie mówić więcej. Ci spiskowcy chcieli być nadzieją, przeciwwagą dla zbuntowanych samobójców, którzy wydzielali sobie cząstkę własnego umysłu, oddani jedynie

ni-hilistycznej zemście. Czy pośród bezjęzykowych istniała jakaś hierarchia społeczna? Czy samookaleczeni byli arystokracją panującą nad przymusowymi rekrutami? Spojrzałam w liczne czułko-oczy Tancerki, który widział, jak jego towarzysz wydziera sobie skrzydło, jakby to był śmieć, po tylu latach wspólnej pracy, zaczętej dawno temu, nim jeszcze nadszedł koniec świata.

* * *

Przy barykadach, na targach ulicznych — z konieczności tolerowanych przez władze — znów zaczęto mówić o transporcie. Kiedy przybędzie, dokąd odejdziemy i jak potraktują nas w Bremen.

Nasze zdziczałe vidy zamieszkały na równinach. Wiele z nich szybko się zepsuło albo ich sygnał stał się nieczytelny. Ale niektóre wciąż przesyłały nagrania.

Inne zapuściły się daleko w głąb kraju, gdzie nie było nawet farm ani rurociągów. Usłyszałam plotki o istnieniu tych nagrań, zanim jeszcze zobaczyłam je na oczy. Z początku pogardliwie zbywałam te pogłoski. Dlaczego miałoby coś przede mną ukrywać? Przecież należałam do komitetu. Ale później odkryłam, że choć te wysiłki spełzły na niczym, to faktycznie próbowano takiej sztuki. Nie powinnam się tak dziwić, to było do przewidzenia. Wewnętrzne pęknięcie, odruch tchórzostwa, zdradziecka kolumna podlegająca bezpośrednio boskiemu towarowi. Nie potrzeba było nawet jakichś szczególnych powodów, dla biurokraty ukrywanie informacji było jak odruch warunkowy. Jednak w żaden sposób nie zdołaliby utrzymać tych plików w tajemnicy: odkąd rozeszły się plotki, wszyscy obejrzelśmy je w ciągu jednego dnia.

Kilkoro z nas załadowało je na datasferę komitetu. Bren był wyraźnie zdenerwowany. Jego niecierpliwość trochę mnie zaskoczyła: najwyraźniej nie miał pojęcia, czy plotki dotyczące nagrania są prawdziwe. Przyzwyczaiłam się już, że wiedział mnóstwo rzeczy, o których mi nie mówił. Czasem z tego żartowałam, może trochę obcesowo. Oglądaliśmy wspomnienia vidu. Wiele kilometrów stąd, ale przecież nie na innej planecie. Obraz przejechał wąskim wąwozem; odruchowo zakołysałam się, by nie uderzyć głową w nawis, który vid minął przed kilkoma dniami. Jakiś głupek w tylnym rzędzie spytał:

— Po co my to właściwie oglądamy?

Poprzez wąski korytarz w skale vid przeniknął do poszarzałej doliny i wzbił się w górę jak ptak, najpierw na wysokość drzewa, potem wieży, zrobił zbliżenie na dawne koryto rzeki. Zatkaną nas z przerażenia. Ktoś zaklął.

Wąwóz wypełniały szeregi armii, właśnie maszerującej w naszą stronę. Tym razem nie były to setki, ale całe tysiące.

— Jezu — usłyszałam własny głos powtarzający bezradnie: — Jezu, Jezu Chryste. — Teraz już wiedzieliśmy, dlaczego miasto zdawało się opuszczone. — Pharotektonie.

Mikrofony vidu były kiepskie, ale i tak usłyszeliśmy rytm marszu, stukot twardych stóp maszerujących w różnym tempie. Amputowani krzyczeli. Prawdopodobnie sami nie słyszeli własnego wycia. Pośród nich szły maszyny, posłuszne milczącym rozkazom. Ariekeni nieśli broń. Była to jedyna armia na tej planecie i zmierzała prosto na nas.

Vid podleciał bliżej i ujrzeliśmy tysiące kikutów wachloskrzydeł. Każdy z nich był żołnierzem — nie posłusznym trybikiem, wykonującym rozkazy, lecz desperatem uwięzionym poza społecznością, w bezdźwięcznym bąblu; nie mówili, nie słyszeli, nie myśleli, a jednak poruszali się wraz z innymi, kierowani tajemniczą siłą, dzieląc wspólny cel, nawet bez wymawiania tego na głos. Nie mogli ustalić wspólnych zamiarów, ale wiedzieliśmy, że je mieli, i wiedzieliśmy, na czym polegają i że to właśnie nas dotyczą.

Z początku nazywaliśmy tę nadchodzącą armię Głuchymi (czasem także bezjęzykowymi albo okaleczonymi). Niesłyszący mieszkańcy Ambasadorii zaprotestowali przeciw takiemu określeniu — mieli rację i było nam trochę wstyd. Potem ktoś ochrzcił napastników terminem wziętym z jakiegoś starożytnego języka — *Surdae*. Oznaczał on to samo, ale w obcej mowie obelga zdawała się mniej czytelna, zwłaszcza że szybko ją zniekształcono i skundlono. Zamiast „*Surdae*” wkrótce pojawili się „*Surdale*”, aż w końcu „*Absurdale*”. Gospodarze przybywający, by zabić nas za grzechy, których być może wcale nie popełniliśmy.

Najbardziej absurdalna i niemożliwa była ich dyscyplina — co jakiś czas, bez słów, małe podgrupy oddzielały się od głównego trzonu armii, tworzyły oddziały uderzeniowe, które roznosiły w pył naszych strażników albo rekrutowały nowych żołnierzy, wydzierając im skrzydła. Nagle transmisje zaczęły się urywać, vidy pospadały, zepsute, zmiecione podmuchem wiatru albo zestrzelone przez zirytowanych wrogów. Wysłaliśmy kolejne. Zaczęliśmy planować.

Gdy nasi szpiedzy pomknęli na poszukiwania, my tymczasem naruszyliśmy stare umowy oraz izolacjonistyczne zasady. Vidy ukazały nam wybrzeże i lekko toksyczne morze. Nie byliśmy przyzwyczajeni do takich widoków. Podczas pracy w nurcie używałam progów kartograficznych, ale tych map — jeszcze nigdy. Widzieliśmy teraz cały kontynent. Kiedyś z największą trudnością zaznaczyłabym na nim Ambasado-rię, nie mówiąc już o mieście, i pewnie bym nie rozpoznała kształtu lądu, na którym zajmowaliśmy tak niewielki skrawek.

Teraz całkiem łatwo przyszło nam złamanie starych tabu i wyświetlenie map. Mapy nigdy nie były u nas zakazane — jak w niektórych skrajnych teokracjach na zewnątrz — co najwyżej niestosowne, ale teraz stare uprzejmości już dawno straciły znaczenie. Vidy załadowały współrzędne, dzięki którym mogliśmy śledzić Absurdali.

To właśnie pierwsi z nich, pionierzy tego ruchu, odkryli, w jaki sposób zmienić swoje ofiary w milczących popleczników. Jak do tego doszło? Opuścili zrujnowane miasto, rekrutując po drodze farmerów, minęli miejskie przewody, wkroczyli na pustkowie, gdzie zrekrutowali nomadów, łowców i zbieraczy zdziczałych lub niepotrzebnych maszyn. Może któregoś dnia ktoś napisze historię tej wyprawy, tej mozolnej krucjaty.

Z pewnością byli tam nie tylko przymusowo uleczeni nałogowcy. Przed oczami stanęły mi szalone postaci wynurzające się z dziczy niby prorocy. Ariekeńcy z odległych ziem, zaniepokojeni lub oburzeni wieściami o swych pobratymcach z miasta, sprowadzonych do roli posłusznych zombi albo zdesperowanych ćpunów, nawet jeśli mieszkali na tyle daleko, by uniknąć uzależnienia, mogli wstąpić w szeregi Absurdali z własnej woli. Może upłynęło trochę czasu, nim ich armia zaczęła regularnie używać przemocy, może wśród potencjalnych rekrutów toczyły się jakieś debaty na temat dobrowolnego ogłuszenia. Ostatnie, elokwentne przypadki użycia mowy, by zagłosować za jej zlikwidowaniem.

Poprosiłam Brena, żeby poszedł ze mną do miasta. Dostaliśmy się tam stosunkowo łatwo, choć podobno granice Ambasadorii były strzeżone.

— Dotrą tu za dwa tygodnie — powiedziałam. Bren przytaknął.

— Widziałś, że wszyscy są w dorosłym stadium? — zauważył. — Nie chronią starszych ani nie opiekują się młodymi.

Jednak wyglądało na to, że młode już wkrótce mogą im za to podziękować. Nawet bez

opieki kilkoro młodych z każdego miotu miało szansę przetrwać, a zanosiło się na to, że gdy osiągną dorosłą postać i opanują Język, miasto będzie już oczyszczone z ludzi. Bez boskiego towaru. Absurdale zamierzali poświęcić się za tę przyszłość. Wykluczali jakiegokolwiek układy czy kompromisy.

Trzymaliśmy się bezpieczniejszych dzielnic miasta. Sama znalazłam drogę — tym razem to ja poprowadziłam Brena — do miejsca, gdzie Tancerka i pozostali trenowali kłamanie. Próbowałam im pomóc, wynaleźć nowe konteksty, w jakich mogliby mnie użyć.

* * *

— Stworzymy armię — oznajmił Cal. Potraktowaliśmy to z całą możliwą pogardą. *Zbierzcie się nagłownym placu, w jak największej liczbie, i bądźcie gotowi do walki* — polecili EzCal podczas wystąpienia. Kazali Ariekeńcom wystawić żołnierzy. Zażądali

<u>qura</u>		<u>qura</u>	
mashi	ochotników.	mashi	oznaczało „więcej niż największa istniejąca jednostka”,
<u>qura</u>		<u>qura</u>	
mashi	, czyli 3072.	mashi	w wolnym tłumaczeniu oznaczało „nieprzeliczony”.

EzCal zażądali od Ariekeńców wystawienia tyle wojska, ile tylko zdołają.

Cal zamachał ręką. Stojący obok Ez zachowywał się jak lalka brzuchomówca, reagował tylko wtedy, gdy musiał przemówić albo ktoś zwrócił się do niego. Wyatt spoglądał na niego jak nerwowy ojciec. Zastanawiałam się, ilu żołnierzy zdoła zmobilizować boski towar i czy proces rekrutacji będzie tak gwałtowny, jak podejrzewałam. Mieszkańcy małych osad pozostałych w mieście — wysepek pomiędzy strefami bezrozumnych nałogowców — próbowali usłuchać rozkazu. Wiedzieli, że nadchodzą Absurdale. Miejscowi pozostający pod panowaniem

<u>kora</u>	
saygiss	, władcy namaszczonego przez EzCala, z pewnością mieli wystawić najwięcej ochotników.

— Nasze główne siły będą strzec miasta, rozstawione w najsłabszych punktach. Wystawimy też kilka... hmm... oddziałów specjalnych — oznajmił Cal na posiedzeniu komitetu. Nie mogłam tego słuchać — była to czysta desperacja, którą usiłowali nazwać strategią. Nie mogłam spojrzeć na nikogo w tej sali. Nie było żadnego sposobu, by powstrzymać nadciągającą armię. Gdy w końcu nas odprawiono, powoli zebrałam swoje rzeczy i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że zostaliśmy sami z Ezem i Calem. Nie wiem, jak do tego doszło. Nie mogłam na nich spojrzeć — byłam ich wrogiem i znałam niebezpieczne sekrety.

Cal zgarbił się, jakby zmęczony. Pod ścianą, w przeciwległym końcu sali, wyglądał na drobnego i skurczonego, jak mały król na zbyt wielkim tronie. Ez stał nad nim, niczym ponury dworzanin. Prawdopodobnie czekali, by poćwiczyć swoje deklaracje.

— Tęsknisz za moim bratem, Avice? — spytał Cal.

— Czy tęsknię?... Za Vinem? Chyba... chyba tak. — Po części była to prawda. — Czasem tak. A ty?

Cal patrzył na mnie spod brwi.

— Tak. Kiedyś byłem na niego zły. Wcześniej, zanim umarł. — Na chwilę przerwał. —

Przedtem byłem na niego zły, a potem jeszcze bardziej. To jasne. Ale tęsknię za nim.

Gorączkowo zastanawiałam się, czy zdołam to jakoś obrócić na swoją korzyść, namówić go do zwierzeń, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Możemy pomówić? — wycedził ze złością Cal, ale nie do mnie. Ez podniósł wzrok.

— To ja może... — zaczął, po czym wyszedł. Już od wielu dni nie słyszałam, żeby odezwał się z własnej woli. Cal nawet za nim nie spojrział.

— Vin tęsknił za tobą — dodał.

— Naprawdę?

Niezależnie od tego, jak bardzo się zmienił i czym się stał, prawdopodobnie postrzegał mnie tak jak ja jego: poprzez pryzmat wspomnień, wspólnych poranków i wieczorów, nagości i seksu, czasami bardzo pięknego. Co mogłam wspominać, jak nie spojrzenia Vina? Widziałam w nich jakiś głód, który można by pewnie określić innym mianem, uczucie, którego Cal tak nienawidził. Może uważał, że miłość jego brata to gra o sumie zerowej i że coś mu odebrałam? A może mu zazdrościł?

Ku własnemu zdziwieniu poczułam, że ściska mnie w gardle, i musiałam zamknąć oczy. Zalał mnie wielki, spóźniony żal, nie tylko za Vinem, ale trochę też za Cal'em. Przypomniałam sobie te wszystkie miesiące, które spędziłam jako kochanka CalVina. Próbowałam przypomnieć sobie taki moment, gdy byliśmy razem w ten sam sposób, i nie mogłam. Czy kiedykolwiek dotykali mnie obaj naraz, czy zawsze był to jeden, a dopiero chwilę potem drugi? Spojrzałam na Cala. Może przez cały ten czas po prostu tolerował namiętność swojego bliźniaka?

— Zawsze gdy budzę się sam... nie mogę się do tego przyzwyczaić — powiedział szybko. — To normalne, tak powinno być. Ale czasami nie jest to takie złe. Cisza nie zawsze bywa nieprzyjemna.

Odwrociłam wzrok, by nie widzieć jego okropnego uśmiechu.

— Prawdę mówiąc, Avice, nie umiem nawet powiedzieć, czy za nim tęsknię. Nie, to nieprawda... umiem i tęsknię, ale to uczucie nie jest tak... czyste, jak powinno. Nawet to, że muszę mówić wszystko sam... To i dobre, i złe, i dobre. Chodziłem do domów starości, gdzie mieszkają rozszczepieni. Normalni, nie tacy wichrzyciele jak Bren. Czy teraz jestem taki jak on? — Wskazał głową na drzwi, przez które wyszedł Ez. — Ten gnojek? Czasem bywa naprawdę złe. Chciałem powiedzieć... nie, sam nie wiem, co chciałem. Po prostu robię to, co należy.

— A co konkretnie robisz, Cal? I dlaczego należy? — zapytałam, choć nie zamierzałam mu odpowiadać ani dać się uwikłać w jego gierki. — Już raz tego próbowaliśmy, Cal. Zebrałeś armię i wyszła z tego katastrofa.

— Avice, proszę cię. — Potrząsnął głową i zawahał się, tak jakby bardzo usilnie próbował mi coś przekazać. — Wspólne patrole się nie sprawdziły, ale teraz robimy coś zupełnie innego. A poza tym... co zrobiłabyś na moim miejscu? Nie możemy ich po prostu tu wpuścić. — Znów wskazał na drzwi. — Mogę ich zmusić do wszystkiego.

— Ale...

— Ale w każdym razie nie o to chodzi. Chcę... chcemy rozstawić ochronę wokół miasta, to konieczne, ale nie najważniejsze. Najważniejsze są oddziały szturmowe. Dużo ostatnio myślałem... — Wskazał na swoje gardło, mając na myśli głos.

— O tym. Zastanawiałem się, jak to wykorzystać. Wiem już, dlaczego pierwsze patrole zawiodły. Kazaliśmy im po prostu «patrolować». Zbyt ogólne sformułowanie. Ale konkretne zadania? To co innego.

— A jakie zadania im wyznaczą? — spytałam. Zwróciłam się do niego w liczbie mnogiej, zupełnie przypadkowo.

— Zobaczysz. Myślę, że ci się spodoba. Działam inaczej, niż ci się wydaje, Avice. Wiem,

za kogo mnie uważasz.

Odeszłam. Nie mogłam tego znieść.

* * *

Nie widziałam, jak Cal wraz z Ezem robią przegląd swoich ariekęńskich wojsk. Słyszałam, że Cal wyznaczył MagDę na swoją asystentkę i kazał im przemawiać w swoim imieniu. Nie mogli tego zrobić sami, ich głos spowodowałby zamieszanie; oszołomieni rekruci próbowaliby natychmiast usłuchać każdego słowa, niezależnie od tego, czy byłoby rozkazem.

qura

mashi

Na placu rzeczywiście stawiło się — kilka tysięcy. Bezprecedensowa frekwencja. Za pośrednictwem MagDy Cal ustawił ich w szeregi i oddziały, każdemu przydzielając dowódcę, a w końcu wyprawił naszych nowych obrońców na posterunki. Cała organizacja przebiegała znacznie mniej chaotycznie, niż się spodziewałam.

Oczywiście nadal nie było ich dosyć — armia Absurdali przewyższała ich kilkakrotnie. Nie rozumiałam jeszcze — zignorowałam sygnały — że wszystkie te zbrojenia i paniczne ceremoniały to tylko drobna część planu Cala. Nie zauważyłam nawet, że MagDa zniknęły na dwa dni w towarzystwie jednego z oddziałów, któremu EzCal nadali jakąś starannie wybraną nazwę. Podczas ich nieobecności wymknęłam się z IlSyb do Tancerki. Miałam już dość tego poczucia nieuchronności. W mieście, poza Ambasadorią, miałam wrażenie, jakkolwiek iluzoryczne, że ta historia może mieć jeszcze jakieś inne zakończenie.

* * *

EzCal wezwali nas do sali wykładowej. Poszłam na to zebranie, czując się jak szpieg, i chyba nie było to całkiem bezpodstawne uczucie. Komitet był zdziesiątkowany. Z pochyło ustawionych rzędów spoglądaliśmy na EzCala stojących pośrodku. Siedziałam z Southel i Simmonem. MagDa stały obok EzCala, twarze miały pokryte zadrapaniami. Za nimi stał

kora

saygiss

oraz inni Gospodarze.

— Chcielibyśmy rozpocząć to spotkanie minutą ciszy — oznajmił Cal. — Oficerowie Bayley i Kotus oddali życie podczas tej misji, dla dobra Ambasadorii. — Oczekaliśmy. — Dopilnujmy, by to poświęcenie nie poszło na marne. Wprowadźcie ich.

W dole wybuchło jakieś zamieszanie. Widzów zatkało z wrażenia, zakłęli i odruchowo się cofnęli. Strażnicy wprowadzili do sali dwóch wrogów. Dwóch ogłuszonych Absurdali. Założono im kajdanki. Ariekeni patrzyli na nas czułko-ocza-mi wyginającymi się jak polipy. Ich nogi i darskrzydła drżały, bo wciąż napierali na więzy.

Patrzyliśmy na nich w milczeniu. Cal zaczął okrążyć jeńców, ukazując rany odniesione podczas życia na pustkowiu, kikuty wydartych wachloskrzydeł. Wskazywał na nie długim, cienkim patykiem. Wyglądał jak stary wykładowca w jakimś przeddiasporowym centrum nauki. Napastnicy wydawali nieartykułowane dźwięki przypominające odgłosy szczucia albo wołania

kora

saygiss

do bogów. i inni Ariekeni patrzyli na nich z drzeniem, jakby nie mogli opanować obrzydzenia.

Nasi żołnierze wysłedzili grupę Absurdali, która odłączyła się od głównego trzonu armii, by zaatakować samotną osadę. Wybuchła walka, po obu stronach nie obyło się bez ofiar. „W końcu — oznajmił Cal — dzięki bezprecedensowej współpracy pomiędzy Ziemianami i naszymi ariekeńskimi sprzymierzeńcami, pokonaliśmy Absurdali i wzięliśmy tych dwóch żywcem”.

— Musimy ich zrozumieć — zakończył. — Dzięki temu zdołamy ich pokonać.

Mieliśmy robić notatki i studiować zachowanie bezjęzykowych za pomocą eksperymentów lub interakcji z naszymi sprzymierzeńcami. Właściwie były to nie tyle interakcje,

kora
saygiss

ile akcje podejmowane przez i jego koterię, na które Absurdale w ogóle nie reagowali, a nawet jeśli, to nie widzieliśmy w tym związku.

Solipsyzm okaleczonych Ariekenów zdawał się zupełnie nieprzenikniony. Niektórzy członkowie komitetu chyba wciąż wierzyli w zapewnienia Cala, że mamy ich zwyciężyć, ale

kora
saygiss

widząc, jak raz po raz prosi, by pomówił z Absurdalami, przypuszczałam, iż wielu musi podejrzewać to samo co ja — że szykował się do negocjacji.

Jednak były ich tysiące, tysiące Ariekenów, którzy zamknęli wszelkie ścieżki do swego umysłu, zmieniając się w monady opętane żądzą mordy. Żadna wiedza nie mogła niczego zmienić. Mając do dyspozycji resztki arsenału Wyatta i Ariekenów Cala, mogliśmy trochę przetrzebić napastników, ale miasto wciąż się kurczyło, mieszkańcy umierali, okaleczali się albo uciekali do pobliskich wiosek wyposażonych w głośniki dostarczające głos boskiego towaru. Pod względem liczebności Absurdale wyraźnie przewyższali Ariekenów skłonnych walczyć razem z nami.

MagDa raz po raz mówiły do nich w Języku, po czym któraś dodawała:

— W ogóle nas, kurwa, nie słyszą. — Absurdale warczeli dziko.

— A zatem pokaż im, co chcesz powiedzieć. Zrób coś, żeby zrozumieli. — Po czym następowały kolejne iteracje tej rozmowy, każda równie irytująca i bezsensowna. Zdrowi Arie-keni wymawiali słowo po słowie, MagDa i inni Ambasadorzy wykonywali gesty rękami. Wrogowie podchodzili coraz bliżej, szarpiąc się w więzach. Patrzyli na swoich rozmówców, ignorując słowa, skupiając się na gestach. Przez chwilę miałam wrażenie, że zwrócili na coś

kora
saygiss

uwagę, jakby zauważyli jakieś idiosynkrazje w ruchach dla nas.

Absurdale piorunowali się wzrokiem. Wydawali różne dźwięki, nawet o tym nie wiedząc. Zwracali uwagę pozostałych, wykonując drobne gesty czułkami, ruchem wskazywali na różne istotne rzeczy. Na ile pozwalały im więzy, posuwali się naprzód, zajmując upatrzone pozycje, podczas gdy Cal i Ez wyświetlali różne obrazy albo wprawiali podłogę w wibracje. Przesunęli się, utworzyli trójkąt, rozeszli na boki.

Nie zdążyłam nawet krzyknąć, ale gdy więźniowie zaatakowali ariekeńskiego strażnika, zdałam sobie sprawę, że spodziewałam się tego już wcześniej. Oczywiście powstrzymano ich, zanim zdołali użyć swych skrępowanych ciał jako zaimprovizowanej broni, ale synchronizacja ich ruchów zupełnie mnie zaskoczyła. Po powrocie do domu natychmiast otworzyłam książki Scile'a.

* * *

— Jak powiedzieć w Języku „tamten”? — spytałam Brena. — Na przykład tak: „Który kieliszek chcesz?”. „Tamten”.

— To zależy — odparł, spoglądając na kieliszek. — Mówiąc o tym, można by pewnie powiedzieć...

— Nie, nie chodzi mi o ten konkretny, tylko o jakiś ogólny „tamten”. — Wskazałam. — Chodzi o samą ideę. Tamtość.

— Nie ma niczego takiego.

— Nie?

— Oczywiście, że nie.

— Tak myślałam. A zatem jak mam odróżnić ten kieliszek od tamtego i tamtego?

— Musiałabyś powiedzieć: „kieliszek stojący obok jabłka” albo „kieliszek ze skazą”, albo „kieliszek z resztką wina”. Przecież wiesz. Czemu w ogóle pytasz? Chyba nauczyli cię podstaw?

— Tak — odparłam i przez chwilę milczałam. — Ale to było całe lata temu. — Znów liczyłam w latach, nie w kilogodzinach. — Ale gdybyś tłumaczył z ariekeńskiego na nasze, to pewnie powiedziałabyś po prostu „ten kieliszek i tamten”. Czasem tłumaczenie przeszkadza w zrozumieniu. Nie jestem biegła w Języku. Może to pomaga.

— Tłumaczenie zawsze przeszkadza w zrozumieniu — zauważył Bren. — Co ci chodzi po głowie?

— Ile czasu minie, zanim tu dotrą? — zastanawiałam się. — Możesz sprowadzić IISyb? I pozostałych? Ilu tylko zdołasz? — Bren zmrużył oczy, ale skinął głową. — Musimy iść. Niech IISyb albo ktokolwiek inny skontaktuje się z Tancerką i pozostałymi. Ja w tym czasie... — Przerwałam. — Nie wiem, czy... Może powinienam powiedzieć o tym Calowi.

— Powiedz mnie. Załamałaś się?

— Tak, ale wcześniej.

— To o co chodzi? Powiedz.

Powiedziałam. Trochę zepsułam tym efekt, ale może zdołam osiągnąć go tutaj.

Bren kiwał głową, słuchając mojego planu, choć tak naprawdę były to raczej przeczucia i pobożne życzenia.

— Nie możemy powiedzieć Calowi — stwierdził, gdy skończyłam. Ujął mnie pod brodę, a potem objął, a ja przez chwilę wsparłam się na nim z całej siły i to było cudowne. — Jasne, że nie.

— Ale próbujemy coś zmienić. Wiesz, że EzCal nie są głupi.

— Nie chodzi o to, czy są mądrzy, czy głupi. Chodzi o to, co sobą reprezentują. Może Calowi dałoby się przemówić do rozsądku. Może. Ale chyba w to nie wierzysz, prawda? Chcesz zaryzykować?

— Jeśli wyruszymy, na pewno się o tym dowie.

— Tak. I uzna cię za wroga, i będzie miał rację. Może i jest zapracowany, ale na pewno znajdzie czas, żeby spróbować nam przeszkodzić.

— Niech tak będzie — zgodziłam się. — W takim razie zostanę jego wrogiem.

— W porządku — uśmiechnął się. — Co jeszcze zrobimy, Avice?

Razem spojrzeliśmy na ekran, na którym dreptali bez-językowi Ariekeni, sami w swojej celi, obserwowani przez vidy. Wyglądało na to, że wybraliśmy sobie wyjątkowo cichy moment, by udać się na wygnanie. Patrzyliśmy na dwóch więźniów poruszających się w jakimś rytmie, nie jak dwie całkiem oddzielne istoty, ale jak stworzenia złączone wspólną myślą, nie tyle konkretnym planem, ile świadomością swojej obecności, poczuciem wspólnoty.

Wciąż byłam swego rodzaju kulturalną ciekawostką, podobnie jak BrenDan, wolny rozszczepieniec, licencjonowany dysydent. Gdybyśmy zniknęli jednocześnie, ludzie natychmiast by to zauważyli. Niewykluczone, że już od jakiegoś czasu nas obserwowano. Dlatego następnym razem — po raz ostatni — poszłam do miasta samotnie.

Komitet odchodził od zmysłów, Cal sięgał po kolejne zaszczyty, a tymczasem na ulicach Ambasadorii życie toczyło się nadal. Idąc przez kurczące się miasteczko, niosąc swój bagaż i sprzęt aeoli, ze zdziwieniem natrafiłam na kilka przyjęć pod gołym niebem. Niektórzy rodzice zmianowi, pilnujący bawiących się dzieci, widzieli, że się przyglądam, i szukali mojego wzroku; nawet ta wspólna świadomość — że to ostatni moment i że jeszcze przez chwilę trzeba te dzieci czymś zająć — nawet ona nie odebrała mi tej chwilowej radości.

Po ulicach przechadzali się też konstable, ale w zasadzie nie mieli nic do roboty, jak tylko czekać na otwartą wojnę; nie chciało im się nawet patrolować. Nie wyrzucali z ulic żadnych kaznodziejów — szejkersów, kwaków, biorców ani dawców, ani innych propagatorów teologii, które miały nas zgubić lub zbawić. Żadni z nich, nawet ci najgorliwiej straszący ogniem piekielnym, nie byli traktowani jako szkodniki, raczej jak uliczni performerzy. Ludzie żartowali z nich i dogadywali, ale ich to nie zrażało.

Miałam ochotę się zatrzymać i poprosić kogoś, by usiadł ze mną w jednej z kafejek, gdzie rozdawali darmowe drinki albo przyjmowali zamówienia „na kreskę” — wciąż bawiliśmy się w takie grzeczne szarady. I jak zwykle ta sama śpiewka — „Możliwe, że trochę mnie nie będzie”. Nagła melancholia odchodzących. Wysłałam z Ambasadorii nieopodal miejsca, gdzie wraz z Simmonem, Yohnem i pozostałymi bawiliśmy się we wstrzymywanie oddechu, tam, gdzie kiedyś dotknęłam postronka. Wysłałam korytarzami z budynku stojącego na skraju, zupełnie sama.

Na swojej mapie zaznaczyłam kilka kolonii miejskich Ariekenów, każda z nich opisana

była według informacji zdobytych przez Brena. *1. Domena* $\frac{\text{kora}}{\text{saygiss}}$. *Lojalni*. Po lewej: *2.*

Status niepewny. *3. Przysłali posiłki, ale nie zgadzają się z* $\frac{\text{kora}}{\text{saygiss}}$ *4. Komuna?* *5. itd.*

Wiedziałam, że granice są bardzo niejednoznaczne. Im bardziej zbliżali się Absurdale, tym bardziej te małe *polis* zamykały się w swoim kręgu, ich polityka i kultura coraz bardziej różniły się od siebie, dzieląca je przepaść stawała się coraz głębsza. Nie było tu bezpiecznie.

Przez pierwsze kilkaset metrów widziałam spacerujące alt-borsuki, słyszałam głosy ptaków i brzęczenie owadów. Znalazłam się na terytorium miejscowej fauny noszącej przynajmniej dwie nazwy: naszą i pochodzącą z Języka. Przystanąłam, widząc stworzenie

rozmiarów psa, które nazywaliśmy brązo-letem, a Ariekeni — $\frac{\text{kosish}}{\text{rua}}$ albo $\frac{\text{ter}}{\text{sethis}}$, w zależności od różnic systematycznych, których nigdy nie rozumieliśmy. Przebiegł mi drogę

kołyszącym krokiem przywodzącym na myśl rozgwiadę albo żabi język. W górze przelatywały odpady i Modyfikowane maszyny, dzikie lub niosące Ariekenów.

Potrafiłam nawigować w nurcie, ale topografia tego miejsca prawie mnie przerosła. Na ziemi niczyjej było wystarczająco niebezpiecznie, a wiedziałam, że w osadach będzie jeszcze gorzej — tam groziły mi nie tylko bezmyślne ataki szału ze strony ćpunów, ale też strażników pilnujących granic. Rozbicie plemienne postępowało i mieszkańcy różnych osad czasem się ze sobą ścierali. Kilka razy musiałam przyciąć się za jakąś kością domu albo stertą śmieci, skąd obserwowałam walki.

Oddychałam szybko, gorączkowo. Za pączkującą kolumną, na wpół wsłuchana w głuchy terkot okolicy, zatrzymałam się gwałtownie. Przede mną stało dwóch ludzi.

Na mój widok unieśli broń. Zza hełmów aeoli nie widziałam ich twarzy. Zaskoczenie wywołane widokiem zupełnie niepasujących tu ludzkich sylwetek niebezpiecznie spowolniło mnie na ułamek sekundy, ale potem ruszyłam naprzód, jeszcze zanim zdążyli wystrzelić, a pociski trafiły w jamę sercową — a może zaulek — gdzie byłam przed chwilą. Rzuciłam się biegiem, słysząc za sobą pogoń. Wcisnęłam się pod okap i zgubiłam drogę. Zacisnęłam zęby, serce waliło mi jak oszalałe.

Nie wpadłam w panikę, wciąż rozumowałam jasno. Skręciłam, słysząc kolejny dźwięk. Jakiś człowiek sięgał w moim kierunku, stojąc w otwartych drzwiach podobnych do skrzeli. Cofnęłam się szybko, ale on przycisnął palec do maski, jakby mówiąc „ćś”, i przyzwał mnie gestem. Podeszłam ostrożnie, a wtedy wciągnął mnie do komory. Siedzieliśmy na podłodze, nasłuchując. Wpatrywałam się w swojego wybawcę, ale wciąż nie mogłam go rozpoznać. Świdrowałam go wzrokiem, jakbym chciała go w ten sposób zdekodować.

— W porządku? — zapytał.

— Tak... — odpowiedziałam odruchowo i natychmiast chciałam dodać: „Kim jesteś? Co to za ludzie?”, ale on potrząsnął głową. Znow nasłuchiwał.

— Chodź ze mną — powiedział w końcu. Próbowałam spytać go o imię, ale on wciąż milczał. W końcu nie miał obowiązku składać mi żadnych wyjaśnień. Pozwoliłam się prowadzić.

Na końcu długiego korytarza czekały na nas II Syb. Krótко powitały mężczyznę, po czym przez chwilę rozmawiali we trójkę, za cicho, bym mogła coś usłyszeć. Potem mężczyzna odwrócił się do mnie, uniósł na pożegnanie dłoń i wyszedł.

— Nazywa się Shonas — wyjaśniła Syb. — Kiedyś był wezyrem. Od jakichś ośmiu lat mieszka w mieście.

Ostrożnie powróciłyśmy na mój pierwotnie wytyczony szlak.

— Co on tu robi? — spytałam. — I kto do mnie strzelał? — Nadproże wygięło się, by nas przepuścić.

— Przybył tu po kłótni z Ambasadorem — odparły II Syb. — Był niezły skandal. Po prostu zniknął. Pewnie byłas wtedy w nurcie.

— Na zewnątrz.

— Pewnie nie pamiętasz.

— A ci dwaj to DalTon.

Nie pamiętam, żeby mnie to zaskoczyło. Ci zuchwali dysydenci... wcześniej zakładałam, że nie żyją, że zostali rozszczępieni albo uwięzieni w tej strasznej izbie chorych.

— Odeszli.

— Zdziwaczeli.

— Shonas przyszedł do miasta, by ich powstrzymać, i...

— ...no cóż. Jest po naszej stronie. Pomaga nam.

— Przeciw Ambadorowi DalTonowi.

— Gnojek. Przez dłuższy czas siedzieli cicho. Nie mieliśmy od nich znaku życia, póki to wszystko się nie zaczęło.

— Teraz są szczęśliwi jak Świnia w błocie.

— Na pewno im się to podoba.

— Zwietrzyli twoje plany.

Ekonomia równoległa, pełna spisków, kontrmanewrów i zemsty.

— Skąd wiedzieli, co planują?

— Wieści się rozchodzą.

— Co to ma, do cholery, znaczyć?

— Przecież wiesz. Opowieści się rozchodzą.

— Prawdopodobnie nie wiedzieli nic więcej poza tym, że zmierzasz do miasta. A to oznaczało, że masz jakiś plan.

— Jakikolwiek byłby to plan, oni są przeciw.

— Pracują dla Cala? Dla EzCala?

— Czemu? Tylko dlatego, że próbowali cię powstrzymać?

— To jeszcze nie znaczy, że są w zмовie.

— DalTon mają własne powody.

— To znaczy jakie?

— Och, tyle różnych — westchnęły IlSyb z rezygnacją. — Któż by się w nich połapał?

— Wybierz sobie, jaki chcesz.

— Nie życzą ci dobrze.

— Czy to nie wystarczy?

— Nie.

— Mają tego już dosyć.

— A ty nie.

— I starasz się coś zmienić.

— Co ty na to?

Dal i Ton, skrajni nihiliści, tak samo przed nadejściem kryzysu, jak i później. Gdyby ktoś zapytał Cala, czy woli, by Ambasadoria upadła na jego oczach, czy też przetrwała bez niego, oczywiście powiedziała by, że to drugie, i naprawdę by w to wierzył, ale gdyby tylko znał mój plan, dałby się zabić, dałby pozabijać nas wszystkich, byle tylko mnie powstrzymać, bo ten plan zakładał obalenie jego władzy. DalTon chcieli mnie zabić, bo próbowalam ocalić świat. Myślę, że po długim, nienawistnym wygnaniu wydało im się to całkiem logiczne. Stały za tym kilogodziny opowieści, których nigdy nie miałam poznać. DalTon byli przeciwko mnie, Cal był przeciwko mnie, DalTon przeciwko Calowi, Shonas przeciwko DalTonowi i za mną, ale nie przeciw Calowi, i tak dalej. Nigdy, ani w Ambadorii, ani w nurcie, ani na zewnątrz, nie przejawiałam talentu do intryg; miałam nadzieję, że flokowanie mi to zastąpi. Ale polityka zawsze cię doścignie.

— Iu was jest? — zapytałam w końcu. — Wygnańców? Tutaj, w mieście?

Il i Syb nie odpowiedziały. Mój plan ocalenia Ambadorii w pewnym momencie zbiegł się z losami DalTona i Shonasa, a ich dramat — byłego Ambadora oraz ich dawnego wezyra — ich zadawniona wendeta, zmienił moje losy. Zawdzięczałam Shonasowi życie.

— Już tu idzie — powiedziały IlSyb. — Jak go nazywacie?... Tancerka?

— Wiem, wiem, to niegrzeczne z mojej strony. Przeszanę tak mówić.

— Dlaczego?

— Jemu to nie przeszkadza, nam także.

Pokój był bardzo mały, rzecz jasna, pozbawiony okien, oświetlony przez fosforyzujące

liście.

— Jest zasilanie — zauważyłam.

— Nie.

— Światło emitują nekrofagi żyjące w ścianach.

— No co wy! — odparłam odruchowo. Budynek umierał, oświetlając nas swoim rozkładem. Mogłam się z tego tylko śmiać.

Znów powtórzyłam pytanie, ale IISyb nie chciały odpowiedzieć, co się stało, dlaczego kiedyś, przed setkami tysięcy godzin porzuciły Ambasadorię, by żyć w maskach aeoli w tej rozbitej społeczności wyrzutków. Czekaliśmy.

— Coraz więcej Gospodarzy opuszcza miasto — powiedziały IISyb.

— Wielu z nich dołącza do Absurdali.

— Niewielu zostanie do obrony, nawet jeśli ją zorganizują.

— Nie będą mieli wyjścia. EzCal im rozkażą.

— Na czym polega twój plan?

— Co chcesz zrobić?

— Wiesz co — odparłam. — Bren ci powiedział.

Ale tak naprawdę nie wiedziałam, jak to opisać. Gdy w końcu przybył Tancerka, powiedziałam tylko:

— Spójrz tutaj. Pokażę ci.

Przypomniałam sobie, jak poruszali się schwytni Arieke-ni. Absurdale nadciągali i nie było już sensu czekać na Brena. Z pomocą IISyb, które — na początku bardzo powoli — tłumaczyły moje kwestie, zaczęliśmy. Wbrew wszelkim swoim postanowieniom, po raz pierwszy od wielu lat, nie miałam wyboru, jak tylko przejąć inicjatywę.

* * *

Nie sądzę, by pośpiech był uniwersalnie przejawianym zjawiskiem, przekraczającym bariery pomiędzy gatunkami, ale Arieke-ni najwyraźniej zrozumieli, że coś się we mnie zmieniło. Pograżyliśmy się w żarliwej dyskusji. Przypomniałam sobie, jak przychodzili kiedyś do Krawata, zafascynowani mną i innymi porównaniami.

— Chcecie nauczyć się kłamać — zwróciłam się do Tancerki. — Pokażcie, co umiecie. Ile wam brakuje? Zacznijmy od początku.

Przez kilka godzin słuchałam, jak ich grupa recytuje swe małe kłamstewka. IISyb

tłumaczyły. Robiłam notatki, próbując sobie przypomnieć, jak to robił *surl* *tesh-echer*. Jego odkrycia zdawały mi się kluczowe.

Wcześniej omówiliśmy to z Brenem. *surl* *tesh-echer* często polegał na grze słów, eliminując kolejne frazy, aż w końcu pozostawało tylko nagłe, zaskakujące kłamstwo. Jednak ta metoda, jakkolwiek skuteczna, stanowiła jedynie efekt uboczny jego pracy teoretycznej.

surl *tesh-echer* skupiał się na mnie.

Postrzegał nas — nas-porównania-stworzone-z-Ziemian — nie tylko jako figury stylistyczne, lecz jako klucz do jakiejś bardziej fundamentalnej prawdy. Jego sztandarowe

kłamstwo, wymawiane z brawurowym rozmachem, jakby była to tylko gra słów, sugerowało pewną zmianę w postrzeganiu, zrodzoną z naszego kontaktu. *Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele o pewnych sprawach. Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele. Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy.*

Wyłożył swój manifest za pomocą fałszywego zdania. Zanim nadeszli ludzie, nie mówiliśmy, a zatem będziemy, możemy, musimy mówić poprzez nich. Uczynił to kłamstwo

surl
tesh-echer

swoją aspiracją. Nalegając na uczynienie pewnych założeń, zmienił stan faktyczny. Musiał nauczyć się kłamać, by przekazać prawdę.

— A zatem zrobimy tak — zwróciłam się do Tancerki i jego towarzyszy. — Pójdźmy za przykładem Surl Tesh-eche-ra. — IISyb przetłumaczyły, Ariekeni zareagowali. — Pokazał nam drogę. Znacie mnie. To ja, dziewczynka skrzywdzona w ciemnościach, która zjadła to, co jej dano. Powiedzcie mi, do czego jestem podobna, a potem, powoli, dojdziemy do tego, czym jestem.

Nadałam im przyzwiska: Tancerka, Ręcznik, Chrzyciel, Kaczka. Wskazywałam na nich kolejno, a nawet uśmiechałam się przy tym lekko — nigdy nie wiadomo, na co zwrócą uwagę. Ich samobieżne baterijki podskakiwały dookoła. Wszyscy z zebranych umieli trochę kłamać — w końcu byli uczniami największego kłamcy w swojej historii. Pomagałam im opuszczać kolejne informacje, szeptać frazy, tworzyć mylące opisy.

surl
tesh-echer

„Zanim nadeszli ludzie”. Kazałam IISyb powtórzyć to słynne zdanie Ariekeni nie dali mu rady — kłamstwo było dla nich jak błąd krytyczny w systemie.

— Jaki to kolor? — pytałam, podnosząc różne śmieci. Zebrani chowali i rozwijali pączki oczu.

Po kilku godzinach nie mogli już się skupić. Kaczka drżał, Ręcznik nucił coś i wydawał piskliwe dźwięki. Zrozumiałam, o co chodzi. Nie mieliśmy datachipów, Ariekeni musieli wyjść na ulicę, by posłuchać audycji. W piwnicy nie słyszałyśmy głosu EzCała, ale czułyśmy, jak drżą budynki. Spojrzałyśmy z IISyb na pozostałych, wyobrażając sobie, jak nasi uczniowie pędzą do najbliższego głośnika, odpierając po drodze bezro-zumnych narkomanów, a może przepychając się między sobą.

— Jak to możliwe, że popieracie tę akcję? — spytałam w końcu. — Jeśli nam się uda, to zmieni wszystko...

— A co mamy do stracenia?

— Trochę wiedzy?

— A co do zyskania?

— Dla wszystkich?

— Co tak naprawdę dała nam nasza wiedza?

Spuścili wzrok. Bren powiedział kiedyś, że w głębi duszy nienawidził swojego dubla. Patrząc na te zmęczone, zrezygnowane kobiety, które nie patrzyły sobie w oczy, zastanawiałam się, czy aby nie dotyczy to wszystkich Ambasadorów.

Po powrocie Ariekeni znów zachowywali się spokojnie. *Kontynuujmy* — powiedział jeden z nich. Przytaknęłam teatralnie, mówiąc „tak”. Potem powtórzyłam to jeszcze raz, wolniej. Poszukiwałam jakiegoś przełomu, szczeliny, granicy pomiędzy „przedtem” i „potem”. Co mogło spowodować taki przełomowy moment? Na razie pozostawało to tajemnicą.

* * *

— Jaka jestem? Co jest do mnie podobne? — IISyb tłumaczyły pytania i odpowiedzi.

— Jesteś dziewczynką skrzywdzoną w ciemnościach, która zjadła to, co jej dano.

— Padlinożercy, którzy przychodzą do latryn obok naszych domów, by się pożywić, są jak dziewczynka, która zjadła to, co jej dano.

— Urocze — stwierdziłam. Próbowałam ich pokierować w stronę poezji. Ariekeni tworzyli kolejne porównania. Nie dawałam im wytchnienia. Po jakimś czasie ich sugestie stały się coraz bardziej interesujące. Przeliczyli się z siłami — nasza rozmowa pełna była poronionych porównań:

— Kamienie są jak dziewczynka skrzywdzona w ciemnościach, bo...

— Zmarli są jak dziewczynka...

— Młode są jak dziewczynka skrzywdzona w ciemnościach, która zjadła...

W końcu przemówił Tancerka:

— Próbujemy coś zmienić, ale choć minęło już wiele czasu, jesteśmy cierpliwi, bo, podobnie jak dziewczynka, która zjadła to, co jej dano, wiemy, że to się kiedyś skończy — przetłumaczyły IISyb. — Ci, którzy nie próbują niczego zmienić, są jak dziewczynka, która zjadła nie to, co chciała, lecz to, co jej dano.

Otworzyłam usta. Wysoki Arieken pochylił się nade mną, nadstawiając oczy bez powiek.

— O Boże — wyszeptałam. — On zrozumiał. Wie, do czego zmierzam. Słyszałyście to?

— Tak.

— Tak.

— Użył mnie do opisu dwóch zupełnie przeciwstawnych rzeczy. Porównał je do mnie.

— Tak. — IISyb były bardziej sceptyczne, ale uśmiechnęłam się tak szeroko, że w końcu odpowiedziały uśmiechem.

* * *

Skończyliśmy późnym wieczorem, gdy Ariekeni byli już tak spragnieni boskiego towaru, że zupełnie nie mogli się skupić, i zamknęli się w sobie, drżąc gorączkowo. Spałam bez przykrycia na lekko uginającej się podłodze, aż w końcu Il albo Syb potrząsnęła mnie za ramię i zaoferowała jakieś skąpe śniadanie. Lekkie prześwitywanie ścian zdradzało, że znów nastał dzień. Moi uczniowie wciąż byli obok i tym razem wyglądali lepiej: EzCal wygłosili już poranną audycję.

IISyb powiedziały, że zauważono moją nieobecność. EzCal wyprawili do miasta oddziały poszukiwawcze.

— Teraz jesteś zdana na siebie.

— Musisz się ukrywać.

— Jesteś zbiegiem.

Nie musiały dodawać: „Jesteś jedną z nas”.

Przez cały dzień pracowaliśmy nad tworzeniem porównań. Ariekeni nie robili postępów, a ja byłam coraz bardziej zmęczona i niecierpliwa. O zmroku usłyszałam, że pokój otwiera się z wilgotnym młaśnięciem, i do środka wszedł Bren. Objęłam go i pocałowałam namiętnie. Odpowiedział na pocałunek, ale potem odsunął mnie od siebie. Zobaczyłam, że za nim postępuje jeden z Absurdali.

— Koszmarna podróż — stwierdził i zaśmiał się krótko.

Istota była bardzo słaba. Bren zakuł ją w kajdanki pod napięciem i popędzał elektrycznym prątem, inaczej z łatwością mogłaby go zabić. Ciało niemego stwora pokrywały rany i oparzenia.

Darskrzydło przywiązano do ciała, spętano kończyny. Schwywanie Absurdala było moim pomysłem, ale aż dotąd nie wierzyłam, że się uda.

— Chryste! — wykrzyknęłam. — Jak to zrobiłeś? Jezu, spójrz na niego. To okropne. Wyglądasz jak oprawca.

— To prawda — zgodził się.

Tancerka i pozostali otoczyli więźnia, który szarpnął się w więzach, próbując ich dosięgnąć. Cofnęli się, po czym znów podeszli, najwyraźniej wiedzeni niezdrową ciekawością.

— Co słysząc w Ambasadorii? — spytałam.

— Boją się. Chyba uznali, że teraz pracujemy dla wroga. A przynajmniej tak twierdzą.

— Dla Absurdali? Przecież to...

— Absurdalne.

— To szaleństwo.

— Wiesz, jacy są — odparł Bren. Ludzie powtarzali różne rzeczy, nawet jeśli dostrzegali w nich brak sensu. Mieli prawo się bać. Nadchodzili Absurdale.

— Jak go wydostałeś?

— Wszystkimi możliwymi sposobami. Fałszywe dokumenty, dezinformacja, groźby. Zakradanie się o północy. Przemoc. Wszystko.

— Teraz możemy przeprowadzić prawdziwe testy — stwierdziłam.

Bren wyjął z torby garść datachipów.

— Weź. Ta grupa trochę nad sobą panuje, więc nie jesteście całkowicie zależni od audycji. Możemy stąd wyjść.

— Dlaczego właściwie chcesz ich nauczyć kłamać? — spytała Il albo Syb. Zagapiłam się na nie z niedowierzaniem. W ogóle mnie nie zrozumiały. Pomagały zrealizować ten plan, byle tylko coś robić.

— Chodzi o to, by zmienić ich sposób myślenia — wyjaśnił Bren. — Jak myślisz, dlaczego opuszczamy miasto? — IlSyb wzruszyły ramionami.

— Chcę ich nauczyć innego postrzegania symboli — dodałam. — Wcześniej wydawało mi się to niemożliwe. Ale wiesz, co mnie przekonało? Niektórzy z nich już to zrobili. — Wskazałam na jeńca. — Udało im się osiągnąć to, o czym marzył Surl Tesh-echer i Tancerka, i cała ta grupa. Ich umysły działają teraz inaczej. I wykorzystują to, by nas zabić.

* * *

To właśnie idealna synchronizacja ataków Absurdali podsunęła mi ten pomysł. Musieli się jakoś porozumiewać — inaczej nie byłoby w stanie działać tak skutecznie. Nawet pozbawieni Języka musieli jakoś utrzymywać wspólnotę, choć pewnie nie zdawali sobie z tego sprawy. Każdy z nich prawdopodobnie czuł się samotny, uwięziony w mściwym szaleństwie, nawet jeśli doskonała synchronizacja, z jaką popełniali akty przemocy, przeczyła temu wrażeniu.

Widziałam, jak gestykują. Ich dowódcy wskazywali na różne rzeczy darskrzydłami. To właśnie Absurdale wynaleźli tę ideę — wskazywanie. Obdarzyli ten gest, ruch kończyny, własnym znaczeniem. „Tamto” było kluczowym pojęciem. Z niego wzięły się wszystkie inne bezdźwięczne słowa.

Tamto. Tamto? Nie, nie tamto — tamto.

Każde słowo w Języku oznaczało tylko jedną rzecz. Polisemia czy niejednoznaczność były wykluczone, przez co nie istniało w nim wiele różnych zjawisk, które czyniły inne języki językami. Ale „tamtość” im się udało — sama w sobie jest pojęciem tyleż pustym, co elastycznym; może być uniwersalnym odpowiednikiem wszystkiego. „Tamto” zawsze oznacza „tylko to jedno i nie tamto inne”. Na swój samotny, milczący sposób Absurdale dokonali

semiotycznej rewolucji — wynaleźli nowy język.

Był wprawdzie bardzo podstawowy i zawierał tylko czas teraźniejszy, ale jego pierwsze słowo stanowiło w istocie dwa: „tamto” i „nie-tamto”. Z tego maleńkiego, pierwotnego słownictwa powstało jądro antytezy, z której wypączkowały inne koncepcje: „ja”, „ty”, „inni”.

Stworzony przez nich kod nie przypominał precyzyjnej mapy pojęć, której nauczyli się, dorastając. Jednak to Język stanowił anomalię — nowe narzecze, składające się z machania kończynami i morderczego tupania, znacznie bardziej przypominało naszą mowę i wykazywało przynajmniej odległe pokrewieństwo do innych języków istot rozumnych.

— Nigdy nie zdołalibyśmy nauczyć się Języka — stwierdziłam. — Zawsze tylko udawaliśmy. To Absurdale nauczyli się mówić jak my. Ci Ariekeni chcą się nauczyć kłamać. To oznacza, że muszą myśleć inaczej. Nie tylko używać odniesień, ale też nadawać komunikatom znaczenie. Myślałam, że to niemożliwe. Ale spójrzcie. — Wskazałam na istotę, która chciała mnie zabić. — Tak właśnie robią. Za każdym razem, gdy na coś wskazują, nadają znaczenie temu gestowi. Jak dotąd, cena jest zbyt wysoka. Ale teraz wiemy, że Ariekeni są w stanie to osiągnąć. A jeśli chcemy nauczyć tę grupę, jak to robić, musimy ich nauczyć kłamać.

Porównania prowadzą do... wykroczeń. Za ich pomocą można odnieść się do wszystkiego. Mimo że w Języku wszystko musi być dosłowne. Wszystko jest takie, jakie jest, a jednak. Na przykład ja mogę być jak zmarli i jak żyjący, i jak biurko, i jak ryby, i jak wszystko. Surl Tesh-echer wiedział, że Język próbuje... przekroczyć własne granice. Że próbuje nazywać. — Dlatego właśnie wybrał taką dziwną strategię, próbując nauczyć się kłamać za naszym pośrednictwem. Nie wzięłam ze sobą książek Scile’a, ale przejrzałam je wielokrotnie, przeanalizowałam, skrytykowałam i wiedziałam, co trzeba zrobić. — Musieli mnie skrzywdzić i nakarmić, żebym nadawała się do mówienia, ponieważ to wszystko musiało być zgodne z prawdą. Ale to, co teraz mówią z moją pomocą... jest prawdziwe tylko dlatego, że oni tak zdecydowali. Wszystko, co mówią, jest prawdą, bo oni to sprawili.

Porównania to tylko metoda na obejście sytuacji, przejście od odniesienia do oznaczania. Teraz możemy ich przeprowadzić tą drogą aż do samego końca. — Im dłużej mówiłam, tym wszystko stawało się jaśniejsze. — Aż do miejsca, gdzie to, co dosłowne, staje się... — Urwałam. — Czymś innym. Jeśli porównania dobrze wykonają swoje zadanie, stają się czymś innym. Najlepiej wygłaszamy prawdę, stając się kłamstwami.

„Nie paradoksami” — zamierzałam dodać. Nie były to paradoksy, bo nie były bezsensowne.

— Nie chcę już być porównaniem — powiedziałam w końcu. — Chcę być metaforą.

Część ósma

NEGOCJACJE

Usłyszeliśmy dziwne dźwięki, a potem nad Ambasadorią uniosły się statki i podążyły w stronę miasta. Większość cor-vusów stanowiły hybrydy biodyfikatów i bezkrwawych technologii. Pomędzy nimi unosiły się kolczaste holki, wielkie jak kościoły i starsze od Ambasadorii.

— Nie mogę uwierzyć, że zdołali je poderwać — stwierdziłam.

— Nie są takie groźne, jak wyglądają — odparł Bren. — Kiedyś były statkami badawczymi. To wszystko teatr. Nawet z pomocą arsenału Bremen nie mamy żadnych szans.

Bren, wraz ze swoim dublem, brał kiedyś udział w tajnych przygotowaniach. Rozmawiali ze szpiegami, podwójnymi i potrójnymi agentami.

— Wyatt postąpił sprytnie. Bardzo rozsądnie dawkował informacje na temat tego, czym dysponuje, żeby w rezultacie wzbudzić respekt. Ale tak naprawdę nie miał nic.

Flota ciężkim lotem oddaliła się, by staczać przegrane walki. Zdjęłam maskę, by odetchnąć powietrzem w hermetycznym pomieszczeniu. Ariekeni patrzyli wyczekująco. Byłam wykończona i na chwilę zamknęłam oczy.

* * *

Ucieczka z miasta okazała się skomplikowana: było nas czworo Ziemiaków i kilkoro Ariekeniów i z największym wysiłkiem zdołaliśmy jakoś pociągnąć za sobą naszego absurdalnego więźnia. Był niewiarygodnie silny. Musieliśmy co chwila traktować go wyładowaniami i potem obolałego wlec za sobą.

— Zostawmy go — zaproponowała II.

— Nie możemy — odparł Bren.

Z nas wszystkich to on najczęściej próbował się z nim porozumieć, próbował tego przy każdym postoju. Nic mu to nie dało. Więzień praktycznie nie zwracał na niego uwagi, wciąż popatrując z wściekłością na uzależnionych Ariekeniów.

— Szykują się do bitwy — powiedział Bren, wskazując na niebo. — Bez sensu, ale trochę to szanuję. EzCal nie poddadzą się bez walki. — Próby negocjacji wciąż nie dały skutku, Ab-surdale zaś byli coraz bliżej. Ziemszy uchodźca z rolniczych przyczółków gromadnie ciągnęli do Ambasadorii. Wyprawa często przerastała ich siły; ciała rozkładały się wewnątrz skafandrow na papkę, która nie mogła nawet użyźnić tej ziemi.

— EzCal zastanawiają się, czy nie da się tego rozwiązać siłą.

Tak jakby sama wojowniczość mogła zrównoważyć przewagę liczebną.

— Ale trzeba im oddać sprawiedliwość — dodał po chwili. — EzCal będą na polu walki. Ez na to nalegał. Zabawa się skończyła.

Opuściłam dom zaledwie kilka dziesiątków godzin temu, ale najwyraźniej było już po imprezach. Biedna Ambasadoria.

* * *

Szliśmy opłotkami, ale było nas za dużo, by utrzymać całą wyprawę w tajemnicy. Liczyliśmy na to, że chaos panujący w Ambasadorii i samym mieście pomoże ukryć naszą obecność. Człgaliśmy się tunelami pomiędzy kośćmi budynków i czekaliśmy, rażąc więźnia prądem do nieprzytomności, ilekroć zobaczyliśmy jakieś patrole ludzi, Ariekeniów lub jednych i

drugich, rozpędzające zbiegowiska i strzelające do obłąkanych.

Cieężko było patrzeć, jak na skórzastej równinie nasi kon-stable ramię w ramię z Ariekenami brutalnie zaprowadzają porządek. IISyb co chwila szeptały do Tancerki i pozostałych: *Musicie być cicho*. Gestykulowałam gorączkowo, by ich uciszyć, czego, oczywiście, nie zrozumieli. W górze przemknęło kilku lotników. Musieliśmy się ukrywać przed oddziałami wysyłanymi na front.

Wciąż próbowałam ich uczyć. Osłanialiśmy Ariekenów przed dźwiękami z głośników, gdy rozpoczynano audycje EzCala (obecnie odtwarzane z nagrań). Wtedy chowaliśmy się gdzieś, a oni słuchali datachipów, które przynieśliśmy ze sobą, dozując małe dawki, nie pozwalając, by to boski towar narzucał im rytm dnia, podczas gdy ich współplemieńcy tratowali się na sam dźwięk jego głosu. Nie wiem, w jaki sposób monitorowali, kto zdążył już wysłuchać jakiego chipu.

Nasz więzień widział, co robią, skuleni po kątach, z rozłożonymi wachlokrzydłami. Zdawało mi się, że patrzy na nich z obrzydzeniem. W każdym razie szarpał się w więzach.

Szybko stworzyliśmy sobie własny katechizm. Zbudowałam go na podstawie tego, co usłyszałam od Tancerki, i wyszeptałam gotową formułkę we wszechangielskim, a IISyb powtórzyły ją w Języku. Bren bezgłośnie wyszeptał moje porównanie, które po raz pierwszy wymówił tak dawno temu.

— Próbujecie coś zmienić — powiedziałam. IISyb powtarzały za mną. — Pragniecie zmiany, tak jak dziewczynka, która zjadła to, co jej dano. A zatem jesteście tacy jak ja. Ci, którzy nie próbują niczego zmienić, są jak dziewczynka, która zjadła nie to, co chciała, lecz to, co jej dano. Są tacy jak ja. Jesteście jak dziewczynka, która zjadła. Jesteście dziewczynką, która zjadła. Jesteście jak dziewczynka. Jesteście dziewczynką. Jesteście mną, podobnie jak inni, którzy nie są tacy jak wy.

Za pierwszym razem, gdy IISyb przeszły od „jesteście jak” do „jesteście”, Ariekeni drgnęli wyraźnie. To dziwne, mięsiste kłamstwo „jesteście”, zrodzone z prawdy „jesteście jak”. I jego zaprzeczenie — że ich wrogowie są do mnie podobni tak samo jak oni. Pokazaliśmy im, w jaki sposób ich własne argumenty niemalże uczyniły ich kłamcami.

* * *

Uzależnione pojazdy mijaly nas w pędzie, galopując w dzicz. IISyb zaprowadziły naszą grupę do transportera — był brzydki, toporny i pełen powietrza zdatnego do oddychania. Lecieliśmy na niewidzialnej poduszce emitowanych cząstek, zmierzając śladem oddziałów ambadoriańsko-miej-skich.

Po przedmieściach biegały osamotnione zelle; pozbawione właścicieli, włóczyły się stadami, bezskutecznie szukając czegoś do zasilenia. Bren prowadził naszą hybrydę. Nie była tak szybka jak statek wojskowy, ale i tak przyspieszyła podróż, odpychając się od ziemi rozkołysanymi członkami, przypominającymi wiosła gondolierów. Poprzez jej okno-oczy patrzyłam na cofające się miasto. Z początku widziałam tylko podupadłe siedliska i magazyny, zapadające się w błocie, ale w końcu miasto urwało się zupełnie, a naprzeciw nam wyszło niebo.

Pojazd wzbijał kurz. Kolczaste krzewy zbiegały nam z drogi, otwierając ścieżkę na pola, ciągnącą się przez wiele metrów, a potem rozchodzącą w kilka potencjalnych kierunków. Arie-keńskie baterijki uwijały mi się pod nogami. Za nami zarośla wróciły na poprzednie miejsca. Miasto wyglądało teraz jak szereg wież i kopulastych sal, przypominających niezasadzone cebulki. Wciąż się cofało.

Patrzyłam na nie długo. Osłaniałam oczy, jakby moja ręka mogła posłużyć za magiczne gogle, ale nie dostrzegałam dymów bijących znad ziemskich osiedli. Zastanawiałam się, czy

istnieją ariekieńscy wędrowcy, a jeśli tak, to czy są na tej planecie inne miasta, do których mogliby się udać. Nie mogłam uwierzyć, że nie wiem takich rzeczy.

Zelle zrobiły się niespokojne wcześniej niż ich właściciele: wyraźnie gorzej radziły sobie z uzależnieniem. Po kilku godzinach Ariekeni skulili się tak bardzo, jak tylko pozwalały im na to potężne ciała, przytulając się do rur i przewodów. Jeden po drugim rozwinęli wachloskrzydła nad datachipami.

* * *

Jesteście jak dziewczynka, jesteście dziewczynką. Oni są jak dziewczynka, są dziewczynką.

qeshiq

malis-inna

— poleciły IISyb. *Powtórzcie to.*

Jesteśmy jak dziewczynka — powiedzieli Ariekeni.

Jesteście dziewczynką — kontynuowały IISyb, a moi uczniowie zadreptali nerwowo, ich podekscytowanie stanowiło dobry znak. Nie byli w stanie wykonać polecenia, ale w jakiś abstrakcyjny i obcy sposób rozumieli, co próbujemy osiągnąć. *Dziewczynka...* — zaczynał jakiś, a drugi dodawał: *my...* albo *jesteśmy...* albo *jak...* Biedne IISyb, biedny Tancerka. Byłam bezlitosna.

— Co to takiego? — Zobaczyłam, że coś podąża naszym śladem. Kolejny ruch na zachód od nas i już wkrótce z góry rozległ się szum następnej maszyny. Zbliżyły się do nas kolejne transportowce, teraz widzieliśmy je już wyraźnie. Wie-lokołowy wóz na hydrozawieszeniu; ciężarówka z ziemtechu wyposażona w biodyfikowaną broń, jednoosobowe centaury, bezgłowe końskie ramy prowadzone przez ludzi w hełmach aeoli. Szybowiec unoszony na prądach powietrznych. Bren zatrzymał pojazd. IISyb wysiadły, widząc nadciągającą kawalkadę.

Inne pojazdy także zwolniły. Kierowcy i piloci wyjrzeni przez okna. Z tyłu rozległo się syczenie Absurdala, choć sam tego nie słyszał. Uciekinierzy byli prawdopodobnie wygnańcami uciekającymi z miasta. Zdegradowany Personel i ludzie o mniej chwalebnej przeszłości. Szybowiec wylądował, a ze środka wychylił się Shonas. Przez chwilę zastanawiałam się, gdzie są DalTon. Mieszkańcy miasta byli ostrożni i nieufni, ale większość znała się od dawna. Wymieniali krótkie informacje na temat posunięć Absurdali i sił Ambasadorii.

Potem znów ruszyliśmy w drogę, jako część małego orszaku. Szybowiec dawał nam sygnały skrzydłami i światłami nawigacyjnymi.

— Powiedz Tancerce, żeby tu podszedł — zwróciłam się do IISyb. — Przetłumacz mu to, co powiem. — Wskazałam na oczy rydwanu. Tancerka nie spojrział za moim gestem. — Spójrz na zewnątrz i w górę, na tę maszynę ponad nami — powiedziałam, a IISyb to powtórzyły. Czasem, gdy zwracałam się do Ariekeniów, nieświadomie odtwarzałam we wszechangielskim precyzyjną strukturę Języka. — Widzisz ten pojazd ponad nami, o różnokolorowych skrzydłach? Ich ruch coś znaczy. Ten pojazd do nas mówi.

Kilka z oczu Tancerki spojrzęło na samolot, kilka na IISyb, a jedno na mnie. „Usłyszałeś to od IISyb, ale czy wiesz, że tak naprawdę to ja mówię?” — pomyślałam wtedy.

— Nie rozumie — stwierdziła Il albo Syb. — Wie, że nie kłamię, ale jego zdaniem ten samolot wcale nic nie mówi.

— Ale to prawda — nalegałam.

* * *

O świcie ostro skręciliśmy, by ominąć siły EzCala i nie wpaść na ich obóz.

— Spokojnie, spokojnie — powtarzał Bren. Desperacko próbowaliśmy dotrzeć do Absurdali, zanim zrobią to połączone siły defensywne. — Nie ma pośpiechu. Wyprzedzimy ich. Oni i tak nie chcą walczyć. Będą próbowali negocjować.

— Jest tylko jeden problem — zauważyłam zgryźliwie. — Nie potrafią.

Wciąż widziałam szybowiec. Pozostałe pojazdy trzymały się z tyłu, ale na tyle blisko, że mogliśmy nawet pomachać do kierowców. Późnym rankiem równina pokryła się gazo-drzewami — dywan tysięcy worów mięśniowych, wielkich jak domy, chwiejących się lekko na wietrze. Jeden po drugim pojazdy zniknęły.

— Co się dzieje? — zapytałam.

— Nie mogą tędy przejechać — odparł Bren. Teraz towarzyszyły nam tylko trzy centaury. IISyb spojrzały nerwowo po sobie.

— Bren... — zaczęła jedna.

— Oni są znacznie mniejsi.

— My też nie możemy tędy przejechać.

— Zobaczą nas.

— Zostawimy ślady...

— W ogóle nie słuchaliście? — spytał ze złością. Szarpnął za kontroler, jakby mogło to coś przyspieszyć. — Nie mamy czasu. Musimy tam dotrzeć szybko. Weźcie się do roboty. Po-winnyście ich uczyć. Nie wystarczy, że tam dotrzemy. Mamy zadanie do wykonania.

Ale im bardziej zbliżaliśmy się do lasu, tym trudniej było się skoncentrować. Niektóre z drzew wątlm krokiem ustępowały nam z drogi, ale większość poruszała się zbyt wolno. Napięłam mięśnie. Cienkie nogi pojazdu przebiły węzlaste pnie. Przyspieszając i unosząc się w górę, wycinaliśmy czystą linię. Przez tylne okna patrzyłam, jak centaury niosą swoich jeźdźców ponad poskręcanyimi kikutami, które zostawiliśmy za sobą. Nie było zbyt wiele szczątków — podmuch uniósł je na bok.

— Miniemy ten las i potem jeszcze kilka kilometrów prosto — powiedział Bren. Głos drżał mu w rytm wibrowania statku. — Tam są ich armie.

Rozdęte korony drzew uderzały o siebie w górze. Wokół nas rozlewały się plamy mroku i cieni, w których — jak nagle zrozumiałam — mogło się znajdować cokolwiek. Może jakieś starożytne ruiny Ariekeńców? Za nami rozciągał się trójkąt nieba, gdzie rozproszone drzewa prostowały się w szeregach, aż w końcu uderzał w nie wiatr i znów się kołysały. Właśnie w tej wyrwie dostrzegłam, że samolot wywija salta, jakby toczył walkę.

— Coś się dzieje! — zawołałam. Wyciągnęliśmy szyje i ujrzeliśmy, jak odpala salwę dziobową, mierząc w atakującego lotnika.

— Jezusie Pharotektonie, kurwa mać! — mruknął Bren.

Nie mogliśmy się ukryć. Gdziekolwiek byśmy skręcili, ruch drzew zawsze zdradziłby naszą obecność, więc po prostu zwiększyliśmy prędkość. Jeźdźcy centaurów odpowiedzieli ogniem. Rozległy się wybuchy, a znad bijącego dymu uniosły się drzewa i ich poszarpane resztki, ciągnąc za sobą smużki dymu i płonącej roślinności.

Shonas znów wystrzelił. Przez chwilę wydawało mi się, że ściga nas jego odwieczny wróg, DalTon, że znów wpłatałam się w czyjś dramat, ale napastnik latał zygzakami, których nie wyciągnąłby żaden człowiek. EzCal rozkazali ariekeńskiemu statkowi, by nas zatrzymał. Prawdopodobnie domyślili się już, że zmierzamy w stronę nadciągającej armii.

Centaury rozbiegły się po pęcherzykowatym poszyciu. Usłyszałam, jak IISyb trajkoczą w Języku. Relacjonowały Tancerce, co się dzieje.

— Może mógłbym... — zaczął Bren, a ja zastanawiałam się, czy naprawdę ma jakiś plan. Szybowiec przeleciał mi przez pole widzenia i trafił w kępę wznoszących się drzew. I i

Syb zawyły rozpaczliwie.

Jak dotąd nie dowierzałam, że EzCal rzeczywiście poświęci jakiś statek, byle tylko nas dorwać. Wrzasnęłam, gdy grunt eksplodował tuż pod nami.

* * *

Obudziłam się, słysząc jakiś zgiełk. Zakaszlałam i krzyknęłam, zaskoczona, spoglądając w liczne oczy Ariekena. W górze dojrzałam rozerwany wrak, przez który widać było niebo i rozkołysane drzewa. Obok siebie zobaczyłam nieruchome ciało innego Ariekena — był martwy. Przez chwilę miałam wrażenie, że ja też umieram. Uniosłam maskę aeoli, a potem żyjący Arieken pociągnął mnie darskrzydłem i wywlókł przez szczelinę z przewróconego wraku.

Zdałam sobie sprawę, że od katastrofy upłynęło niewiele czasu. Potknęłam się i wsparłam na Tancerce, by nie stracić równowagi. Staliśmy w wyrwanym kraterze obrzeżonym frędzlami roślinności zwisającej na poszarpanych łodygach.

W dole leżało jeszcze kilku martwych Ariekeniów; żyjący uwijali się wokół, ciągnąc za sobą Breña, Il i Syb. Absurdał kręcił się oszołomiony, a jeden z rannych pchnął go w naszą stronę, wyciągając darskrzydło. Usłyszeliśmy westchnienie i na skraju naszej wyrwanej polanki uniosło się kolejne drzewo, z ucepionym gałęzi człowiekiem. Był to jeden z jeźdźców, najwyraźniej centaur zrzucił go w panice. Mężczyzna trzymał się kurczowo, ale szybko nabierał wysokości, aż w końcu trzymające go pęta zerwały się gwałtownie. Runął w dół, nie wydając żadnego dźwięku, gdy tymczasem roślina wciąż się wznosiła. Nie widzieliśmy, gdzie wylądował, ale nie miał szans tego przeżyć.

Potknęłam się na szczątkach wraku. Gdy morderczy lotnik w końcu nadleciał, w okolicy nie było już żadnych oznak życia. Obserwowaliśmy go z kryjówki w pobliskim lesie. Statek okrążył lej kilka razy, po czym odleciał w stronę nadciągającej armii.

— Musimy iść pieszo — oznajmił Bren. — To zajmie pewnie z parę dni. Trzeba przejść przez ten las.

Siły Ambasadorii znajdowały się przed nami, ale wiedzieliśmy, że potyczki po drodze mogą je spowolnić i wciąż mamy szansę dotrzeć do atakujących pierwi. Wszystko zależało jednak od tego, czy zdołamy nauczyć Ariekenów wszystkiego, co potrzeba. Co kilka godzin zatrzymywaliśmy się, by dać odpocząć okulałym, obtartym nogom i odbyć kolejną lekcję. Ani Ariekeni, ani ich baterie nie wydawali się zmęczeni. Nie wiedziałam nawet, czy i w jaki sposób przeżywali żalobę po swoich zmarłych kolegach. Nasz jeniec także dreptał przed siebie jakby przygaszony — nie wiedziałam, czy to na skutek ataku, otoczenia, czy czegoś jeszcze innego.

Bren prowadził za pomocą jakiegoś ręcznego urządzenia. Od czasu do czasu rozglądałam się po okolicy, patrząc na zalegający wokół mrok i poszycie koloru siniaków. Las wypełniały obce dźwięki, wokół uwijały się promieniste i spiralne stworzenia. Byliśmy dla nich ciekawostką — nie przypominaliśmy ani drapieżników, ani ofiar, zwierzęta nie czuły się zagrożone ani nie próbowały nam zagrażać. Te, które miały oczy, przypatrywały się nam ciekawie. W pewnym momencie jeden z Ariekenów zasygnalizował, że w pobliżu jest coś groźnego. Był to

kosteb
floranshi

, wielkości pokoju. Na zmianę otwierał i zamykał paszczę. Z pewnością zaatakowałby Ariekenów, gdyby byli sami, ale obecność obcych zmyliła jego instynkt łowiecki.

Ariekenom udało się ocalić garść datachipów, ale nie wszystkie. Musielije oszczędzać. Jeden po drugim odchodzili w głąb zarośli, gdzie słuchali głosu EzCala, a potem znów nas doganiali; trochę oszołomieni, ale przytomni.

Szliśmy do wieczora, a potem jeszcze w nocy, aż las zaczął się przerzedzać, i w końcu wyszliśmy na trawiastą równinę oświetloną blaskiem Wraku. Wtedy pozwoliliśmy sobie na trochę snu, ale, jak zawsze, najważniejsze były lekcje.

* * *

Jesteście jak dziewczynka, jesteście dziewczynką.

— Jezu! — wykrzyknęłam sfrustrowana. — No, mówcie, kurwa! — Nie widziałam żadnych oznak, ale byłam zupełnie pewna, że Ariekeni są równie rozgorączkowani. — IlSyb — zwróciłam się do Ambasadorki. — Zapytaj ich tak: „Czy wiecie, kim jestem?”

Zapytała. Ariekeni wymruczeli w odpowiedzi: *Ona jest dziewczynką, która...*

Przerwałam.

— Nie. Czy oni naprawdę zdają sobie z tego sprawę? Na przykład, czy wiedzą, co to jest „dziewczynka”? Wiedzą, że jestem porównaniem, ale czy wiedzą, że „dziewczynka” to ja? Za kogo was uważają, IlSyb? Ile was jest?

— Wiesz, o co pyta — dodał Bren. — Zagadka rejestrowa.

Czy Ariekeni uważali Ambasadorów za jedną czy dwie osoby? Personel zawsze twierdził, że to bezcelowe, nieprzetłumaczalne i niegrzeczne pytanie.

— Przepraszam, ale muszę im uświadomić, że jesteście dwiema osobami, bo muszą też

zrozumieć, że ja jestem jedną. Ze te śmieszne dźwięki, które wydają, to język. Że coś do nich mówię!

Ariekeni w milczeniu patrzyli na istotę emitującą nieartykułowane piski szybciej i głośniejsz niż pozostałe.

Po dłuższej chwili Bren zauważył:

— Ambasadorzy nigdy nie byli zbyt chętni, by wyjaśnić tę kwestię.

— Wyjaśnijcie ją teraz — zażądałam. — Pora, by Ambasadorzy przestali być jedynymi pełnoprawnymi ludźmi.

Nie sądzę, byśmy zdołali tak drastycznie zmienić percepcję Ariekeniów — nawet tej awangardowej grupy — gdyby już wcześniej, do pewnego stopnia, nie podejrzewali, że każde z nas jest rozumną istotą. Tancerka i jego towarzysze z początku odpowiedzieli coś w rodzaju „oczywiście, i co z tego”, ale w miarę jak IISyb nalegały coraz bardziej, zaczęli okazywać zaciekanie, zmieszanie, a nawet złość czy strach. W końcu dostrzegłam coś, co mogło oznaczać zrozumienie.

Ona mówi — powtarzały IISyb. *Dziewczynka, która zjadła to, co jej dano. Mówi, tak jak ja teraz do was.*

— Tak — potwierdziłam, zwracając się do wpatrzonych we mnie Ariekeniów. — Właśnie tak.

W ich pojęciu Język oznaczał ekwiwalent myśli — obdarzając mnie świadomością, IISyb wysunęły naprawdę rewolucyjną tezę. Uświadomiły Ariekeniom, że ja także mówię, a to oznaczało, iż muszą istnieć też inne języki prócz Języka.

— Każcie im to powiedzieć — ciągnęłam. — Niech powiedzą, że ja mówię.

Tancerka zareagował pierwszy. *Człowiek w niebieskim mówi*. Pozostali mieli z tym więcej trudności, ale jeden po drugim powtórzyli to krótkie zdanie.

— Wierzę w to — stwierdziłam. To właśnie był początek zmian.

— Tłumaczcie — poleciłam IISyb. — Znacnie mnie — zwróciłam się do Ariekeniów. — Jestem dziewczynką, która zjadła, i tak dalej. Jestem taka jak wy, wy jesteście tacy jak ja, a ja jestem jak wy. Jestem wami.

Jeden z Ariekeniów coś krzyknął. Coś się działo. Szerzyło się wśród nich jak pożar. Tancerka wybałuszył oczy.

— Avice... — powiedział ostrzegawczo Bren.

— Wyjaśnij im, o czym mówię — powiedziałam, patrząc na Tancerkę. Spojrzałam mu błagalnie w oczy, całkiem jakbym rozmawiała z człowiekiem. — Powiedz, że chcę zmienić ten świat na lepsze, więc jestem taka jak ty. Jestem tobą. Wzięłam to, co mi dano, więc jestem jak pozostali. Jestem nimi. — Oświeciłam się pochodnią. — Świecę w nocy, więc jestem jak księżyc. Jestem księżycem. — Położyłam się na ziemi. — Wiecie, jak śpimy, prawda? Jestem zmęczona, więc leżę nieruchomo, jak trup. Jestem śmiertelnie zmęczona. Rozumiesz?

Ariekeni zatoczyli się w tył. Wachloskrzydła napięły się gwałtownie, zwijały się i rozwijały na zmianę. Wyciągnęli dar-skrzydła, i Brena aż zatkało z przerażenia, ale żaden mnie nie dotknął. Wyrzucali z siebie jakieś urywane słowa i dźwięki.

— Co się dzieje? — spytała II lub Syb.

— Nie przestawajcie! — krzyknęłam. — Ani mi się wazcie. Tłumaczcie dalej! — Ariekeni zawyli jednocześnie, tworząc upiorny chór. Cofnęli szypułki oczu. — Nie przestawajcie. Jestem dziewczynką, która zjadła, ple, ple, ple. Co dotąd mówiliście z moją pomocą? Wszystko, co opisywaliście, wszystko, co było do mnie podobne, jest też mną. Widzicie? Już kiedyś to robiliście. Po prostu opisujecie pewne rzeczy w odniesieniu do innych. — Stałam przed Tancerką. — Powiedz mu, jak go nazywam. Powiedz: dawno temu żyli

ludzie, którzy nosili czarno--czerwone ubrania, podobne do wzorów na twoich skrzydłach.

tan
cerka

Tancerki flamenco. — Usłyszałam, jak IISyb naprędce tworzą neologizm . — Nie potrafię wymówić twojego imienia w Języku, więc wymyśliłam ci inne: Tancerka. Jesteś jak Tancerka.

Jeden po drugim Ariekeni wydali z siebie przeraźliwe wrzaski, a potem umilkli. Nie wysunęli oczu. Kołysali się miarowo. Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał.

— Coś ty zrobiła?! — szepnęła Syb. — Wpędziłaś ich w szaleństwo.

— I dobrze — odparłam. — Według nich i tak jesteśmy szaleni. Mówimy prawdę za pomocą kłamstw.

Jak kwiaty w słońcu na przyspieszonym filmie, oczy Tancerki w końcu rozwinęły się z powrotem. Arieken otworzył usta, ale wydobył się z nich tylko bełkot. Urwał i spróbował znowu. II, Syb i Bren tłumaczyli, ale tym razem nie byli mi potrzebni. Tancerka mówił powoli, jakby sam uważnie słuchał każdego słowa.

tan
cerka

Jesteś dziewczynką, która zjadła. Ja jestem . Jestem taki jak ty i jestem tobą.

Ktoś głośno chwycił powietrze. Tancerka wyciągnął szy-pułki oczu i spojrzał na własne wachlokrzydło. Dwoje oczu wróciło do poprzedniej pozycji, by spojrzeć na mnie. *Mam wzory. Jestem tancerką.*

Nie odrywałam od niego oczu.

Jestem taki jak ty, bo też wyczekuję zmiany. Tancerka jest dziewczynką skrzywdzoną w ciemności.

shesh
qus

— Tak — szepnęłam, a IISyb wykrzyknęły: . Tak.

Pozostali Ariekeni dołączyli do niego. *Jesteśmy jak dziewczynka, która została skrzywdzona.*

Jesteśmy jak dziewczynka...

Jesteśmy dziewczynką...

— Powiedzcie im, jak ich nazywamy — poprosiłam IISyb. — Ty chodzisz podobnie jak pewien ziemski ptak, dlatego jesteś Kaczka. Ty kapiesz śliną ze skrótoust, dlatego jesteś Chrzyciel. Wyjaśnijcie im to, dobrze? Powiedzcie im, powiedz, że miasto jest sercem...

Jestem jak człowiek kapiący płynem, jestem nim...

Upojeni tym nagłym odkryciem, powtarzali te porównania, aż w końcu stawały się kłamstwami, wygłaszali prawdy, których dotąd nie byli w stanie sformułować. Mówili metaforami.

— Boże — szepnęła II.

— Jezu Chryste Pharotektonie. — To był Bren.

— Boże — zawtórowała Syb.

Ariekeni zwrócili się do siebie nawzajem.

Ty jesteś Tancerkę. Miałam ochotę się rozplakać.

— Jezu Chryste, Avice, udało ci się! — Bren złapał mnie w objęcia i długo nie wypuszczał. IISyb uściskały mnie obie naraz. Obejmowałam ich wszystkich.

— Udało n a m się — poprawiłam. Słuchaliśmy, jak Ariekeni zwracają się do siebie, używając niespotykanych wcześniej epitetów.

Pozostała jednak dwójka, która nie uczestniczyła w ogólnej radości; wpatrywali się w swoich towarzyszy nierozumieją-cym wzrokiem. Ale pozostali nie mogli się nacieszyć tą nową umiejętnością.

Jestem inny niż kiedykolwiek — powiedział nam Tancerka.

* * *

Znacznie później, po wielu godzinach, wygrzebałam z bagaży datachip, obliczając, ile czasu upłynęło od ostatniej dawki, i odtworzyłam go głośno. EzCal mówili coś na temat swoich ubrań. Ci dwaj, wciąż niezmienni — nazywałam ich Kołek i Dach — zareagowali gorączkowym podnieceniem.

Żaden z pozostałych nawet nie drgnął. Spojrzałam na nich. W końcu, powoli, krok za krokiem, rozeszli się w różne strony.

Nie czuję... — powiedział jeden. *Jestem, nie jestem...*

— Odtwórz jeszcze jeden — polecił Bren.

EzCal zaczęli rozvodzić się nad jakimś innym głupstwem. Ariekeni spojrzeli po sobie.

Nie jestem... — zaczął inny.

Wzięłam kolejny chip, każąc EzCalowi podkreślić, jak ważne jest utrzymywanie odpowiednich zapasów leków, i znów tylko ci dwaj zareagowali. Pozostali słuchali co najwyżej z ciekawością. Odtworzyłam kolejne. Dach i Kołek zeszytywnieli, ale ich towarzysze zaczęli wydawać pytające dźwięki, jakby dziwić się bezsensownym tyradom EzCala.

— Co się stało? — zająknęły się IISyb. — Coś ich odmieniło.

Tak. Coś w nowym języku. Nowy sposób myślenia. Teraz potrafili nazywać — bawili się elizją, płynną granicą pomiędzy słowem a jego referentem. Przestrzeń, w której mogli wymyślać nowe koncepcje.

Ze śmiechem rzuciłam im chipy, a oni zaczęli je odtwarzać. Polanę wypełniły rozbrzmiewające jednocześnie głosy Eza i Cala.

— Zmieniliśmy Język — oznajmiłam. — Teraz nie ma już nic, co mogło by ich... upoić.

Kiedyś było to możliwe, ponieważ taka sytuacja zdawała się im nie do pomyślenia — pęknięcie spójności świata, in-herentna sprzeczność. Ale jeśli język, myśli i rzeczywistość istniały oddzielnie, wówczas w głosie EzCala nie było nic wyjątkowego, żadnej fascynującej niezwykłości. Żadnej tajemnicy. Tam, gdzie wcześniej był Język, teraz był już tylko język — zbitki dźwięków oznaczające różne rzeczy.

Ariekeni przeglądali kolejne chipy, z niedowierzaniem słuchając ich zawartości (w każdym razie miałam wrażenie, że tak reagują). Tancerka wciąż pochylał się nad stosikiem chipów, ale szypułki oczu uniósł w moją stronę. Może teraz — lepiej niż wcześniej — rozumiał, że dźwięki wydawane przeze mnie to też słowa. Nasłuchiwał.

— Tak — powiedziałam, a on zagruchał przeciągle i synchronizując się sam ze sobą, odpowiedział:

tak
— *tak*

Gdy nastąpiła noc, Ariekeni, jeden po drugim, wycofali się i zaczęli wydawać straszne dźwięki. Bałam się, ale nie wiedziałam, co na to poradzić. Tancerka, Chrzyciel, Kaczka, Ręcznik, wszyscy z wyjątkiem Kołka i Dacha, którzy patrzyli na to zupełnie bezmyślnie, skulili się, jakby czuli potworny ból. Nie wszyscy krzyczeli, ale wszyscy na swój sposób wyglądali na umierających.

II Syb zdawały się zaniepokojone, lecz ani Brena, ani mnie nie zaskoczył ten widok. Dźwięk starych przyzwyczajęń odpadających płatami. Ból zakończenia i początku. „Teraz wszystko się zmieniło” — pomyślałam to bardzo precyzyjnie, wymawiając każde słowo. Pomyślałam: „Teraz rozumieją”.

Z początku każde słowo w Języku było izomorficzne z jakimś elementem rzeczywistości. Nie było myślą — nie do końca — jedynie elementem świata, który sam wyrażał się za pośrednictwem Ariekeniów. Język zawsze był dla nich redundancy — liczył się tylko świat. Teraz nauczyli się mówić i myśleć, a to bolało.

— Może powinniśmy... — zaczęła II i nie wiedziała, jak to skończyć.

Ich wypowiedzi nie były już stuprocentowo zgodne ze stanem faktycznym. Nie były tożsame z konkretnymi rzeczami, stanowiły raczej myśli o nich; znaczenie nie było już płaską fasetką esencji; znaki brutalnie oderwano od ich desygnatów. A żeby tego dokonać, należało się uciec do kłamstwa. Wraz z tą spiralą odejścia od asercji nadeszła istota bytu, Ariekeni zaś stali się sobą. Patrzyli za rozszerzające się granice pojęć, cierpieli na chorobę światową. Teraz wszystko mogło być wszystkim. Ich umysły zmieniły się w handlarzy: metafory stały się jak pieniądze — odpowiedniki niewspółmiernych pojęć. Mogli teraz stworzyć własne mitologie — nigdy nie znali baśniowych potworów, ale teraz cały ich świat zaludniły chimery, każda metafora splatała ze sobą różne rzeczy. „Miasto jest sercem” — powiedziałam, i w tym pojęciu serce i miasto zmieniły się w coś trzeciego — sercowe miasto, przez co miasta zyskały nagle serdeczne zabarwienie, a serca — zabarwienie miejskie.

Nic dziwnego, że się pochorowali. Byli jak wampiry, które zachowały wspomnienia, rozpoczynając swe nowe życie. Nie było dla nich lekarstwa. Potem, jeden po drugim, ucichli, ale nie dlatego, że kryzys został zażegnany. Nagle znaleźli się w nowym świecie. Musieli w nim jakoś żyć.

* * *

— Musicie to pokazać innym — zwróciłam się do Tancerki, brutalnie przerywając jego narodziny. Zasłużył na lepsze potraktowanie, na łagodniejsze przejście, ale nie było na to czasu. — Ci ogłuszeni. Możecie z nimi porozmawiać. Uważa się, że oni nie znają żadnego języka, ale to nieprawda. Możecie im pokazać, co osiągnęliśmy.

Język nigdy nie był możliwy. Nigdy nie mówiliśmy jednym głosem.

Na tle słonecznego nieba dostrzeżliśmy drobne sylwetki, kilka kilometrów dalej. Ludzie powoli posuwali się w naszym kierunku. Górą leciały małe statki, zmierzając w stronę miasta.

— Zobacz — powiedział Bren. — Ten jest ranny.

Gdy podeszliśmy bliżej, przekonaliśmy się, że nie ma tam zbyt wielu Ziemiaków, najwyżej trzydziestu, czterdziestu. Ciągnęli za sobą sprzęt, jadąc na zaimprovizowanych Modyfikowanych

pojazdach albo w rozchwianych samochodach. Gdy nas dostrzegli, przez chwilę zdawało się, że szykują broń. Potem ochłonęli.

— Pewnie chodziło o nich. — Bren wskazał na naszych Ariekenów. — Myśleli, że to atak. Ale potem zobaczyli nas i pomyśleli, że to oddział z Ambasadorii. To obsługa plantacji. — Mieszkańcy pustkowi, którzy niedawno ewakuowali się z domostw i farmo-fabryk. Ich gospodarstwa znajdowały się na drodze bezjęzykowej armii. Absurdale wdarli się na ich ziemie, zabijając wszystkich ludzi i zrównując ich domy z ziemią, a potem rekrutując w szeregi ich sąsiadów Ariekenów.

Nad głowami przeleciały nam kolejne statki. Prawdopodobnie nie przyglądali się na tyle uważnie, by dostrzec Ariekenów w naszej grupie albo zorientować się, że idziemy w złym kierunku. W ogóle nas nie zauważyli, wszyscy spieszyli się, byle tylko jak najszybciej wrócić do miasta. Zauważyłam, że kilka statków krwawi.

Tancerka szeptał coś do siebie, opisując ludzi w zupełnie nowy sposób. Od wielu godzin uważnie przyglądał się też naszemu więźniowi.

Staraliśmy się unikać grup uchodźców.

— W zależności od tego, jak szybko przemieszczają się Absurdale, dotrzemy do nich jutro albo pojutrze. Raczej pojutrze. Co to będzie? Muhamdzień, iodzień?

Nikt z nas nie miał pojęcia.

— A co z Ambasadorianami?

— Chyba zdołaliśmy ich minąć. Prawdopodobnie rozbiją gdzieś obóz. Zwłaszcza że... — Wskazał na niebo. — Widzieliście te statki. Zranili im zwiadowców. EzCał wiedzą, że tego nie da się wygrać. Wyślą przodem Ariekenów i Ziemiaków i będą próbowali negocjować.

— Ale im się nie uda — stwierdziła ponuro II.

— Nie uda — zgodził się Bren. — Nibyjakim cudem? Zupełnie inaczej rozumują.

— Tancerka wie, co należy zrobić — zauważyłam. — Widzieliście, jak rozmawiał z jeńcem? Wie już, że obaj rozumują tak samo. Wie, że obaj myślą.

* * *

W zupełnie nowym środowisku, pośród rzadkich drzew, patrzyliśmy, jak radzą sobie

kosteb
silas

Tancerka i pozostali. Tutaj największym zagrożeniem nie był już , o wielkim, prawie nieruchomym ciele i długich członkach, które potrafiły szybko sięgać pomiędzy drzewa, lecz

delith
hi-ki

szybkie polujące w nocy. Dwunożne stwory, odlegle spokrewnione z Ariekenami, poruszały się na tylnych kończynach, które w razie potrzeby stawały się śmiertelną bronią, podobnie jak ramię odpowiadające darskrzydłu. Ich wachloskrzydła pozostawały nieruchome. Dobrze widziały w ciemności, ich oczy były bardzo wyczulone na ruch. Polowały stadami. Działyły wspólnie, by okrążyć swoje ofiary, zamieszkujące równinę stworzenia wielkości psów.

Byliśmy zbyt duzi, by odważyły się nas zaatakować, ale i tak patrzyły. Drobne latające zwierzęta umykały przed światłem pochodni, podczas gdy inne, żywiące się fosforyzującą pleśnią, wypęzły spod ziemi i oszołomione próbowały gryźć świecąca ziemię.

Nie spuściliśmy więźnia ze smyczy — nie ufaliśmy mu, nie wiedzieliśmy nawet, jak ocenić, czy już jest godzien zaufania. Ale od wielu dni traktowaliśmy go z mniejszą

podejrzliwością. Nasi eks-Gospodarze przyglądali mu się uważnie i szeptali coś do siebie, używając słów, z których korzystali już wcześniej tysiące razy, a jednak teraz zaczęły oznaczać coś zupełnie nowego. Wczesnym rankiem coś się zmieniło. Ariekeni otoczyli więźnia. Jeniec nie dyszał ani nie próbował się na nikogo rzucić — po prostu rozglądał się, obserwując nas i pozostałych Ariekenów.

Tancerka i nasz jeniec okrażali się nawzajem, a pozostali otoczyli ich kręgiem. Co kilka sekund ktoś z tej dwójki wyrzucał do przodu darskrzydło, jak nożownik szukający odsłoniętego miejsca. Kreślił jakieś wzory w powietrzu, po czym następowała chwila przerwy, a potem przeciwnik powtarzał ten gest. Skrzydło Tancerki rozwinęło się na pełną szerokość i zwinęło z trzaskiem. Głuchy kikut więźnia zadygotał w odpowiedzi.

Gesty stanowiły nośniki informacji, ruchome telegramy. Rozmowę. Rozmawiający nie rozumieli się nawzajem, ale wiedzieli, że jest tu coś do zrozumienia, i to był pierwszy krok do wolności. Gdy w końcu nawiązali porozumienie — Tancerka rzucił zgnieciony pączek kwiatu, a potem wskazał na mruczące poszycie, gdzie upadł, a Absurdal pochylił się, by go podnieść — ich euforia, choć całkowicie nam obca, była prawie namacalna.

Odkąd Tancerka nauczył się oznaczać, potrafił porozumiewać się gestami. Dla naszego więźnia, pozbawionego imienia, musiało to być znacznie większe odkrycie. Sądził, że bez słów nie zna już żadnego języka. Jego towarzysze porozumiewali się z nim bez słów, zupełnie nieświadomie, nigdy nie próbując nawiązać kontaktu z nieokaleczonymi. A co najważniejsze — wszystko, co sygnalizowali, sprowadzało się do tego uczucia beznadziei, które sprawiło, że rzeczywiście uwierzyli w swoją niekomunikatywność.

Ale w panice, podczas niedawnego ataku i ucieczki, ogłuszony Arieken zrozumiał szturchnięcia i gesty nakazujące mu uciekać. Patrzył, jak Bren, IISyb i ja mówimy do siebie, posługując się gestami dla rozjaśnienia wypowiedzi. Reszta Absurdali nigdy nie zastanawiała się nad tego rodzaju zachowaniem. Tancerka odkrył, że może mówić, nie mówiąc, Absurdal zaś odkrył, że w ogóle jest w stanie mówić i słuchać.

— Ciągali go za sobą — stwierdził Bren. — Byłoby niemożliwe, gdyby nie domyślił się ich intencji: popychali go i wskazywali tę samą stronę. Zmusili do posłuszeństwa. Może do nauki języka konieczna jest przemoc.

— Przecież to nieprawda! — odparłam. — Wszyscy biegliśmy w tę samą stronę. Wszyscy uciekaliśmy. Działaliśmy z tą samą intencją, dlatego rozumiał, o co nam chodzi.

Bren potrząsnął głową, ale głośno powiedział jedynie:

— Język jest tylko wynikiem przymusu wyrażonego za pomocą innych środków.

— Bzdura! To wyraz współpracy.

Obie teorie równie wiarygodnie wyjaśniały to zagadnienie. W końcu się poddałam, bo nie chciałam mówić oczywistości: że nasze poglądy nie były wcale tak sprzeczne, jak się z pozoru wydawało.

— Spójrz — wskazałam na niebo, gdzie widniały plamy dymu.

* * *

— Niemożliwe! — wyszeptał Bren, jakby do siebie, gdy rzuciliśmy się biegiem. — Przecież mieli zaczekać! — Powtórzył to jeszcze kilka razy.

Gdy na pokrytych porostem skałach pojawiły się jakieś punkciki, udawaliśmy, że mogą to być różne rzeczy, aż w końcu podeszliśmy na tyle blisko, że nie mogliśmy już dłużej udawać, iż nie są to trupy.

Spojrzeliliśmy w dół stoku na pobojuwisko. Szczątki ciągnęły się kilometrami.

Oddychałam ciężko w swoim hełmie. Z tej odległości trudno było ocenić straty. Próbowałam podliczyć zwłoki Ziemian i Absurdali, ale były ze sobą zbyt splątane, zresztą trupy poległych Ariekenów mogły należeć też do sił EzCala.

Wyprowadziłam swojego już-nie-całkiem-więźnia. Wciąż miał na szyi obrożę, ale od wielu kilometrów nie raziliśmy go już prądem. Tancerka zastukał kopytami. Spojrzał na mnie i otworzył usta.

Wskazał na pobojuwisko. Otworzył i zamknął dwie pary ust, po czym powiedział:

za późno

za późno

— Tak.

za późno

za późno

— Tak. Za późno. — Tego go nie nauczyliśmy.

* * *

Spięta, naćpana stymulantami, permanentnie czujna, miałam wrażenie, że moje zmysły działają z opóźnieniem, tak jakby wszystko, co widziałam lub słyszałam, pozostawiało za sobą smugi, gdy odwracałam głowę. Moja maska aeoli, w rzadkim odruchu przypominającym o jej Modyfikowanej naturze, poruszyła się niespokojnie, czując zapach trupów. Wszędzie wokół pękały nagazowane ciała. Wokół nich leżały zwłoki Ariekenów, z wachloskrzydłami i bez, splecione razem. Wnętrznosci wyewoluowane w przeciwnych krańcach galaktyki mieszały się i rozkładały wspólnie. Wypalone stopy i śmieci.

Wraki. Pobojuwisko okalały ciemne linie zakończone kraterami, gdzie wylądowały lotniki. Bren przegrzebywał szczątki, owinąwszy przedtem dłonie szmatami. Poszłam za jego przykładem. Okazało się to łatwiejsze, niż myślałam.

Bitwa musiała się rozegrać jakieś dwa dni wcześniej. Na widok tej rzezi nagle zrobiłam się chłodna i opanowana. Nie patrzyłam zbyt uważnie na twarze dziesiątków zmarłych Am-basadorian — byłam pewna, że zobaczę tam kogoś, kogo znałam. Grzebiąc w śmieciach pomiędzy słupami dymu, próbowałam odtworzyć sobie przebieg walki. Wokół dostrzegałam więcej Ambasadorian i Ariekenów z miasta niż Absurdali. Walczący leżeli, zastygli w swych ostatnich pozach, w hipo-stazie rozkładu, ręce, darskrzydła i bronie wciąż w gotowości. Analizowaliśmy te trupy dioramy, by dowiedzieć się, jak zostały stworzone.

— Mają corvusy — stwierdziłam. Absurdale, układający strategię bez słów, władali Modyfikowaną bronią. — Jezu — westchnęłam. — Jezu, to istna armia. To naprawdę armia!

Bardzo niewiele bojowników pozostało przy życiu. Kilku śmiertelnie rannych Ariekenów wymachiwało nogami w powietrzu, wyciągając szypułki oczu. Jeden z nich krzychał coś w Języku, mówił, że jest ranny. Tancerka dotknął jego darskrzydła. Absurdale konali w samotności, zbyt skupieni na własnej śmierci, by nas dostrzec. Niektórzy z nich wciąż krwawili z ran po wachloskrzydłach — nawet pośród konających trafiali się nowi rekruci.

Zwłoki jednego z Ariekenów przyniatały kobietę, która jeszcze żyła; połamany zestaw aeoli ze świstem podawał jej powietrze. Spojrzała na Brena i potem na mnie. Próbowaliśmy ją uspokoić

— Co się stało? — pytałam raz za razem, ale ona tylko patrzyła, przerażona albo

niedotleniona. Położyliśmy ją na plecach i napoiliśmy wodą. Nie mogliśmy jej przenieść — sprzęt aeoli dogorywał. Potem znaleźliśmy jeszcze dwójkę: jednego z nich w ogóle nie dało się dobudzić, drugi był świadom tylko swojej nadciągającej śmierci. Dowiedzieliśmy się tylko tyle, że Absurdale nadeszli.

Bren wskazał na podarte mundury.

— To specjaliści. To nie było... To tylko eskorta, straż czegoś, co pojechało przodem.

— Negocjatorzy — domyśliłam się.

— Jasne, oczywiście, negocjatorzy. To miały być rozmowy pokojowe, do cholery. Jednak spróbowali. Mój Boże! — Znów spojrział na zgliszcza. — Bezjęzykowi nawet nie zwolnili.

— A teraz idą w kierunku reszty.

W stronę głównych sił ziemsko-ariেকেńskich.

* * *

Musieliśmy zawrócić. Znaleźliśmy jakiś opuszczony pojazd i oczyściliśmy z brudu. Pędziliśmy wzdłuż śladów wybitych przez tysiące kopyt. Siedziałam ściśnięta obok Ariekenów; Tancerka i Chrzyciel otaczali Absurdala. Kreślili w powietrzu jakieś znaki, a jeniec, o ile mogłam się zorientować, odpowiadał tym samym.

Już niedługo zobaczyliśmy szereg sylwetek. Bren zeszywniał. Wiedziałam, że nasz plan nie jest idealny, ale nie było wyboru.

— W porządku — uspokoiłam go. — To Ziemianie.

Duża, brudna, niechlujna gromada, drepczące miasteczko.

Były tam nawet dzieci, spoglądające na nas poprzez maski w mnisim skupieniu. Niektórzy cofali się albo mruzczyli coś między sobą. Kilku samozwańców przywódców podeszło bliżej wraz z grupą żołnierzy, uciekinierów z tamtej masakry, odzianych w nadpalone mundury.

Ariekeni trzymali się z tyłu, zasłaniając sobą ogłuszonego współplemieńca. Ludzie opowiadali, że uciekli przed atakami Absurdali ze swoich domostw i farm. Teraz wszyscy dokądś uciekali i po drodze wpadali na siebie — po jakimś czasie dołączyli do nich dezertery i żołnierze z rozbitych oddziałów. Teraz znajdowali się na tyłach wroga, podążając za nim do miasta, niczym ryby szukające schronienia w kilwaterze drapieźnika. Nie mieli żadnych planów, jedynie przecucie, że ta taktyka może im zapewnić jeszcze kilka dni życia. Droga po śladach nieprzyjaciela stanowiła desperacki wyraz ich własnej porażki.

— Byliśmy razem z Ariekenami — powiedział nam jeden z milicjantów. — Z ich przywódcami. Chyba najbardziej wygadani z nich. Próbowali się porozumieć. Mieliśmy chronić negocjatorów, dać im czas, żeby zdołali się... — Żołnierze otrzymali rozkazy, by użyć wszelkich możliwych środków, podczas gdy ariেকেńscy mówcy będą próbowali skomunikować się z Absurdalami. — Próbowali z nimi pomówić.

— Jak? — spytałam.

— Nie „jak”. — Z początku myślałam, że powiedział „nijak”, i nie rozumiałam.

— Nie było żadnego „jak” — wyjaśnił. — Zastanawialiśmy się nad tym. Widzieliśmy, jak nadciągają tamci. Mieli lotniki, broń i pojazdy, były ich tysiące. Zastanawialiśmy się, co szykują Ariekeni. Co tam wymyślili. A oni tylko... Jezu. Przygotowywali się, słuchając EzCala z datachipów. Parę osób w naszym oddziale rozumie Język... — Urwał, zakłopotany, że odruchowo użył czasu terażniejszego. — Przetłumaczyli mi, co oni mówią. „Musicie sprawić, by zrozumieli”. Raz za razem. Na różne sposoby. „Musicie do nich przemówić tak, by zrozumieli”. — Mężczyzna potrząsnął głową. — Naćpali się tym. Gdy nadciągnęli Absurdale, krzyczeli do nich przez głośniki.

— Ale oni nie słyszą — zauważyłam. Żołnierz wzruszył ramionami. Wiatr rozwiął jego tłuste włosy okryte pogiętym hełmem.

— Wysłaliśmy kilku z nich, by wyszli wrogowi naprzeciw. Ich plan najwyraźniej... Absurdale po prostu po nich przeszli. I rzucili się na nas.

Nie było żadnego planu. Spojrzałam na Brena. EzCal nie mieli żadnej tajnej strategii. Wiedzieli jedynie, co powinno się stać, nie mając bladego pojęcia, jak to osiągnąć.

— Próbowali to załatwić rozporządzeniem — stwierdził Bren. Boski towar miał nadzieję, że Ariekeni, motywowani nieznoszącym sprzeciwu rozkazem, sami znajdą rozwiązanie.

— Jezu — pokręciłam głową. — Naprawdę uważali, że to wystarczy.

Na tym pobojowisku leżało naprawdę dużo trupów.

— Gdzie jest reszta waszej armii? — spytałam. — Armii EzCala?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Większość z nich... z nas... w ogóle nie chciała walczyć. Chcieli błagać. Ale to niemożliwe... oni nie słyszą. Wycofują się do miasta, za barykady. — Powoli pokręcił głową. — Nie zatrzymają ich.

Teraz już nic nie stało pomiędzy armią Absurdali, miastem i Ambasadorią.

Uchodźcy patrzyli, jak odjeżdżamy. Wołali, że jedziemy w złą stronę, i wzruszali ramionami, gdy nie odpowiadaliśmy. Machali na pożegnanie albo pokazywali znaki na szczęście; była w tym jakaś martwa grzeczność, dziwna kurtuazja. Na skraju tłumu ci najbardziej skupieni patrzyli na nas ze wściekłą wrogością, której prawdopodobnie sami nie umieliby uzasadnić.

Jechaliśmy po zrytej kopytami ziemi, podążając za Absurdalami, których wciąż nie widzieliśmy. Spadł deszcz, spod kół pryskało błoto. Tej nocy nawet mrok zdawał się rzadszy, miałam wrażenie, że gwiazdy i Wrak świecą nienaturalnie jasno. Oparłam się o Tancerkę i patrzyłam, jak gestykuluje do Ariekena, który nie był już więźniem, albo spoglądałam na poszarzały krajobraz.

O świcie zauważyliśmy, że wokół uwija się kilka widów, miotając się spazmatycznie. Vidy zbierające dane dla armii wciąż transmitowały. Nasze odgłosy i ruchy przyciągnęły ich uwagę i otoczyły nas migoczącą koroną. Spojrzałam prosto w soczewkę jednego z nich, jakbym patrzyła na kogoś w Ambasadorii.

Już niedługo usłyszeliśmy Absurdali — dzieliło nas od nich zaledwie jedno wzniesienie. Rój widów zakłębił się i pomknął tam całym stadem. Nad głowami przeleciał nam corvus, zmierzający z jakąś gorączkową misją. Mieliśmy nadzieję, że nas nie widział, że nie zostaniemy wyeliminowani, teraz, gdy byliśmy już tak blisko.

* * *

Nie było sposobu, by ściągnąć do siebie którąś z mniejszych grup Absurdali albo sprawić, by jeden oddział odłączył się od pozostałych. Każdy z bezjęzykowych uważał, że jest zupełnie sam, nawet jeśli nie była to prawda. Najbliższy odpowiednik dowódców stanowiła ich niema awangarda. Minęliśmy boczne skrzydło ukryci za wzniesieniem i ruszyliśmy naprzód, do miejsca, gdzie mogliby nas znaleźć.

W końcu, spoceni, w śmierzących kombinezonach, wygramoliliśmy się z pojazdu. Zdawałam sobie sprawę, jak musimy wyglądać. Czworo Ziemiaków. Ja na przodzie, za mną Bren, spięty i gotowy. Po długiej podróży łatwo było odróżnić od siebie Il i Syb, które stanęły obok, ramię przy ramieniu, z bronią w pogotowiu.

Ariekeni otoczyli nas półkolem, jakby tworząc wachlo-skrzydło. Tancerka stał najbliżej i patrzył na mnie kilkorgiem oczu.

W środku całej grupy znajdował się niespętany bezjęzykowy. Istota, która już nie była

naszym wrogiem, spoglądała wokół, od jednego Ariekena do drugiego. W końcu wykonała gest darskrzydłem. Jeden po drugim jej współplemieńcy odpowiedzieli. Aż zaparło mi dech w piersiach.

Dwaj pozostali nieruchomi. Kołek i Dach patrzyli na swych towarzyszy. Nic nie rozumieli.

nadchodzą teraz zobaczymy
nadchodzą teraz przemówimy

— powiedział Tancerka. Przez chwilę gapiłam się na niego w milczeniu, a w końcu przytaknęłam.

— Tak zrobicie — odparłam. — Tak zrobimy. Tak zrobią.

pozwól
pozwól

— dodał. Wypowiedział dwa słowa, które nic dla mnie nie znaczyły. Szybko dodał coś w Języku, a wtedy jego towarzysze, II, Syb i Bren, poderwali głowy.

tan
cerka

spróbował znowu.

dziękuję
nie ja dziękuję

— powiedział. Milczałam. Co mogłam na to odpowiedzieć?

* * *

Nadeszli pierwsi Absurdale. Lotniki nadciągnęły z szumem — już wcześniej musiały nas widzieć, ale prawdopodobnie uznały, że nie warto strzelać. Potem ukazała się luźna, szybko posuwająca się grupa niez mordowanych Absurdali, zmierzających w naszą stronę. Napięliśmy mięśnie. Ktoś wspomniał coś o „planie”.

W końcu dostrzegli nas zwiadowcy armii, maszerujący o jakiś kilometr przed głównym trzonem. Pognali przez rumowisko, wskazując nas darskrzydłami, wydając rozkazy oddziałowi, który rozpadł się na kliny i otoczył nas w ramach swojej niewypowiedzianej strategii, którą sami uznawali jedynie za wyraz wściekłości. Słyszałam dudnienie ich kopyt. Widziałam odcienie ich skóry, wyciągnięte szypułki oczu i kryzy wyrwanych wachlokrzydeł, gdy unieśli broń.

— Teraz! — wykrzyknął ktoś i do dziś nie jestem pewna, czy to byłam ja.

Tancerka powiedział coś cicho, zbyt cicho, bym mogła go dosłyszeć, ale jestem prawie pewna, że nie było to w Języku. Potem ruszył naprzód wraz z pozostałymi przywódcami tej rewolucyjnej grupki, a Absurdal postępował za nimi. Potem minął ich, wystąpił naprzód i uniósł darskrzydło oraz kikut wachlokrzydła, żeby widać było jego okaleczenia. Podkreślił swój status, jakby mówił „jestem jednym z was”, i zaczął ponaglać nadchodzących, by się zatrzymali, gestykulując „czekajcie, czekajcie, czekajcie”.

Absurdalna armia nawet nie zwolniła. Poczułam, że mi niedobrze.

— Odwagi — powiedział po francusku Bren.

Nawet się nie uśmiechnęłam. Świeżo wykształcony, nieporadny język bezskrzydłego Ariekena ginął pod naporem wspólnego celu. Z beładnych szeregów padł strzał.

tan
cerka

— Jezu! — szepnęłam. Tancerka, , przemówił słowami i gestami, patrząc, jak jego pobratymcy podchodzą coraz bliżej, by go zabić lub okaleczyć. Zastanawiałam się, co będzie, jeśli ogłuszą go w tym stanie, teraz, gdy postrzegał Język inaczej. Gesty Tancerki i Absurdala pozostały bez odpowiedzi, nieprzyjaciel poświęcał im nie więcej uwagi niż kołysanym wiatrem roślinom.

„Nie ignorują ich świadomie — pomyślałam. — Po prostu nie wiedzą, co się dzieje”. Nie wiedzieli, że umysły owych dwóch Ariekenów nie przypominają tych, które sami okaleczyli wcześniej. Sięgnęłam do plecaka.

— Pokażcie wachlokrzydła! — wrzasnęłam do Tancerki. — Niech wiedzą, że słyszycie.

II Syb zaczęły tłumaczyć, ale Tancerka już rozwijał skrzydło. Pozostali poszli za jego przykładem, oprócz Kołka i Dacha, którzy posłuchali dopiero wtedy, gdy Tancerka wydał im polecenie w Języku. Kolejny pocisk uderzył gdzieś blisko.

— Powiedz Kołkowi i Dachowi, żeby stanęli na przodzie — ciągnęłam.

Odtworzyłam datachip i metaliczny głos EzCala zaczął nas do czegoś namawiać. Okazało się, że Ariekeni słyszeli już wcześniej ten kawałek i żaden nie zareagował. Zaklęłam i wyrzuciłam go na bok.

— Ach! — Bren w końcu zrozumiał. Grzebałam gorączkowo w bagażach. Absurdale podeszli już tak blisko, że słyszałam ich mordercze pogruchiwania. Wywaliłam na ziemię garść chipów i w końcu odtworzyłam kolejny.

A teraz — zapowiedzieli EzCal — powiemy wam, co należy zrobić...

Ziemiańskie usłyszeli to jako serię dźwięków, podobnie jak Tancerka i pozostali, którzy tylko zastrzygli pytająco wachlokrzydłem. Ale Kołek i Dach wciąż byli nałogowcami. Wyprostowali się gwałtownie i zadrżeli na całym ciele, jakby niewidzialna siła ciągnęła ich w kierunku głosu. Oczy im się zaszklily.

— Tak... — szepnął Bren.

Odtworzyłam kolejny chip. Kołek i Dach kołysali się w oszołomieniu, dochodząc do siebie po ostatniej dawce, i drgnęli spazmatycznie, gdy dostali kolejną. Dach krzyknął w ekstazie, słuchając, jak EzCal opisują drzewa.

Nasz ogłuszony Arieken wciąż machał do pozostałych, a Tancerka i inni naśladowali jego ruchy, otwierając i zamykając wachlokrzydło, a pośrodku stali Kołek i Dach, zagubieni we własnym świecie. Wciąż odtwarzałam chipy.

przestań

— przestań

— powiedział Tancerka i pomyślałam, jak bardzo musiał przerażać go widok bezradnych przyjaciół, przypominając mu, czym sam kiedyś był, ale byłam nieugięta.

Z początku Absurdale otoczyli nasz wzgórek i podeszli z uniesioną bronią, aż w końcu, powoli, jeden po drugim, zatrzymali się z wahaniem. Wcisnęłam kolejny chip i usłyszałam, jak Bren szepcze „tak”.

Na przodzie każdej armii zawsze kroczy jeden żołnierz. Potężny Arieken szeroko otwierając usta, jakby wył, ruszył w naszą stronę, wysoko podnosząc nogi. Wyciągnęłam przed siebie chip, jakby to miało go powstrzymać. Jego oczy rozsunęły się we wszystkie strony, po jednym na każde z nas. Patrzył na Tancerkę i na naszego byłego więźnia, który wyciągał kończyny, jak to Absurdale mieli w zwyczaju, i na zataczających się ćpunów. Nie pamiętam, co

wtedy myślałam, ale chyba się modliłam.

Niespodziewanie żołnierz zatrzymał się w pół kroku. Opuścił nastawioną plujkę. Schował oczy, rozwinął je znowu i spojrzał na nas. Wciąż odtwarzałam głos EzCala. Nie tylko ja zastygłam bez ruchu. Bezlitośnie zmuszałam Dacha i Kołka do narkotycznego tańca. Absurdale objęli się nawzajem, wskazywali kończynami albo po prostu zastygli.

— Nie przestawaj — powiedział Bren.

przestań

przestań

— — powiedział Tancerka w tej samej chwili, a Bren powtórzył:

— Nie.

— Co?... — zaczęła Syb.

— Co się dzieje? — dokończyła II.

Armia zropaczonych, wściekłych istot pchniętych do ostateczności przez wspomnienia nałogu i widok swych pobratymców, zniewolonych słowami obcych. Ta degradacja stanowiła horyzont ich rozpacz. Dlatego ukazałam im widmo ich samych ogarniętych wpływem boskiego towaru — tego narkotycznego tańca nie dało się pomylić z niczym innym — ale jednocześnie zobaczyli, że inni Arkiekeni z rozwiniętymi skrzydłami słyszą to samo, ale nie zdradzają efektów upojenia.

W umyśle Absurdali nie było miejsca na wątpliwości i ich nagle nadejście zupełnie wytrąciło ich z równowagi. Nasz były więzień wymachiwał darskrzydłem i kikutem. „Stójcie” — mówił, a wielu żołnierzy zrozumiało, co ma na myśli, i zupełnie oszołomiła ich ta świadomość.

„Biedny Dach — pomyślałam — biedny Kołek”. Wokół kłębił się ariekeński kurz, zamrugałam oczami. Dzięki Bogu, że nigdy nie nauczyli się kłamać. Potrzebni nam byli prawdziwi nałogowcy, by dowieść, że inni są wolni i że gniew Absurdali jest bezpodstawny. Wciąż zmuszałam Dacha i Kołka do podrygów, szprycując ich towarem do granic możliwości. Tancerka wachlował nerwowo skrzydłem. Ja wrzeszczałam.

* * *

W szeregach Absurdali informacje rozchodziły się straszliwie wolno — nawet najsprawniejsi umysłowo mieli jedynie bardzo ograniczoną świadomość, że są w stanie przekazywać informacje. Machając kończynami i unosząc je ostrzegawczo, wysyłali prosty komunikat: „Nie atakować”, a potem: „Coś się dzieje”.

Im dalej, tym informacja była bardziej rozmyta. Komunikaty tych z przodu zbliżyły się już do: „Oni słyszą, ale nie są uzależnieni”. Dalsze szeregi Absurdali po prostu sygnalizowały stojącym z tyłu: „Stójcie”.

stójcie

stójcie

— — powtarzał Tancerka. Nasz ogłuszony wystąpił naprzód, by stanąć tuż naprzeciw armii, a Tancerka poszedł za nim. Na oczach dowódców obaj — szeroko, ostentacyjnie, za pomocą gestów skrzydeł i symboli wydrapanych w ziemi, które kompletnie mnie zaskoczyły — zaczęli mówić.

* * *

Upłynęło wiele godzin, dwa dni i dwie noce, pełne frustracji i ciszy, podczas gdy armia czekała z wahaniem. Co jakiś czas ktoś z nich podchodził naprzód, by zobaczyć, co się dzieje.

Widok szokował wszystkich: nieuzależnieni Arie-keni, Ziemianie czekający cierpliwie z boku, powolny proces porozumienia pomiędzy słyszącymi a Absurdalami — z wahaniem, ale wciąż ich tak nazywaliśmy — rysunki na piasku.

Ci, którzy mieli trochę wiedzy, zmienili się w mediatorów. Nie wiem, jaką perswazją zdołali uspokoić swoich pobratymców, ale byli skuteczni — przekonaliśmy się o tym pod koniec drugiego dnia, gdy ludzcy uchodźcy zbliżyli się z flanki. Byliby łatwymi ofiarami, ale bezskrzydli nie próbowali atakować.

Ziemianie zdali sobie sprawę, że Absurdale zatrzymali swój pochód. Zaciekawili ich ten dziwny spokój, aż w końcu co odważniejsi spróbowali namierzyć jego źródło, a bezjęzykowi na to pozwolili. Uchodźcy rozbili obóz i obserwowali.

Upłynęło sporo czasu, nim osiągnięto sensowny poziom komunikacji pomiędzy

tan
cerki

Absurdalami a Nowosłyszącymi — grupą — ale nie tak wiele, jak się wcześniej spodziewałam.

W końcu nie nauczyliśmy ogłuszonych mówić — pokazywaliśmy im jedynie, że już to potrafią. Nie nauczyliśmy ich niczego nowego, ale sama ta świadomość była odkrywcza, a takie odkrycia, choć z początku trudne, potem szerzą się jak pożar.

— Trzeba tu ściągnąć EzCała — powiedziałam.

— Jeśli dowiedzą się, co tu zaszło, na pewno nie przyjdą — odparł Bren. — To będzie znaczyć, że przegrali.

„Nawet jeśli oznacza to koniec wojny?” — chciałam spytać, ale wiedziałam, że Bren ma rację.

— No cóż, w takim razie nie powiemy im prawdy. Zniszczymy wszystkie vidy, jakie nadlecą. Nie będą o niczym wiedzieć.

* * *

Ręcznik i Chrzyciel rozumieli, na czym polega ich misja. Jeszcze kilka dni temu nie poradziliby sobie z czymś takim. Powrócili do miasta lotnikiem, wioząc ze sobą Absurdali.

— Wiedzą, co mają robić? — spytałam jeszcze raz Tancerki.

tak
tak

Mieli dotrzeć do miasta w rannym statku, udając lojalnych żołnierzy nałogowców, i przynieść wieści o przełomowym osiągnięciu. Zamierzali powiedzieć EzCalowi, że powstrzymano Absurdali i że czekają już tylko na przybycie boskiego towaru. EzCal nie mieli szans odkryć, że to kłamstwo — właśnie na to liczyliśmy. W końcu mieli to usłyszeć z ust Ariekenów, w języku, który uważali za Język. Jak mogliby kłamać? „Mów jak Gospodarz”.

— Wiedzą, co zrobić, gdy EzCal do nich przemówi?

tak
tak

— . — Mieli zadygotać, jakby ich otumaniono.

— Wiedzą, że jeśli upłynie za dużo czasu, mają poprosić o przemowę?

tak
tak . — Wiedzieli, jak udawać uzależnienie.
* * *

Dwa plemiona postjęzykowych Ariekenów miały wspólny system znaków. Ludzcy uchodźcy nie próbowali podejść bliżej.

— Udało się nam? — zapytałam.

Kolek, otoczony semiozą, nagle zadygotał i gwałtownie przeszedł przemianę, zyskując świadomość bez żadnej konkretnej przyczyny. Zobaczyłam, jak ciężko dyszy i wyrzuca z siebie nowe zdania. Jego towarzysze obserwowali ten niespodziewany wzlot czy też upadek. Dach najwyraźniej nie był w stanie go osiągnąć. Naszprycował się ostatnimi chipami. Był ostatnim nałogowcem w tej grupie.

Nie wiem, jak u Ariekenów wygląda przyjaźń, ale chyba było im smutno. A Dach,

sagg
leav-veth , musiał czuć się samotny. Patrzył na toczone wokół rozmowy, złożone z gestów i rysunków, a wtedy pomyślałam, że życie w tak odmienionym świecie musi przypominać łagodniejszą wersję piekła. „Ocaliłeś nas — pomyślałam. — Bez ciebie już byśmy nie żyli” — dodałam, jakby to miało go pocieszyć.
* * *

Tancerka codziennie opowiadał mi, jakie poczynili postępy. Gdy myślę teraz o tym, co wtedy naprawdę zaszło, co Absurdale i Nowosłyszający osiągnęli wspólnymi siłami, mam wrażenie, że stało się to w mgnieniu oka. Nie wiem, ile dni upłynęło na tych bezgłośnych dyskusjach, gdy w końcu zauważyłam obserwujące nas vidy, podrygujące nerwowo na wietrze. Ale wiedziałam już, że jesteśmy gotowi.

— Jezu! — wykrzyknęłam i pokazałam je Brenowi. — Chryste Pharotektonie.

Stałam pod vidami, wskazując na nie niczym Ariekeni, którzy dopiero co odkryli mowę ciała, przyzywając je bliżej.

Byli to zwiadowcy z eskadry otaczającej statek EzCala. Nie mógł być daleko — nadleciały, kierowane wskazówkami Ręcznika i Chrzyciciela. Niektóre z vidów wyglądały, jakby zamierzały odlecieć, inne skupiły się na nas. Teraz już było za późno, by boski towar mógł zawrócić, zablokować transmisję i udać, że nie wiedzą, co się dzieje. Obrazy transmitowane z tych małych soczewek oglądano nie tylko na statku, ale i w całej Ambasadorii.

— Słuchajcie! — wykrzyknęłam i natychmiast poczułam na sobie spojrzenia niezliczonych koralowych oczu. — Posłuchajcie mnie! — powtórzyłam i zacisnęłam zęby, chłostana wiatrem. — Posłuchajcie mnie!

— Zastanawiali się, co to za opóźnienie — stwierdził Bren. — Co zatrzymało Absurdali? Jak długo czekali? Chowali się, czekając na śmierć, zastanawiając się, skąd ta zwłoka.

— Słuchajcie! — powtórzyłam. — Sprowadźcie ich tu. Sprowadźcie tu EzCala. Natychmiast! — Wskazałam na Tancerkę i bezskrzydłego Ariekena, z którym rozmawiał, a oni — najpierw Tancerka, a potem setki Absurdali — wskazali na mnie. Vidy zabrzęczały, zmieniając pozycję, ale nie oderwałam od nich wzroku, jakbym uparcie wpatrywała się w jedyne oko tego małego roju.

— Ściągnijcie ich tu. EzCal... Słyszycie mnie? — Wskazałam oskarżycielsko. — Cal,

kurwa, złaź tu natychmiast i przyprowadź tego pajaca. Darujemy ci życie, więc lepiej powiadom o tym wszystkich. Słyszycie mnie, Ambadorio? Darujemy życie EzCalowi. Ale teraz dla własnego dobra niech lepiej pofatygują się tutaj i dowiedzą, co mają robić. Bo są pewne warunki.

Muszę przyznać EzCalowi jedno. Stojąc w milczeniu, patrząc z wzniesienia na ciągnącą się kilometrami równinę i obóz Absurdali, wyglądali epicko. Nie zasługiwali na to.

Przybyli tu z barokowym przepychem: być może ta wystawna oprawa miała umocnić morale Ambasadorian. Ubrania Cala oblamowano brokatem, na hełmie aeoli miał pióropusz. Nawet Ez wystroił się w purpurę.

Spoglądali w milczeniu, przez co ogrom ich porażki został wytłumiony, a przynajmniej nieco przykryty. Grymas Cala mógł uchodzić za królewską minę, ponure dąsy Eza — za cichą refleksję. Zabrali ze sobą mały orszak, złożony z ludzi, z którymi jeszcze niedawno pracowałam. Niektórzy przywitani się z nami po wylądowaniu. Simmon uściśnął mi rękę, wraz z nim przybyły Southel i MagDa. Nie potrafiłam określić wyrazu ich twarzy. Towarzyszył im Wyatt — wciąż pod strażą, ale najwyraźniej zyskał na statusie. Wielki strateg, wezyr i więzień jednocześnie. Nie patrzył mi w oczy. Chrzyciel i Ręcznik wysiedli z pojazdu, by powitać swoich towarzyszy, a potem mnie. Ambasadorianie spoglądali na nich, prawdopodobnie zszokowani ich zachowaniem. Wydarzenia rozwijały się zupełnie nie po ich myśli.

Funkcjonariusze mieli broń. Wiedziałam, że gdyby sytuacja była choć trochę inna, EzCal kazaliby nas zabić, tak jak wcześniej, podczas wyprawy. Ale teraz towarzyszący im członkowie Personelu, a nawet JasMin, nie pozwoliliby im na to. Wszyscy w Ambasadorii zdążyli już obejrzeć nadciągającą armię i moją transmisję i wiedzieli, że to my zdołaliśmy powstrzymać Absurdali. Teraz Calowi pozostało już tylko kilka ostatnich godzin, by poudawać, że wciąż tu rządzi.

Uchodźcy każdego dnia podchodzili nieco bliżej — teraz zdarzało im się nawet wpaść z wizytą i pogadać, choć zazwyczaj tylko obserwowali nasze rozmowy z Absurdalami. Ez patrzył w niebo albo spoglądał za siebie, w stronę Ambasadorii.

Dużo później usłyszałam opowieści o tym, co robił podczas mojej wędrówki, jak działał Calowi na nerwy, usiłując zmontować akcję, którą trudno byłoby określić inaczej niż tylko mianem „przewrotu”. Cal zdławił tę rewoltę bardziej z pogardą aniżeli ze złością. Ez co chwila zerkał na nas; niemal widziałam, jak ocenia nas w duchu. „Jezu, czy ty nigdy nie masz dosyć?” — miałam ochotę zapytać. Nie obchodziła mnie jego historia. Dla Ambasadorii i bezjęzykowych sprzeczki Eza i Cala były znacznie mniej istotne od faktu istnienia EzCala.

Stałam wraz z delegatami wybranymi z szeregów Absurdali — było ich dwudziestu, może trzydziestu.

— A zatem to z tobą będziemy rozmawiać, Avice Benner Cho? — zapytał chłodno Cal. — Mówisz w imieniu...

— Wskazał na bezskrzydłego Ariekena stojącego najbliżej mnie, naszego dawnego więźnia.

— Theutha. Używa imienia Theuth.

— Co to ma znaczyć „używa”? — zapytał z niesmakiem. — Nie może...

— My go tak nazywamy — przerwałam. — A zatem tego imienia używa. Pokażę ci, jak je zapisać. A może lepiej niech on sam to zrobi.

* * *

Sam fakt porażki jest już wystarczająco nieznośny, prawda, Cal? Nawet w tamtej chwili próbowałeś nas zniszczyć: mnie,

Brena i całą resztę. Ocaliliśmy Ambasadorię, a nasz sukces oznaczał koniec twoich rządów, mimo że całe twoje panowanie było jednym pasmem upadku. Wolaleś raczej poleć na własnych warunkach, niż dać się ocalić na naszych. To właśnie chciałam powiedzieć.

Obok Theutha i Tancerki stali Absurdale, ci najsprawniej posługujący się pismem ideograficznym, które sami wynaleźli, najbardziej intuicyjnie wykonujący i odczytujący gesty. Nie była to jednolita grupa. W okolicy zjawiało się nawet kilku odważnych nałogowców, którzy przybyli aż z miasta, zaspokajając się skradzionymi datachipami, byle tylko ujrzeć to historyczne porozumienie, zapowiedź nadchodzących zmian. Dach siedział smutny, samotnie odtwarzając swoje pliki. Ziemscy uchodźcy przycupnęli na parapetach upstrzonych ariekeńskimi porostami, obserwując negocjacje. Przychodzili i odchodzili wedle kaprysu.

Cal, może także Ez, próbował przedstawić to wydarzenie jako przeciągające się dyskusje. W rzeczywistości był to powolny proces tłumaczenia faktów i przyjmowania poleceń za pomocą wciąż powstającego pisma. Najwięcej czasu zabierało nam upewnienie się, że Absurdale rzeczywiście rozumieją, co do nich mówimy, i że sami rozumiemy, czego od nas oczekują.

„Nie masz tu żadnej władzy — mogłam powiedzieć Calowi. — To kapitulacja. Zawsze lubieś przepych: może wiele lat później będą cię postrzegać jako ostatni cień dawnej chwały imperium. Ale nie oszukuj się — jesteś tu tylko dlatego, że powiedziałam Absurdalom, by przekazywali polecenia właśnie tobie. A ludzie, którzy na to patrzą, ci uchodźcy spoglądający na ciebie z pogardą spod kapturew, zapamiętają, jak to wyglądało, jak nie miałeś pojęcia, co się dzieje. To epokowa zmiana — ty wprawdzie kręcisz się w pobliżu, ale sam jesteś tylko detalem”.

* * *

Vidy rozleciały się wszędzie. Przeważały niezależne egzemplarze domowej roboty albo zhakowane, zepsute czy zdziczałe, podające transmisję do dowolnych kanałów. Ambasadoria patrzyła na nas z drugiej strony soczewek.

W nocy otaczali nas Ariekeni. Sami o to prosiliśmy: wciąż nie byliśmy pewni, czy EzCal nie będą próbowali się mścić.

— Co się teraz stanie? — spytały MagDa. Patrzyły na mnie ostrożnie, z respektem.

— Będzie zupełnie inaczej — odparłam — ale zdołamy to przetrwać. Teraz Ariekeni wiedzą, że można ich uleczyć, a to wszystko zmienia. Co słyhać w mieście? A w Ambasadorii?

Panika i wyczekiwanie, a pośród Ariekenów głównie dezorientacja. Wybuchły walki między fakcjami — wcześniej mieszkańcy miasta zdawali się jednoczyć pod przewodnictwem

kora
saygiss

, ale teraz spierali się o rzeczy zupełnie dla nas niezrozumiałe.

— Zrobimy... oni zrobią... co mogą, by to rozgłosić — powiedziałam w końcu. — Nie potrzeba im już więcej działek. Teraz staramy się współpracować. Theuth wypowiada się obecnie w imieniu bezjęzykowych. Tancerka rozmawia z nami... najczęściej z IISyb, ale potrafi nawet...

— MagDa nie widziały, jak wieczorami rozmawiamy ze sobą niezręcznie. — Ale muszę wam coś powiedzieć — dodałam cicho.

— Słyszałam, jak ludzie to opisują, i wiem, że się mylą. Nie ma lekarstwa. Tancerka i pozostali... może i nie są już nałogowcami, ale nie zostali wyleczeni, po prostu się zmienili. W tym sęk. Wiem, że z pozoru wygląda to identycznie, ale chyba rozumiecie, że teraz już nie mówią w Języku, prawda? W każdym razie nie bardziej niż wy.

* * *

Poranek był zupełnie bezchmurny. Na równinach u moich stóp, wśród włóknistego poszycia uwijali się agenci pisma, propagujący nową umiejętność pośród Absurdali. Od razu pojawiły się dewiacje, alternatywne formy ideogramów i specjalistyczne słownictwo stworzone w semiogenezie wskazywania i bazgrania.

Prawdopodobnie już niedługo jakiś ariekeński czytelnik miał odtworzyć wydrapywane pismo za pomocą plam na czymś, co mógłby komuś podać, zamiast kazać mu zapamiętać. Może sami moglibyśmy im pokazać, jak to zrobić. Wyobraziłam sobie długopis trzymany darskrzydłem.

Kadra Ambasadorii stała nieruchomo. Orszak ambasado-riański zachowywał się tak rozsądnie, jak tylko mógł w tych warunkach. Uchodźcy patrzyli. Theuth i Tancerka stali obok mnie, spoglądając na vidy.

Tancerka zamachał darskrzydłem, by zwrócić moją uwagę.

jesteś gotowa?

— jesteś gotowa? — zapytał łagodnie. Zawahałam się, a on powtórzył: —

jesteś?

jesteś

EzCał zwrócili się w moim kierunku. Znów wyglądali jak królowie. Twarz Eza była zupełnie nieprzenikniona, a Cała — spuchnięta ze złości.

— Słuchajcie. Rozumiecie, co mówię? — Ambasadorianie słyszeli mnie doskonale, ale mówiłam teraz do EzCała. — Wiecie, jak teraz będzie? Absurdale wrócą do miasta, a my razem z nimi. Razem zabierzemy się za organizację. Mają kilka pomysłów. Na miejscu tego waszego kolaboranta, Ko-ra-Saygissa, byłabym bardzo ostrożna. Postąpiliście całkiem rozsądnie, nie zabierając go ze sobą. Dopracujemy szczegóły. Tam na miejscu, w Ambasadorii.

Aż do nadejścia transportu. „Wszystko zmieniło się na zawsze” — pomyślałam. Spojrzałam w notatki.

— Zamierzali nas zabić, bo byliśmy źródłem boskiego towaru. Wiedzieli, że dla nich już za późno, ale chcieli przynajmniej zapewnić czysty start swoim potomkom. Widzicie, jacy byli ofiarni? Nie robili tego dla siebie. To pokolenie miało pozostać ogłuszone albo umrzeć z nałogu.

Ale teraz wiedzą już, że uzależnionych można wyleczyć. — Nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia MagDy, wskazałam na Tancerkę, w odpowiedzi on wskazał na mnie. — A jeśli chorobę można zwalczyć, to znaczy, że ludzie są nieistotni. Dlatego pozwolą nam żyć. Teraz rozumiecie? Ale najpierw trzeba ich uzdrowić. Taki jest warunek. Inaczej wciąż będziemy dla nich przyczyną choroby. A potrzeba dużo czasu, by wyleczyć oracjentów. — Wskazałam na Dachę, wciąż nietkniętego metaforą. Wszyscy popatrzyli w jego stronę, Arieken odpowiedział spojrzeniem. — A jest ich naprawdę wielu. A zatem wasze zadanie polega na tym, by regularnie dostarczać im działek, aż w końcu przestaną ich potrzebować. Bez waszego głosu nałogowcy będą umierać. Mamy za mało czasu, by ich wszystkich wyleczyć albo nawet ogłuszyć. Jeszcze przez jakiś okres musicie utrzymać ich przy życiu.

to miłość

— to miłość — powiedział Tancerka. Ludzi, którzy jeszcze nigdy nie słyszeli, jak

mówi w podwójnym wszechangielskim, zatkało z wrażenia. Tancerka wyjaśnił, dlaczego Absurdale zamierzali nas pozabijać, dlaczego okaleczali swoich współbraci i dlaczego teraz postanowili nas oszczędzić. Ariekeni kochali Ariekeniów. Ten czasownik jako jedyny w przybliżeniu oddawał to uczucie. Nie było to idealne odwzorowanie, ale z tłumaczeniem zawsze tak bywa. Była to jednocześnie prawda i nieprawda. Absurdale kochali uzależnionych i leczyli ich w jedyny dostępny sposób.

— Żaden z was nie był Ambasadorem zbyt długo — oznajmiłam. — W czyim imieniu występowaliście, jak nie swoim własnym? A teraz nie jesteście ani bogiem, ani dilerem, ani funkcjonariuszem, EzCal. Teraz jesteście wyrobnikami. Ariekeni cierpią głód. Musicie go zaspokoić. I wierzcie mi, że treść będzie ściśle kontrolowana.

Twarz Eza nawet nie drgnęła. Cal się skrzywił. Teraz nie mieli szans na wydanie rozkazów, którym nie dałoby się sprzeciwić.

— Miasto jest pełne Absurdali. Jeśli tylko spróbujecie wicherzyć, umieszczając w przemówieniach jakieś instrukcje albo rozpętać wojnę, natychmiast was powstrzymają. Jeśli współpraca z nami okaże się zbyt kłopotliwa, będzie po nas. Oni naprawdę nie chcą wyrwać skrzydeł uzależnionym i ogłuszać wszystkich dorosłych Ariekeniów w swoim stadium, zwłaszcza teraz, gdy znaleźli inny sposób, ale nie cofną się przed niczym, jeśli uznają to za konieczne. Jasne?

„Nie macie już wyboru” — pomyślałam. Funkcjonariusze, których ze sobą przyprowadziliście, przystawiają wam broń do głowy i zażądają przemowy, jeśli będzie trzeba. A ja będę przy nich. Tancerka i Absurdale rozpropagują oba lekarstwa. Nawet pójdzie pod nóż nie było już tak dramatyczną decyzją jak wcześniej, dla tu obecnych. Dla tych, którzy sądzili, że odbiera to zdolność myślenia. Teraz także nikt nie zrobiłby tego z lekkim sercem, ale chorzy, na których nie działały inne metody, mogli to przynajmniej rozważyć.

Codziennie, kierując się miłością do swych uzależnionych współbraci, Ariekeni kazali EzCalowi przemawiać. Była to chwilowa konieczność. Cal był tak przybity, że prawie zrobiło mi się go żal. „Nie będzie tak źle” — powtarzałam sobie. Jakoś zdołamy dożyć do transportu.

— Widzicie? — spytałam Cala, EzCala, i wszystkich słuchaczy na równinie i w Ambasadorii. Tamtego dnia naprawdę podobał mi się dźwięk własnego głosu. — Rozumiecie już, dlaczego jeszcze żyjecie? Macie tu zadanie do wykonania.

jak ja

wszyscy będą tacy

— powiedział Tancerka. Gdzieś z tyłu rozległy się zdumione westchnienia i ktoś krzyknął:

— Nie!

Tancerka rozłożył szypułki oczu. Ez uniósł głowę. Cal odwrócił się przez ramię.

Zza wzniesienia wyszła jakaś postać, człowiek odziany w ciemny płaszcz. Jego śladem podążało kilku uchodźców, krzycząc gorączkowo. Płaszcz powiewał na wietrze. Zaciekawieni Absurdale rozstąpili się przed nim, by zobaczyć, co robi.

— Nie! — zawołałam, ale oczywiście nie słyszeli. Gestem kazałam im zewrzeć szeregi, ale Ariekeni jeszcze nie za dobrze znali ludzkie gesty, a nie miałam czasu, by to wyjaśnić.

Przybysz dobył broni. Jego twarz osłaniał zniszczony, poplamiony hełm, ale i tak rozpoznałam Scile'a.

* * *

Mój mąż wymierzył we mnie grubą lufę. Wszyscy reagowaliśmy za wolno.

Patrzyłam, jak się zbliża, rozważając przy tym, jak go powstrzymać, co zamierza zrobić, a jednocześnie próbując dociec, gdzie był, jak sobie radził, dlaczego to zrobił i co teraz zamierzał. W końcu zapatrzyłam się w ziejącą lufę.

Scile jakby rozmyślił się w pół kroku, bo wycelował broń w Brena i Tancerkę. Próbowałam go odepchnąć, ale Scile już nie celował w Ariekena, tylko w Eza, a potem w Cala, który zaczął odwracać się do mnie. Nacisnął spust. Wokół rozległy się krzyki, ludzkie i ariekeńskie, a potem Cal runął w tył, wzbijając fontannę krwi z rozerwanej piersi, i wciąż wpatrzony we mnie skonał.

Część dziewiąta

STATEK

tan
cerka

powiedział tak:

(Było to na placu w mieście — na dużym placu, powiększonym dzięki urobieniu budynków. Zapamiętałam to dobrze. Bren stał obok, szeptem tłumacząc przemówienie, ale praktycznie wszystko rozumiałam.

Zapamiętałam pogodę, domy, powietrze i tłum Ariekenów. Tysiące uzależnionych cisnących się naprzód. Najwyraźniej spodziewali się EzCala i przybyli po swoją działkę). Tancerka powiedział:

Zanim przybyli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele o pewnych sprawach. Dorastaliśmy w Języku. Zbudowaliśmy miasto i maszyny i nadaliśmy im nazwy. Nie mówiliśmy tak wiele o pewnych sprawach. To Język przemawiał przez nas. Słowa, które chciały być miastem i maszynami, musiały przemówić przez nas, by móc zaistnieć.

Gdy nadeszli ludzie, nie mieliśmy dla nich imion i wymyśliliśmy nowe słowa, by dać im miejsce w tym świecie. Nie zachowywali się tak jak inne stworzenia. Umieściliśmy ich w Języku, a Język ich przyjął.

Byliśmy jak lowcy. Jak rośliny żywiące się światłem. Ludzie wybudowali sobie miasto w naszym mieście, jak gwiazda wewnątrz okręgu. Ich miejsce było jak pręcik w kielichu kwiatu. Wymawialiśmy nazwę tego miejsca, ale wiedzieliśmy, że ma też inną nazwę, ten organizm, który był jak narząd w ciele, jak język w ustach.

Zanim przybyli ludzie, nie mówiliśmy tak wiele, bo byliśmy jak ta tutaj kobieta, która wiele lat temu była dziewczynką skrzywdzoną w ciemnościach, która zjadła to, co jej dano. Jesteśmy tacy jak ona. Sami zdecydujcie, dlaczego jesteście i nie jesteście do niej podobni. Dlaczego ona jest lub nie jest podobna do siebie. Byliśmy podobni do wszystkiego — opuściliśmy miasto podczas narkotransu, a teraz mówimy więcej.

Zanim przybyli ludzie, nie mówiliśmy. Byliśmy podobni do niezliczonych rzeczy, do wszystkich rzeczy, do zwierząt krążących nad Ambasadorią, na które teraz wskazuję darskrzydłem. To też jest mowa, i kiedyś to zrozumiecie. Nie mówiliśmy, byliśmy niemi, wypluwaliśmy z ust kamienie, o których mówiliśmy, a ptaki, które opisywaliśmy, wylatywały nam z ust, byliśmy jak ptaki jedzące bezmyślnie i jak dziewczynka w ciemnościach i zrozumieliśmy to dopiero wówczas, gdy staliśmy się inni.

Teraz mówimy, a w każdym razie ja mówię i inni także. Wyjście nie mówiliście — ale będziecie. Będziecie w stanie powiedzieć, że miasto jest kotliną i wzgórzem, i sztandarem, i drapieżnym zwierzęciem, i statkiem na morzu, i morzem, i że wszyscy jesteście rybami w jego odmętach, nie jak człowiek, który co tydzień pływa z rybami, ale jak ryby, z którymi pływa, i jak woda, i jak basen. Kocham was, a wy mnie oświetlacie i ogrzewacie, jesteście jak słońca.

Nigdy dotąd nie mówiliście.

* * *

To właśnie powiedział Tancerka do swoich zebranych współbraci. Potem mówił jeszcze więcej. Był znacznie zręczniejszy niż ja, kiedy go przemieniłam: lepiej rozumiał umysły, które

pragnął zmienić, a jego słowa były jak skalpele.

Z początku zebrani słuchali go, nie wiedząc po co. Gdy jego słowa stały się niedorzeczne i niemożliwe, wokół rozległy się skonsternowane ryki. Publiczność wiwatowała ochryple, jak zawsze, gdy słuchała dobrze wykonanych kłamstw, ale potem stało się coś jeszcze. Na widowni wybuchła histeria, pełna zachwyty i niepokoju jednocześnie.

Tancerka mówił dalej, a Ariekeni krzyczeli już nie tylko ze zdziwienia. To były oznaki kryzysu. Pamiętam, że słyszałam je tamtej nocy, gdy nauczyłam Tancerkę kłamać. Odgłos re-konfigurowanych umysłów. Stare myśli umierały. Widziałam las uniesionych darskrzydeł i wachlokrzydeł, wyprężonych w ekstazie, choć niepozbawionej strachu i bólu, a potem wokół nowo narodzonych zapadła cisza.

Za pierwszym razem odmieniono tylko niewielu. Większość słuchających odczuwała jedynie strach wywołany widokiem czegoś nieznanego. Gdy w końcu się uspokoili, niektórzy zaczęli domagać się EzCala, ich głód przyćmił nowe doznania.

Jednak byli także inni, którzy właśnie wtedy przeszli na drugą stronę, narodzili się na nowo i nauczyli języka, idąc za przykładem Tancerki. Rozumiałam prawie każde słowo.

Czasem, gdy Tancerka rozmawia ze mną w moim rodzimym języku, nie mówi

metafora

uprawdziające kłamstwo

prawdomówne

metafora

uprawdziające kłamstwo

kłamstwo

, lecz

albo

Chyba wie, że to lubię. To taki mały prezent.

Biedny Scile.

Jak mam to powiedzieć?

Rano przeważnie idę na Lilypad Hill i rozmawiam z asystentami.

— Coś nowego? — pytam, a oni co rano sprawdzają odczyty i potrząsają głowami.

— Jeszcze nie.

Wtedy mówię:

— No cóż, w takim razie już niedługo. Bądźcie gotowi.

„Biedny Scile” — czy naprawdę mogę tak powiedzieć? Po tym wszystkim, co się stało?

Owszem, mogę. Jego czyny napawają mnie odrazą — gdyby nie on, niektórzy z naszych przyjaciół wciąż by żyli — ale jak mogę nie odczuwać litości, widząc go w takim stanie?

Siedzi w więzieniu przerobionym z izby chorych, za sąsiadów mając kilku nieudanych Ambasadorów, zbyt upośledzonych, by wyjść, gdy otworzyliśmy drzwi. Scile wie, że żyje tylko dlatego, iż — chociaż jest przestępcą — nie zrobił nic tak drastycznego, że wymagałoby natychmiastowej egzekucji. Postanowiliśmy nie karać śmiercią za samo morderstwo.

Czasem go odwiedzam. Ludzie to rozumieją. Jest w tym trochę litości i troski, i ciekawości, i jakiś cień dawnego przywiązania. Sam nie może uwierzyć, że przegrał tak spektakularnie.

Gdy zabił Cala, wybuchło pandemonium. Sama byłam zaskoczona, że nie zastrzelono go od razu, że zdołaliśmy go wziąć żywcem.

— Nie pozwolę wam na to — oznajmił. Cal wciąż dygotał w przedśmiertnych drgawkach. Scile wycelował w Tancerkę.

— Nie pozwolę, żeby stali się tacy jak ty.

Zdołaliśmy go obezwładnić, zanim zdążył znów strzelić. Tancerka wytrącił mu pistolet z rąk, chwycił go za koszulę i spytał:

dlaczego?

— dlaczego?

Scile zakrył uszy rękami i nazwał go szatanem.

Nie był to samobójczy marsz, lecz pielgrzymka. Wyszedł z miasta, by odnaleźć armię Absurdali, i szedł krok w krok za nią, jako ich świadek i apostoł, podczas gdy oni — fala oczyszczającego ognia, święci mściciele, którzy woleli się okaleczyć niż zbrukać kłamstwem? — werbowali uzależnionych Ariekeńców. Szykowali świat na nowo — jako złobek dla nienarodzonych, czystojęzykowych młodych.

Była to brutalna nadzieja, ale zawsze nadzieja. Z pewnością usłyszał o narodzinach EzCala niezależnie od tego, gdzie akurat był. Nie wiem, jak te wieści mogłyby do niego dotrzeć, ale wieści zawsze się rozchodzą. Musiał wiedzieć, że EzCal i ich oracjenci nie mają szans w starciu z Absurdalami. Ale nie wziął pod uwagę ani mnie, ani Brena, ani Tancerki. Nasze poczynania musiały napawać go przerażeniem. Był cierpliwy, czekał na przybycie boskiego towaru, nim rozpoczął swoją świętą misję.

Prawdopodobnie działał z przekonaniem, że poświęca się dla Absurdali. Może pomyślał o ariekeńskich dzieciach, które pewnego dnia będą spacerować pustymi ulicami Ambasadorii,

próbując wyjaśnić pochodzenie tych ruin i opisując je w Języku. Scile był gotów pozabijać nas wszystkich.

Jego rozumowanie w pewnym stopniu było słuszne — rzeczywiście nastąpił upadek. Ariekeni są teraz inni. To prawda, że nauczyli się kłamać.

Biedny Scile. Prawdopodobnie uważa, że przyszło mu żyć pomiędzy lucyferami.

* * *

Niedawno na Lilypad Hill przybył wiab. Nie byliśmy już tymi samymi ludźmi, do których go wysłano, i chyba dlatego otworzyłam go, czując się trochę jak niegrzeczne dziecko. Wyczuwałam na nim leciutką wilgoć nurtu. Jak dzieci szybko sięgnęliśmy po ukryte prezenty. Wino, żywność, leki, luksusowe towary, żadnych niespodzianek. Otworzyliśmy dokumenty z rozkazami i zapieczętowane instrukcje dla Wyatta. Nie próbował nam przeszkodzić. One też nie zawierały żadnych niespodzianek.

* * *

Nowi Ariekeni potrafią rozmawiać z automami i zrozumieć, co one mówią.
— Nie chcę tam wchodzić — powiedziałam.
— Wszystko w porządku, to tylko... — Bren skinął głową.
On i Tancerka weszli do środka i nie było ich dłużej, niż się spodziewałam. Stałam na ulicy, spoglądając na poruszające się tablice. Reklamowanych produktów nie było już w sprzedaży.

W końcu dołączyli do mnie.

— Jest w środku — powiedział Bren.

— I?

mówiliśmy do niej

mówiliśmy do niej

— I co?... Odpowiedziała? — Tancerka i Bren spojrzeli po sobie.

nie wiem

— *nie wiem*

Popatrzyłam na budynek. Gdzieniedzie musiały być vidy — były wszędzie, a moja przyjaciółka miała zwyczaj obserwować otoczenie. Nie zamachałam.

— Tancerka powiedział: „Ehrsul, wiem, że rozumiesz, co do ciebie mówię” — stwierdził Bren. — We wszechangielskim. A ona nawet nie spojrzała. Powtarzała tylko: „Nie, nie mogę z wami rozmawiać, Ariekeni mnie nie rozumieją”. „Avice chciałyby wiedzieć, jak się miewasz”, próbował dalej, a ona na to: „Avice! Co u niej słyhać? A ty nie możesz ze mną rozmawiać. Nie rozumiesz mnie i mówisz tylko w Języku”.

* * *

Przeszliśmy ulicą przestarzałych tridów, obok zaimprovizowanego targu. Przez całą drogę milczałam, a Bren nie próbował naciskać. W ramach naszej gospodarki planowej otrzymywaliśmy wprawdzie podstawowe produkty, ale wszelkie dodatki i luksusy zdobywano jedynie drogą wymiany. Przypomniałam sobie targi oglądane w innych miastach, na innych planetach.

Zburzono barykady. Niektórzy mieszkańcy miasta twierdzą, że skoro oni mogą oddychać

naszym powietrzem, to może należałoby rozszerzyć atmosferę Ambasadorii na całe miasto. Nowo odrośnięte budynki mają wyraźnie nieklasyczny wygląd. Tu wieżyczka, tam prostokątne okno, znajomy filar. Ziemska topografia zaczyna być modna.

* * *

kora
saygiss

Nigdzie nie zdołaliśmy znaleźć ani DalTona; nikt, ani Ziemianie, ani miejscowi, nie chce zdradzić, gdzie są teraz. Oczywiście natychmiast zaczęłam podejrzewać samosąd. Ale mam do dyspozycji naprawdę dobre siatki informacyjne i jeśli rzeczywiście zaszło coś takiego, to odbyło się naprawdę cicho. A jeżeli tak, to naprawdę nie spełniło swojej funkcji odstraszającej. Być może ta dwójka należała po prostu do licznych ofiar tej wojny, a może obaj gdzieś się przyczaili — w mieście nadal można się spokojnie ukryć — i czekają na nie wiadomo co. Trzeba będzie zachować czujność.

kora
saygiss

DalTon to jedno. Co do , mam wrażenie, że większość Nowych Ariekenów wcale nie pragnie linczu ani innego rodzaju zemsty, nawet jeśli mówią, że żyli kiedyś „pod

kora
saygiss

rządami” . Żaden z Ariekenów nie potrafił odpowiedzieć na moje pytania, jak to wyglądało i jak wtedy myśleli. Pierwsza przemowa Tancerki dotyczyła właśnie tej zmiany, była zarówno fleksją, jak i wyjaśnieniem. Nie wiem, z czego to wynika. Nie wiem, czy Ariekeni pamiętają tamto uczucie, ale z całą pewnością nie potrafią mi o nim opowiedzieć.

Nikt nie umie też wyjaśnić, dlaczego niektórzy z nich okazują się odporni na metafory. Żadne wysiłki Tancerki i rosnących szeregów jego popleczników — kaznodziei? — zmieniających umysły słuchaczy za pomocą ostrożnie dobranych, zaraźliwych, kłamliwych kazań nie mogą tego zmienić. Przy każdym z nich osiągnęli częściowy sukces — za każdym razem Ariekeni wrywali się z oków Języka, wpadając w objęcia semantyki. Inni zbliżali się do tego na krok, by osiągnąć przemianę następnym razem albo jeszcze następnym. Ale prócz nich byli także tacy, którzy opierali się przemianie albo, jak Dach, byli zbyt głęboko uwarunkowani i po prostu nie mogli jej osiągnąć. Wciąż nie mogą porozmawiać ze mną, jedynie z Ambasadorami. Rozumieją tylko umierający Język.

Teraz mamy narkotyki i głosy, pozwalające utrzymać ich przy życiu. I żadnych bogów.

* * *

Jeden z oracjentów powiedział IISyb, że najbardziej lubi EzSeya, ponieważ ten dreszcz, jaki w nim budzą, jest tak... tutaj zabrakło mu słownictwa. Inni woleli EzLott albo EzBel, w zależności od rodzaju wywołanego transu.

Scile zazwyczaj był bystrzejszy, niż wskazywałoby na to jego ostatnie zachowanie. Wiedział, jak stworzyliśmy EzCa-Ia — powinien był się domyślić, że zdołamy to powtórzyć. Wydłubaliśmy mechanizm z głowy Cala i znów byliśmy bezpieczni, ale ponowny kryzys już więcej nie nadszedł.

— Mamy tu coś — oznajmiły MagDa. — Southel od kilku tygodni składała prototypy.

— Wzmacniacze.

— Mamy ochotników. Jesteśmy gotowi.

Na tym polegał ich tajny plan. Plan awaryjny mający nas uniezależnić od Cala i EzCala, których podstawową bronią była ich wyjątkowość. Nasze zdradzieckie knowania zazębiły się ze sobą. Scile nie doprowadził do żadnej logicznej konkluzji. Zabił Cala i praktycznie nic się nie zmieniło.

Z początku zgłosili się rozszczępieni skrętowi; ogolili głowy, wszczepili sobie gniazda, założyli wzmacniacze, niczym zębate diademy, podłączyli je do łącz i pozwolili, by przyprowadzony pod pistoletem Ez, Rukowski, odczytał ich myśli i przemówił wraz z nimi. Lott zgłosiła się jako pierwsza; jej dubelka, Char, jeszcze wtedy żyła.

Niektórzy wciąż się tego obawiają, ale wielu Ambasadorów zgasiło już swoje łącza. Przestali się ujednolicać. Prawie nie mówią już w Języku, nie ma takiej potrzeby. Nie sądzę, by wszyscy nienawidzili swoich dubli. Bren się ze mną nie zgadza, ale wtedy zauważam, że jego własne doświadczenia mogą zakłócać mu obraz. To zrozumiałe.

Trzymamy Joela Rukowsiego pod dobrą strażą, bo wciąż potrzebujemy jego niesamowitej empatycznej głowy, ale z czasem nawet to może się zmienić. Znajdziemy innych, podobnych do niego. A w tym czasie skompilujemy wiele godzin narkomowy. Możemy sobie pozwolić na szczodrość wobec odchodzących.

Mamy tu teraz dwa miasta — miasto uzależnionych i pozostałych — które przecinają się kurtuazyjnie. Absurdale i Nowi mają znacznie więcej wspólnego ze sobą nawzajem niż z oracjentami. Słuch to pestka: Absurdale i Nowi bardzo podobnie myślą.

Tancerka na każdym rogu wymienia pozdrowienia z Arie-kenami, Ziemianami, a nawet z bezskrzydłymi, posługując się touchpadami — nasz mały, ziemski podarunek. Uczę się rozumieć ich ewoluujące pismo, jak młody Arieken. Gdy budzą się w trzecim stadium, są poddawane swoistej próbie dorosłości — opiekunowie uczą je, jak przewycięzać swoje instynkty. Jedynie przez pierwszych kilka dni posługują się czystym Językiem, gdy każde słowo jest swoim referentem, a kłamstwa są niemożliwe; to etap przejściowy pomiędzy stadium zwierzęcym a pełną świadomością. Po upływie tego czasu młodzi Ariekeni wiedzą wprawdzie, że ich miasto nie zawsze było takie, ale nie umieją też sobie wyobrazić innego.

Niektórzy z co bardziej opornych decydują się ogłuszyć, wiedząc, że to ich uleczy i nie odbierze im rozumu, jak kiedyś sądzono. Inni, jak Dach, przygotowują się do odejścia. Nigdy nie odwiedzimy ich samowystarczalnych osad. Nie będą utrzymywać żadnej łączności z miastem ani korzystać z przewodów. Przekażemy im tyle datachipów, by wystarczyło na długo. Wygnańcy, wciąż uzależnieni, będą żyć w swojej samotni, gdzie wychowają nowy miot, nie pozwalając mu usłyszeć chipów, aż w końcu ich dzieci przemówią w Języku. Ludzie — nośniki uzależnienia — będą stanowili temat tabu, podobnie jak miasto, gdzie Ariekeni mówią inaczej. W przyszłości to nie ludzie, lecz Nowi Ariekeni będą pośredniczyć w rozmowach pomiędzy miastem a osadami.

Ale domyślam się, jak to będzie wyglądać: Nowy Arie-ken przybędzie do osady handlować, a mieszkańcy spróbują z nim pomówić — Język kontra język — i będą sądzić, że wszystko rozumieją, choć wcale tak nie będzie. Niektórych jednak zaintryguje ten dziwny przybysz i kilkoro żądnych wrażeń młodych zawita do bram miasta. I to będzie na tyle. Z pewnością pozostaną tu także nałogowcy, święci nawie-dzeńcy, a przybysze usłyszą przeznaczony dla nich przekaz i sami wpadną w uzależnienie.

* * *

Załoga statku, rzecz jasna, będzie miała broń: bremeńskie wynalazki, bardziej zaawansowane od naszych. Ale nas jest bardzo wielu, a ich znacznie mniej. A poza tym nie chcemy nikogo skrzywdzić. Wystawimy gwardię honorową.

— Witamy, kapitanie — powiem, gdy tylko otworzy się włącz. — Proszę pójść z nami. —
Będą w równym stopniu naszymi gośćmi co więźniami.

Nie, to nieprawda. Będą po prostu więźniami, ale potraktujemy ich dobrze.

Według Wyatta następny transport ma przywieźć kilku kolejnych Ambasadorów w stylu
EzRa. Od tego czasu prawdopodobnie znacznie ulepszyli techniki empatyczne. EzRa stanowił
test — ich śladem mieli przybyć ci, którzy dokonaliby przewrotu.

Za późno. Sami zrobiliśmy sobie własny przewrót. Nowi Ambasadorowie otrzymają
odpowiedzialne zadanie opychania działek nałogowcom.

witamy kapitanie

— witamy kapitanie — powie Tancerka. Grzecznie wskaże darskrzydłem na

proszę pójść z nami

uzbrojonych Ambassadorian. — proszę pójść z nami .

* * *

Nowi Ariekeni ze zdumieniem dowiedzieli się, że Ziemianie mają więcej niż jeden język.
Puściłam im francuski.

— Ja ,je. Jestem, je *suis* — powiedziałam. Tancerka był zachwycony.

je voudrais venir avec vous

chciałbym pójść z tobą

Nie jest to ich jedyna innowacja. Na Ariecie nie mówią we wszechangielskim, lecz w
anglo-ariekańskim. Uczę się tego nowego języka. Ma swoje niuanse. Gdy spytałam Tancerki, czy
żałuje, że nauczył się kłamać, na chwilę zamilkł, po czym powiedział:

żałuję

nie żałuję

— . — Możliwe, że był to teatralny gest, ale zazdrościłam mu tej
precyzji.

Ciekawa jestem, czy Tancerka czasem tęskni za dawnym sobą. Jeśli kiedyś pozwoli mi
przeczytać swoje zapiski — a jestem prawie przekonana, że pisze historię wojny — to może się
dowiem.

Opowiedział mi za to inną historię. Kiedy Chrzyciel i Ręcznik wrócili do Ambasadorii,
udając oracjentów, by w ten sposób wywabić EzCala na pustkowie, boski towar nie chciał ich
przyjąć. Kazali im przekazać wiadomość poprzez jednego z Ariekeniów, który rozpoznał w nich

surl

tesh-echer

zwolenników niesławnego

Zorientował się, że coś jest nie tak — z całą pewnością mógł ich wydać. Chrzyciel i
Ręcznik w porwywie brawury wtajemniczyli go w sytuację. Przekonali, że będzie dla wszystkich
lepiej, jeśli uda się obalić EzCala.

Wiedząc, że ci Ariekeni, podobnie jak ich prorok, mogą okazać się kłamcami, urzędnik

mimo wszystko postanowił im uwierzyć, bo dzięki nim po raz pierwszy od wielu dni poczuł nadzieję. Poszedł do EzCala i powiedział im dokładnie to, o co prosili Chrzyciel i Ręcznik. Ale oni byli Nowi, a on nie. Urzędnik znał prawdę, a jeszcze nigdy w życiu nie kłamał. Musiał jakoś przekazać to w Języku, z tytanicznym wysiłkiem wyrzucając z siebie słowa, które brzmiały w jego uszach jak bezsensowne pomruki. To był prawdziwy bohater tej wojny, zakończył Tancerka — ten bezimienny Arieken, wygłaszający jedyne kłamstwo w swoim życiu.

* * *

Podaję, że Bremen z łatwością mogło nas zniszczyć, ale zdołaliśmy ich przekonać, że jednak nie warto. Prowadzenie wojny z państwami leżącymi w odległym nurcie nie jest tanie. Musimy po prostu dopilnować, żeby wciąż zachować użyteczność. Zobaczcie — tu jesteśmy, na samym mrocznym skraju nurtu!

Wybudujemy port, na którym im tak bardzo zależało, może w ciągu miejscowej dekady. Będziemy ostatnim przyczółkiem — w końcu taka rola była nam od zawsze przeznaczona, tyle że teraz już o tym wiemy. Możemy się rządzić sami.

Witajcie w Ambasadorii, na granicy znanego wszechświata. Wiem, jak szybko pojawią się opowieści. Jestem zanurzaczką — słyszałam ich w życiu mnóstwo. „Tuż za granicami tej planety leży istne eldorado — będą mówić ludzie — niezbadane nurtowe lądy, zaginione statki, Ziemia i Bóg”. Niech tak będzie.

Wiem, że szybko zjawiają się tu awanturnicy i piraci. Am-basadoria może zamienić się w slums — to prawda — ale w innym przypadku porośniemy pleśnią i umrzemy lub zginiemy, zmieceni bremeńską szwabombą, jeśli nie okażemy się użyteczni. Scile, w swoim idiotycznym misjonarskim zapale próbując uratować Ariekenów, tym samym skazałby ich na zagładę. Gdyby nas zabili, Bremen nie zawahałoby się zmasakrować ich w odwecie. Trzeba pamiętać, że Scile nie urodził się w kolonii i nie rozumował takimi kategoriami.

Zostaniemy zalani przez badaczy, podróżników i awanturników. Będziemy Dzikim Zachodem. Bywałam już na jałowych planetach i w pionierskich miastach — nawet te stacje przystankowe mają swoje zalety. Otworzymy niebo. Będziemy sprzedawać wiedzę. Szczegółowe mapy nurtu. Szlaki na skróty, znane tylko miejscowym. Musimy wyrobić sobie reputację jako lud odkrywców; a zatem, by przeżyć i rządzić się sami, musimy zacząć odkrywać.

Już niedługo dorobimy się własnego nurtostatku i przynajmniej jednego kapitana. Gdy przybędzie kolejna delegacja z Bremen, będziemy już mieli coś do zaoferowania.

Zanurzanie nigdy nie jest bezpieczne. Tutaj, tak daleko, na krawędzi, wracamy do złotych dni *homo diaspora*. Nie mam żadnych wątpliwości. Byłam na zewnątrz, wróciłam, a teraz nadszedł czas wyruszyć znowu, podążając w miejsca, gdzie nie dotarł jeszcze żaden zanurzaczk. Już za parę kilogodzin mogę spotkać pozaziemców, jakich nie widział jeszcze żaden Ziemianin, i po kolei uruchamiać językoprogę, by wygłosić powitanie. Mogę tam znaleźć wszystko.

Studiowałam nawigację, nurtologię i techniki, których jako flokerka zawsze unikałam.

— Nigdy w życiu nawet przez chwilę nie flokowałam — stwierdził szorstko Bren. Zaczęłam snuć marzenia o tym, jak w przyszłości może wyglądać Ambasadoria. Właśnie dlatego codziennie przychodzę na Lilypad Hill. Bo już nie mogę się doczekać.

— Dzień dobry, kapitanie. Proszę pójść z nami. — A potem ja i moja załoga wprowadzimy skif na orbitę, aż do statku.

— Gotowi! — zawołałam i ustawię ster w kierunku prowadzącym daleko od znanej nam próżni. Pchnę dźwignię napędu, popychając nas na zewnątrz. A może powinnam zostawić to oficerowi. Nie wiem, jak podróż wpłynie na moją załogę — już wcześniej ich przed tym ostrzegałam. Byli niewzruszeni.

A zatem może to pierwszy oficer Tancerka zainicjuje to niemożliwe do opisania przejście od codziennej przestrzeni do wieczności. Zanurzymy się w nurcie i podążmy na zewnątrz.

* * *

Nie będę udawała, że wiem, czego się spodziewać. Musimy poczekać i na własne oczy zobaczyć, jak rozwinie się Ambasadoria.

Mówiąc „Ambasadoria”, mam tu na myśli całe miasto. Nawet Nowi Ariekeni zaczęli je

określać tym mianem, $\frac{\textit{ambasador}}{\textit{ja}}$ albo $\frac{\textit{ja}}{\textit{ambasador}}$, albo $\frac{\textit{ambasadoria}}{\textit{ambasadoria}}$.